



MARCIN MORTKA



Świt po bitwie

**MARCIN MORTKA**

# Świt po bitwie

Agencja Wydawnicza  
**RUNA**



ŚWIT PO BITWIE

Copyright © by Marcin Mortka, Warszawa 2007 Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński Copyright © 2007 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2007

*Tomaszowi Pacyńskiemu,  
który mnie wiele nauczył*

## MIT O BALDRZE, SYNU ODYNA

*Baldr, syn Odyna i jego żony Frigg, był pięknym bogiem, świetlistym i radosnym. Kochali go wszyscy, włącznie z olbrzymami i potworami, i nie było na całym świecie istoty na tyle okrutnej, by uczynić mu krzywdę. Frigg jednakowoż, bojąc się o swego ukochanego potomka, rzuciła na niego czary, które chroniły go przed bronią wykonaną ze wszystkich rzeczy na ziemi.*

*Ślusznie uczyniła, żył bowiem w Asgardzie bóg, który darzył Baldra szczerą nienawiścią, starannie skrywaną pod przyjaznym uśmiechem. Był to Loki, przyrodni brat Odyna, bóg ognia, a zarazem mistrz kłamstwa, zdrady i szyderstwa. Zazdrościł on Baldrowi sławy, urody i wdzięku, a w jego czarnym sercu rosła nienawiść. Pewnego dnia przybrał on postać sędziwej staruszki i podszedł do Frigg podczas jednej z uct. Dobry wybrał sobie moment, gdyż bogowie byli zajęci swą ulubioną zabawą - rzucali w Baldra różnymi pociskami, a one odbijały się od niego, nie czyniąc mu żadnej szkody. „Czy twe czary naprawdę chronią Baldra od wszystkich rzeczy na ziemi, matko?” - spytał. „Ależ tak! - powiedziała Frigg. - Pomięłam tylko jemiolę, nie rośnie ona bowiem na ziemi, lecz w konarach dębu”.*

*I tak oto Loki dowiedział się, jak zgładzić znenawidzonego Baldra. Powodowany coraz większą nienawiścią przetrząsnął cały Midgard, przeszedł przez każdy las i wspiął się na wszystkie dęby, aż wreszcie znalazł długą i prostą gałązkę jemioli. Wykonał z niej ostrą strzałę, po czym wrócił do Asgardu. Podczas kolejnej hucznej uczty, gdy Asowie zabawiali się ciskaniem w Baldra bronią, dojrzał stojącego na uboczu brata Baldra, ślepego Høda. Jak zwykle pogrążony był on w smutku, gdyż nie mógł wziąć udziału w zabawie, lecz Loki przymilnie zaproponował swą pomoc. Wręczył Hødowi łuk, na cięciwę nałożył strzałę z jemioli, pomógł wycelować i klepnął go w bark, by zwolnił cięciwę. I naraz wszyscy ujrzeni, jak Baldr osuwa się na polepę, próbując wyrwać strzałę z własnego serca.*

*I tak umarł ten, którego wszyscy kochali, z ręki brata, omotanego kłamstwem zdrajcy.*

*Pogrążeni w straszliwej rozpacz bogowie długo ronili łzy po utracie najwspanialszego spośród nich, aż w końcu podjęli desperacką próbę przywrócenia go do świata żywych. Wystali mężnego Hermoda, gońca bogów, w czeluście świata umarłych Niflheimu, by przebłagał ponurą królową podziemi Hel i namówił ją do wypuszczenia Baldra. Ta zgodziła się, lecz tylko pod jednym warunkiem - jeśli jednego dnia wszystkie istoty na ziemi zapłaczą za nim z tęsknoty. I tak też się stało. Wybranego dnia wszyscy mieszkańcy świata, zarówno bogowie, olbrzymy, jak i ludzie, jęli ronić łzy za tym, który uosabiał światłość i piękno. Jeden tylko niegodziwiec ani myślał płakać, a był nim wróg jego zaprzysięgły, Loki.*

*I tak Baldr pozostał we władzy królowej świata umarłych, lecz przepowiednia głosiła, że powróci do świata ludzi po Ragnarokku - ostatecznej bitwie, w której polegną wszyscy bogowie, olbrzymy i potwory. Czy są jednak tacy mędrcy, którzy wiedzą, kiedy ów dzień nastąpi?*

## PROLOG

Starzy ludzie opowiadali, że bogowie stworzyli wyspę Wolin ze złośliwości. Cisnęli jej wielkie cielsko prosto w nurt rzeki Odry, by zbiesić jej wody i utrudnić im drogę do sinych odmętów Bałtyku, a ją samą pokryli gęstym lasem i trzęsawiskami, by człowiek nigdy nie zdołał jej okiełznać. Zuchwali ludzie jednakowoż za nic sobie mieli boską złośliwość i bez lęku, zbrojni w ogień i siekiery, zagłębili się w nieprzebyte bory Wolimi. Swe główne grodziszcze, nazywane tym samym imieniem co i wyspa, założyli na jej wschodnim brzegu, omywanym mętnym nurtem Odry, podówczas ważnego traktu handlowego. Niedługo trzeba było czekać, by miasto stało się jednym z najbogatszych na Bałtyku, przyciągając uwagę nie tylko Wenedów, Germanów i Obodrytów, ale także Danów, Swionów, Rusów, Englandczyków, a nawet tajemniczych Arabów, co psią mową mówili. Każdy, kto tylko śmiałość w sercu miał, a sakwę srebrem wypchaną, zmierzał do miasta Wolin, by ubić interes życia. Na ulicach grodu rozbrzmiewały dziesiątki języków, brzęk srebrnych monet mieszał się z okrzykami targujących, a rządzący Wolinem kapłani Trygława co wieczór zacierali z uciechy dłonie.

Inni, którym lęk był obcy, wzniesli swą siedzibę na północ od miasta, lecz na próżno jednakowoż byłoby i tam szukać gwaru targów tudzież odgłosów uciechy. Miast ludnego grodu, zabłąkany wędrowiec ujrzałby samotną, posępną fortecę, która niczym troll przysiadła na brzegu rzeki, oddzielając się od lądu nurtem zamulonej rzeki Dźwiny. Wędrowiec ów, ledwie przyjrzałby się przypominającej zatrzaśniętą paszczę bramie, kryjącej wewnętrzną przystań i cumujące w niej smocze łodzie, czy wysokiej wieży o porośniętych mchem ścianach, która górowała nad okolicą niczym jastrząb przyczajony do ataku, a stwierdziłby bez ochyby, że nie jest to miejsce dla zwykłego zjadacza chleba. Ruszyłby więc ku wesołemu, roztańczonemu Wolinowi, z ochotą zostawiając za plecami milczący, tchnący zimnem gród. I dopiero pijąc miód w jednej z wielu wolińskich tawern, dowiedziałby się, że patrzył na legendarne gniazdo piratów z północy, złowieszczą twierdzą Jomsborg.

\* \* \*

Tej nocy twierdza znów milczała, jak od wielu, wielu tygodni. Fale rzeki pluskały cicho, jakby zuchwałe na ogół niksy obawiały się płąsac przy domostwie morskich zbójców, a sine smugi mgły, ciągnące się wzdłuż brzegów, pochłaniały wszelkie hałasy nocy. Ani blade gwiazdy, ani wąski rożek księżycy nie rozświetlały ciemności grodu, na wałach nie płonęły też żadne pochodnie. Jedynie w wąskich oknach krótkiej halli przytulonej do wieżycy oraz kilku budynków gospodarczych migotało światło, równie niespokojne jak prowadzone w środku rozmowy.

- *Ég er kalt* - wymruczał stary Gunnulf i naciągnął niedźwiedzią skórę na ramiona, wciąż szerokie mimo sędziwego wieku.

Upił łyk mocnego piwa z rogu, po czym powiódł półprzytomnym spojrzeniem po reszcie towarzyszy.

- *Ég er kalt* - powtórzył i się wzdrygnął.

- Dorzucę drew do paleniska, jeśli chcecie, Gunnulfie. - Młody woj o rzadkiej, rudej brodzie i bladoniebieskich oczach podniósł się z ławy.

Okropna, stara blizna ziejąca na jego prawym policzku oraz chłodne, wzgardliwe spojrzenie zdradzały, że jego sercem powodowała duma i gwałtowność. A głos - chropowaty i zgrzytliwy - dopowiadał, że ów mąż nie nawykł do miłosierdzia czy serdeczności.

- Siedź, Gunnar. - Gunnulf machnął sękatą, wykręconą artretyzmem dłonią. - Żaden ogień nie rozgrzeje zimna, które czuję. Żaden ogień nie przegna starości z mych członków. A czuję ją, bracia, z każdym dzionkiem coraz bardziej. Nadchodzi...

- Któż taki? - Gunnar skrzywił się, ale usiadł, posłuszny słowom starca. Jedynie jego oczy, skrzące się niczym gwiazdy na zmarzniętym śniegu, tchnęły lodowatą drwiną.

- Hel - odparł z powagą Gunnulf, tocząc po wszystkich niedowidzącym spojrzeniem. - Bogini śmierci. Bo ona jedyna nie zginęła, bracia. Ona jedyna wciąż czuwa, by zabrać wszystkich posłusznych wierze naszych ojców, aż...

- *Ég hef fengið nóg!* - ryknął nieoczekiwanie Gunnar i cisnął kuflem o drewnianą ścianę. Naczynie odbiło się z głuchym stuknięciem od sosnowych bali, przetoczyło po ławie i zamarło przy żarzącym się palenisku. - Odkąd pamiętam, Gunnulfie, gadacie o Ragnarokku i śmierci naszych bogów, a durnotą...

- *Þegiðu!*

Jedno krótkie słowo osadziło zapalczego młodzieńca w miejscu. Z niechęcią spojrzął ku trzeciemu biesiadnikowi - chudemu mężczyźnie z garbatym nosem, szczupłą, jakby szczurzą twarzą i rzadkimi jasnymi włosami. Jego niezbyt urodziwe oblicze budziło niechęć, lecz prawdziwie odpychał dopiero jego głos, tak zgrzytliwy i nieprzyjemny, że tym, którzy słuchali go po raz pierwszy, przechodziły ciarki po plecach. Człowiek z takim głosem nie musiał krzyczeć, by być słyszany, obojętnie, czy podczas hucznej uczty, czy też w zgiełku bitewnym. Choćby mówił w niezrozumiałym języku, jego słowa przejmowały niepokojem i przeganiały spokój z serc słuchających. Nic więc dziwnego, że wszędy słynął jako wielki skald i znawca runów.

- *Þegiðu*, Gunnar - powtórzył dobitnie jasnowłosy. - Nie będziesz starszym a mądrzejszym ubliżał, kpie, choćbyś tu przywłókł za pysk i samego Fenrisa.

- Fenris ubity. - Gunnulf wykrzywił wargi i przymknął niedowidzące oczy. - Usieczon, jak przepowiedziane było. Wszyscy bogowie martwi, ich ciała rozwłózione, okrutnymi ciosy porąbane. Nie dziwota, że nikt ofiar nie przyjmuje, nikt modlitw nie słucha... Wszyscy pomarli, powiadam wam - powtórzył starzec i zacisnął żyłaste dłonie. - Pomarli, zdeptani przez olbrzymy, pochłonięci płomieniami Surta. Na nic obiady, na nic modły i śpiewy, wszystko to jeno czcze gesty. Czcze, powiadam wam...

Gunnar potrząsnął płową czupryną i z szyderczym uśmiechem spojrzął na kapłana. Jednocześnie sięgnął po miecz, który leżał na ławie obok niego, i zaczął polerować klingę kawałkiem skóry.

- *Komdu, láttu það eiga sig* - syknął. - Dajcie pokój temu gadaniu. Od lat nosaście z Jomsborga nie wyściubili, chłód kurhanu z wolna czujecie, tedy myśli ponure was ogarniają. A myśmy w Englandzie obiady złożyli, to Odyn dał nam zwycięstwo, łupów nie poskapił...

- Nie Odyn dał wam zwycięstwo, Gunnar, jeno Englandczycy - burknął Snorri i upił łyk piwa, nie patrząc na zapalczego młodziana. - Toż to ciemiegi i łachudry, miecza ni topora w garści utrzymać niezdolne. Kijem ich rozgonisz kiej barany. Myślisz, coby Jednookiemu chciało się przeciwko takiej zgrai was wspierać?

- Krakanie starej wrony! - warknął Gunnar. - W bebechach mi się przewraca, gdy...

- A mnie się przewraca, kiedy tych twoich przechwałek co wieczór słucham - przerwał mu skald i skrzywił się z niesmakiem. - Chęlpisz się swą wyprawą, Gunnar, jak najbrzydsza dziewoja we wsi, co ją ktoś wreszcie wychędożyć raczył. Dumasz, smarku jeden, że cię podziwiał będziemy? Za to, żeś zakaz naszego jarla złamał i parę kościołów spalił i trzy wsie złupił? My, starzy piraci z Jomsborga?

- Juści, że starzy. Pozostało wam ino na stołkach siedzieć, dawne dni wspominać i na wodza czekać, co już szmat czasu temu zaginął i...

- Zawrzyj gębę. - Głos Snorriego zabrzmiał zgrzytliwie niczym zardzewiały miecz przeciągany po stalowym pręcie. - Bo powiesz coś, czego powiedzieć nie chcesz. A Gunnulfa nie lżyj, bo mądrzejszy od siebie, młokosie.

- Mądrzejszy? - Gunnar odłożył miecz i wsparł się obiema dłońmi na ławie, jakby gotował się do skoku na

skalda. - Zaliby naprawdę mądry był ten, który służy bogom całe życie, a u jego schyłku trupami ich zwie? Baccie lepiej, Gunnulfie, by was Thor za bluźnierstwa młotem w łeb pusty nie wyrznął!

- A czemu jeszcze tego nie uczynił? - odezwał się niespodziewanie czwarty z biesiadników i otworzył oczy, bladoniebieskie i zamglone.

Nerwowym, przypominającym skurcz ruchem zarzucił bujne, rude włosy na ramię i sięgnął po zapomniany kufel z piwem.

- Czemu? - powtórzył i powiódł spojrzeniem po pozostałych biesiadnikach. Na jego przystojnej, lecz tchnącej chłodem twarzy pojawił się wyraz szyderczej kpiny.

Przy ławie zapadła cisza, przerywana jedynie cichym świstem wiatru między belkami halli i pluskiem fali muskającej burty zacumowanych w przystani okrętów. Mało kto miał odwagę rozmawiać z Einarem Zaklętym, szalonym wojownikiem, którego elfy porwały do swej niewidzialnej sadyby, ledwie skończył piętnaście wiosen. Gdy powrócił do świata ludzi, był całkiem odmieniony - co rusz zapadał w zadumę i tkwił w niej długie godziny, obojętny na cały świat. Na jego okrutnej twarzy pojawiał się wówczas rozkojarzony, nieobecny uśmiech, a ludzie szeptali, że ani chybi wspomina cudowne dni wśród elfów. Obchodzili go wówczas szerokim łukiem, gdyż dobrze wiedzieli, że wpadał w obłąkańczą wściekłość za każdym razem, gdy ktoś przerywał jego marzenia. Na jawie również nie był dobrym kompanem. Lata spędzone w niewidzialnej siedzibie elfów całkowicie pozbawiły go ludzkich emocji. Nie potrafił współczuć, żałować ani się cieszyć, a zabijał niczym żmija, bez namysłu, na zimno. Każdy wojownik jomsborskiej drużyny wiedział, że Einara nie wolno prowokować.

Gunnar zapewne również, lecz dzisiaj był zanadto wzburzony, by o tym pamiętać.

- Bo żal mu Mjöllnir krwią tego wieprza brukać! - parsknął. - A ty co, Einar? Też stronę tego spaszego moczymordy bierzesz, ty nędzny, odmieniony...

W zmrużonych, niemalże skośnych oczach Einara błysnął szal. Odmieniec wskoczył na ławę, roztrzając naczyń. W jego prawicy znalazł się miecz - w chwili krótkiej jak myśl wziął zamach, aż zahuczało powietrze, i spuścił oręż na głowę Gunnara. Ten, choć zaskoczony, zdążył się zasłonić własnym, który dotąd trzymał na kolanach. Wokół strzelił snop iskier. Jedyną przeszkodą, jaka dzieliła miecz Odmieńca od głowy młodego wojownika, było teraz drżące, trzymane z rozpaczliwym wysiłkiem ostrze.

- Spokój, szaleni! - ryknął Snorri.

Żaden go nie posłuchał, ani Gunnar z nabrzmiałą, wykrzywioną ze strachu i zawziętości twarzą, ani bezlitosny Einar. Odmieniec jedynie wydał wargi, jakby z zainteresowaniem przyglądał się swej przyszłej ofierze.

Ramię Gunnara zadygotało mocniej. Miecz Einara był coraz bliżej jego czaszki.

- Einarze, odłóż miecz! - zgrzytnął Snorri i uniósł rękę, jakby chciał chwycić Zaklętego za ramię, ale się zawahał.

Naraz ostry podmuch wiatru szarpnął płomieniami pochodni, gasząc niektóre.

- Tak, Einarze. Odłóż miecz.

Obcy głos, który rozległ się w nagle pociemniałej halli, ciął niczym bicz. Einar odwrócił głowę ku wejściu, lecz napór jego mięśni na miecz nie osłabł ani odrobinę. Tymczasem na obliczach Snorriego i starego Gunnulfa pojawiła się radość przemieszana z nabożnym szacunkiem.

- Puść, szaleńcze! - wycedził przez zaciśnięte zęby Gunnar.

Choć trzymał swój miecz oburącz, klinga Einara opierała się już niemal o jego czoło.

- Thorkil - rzekł Odmieniec obojętnym głosem i uniósł oręż.

Gunnar sapnął z ulgi i oparł się o ścianę. Po skroni płynęły mu krople potu.

Jarl Jomsborga Thorkil, zwany Smoczym Nasieniem, zasunął drzwi halli, aż płomienie pochodni uspokoiły się na nowo, i ruszył w stronę czterech, zastygłych bez drgnienia Jomsborczyków.

Szedł wolno, zmęczonym krokiem, a długie poły płaszcza unosiły się za nim niczym skrzydła kruka. Snorri powstał spiesznie i podał mu róg z piwem.

- Jarlu. - W głosie skalda pojawiło się osobliwe u niego uwielbienie. - Nie spodziewaliśmy się...

- Widno, żeście się nie spodziewali - warknął głucho przybysz i wyrwał róg z ręki skalda, po czym opróżnił go łapczywie i cisnął w kąt halli. - Ledwie was na dwa tygodnie opuścił, a wy od razu...

Skrzywił się, nie kończąc zdania, i machnął dłonią w kierunku poczerwieniałego, ciężko dyszącego Gunnara. Odpowiedzią było jednakże milczenie, a ostupiali Snorri i Gunnulf wymienili spojrzenia.

- Jarlu, jakie dwa tygodnie... - wyjąkał stary kapłan. - Przecie was bez mała pół roku nie było!

Thorkil uniósł brwi.

- Pół roku? - spytał zmęczonym głosem. - A możliwe... Może być, że i pół roku. Tam, gdzie byłem, czas innymi drogami bieży... Pół roku... Siadajcie, kamraci. Pogadać nam trza.

- Jeno jakże to! - obruszył się Gunnulf. - Zdrożeniście, panie, tedy kąpiel wam przygotowujemy i wieczerzę zacząć! Skrzyknę ino niewolnych, to...

- Siadaj.

Głos jarla Thorkila był cichy, ale władczy, i stary kapłan usiadł posłusznie, a za nim reszta Jomsborczyków. W blasku najbliższej pochodni wszyscy ujrzeli, jak bardzo się zmienił. Twarz jarla, ongiś harda i dumna, nosiła ślady skrajnego znużenia, a oczy, miast iskrzyć i mrozić, wydawały się puste, pozbawione blasku. Thorkil założył skudłone długie włosy za ucho, a wtedy wszyscy ujrzeli, że drży mu dłoń.

- Mówcie - rozkazał. - Opowiadajcie, co się dzieje w sławnym, groźnym Jomsborgu.

Tym razem w jego głosie zabrzmiała lekka drwina, ale skald Snorri udał, że jej nie słyszy.

- Nie mamy wielu nowin, jarlu - odezwał się swym nieprzyjemnym, zgrzytliwym głosem. - Gnuśniejem. Wendowie i Wieleci cicho siedzą, podobnie Danowie i Germanie tego wściekłego psa Ottona, nie ma tedy na kogo miecza podnieść. Rdzewieją nam klingi w pochwach, a brzuchy dość mają piwska.

- A sami z wyprawami ruszać nie chcieliście?

- Jam na England popłynął z gromadą wojów! - odezwał się z dumą Gunnar i spojrzał po wszystkich, jakby spodziewając się należytej pochwały.

Thorkil zmierzył go jednak beznamiętnym spojrzeniem i młodzieniec opuścił głowę. Jego policzki na nowo zapłonęły rumieńcem.

- Jużci, ruszył. - Snorri się skrzywił. - Stracił czterech ludzi, przywiózł ledwie pół kufra srebrnych garów kościelnych, lecz co chwila prawi o swych wielkich przewagach. My zaś usłuchaliśmy waszego zakazu i siedzimy kiej dziady i czekamy na wasz powrót. Nie lza nam zresztą ruszać, skoro strażnikami Wolinu ninie jesteśmy, a wszyscy królowie wokół z kupcami w drużbie żyją. - W głosie skalda pojawiło się rozżalenie. - Jako te psy łańcuchowe warujemy, miast po morzach hasać i zdobyć sobie wybierać!

Thorkil kiwnął głową z udawaną powagą.

- Jużci, wstyd - przytaknął. - Co tedy radzisz, Snorri? Co zrobić trza, by wstyd zmazać i dobre imię bractwa odzyskać?

Skald znów bezbłędnie wychwycił nutę ironii w głosie przywódcy Jomsborga i zasznurował wargi. Nie odpowiadając, pochylił głowę, aż tłuste kosmyki włosów zasłoniły jego nieurodziwą twarz.

- Cóż to dziś Jomsborg, kamraci? - odezwał się jarl, nie patrząc na żadnego z nich. - Jeno te wały, strażnica i przystań. Nic poza tym. Drewniany przytułek dla garści morskich zbójów, którzy marzą o dawnej chwale. Podróżowałem... - Zawahał się nagle. - Podróżowałem daleko i pojąłem tedy, że Jomsborg zdycha kiej koń, który w życiu wiele dróg przemierzył. Jest stary i nie ma ci sposobu, by na nowo młodość mu dać. Któż dziś boi się Jomsborga?

Jego matowe oczy naraz wezbrały dziwnym blaskiem.

- Potężny cesarz Germanów? Kneź Wenedów? Konung Danów? - prychnął szyderczo. - Nikt, bracia, nikt. Żle wam na służbie kupców Wolinu, tak? Sarkaliście, gdy umowę z nimi zawarł, pomnę ci ja dobrze. Nikt z was jeno nie dostrzegł, że gdybyśmy jako te psy łańcuchowe Wolinowi nie służyli, dawno by nas już który sąsiad rozgniótł. Któż bowiem przyzwoli, by na granicy jego włości żyła sobie banda dzikich piratów, która na domiar złego własnym bogom się kłania? Dlaczego zlekceważyłeś mój zakaz, Gunnar? - Zmierzył wzrokiem pobladłego nagle młodzieńca.

- Dlaczego?

- Myślałem, jarlu...  
- Nie, nie myślałeś. Pycha odebrała ci zdrowy rozsądek, młokosie, szczęściem niewiele w Englandzie wskórałeś. Gdybyś sławą się okrył, a wieść po świecie się poniosła, rychłoby nas Wolinianie komu sprzedali. Co komu po psie, co to kąsa sąsiadów? Czas Jomsborga skończyłby się szybciej, niż przepowiedziane zostało.

- Straszne wasze słowa, panie - wyszeptał Gunnulf i przetaił wychudłymi palcami niedowidzące oczy, jakby się spodziewał lez.

- Twoje równie straszne, Gunnulf. - Thorkil spojrział na niego groźnie. - Słyszałem, o czym prawileś, nim wszedłem do halli. Bogowie pomarli, nieprawdaz? Stoczyli ostatnią bitwę, a ich ciała pożarły płomienie Surta? Łżesz.

- Wybaczcie, jarlu, ja jeno...

- Milcz. Bo rację masz. Asowie i Wanowie leżą martwi na równinach Vigridr, posieczeni ciosami Jotunów, spaleni ogniem Surta. Ragnarokk się zakończył, bracia.

W ciszy, która nastąpiła po nieoczekiwanych słowach jarla, było słychać syk węgla w palenisku. Snorri, Gunnar, a nawet Gunnulf wpatrywali się z osłupieniem i niedowierzaniem w jarla Thorkila, on zaś opuścił głowę i ukrył ją w dłoniach, jakby dopiero teraz sobie uświadomił ciężar wypowiedzianych właśnie słów. Einar patrzył nań obojętnie, a kącik jego ust drgał, zdradzając powstrzymywany uśmiech.

- Ragnarokk się zakończył - powtórzył cicho Thorkil, unosząc głowę. - Nasi bogowie są martwi, a wokół nas rośnie siła tych, którzy służą Białemu Chrystusowi, którzy gotowi są nas zgnieść, gdy tylko przypomną sobie o naszej obecności. Czasy Jomsborga, czasy wolnego bractwa morskich zbójów na zawsze dobiegły kresu.

Umilkł i zapatrzył się w drewno ławy. Gdy się ponownie odezwał, jego głos był cichy, lecz złowieszczy.

- Nie będziemy tkwić po wsze czasy w warowni, czekając na ostatni szturm. Wynosimy się stąd, bracia.

- Dokąd, jarlu? - spytał zdumiony Snorri, wpatrując się w swego przywódcę z niedowierzaniem.

- Na północ. Zbudujmy tam własne królestwo, skąd będziemy mogli szydzić ze śmierci Asów i urągać potędze Białego Chrystusa.

Nieoczekiwane słowa Smoczego Nasienia wywołały różne reakcje - Einar uśmiechnął się z zadumą, zamknął oczy i wsparł czoło na belce, Gunnar kręcił głową i co rusz otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie umiał ubrać swej myśli w słowa. Snorri siedział nieruchomo, całkiem oszołomiony, a Gunnulf zgarbił się i poruszał wargami, jakby sam ze sobą toczył wewnętrzny spór. To on jako pierwszy przerwał ciszę.

- Jarlu... Gdzieście byli? - spytał drżącym głosem. - Gdzież to dwa tygodnie trwają pół roku?

- Jest takie miejsce. - Spojrzenie Thorkila było nieprzeniknione. - Bardzo daleko, Gunnulf. Nie o tym nam jednakże ninie gadać. Ilu wojów ostało się w twierdzy?

- Niecała setka, panie. Dość, by kilka wsi złupić, lecz za mało, by zbudować królestwo...

- Nie powiedziałem, że będziemy je sami budować. Nie powiedziałem też, że stanie się to rychło. Rzeknijcie mi, bracia, czy ktoś wie, dokąd się udał Ragnar Niszczyciel Drakkarów? Albo Koskela?



## ROZDZIAŁ 1

Jeniec wytrzeszczył oczy i rozdziawił szeroko usta, jakby chciał wziąć głęboki haust powietrza, lecz wtedy po jego policzku pociekła strużka ciemnej krwi, a dłoń, przygnieciona butem Viglunda, szarpnęła raz jeszcze i znieruchomiła.

- Wiele nam nie powiedział. - Viglund wytarł sztylet w sukno jego płaszcza i podniósł się ciężko. - A w każdym razie nie więcej, niż sami wiemy.

Zebrani wokół woje pokiwali głowami, kilku mruknęło coś niewyraźne, ale żaden nie ośmielił się wygłosić własnego zdania. Spojrzenie ich høvdinga zwykle odbierało odwagę nawet najbardziej beczelnym drużynnikom, a zwłaszcza w chwilach takich jak ta, gdy stał nachylony nad ciałem zabitego jeńca i wodził przekrwionymi oczami od człowieka do człowieka. W blasku słonecznym jego oblicze, z wąską brodą, wysokimi kośćmi policzkowymi, lekko skośnymi oczyma i zmierzwioną czarną grzywą, przypominało wilczy pysk. Teraz, gdy skrywał ich półmrok zagajnika, podobieństwo było uderzające i w sercach wojów Viglunda odzywały się niejasne, budzące lęk wspomnienia dzieciennych koszmarów.

Ten zaś doskonale o tym wiedział.

- Tostig! - warknął cicho. - Zaatakujesz od wschodu. Ty, Skalle, od zachodu. Tam się przyczaisz, gdzie ten dąb zwalony. Reszta zostaje ze mną.

- A hasło, høvdingu? - spytał olbrzymi Skalle, podnosząc szybko swój topór, jakby marzył o chwili, gdy oddali się od swego wodza.

- To co zwykle. - Viglund uśmiechnął się paskudnie. - Wycie wilka.

Nie musiał nic więcej dodawać. Tostig szepnął coś do swoich, to samo uczynił Skalle, i obie grupy wojowników niemalże bez szmeru rozplynęły się w ciemnościach. Viglund został sam. Na moment zapomniał o swych drużynnikach, przyczajonych w mroku za jego plecami, ściskających w potniejących dłoniach rękojeści mieczy. Stał między drzewami na skraju lasu i spojrzał na leżącą nieopodal osadę.

Wieczór dopiero co się rozgościł na górskim zboczu. Nad białymi połaciami śniegu, zatopionymi tu i ówdzie w głębi boru, niczym duchy zmarłych powstawały kłęby mgły. Pola i łąki wnet zasnuł półprzejrzysty całun, wśród oparów którego nadal migotał blask malutkich okienek halli oraz kilku pochodni na wałach. Odległe płomyki skrzyły wesołością, jakby kpiąc z patrzącego na nie wojownika i wołając: tu jesteśmy. Płoniemy tam, gdzie trwa ciepło, przyjaźń i zabawa! Tam, gdzie tobie, jak to zwykle bywa, zabroniono wstępu!

Teraz, gdy nikt na niego nie patrzył, Viglund mógł sobie pozwolić na to, o czym marzył od dłuższej chwili. Zamknął oczy i zacisnął mocno powieki, a jego ukryta pod kolczugą pierś wezbrała głębokim, nerwowym oddechem.

- Weselą się - usłyszał czyjś głos za plecami.

Otworzył oczy.

- Tak - szepnął chrapliwie, mając nadzieję, że rozmówca nie wykryje w jego głosie śladów chwili wahania. - Weselą się. Dajmy im jeszcze chwilę, Halbjørn. To w końcu ostatnia uczta w halli jarla Sigvalda. Na własnej skórze pozna, czym się kończy sprzeciw wobec woli konunga Trygvego.

- Jużci - mruknął tamten, jakby z drwiną. - A nie dziwi cię, dlaczego się weselą?

- Nie. - Wojownik zasznurował wargi.

- To dziwne. - Stary piastun Halbjørn, jedyny człowiek w Norvegrze, który nigdy nie zawahał się powiedzieć Viglundowi całej prawdy, wynurzył się z ciemności i stanął tuż obok niego, opierając się na długiej włóczni. - Dlaczegoż to drapieżca nie dba o to, co porabia jego zwierzyna?

- Bo nie musi.

Młody høvding nie odrywał wzroku od osady, która zdążyła się już zamienić w garstkę światełek pośród mlecznych pasm mgły. Ciszę dookoła zakłócał jedynie trzask kołyszących się świerków i przyspieszone oddechy czekających wojowników, ale wyczulone zmysły Viglunda wychwytywały również echa tryumfalnych wrzasków biesiadników.

- Sigvald zbił fortunę na handlu z Finami - ciągnął cichym głosem starzec. Naraz zakaszłał głucho, przeciągle. - Ponoć wziął sobie nawet fińską wiedźmę na nałożnicę - podjął zmienionym przez kaszel głosem. - Chrzust przyjął jako jeden z pierwszych w okolicy, ale niejeden słyszał, jak wygrażał się świątkom i samemu konungowi. Bogacz ci to wielki, a daninę dla konunga płaci lichą, bodaj najlichszą w całym...

- *Komdu, láttu það eiga sig*, Halbjörn - skrzywił się Viglund. - Po co mi to mówisz? Konung kazali wyciąć jego ród, a sadybę spalić do ostatniej szopy - to mi starczy. Myślisz, że którykolwiek z nich dba o to, po co właściwie tu przybylim?

Machnął przy tym ręką w stronę ciemnych ramion boru, które skrywały jego przemykających wojów. Tak, ci, którzy służyli w jego hirdzie, nigdy nie potrzebowali zadawać pytań. Nie na darmo w Nidaros i całym Norveghrze przezywano ich Helsvinir - przyjaciółmi Hel, władczyni królestwa śmierci.

Miano hird tradycyjnie zastrzegano dla najznajmniejszego oddziału w kraju, który służył samemu konungowi jako straż przyboczna. W jego skład wchodziłi najznacniejsi wojowie na Północy, godni szacunku zarówno z powodu swego urodzenia, jak i rozlicznych przymiotów. Służenie konungowi w jego przybocznym hirdzie wiązało się z niemałym prestiżem i wieloma zaszczytami, tak więc wstąpienie w jego szeregi było niespełnionym marzeniem wielu młodych i ambitnych wojów z dobrych rodów, nie tylko z Norveghru, ale również i innych krain Północy. Do Helsvinir, drugiego z hirdów konunga Trygvego Surowego, wstąpić nie chciał nikt.

Wojowie, którzy go tworzyli, byli bowiem ludźmi bez przeszłości. Wielu z nich pochodziło z dalekich stron - ze Swionii, Finlandii, a nawet dalekiej Islandii, byli wśród nich wygnañcy, którzy powrócili z banieji i odkryli, że w rodzinnych sadybach już dawno hula wiatr, byli wyzwoleni thrallowie, byli wreszcie wojowie wyklęci przez bliskich, ogarnięci niesławą bądź uznani za przynoszących nieszczęście. Dołączyli doń i tacy, którzy w gniewie potrafili przybrać ciało wilka, co znali mowę kruków czy ongiś za pan brat z niedźwiedziami żyli. Sędziwy konung Trygve, rządzący krajem od czasów Eryka Białego Jastrzębia, miał wrogów na całej Północy i potrzebował hufca do wykonywania najpodlejszych zadań, które nie przynosiły wojownikom ani chwały, ani zysków, dlatego też wybierał do niego wojów, którzy nie mogli już w tym świecie liczyć na nic dobrego. Szukał wszędzie ludzi zgorzkniałych, wyzutych z uczuć i wstydzających się własnej przeszłości, a przy tym bitnych i gotowych podporządkować się każdemu rozkazowi.

A na ich czele postawił Viglunda zwanego Wilczym Pyskiem.

Cześć mu i chwała, pomyślał gorzko młodzieniec. Jużci, w całym Norveghrze nie ma przecież ni jednego czleka, który by miał mniej do stracenia...

Potrząsnął głową, jakby odganiając nieprzyjemne myśli, po czym ponownie nabrał tchu i przytknął dłonie do ust. Ponad koronami drzew przetoczył się przeciągły, upiorny wilczy skowyt.

Chwilę później półmrok skraju puszczy zrodził dziesiątki przygarbionych cieni, które ruszyły ku halli - wciąż rozświetlonej i wypełnionej odgłosami zabawy. Zaskrzypiał twardy śnieg, zazgrzytały wyszarpywanie z pochew miecze, skrzypnęły napinane cięciwy łuków, ale nocne powietrze milczało. Helsvinir zawsze atakowali w ciszy. Śmierć nadchodziła bezgłośnie.

Nadszedł czas, pomyślał młodzieniec, usiłując zignorować łomot serca, i rzucił się do biegu. Za nim posapywał stary Halbjörn, a dalej reszta wojowników, cichych i milczących.

Jak zwykle, pierwsze wyczuły niebezpieczeństwo psy. Ogromne brytany, zajęte rozszarpywaniem wyniesionych

z uczty odpadków, najpierw uniosły okrwawione pyski i zaczęły węszyć niespokojnie. Któryś szczeknął ostrzegawczo, potem drugi, a po chwili ujadła cała sfora. Z halli wytoczył się podpity biesiadnik, wziął się pod boki i krzyknął na rozszalałe, drżące z niepokoju i wściekłości psy, lecz było już za późno.

Na rozgwieżdżonym, ciemnym niebie pojawiła się niespodziewanie ławica ognistych pocisków, które jeden po drugim zaczęły opadać na zabudowania, błyskawicznie wzniecając pożary. Biesiadnik cofnął się o krok i wrzasnął coś chrapliwie, z niedowierzaniem, ale wtedy jedna z płonących strzał ugrzęzła w jego piersi. Psy wyły wniebogłosy.

Viglund wpadł między zabudowania w chwili, gdy pozostali biesiadnicy, zwabieni zapachem dymu i wyciem przerażonych psów, zaczęli jeden po drugim wysypywać się na zewnątrz.

- Helsvinir! - wrzasnął któryś, wyciągając nieporadnie miecz.

Młody høvding obrzucił ich pośpiesznym spojrzeniem. Niektórzy zaczęli już uświadamiać sobie niebezpieczeństwo i rozglądali się za bronią, lecz reszta, nadal zbита w ciasną grupkę, patrzyła z niedowierzaniem na nadbiegających napastników i płonące dachy. Tylko niektórzy pamiętali, by pochwycić za broń przed opuszczeniem halli, ale większość miała na sobie jedynie rozchelstane koszule, a w dłoniach trzymała rogi lub kubki z winem. W rozedrganym od płomieni powietrzu wydawali się bezbronni niczym stado baranów.

Viglund czuł, jak go ogarnia gorączka bitwy. Nie pamiętał już o swych lękach - zadarł wysoko głowę i zawył raz jeszcze, tym razem fałszywie, a potem przeskoczył płonące, znieruchomiałe już ciało trafionego strzałą biesiadnika i runął ku gościom jarla Sigvalda. Wojownicy z jego hirdy, którzy niespodziewanie wyroili się między budynkami, podjęli zew. Pośród płonących coraz mocniej zabudowań rozpętało się piekło.

Dwóch przybocznych Sigvalda, cudem wciąż odzianych w kolczugi, wybiegło mu naprzeciw. Pierwszy natarł nań z dzikim rykiem, lecz wychylone uprzednio kufle piwa odebrały mu wiele zręczności. Viglund z łatwością uniknął szerokiego cięcia i doskoczył, by ciosem na odlew roztrzaskać mu czaszkę. Drugi z wojów, któremu również kurzyło się z czupryny, ciał równie nieporadnie i potknął się przy tym. Viglund wykrzywił usta w paskudnym uśmiechu i kopnął leżącego w krtani. Wojownik zakrzuszył się, zwinął i znieruchomiał, a z jego ust popłynął szeroki strumień niemal czarnej krwi.

Viglund zatrzymał się na krótką chwilę i rozejrzał po polu bitwy. W blasku płonących zabudowań widział, jak ludzie Sigvalda rozpierzchają się przed Helsvinir, rzadko kiedy przystając, by stawić im opór. Sam jarl, który przez chwilę próbował skrzyknąć wokół siebie ocalałych wojowników, klęczał już w zabłoconym śniegu i przytrzymywał dymiące jelita, wylewające się z rozprutego brzucha. Z chat wybiegały wrzeszczące kobiety, niektóre gnające przed sobą dzieci, a także niewolni, próbujący unosić dobytek. Viglund z satysfakcją dostrzegł, że żaden z jego ludzi nie goni za kobietami ani też nie próbuje zająć się łupami. Tak właśnie miało być - na zabawę przyjdzie czas po bitwie.

Niespodziewanie jego wzrok przykuł szczegół, który nie pasował do ogólnego zamieszania. Wśród cieni skrywających ścianę głównej halli zamajaczyła wysoka postać, dzierżąca długi miecz.

Viglund dostrzegł, jak płomienie pożarów odbijają się od wypolerowanego ostrza, a zaraz po tym młody Helsvin, który właśnie zamierzał się, by cisnąć płonącą żagiew na dach halli, potyka się i pada, buchając krwią z rozszarpanej krtani.

- *Komdu hingað!* - Ponad przeraźliwe wrzaski, szczęk oręża oraz coraz głośniejszy huk płomieni wzniósł się krzyk, chrapliwy i tak nieprzyjemny, że Viglund podświadomie cofnął się o krok.

- *Komdu hingað!*

Wtedy nieznamy wojownik wychynął z cieni i Viglund ujrzał go w pełni. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o wąskiej, lisiej twarzy i rozwianych, przeredzonych włosach. Szybkim ciosem dobił kulącego się na śniegu przeciwnika z nożem w brzuchu i zakrzyknął raz jeszcze, ostro i przenikliwie. Kilku broniących się desperacko ludzi jarla obejrzało się, po czym jeden ruszył ku niemu biegiem, a za nim kolejny, i następny... W okamgnieniu za plecami obcego męża wyrosło kilku zbrojnych, skrwawionych, przerażonych, ale natchnionych nową nadzieją.

Nieznajomy krzyknął raz jeszcze i cała grupka zaczęła wycofywać się w stronę ciemnej ściany lasu, odcinając się przypadkowym napastnikom. Co chwila dołączał do niej kolejny woj.

- *Andskotinn!* - warknął Viglund i oblizał spierzchnięte wagi. - Ucieknie, jak nic, ucieknie!

Rozejrzał się wokół, lecz ujrzał jedynie cienie - dziesiątki cieni przebiegające to tu, to tam pośród potężniejących płomieni. Gorączka bitewna w jednej chwili ustąpiła bezradności. Co robić?! Co robić?! - przemykały mu pośpieszne myśli, jedna po drugiej. Trzeba ich zatrzymać, ale jak?

- *Bogamenn!* - szepnął chrapliwie Halbjørn, który ani przez chwilę nie odstąpił jego boku.

- *Bogamenn!* - zakrzyknął Viglund. - *Bogamenn!* - ryknął głośno, jakby krzykiem chciał przegonić wrażenie, że znów stracił głowę w środku bitwy. - Zatrzymać ich! Jajca wam poodrzynam, jeśli ta banda ucieknie do lasu! Szybciej!

Kilku wojów, którzy właśnie wywlekali z dymiącej już szopy próbujących się ukryć biesiadników, w jednej chwili znieruchomiało, zerwało z pleców łuki i wymierzyło tam, gdzie wskazywał drżący palec ich wodza. Pośpiesznie wyrwali strzały z kołczanu, nakładali na cięciwy i szyli ku uciekającym wrogom, ale zdyszani po biegu i walce nie potrafili dobrze wycelować. Jedna ze strzał uwięzła w łydce jakiegoś umykającego woja, druga wbiła się w plecy innego, a trzecia otarła ramię nieznajomego, który nadal nawoływał ocalałych wojowników jarla Sigvalda, lecz pozostałe przemknęły nieszkodliwie nad głowami uciekinierów.

- *Andskotinn!* - wrzasnął zrozpaczony Viglund i doskoczył do najbliższego łuczника.

Wściekłość, która dotąd tliła się na dnie serca, teraz buchnęła żywym ogniem. Ledwie zdając sobie sprawę z własnych czynów, grzmotnął go pięścią w twarz i wyszarpnął łuk oraz nową strzałę z omdlałych garści. Furia zwiokrotniła jego siły, drzewce napinanego łuku aż jęknęło.

Nieznajomego już niemal całkowicie zasłaniały postaci próbujących go chronić wojowników jarla, lecz dopomógł łut szczęścia. Zwolniona strzała przemknęła tuż pod krawędzią tarczy jednego z wojów i wbiła się w nogę tuż nad kolanem ściganego mężczyzny. Krzyk nieznajomego wodza ucichł na moment, a wtedy Viglund drżącymi rękami chwycił za róg i zadał ze wszystkich sił. Helsevinir rozejrzeli się wokół niczym drapiezniki węszące zdobycz, po czym ku zmarłej niespodziewanie grupce uciekających zewsząd ruszyły przygarbione, złowieszcze cienie. Gorącym od płomieni powietrzem targnęło wycie wilków.

Grupka niedobitków, zgromadzona wokół rannego nieznajomego, przestała istnieć w jednej chwili. Rozjuszeni, pomazani krwią wojownicy Viglunda stanowili straszny widok nawet dla wojów, którzy właśnie odzyskali nadzieję. Atakowali zaciekle, bez litości, obalając jednego przeciwnika po drugim, aż potężny Tostig wzniósł miecz nad próbującym wstać, bladym mężczyzną.

Wtedy wyrósł przy nim pobladły Viglund.

- *Biddu!* - warknął przez zaciśnięte zęby. - Ten tu należy do mnie! A wy... - Kaszlnął i przełknął ślinę, po czym podjął zmienionym głosem: - A wy przetrząśnijcie okolicę! Ten tu... Ten tu należy do mnie...

\* \* \*

Wielki, wyładowany beczkami wóz toczył się wolno po zabloconym dziedzińcu. Gromadzący się obok niego wojacy pokrzykiwali wesoło i w żartach namawiali woźnicę, by podzielił się smakowitą zawartością ładunku, a jeden nawet wymachiwał wymownie drewnianym kubkiem. Od strony błoni nad rzeką Nid dobiegało żalosne beczenie bydła prowadzonego na rzeź, poganiani przez zarządcę thralle dźwigali ławy, zydle i naręcza naczyń, a z zamkowej spiżarni co rusz wybiegli parobcy z workami cennych przypraw z Miklagardu bądź nawet z odleglejszych miejsc. Ponad krzątanicę na dziedzińcu wciąż wzbijały się ożywione okrzyki i radosne śmiechy.

Zamczysko w Nidaros szykowało się na ucztę.

- I z czego tak się cieszyacie? - mruknął konung Trygve Ivarson, obserwujący przygotowania z okien swej

komnaty, wysoko nad dziedzińcem. - Z tych paru baryłek taniego miodu, które każę wystawić na dziedziniec? Z tego, że ujrzycie orszaki kilku nadętych dumni, wobec których udają družbę?

Jakiś młody woj pomagający w znoszeniu baryłek z wozu zakrzyknął coś do kilku dziewczek, wychodzących ze spiżarni. Najśmielsza z dziewczyn ujęła się pod boki i zawołała kilka słów pozornie srogim głosem. Krzątający się na dziedzińcu, nieświadomi surowych spojrzeń swego konunga, wybuchli śmiechem. Trygve skrzywił się i wyprostował - kamienny parapet, o który się opierał, ziębił jego łokcie, a mało czego tak nienawidził na starość jak zimna.

Mimo sędziwego wieku wciąż trzymał się prosto, ale jego ruchy już dawno utraciły żwawość, a ramiona siłę, z której ongiś sływały. W miarę jak przybywało mu lat, jego okoloną rzadkimi kosmykami włosów twarz szpeciła coraz głębsza podejrzliwość wobec wszystkiego co żywe. Z bładoniebieskich, wodnistych oczu, które okalała siateczka zmarszczek, bezpowrotnie zniknął bystry, przenikliwy blask, a zastąpiła go uparta, nieubłagana złośliwość. Z podstarzałego, lecz dumnego, dzielnego męża, którym był podczas wojny z Białym Jastrzębiem, Trygve już dawno zamienił się w zgrzybiałego starca, lecz myliłby się ten, kto by postanowił go zlekceważyć. W zaciśniętych pięściach starego konunga, w jego przymrużonych oczach czy wykrzywionej twarzy kryło się wyraźne ostrzeżenie wobec każdego, kto ośmieliłby się rzucić mu wyzwanie.

Kuszykając, Trygve podszedł do ławy i trzęsącą się dłonią pochwycił stojący na jej skraju srebrny puchar z resztą miodu. Wychylił łapczywie zawartość i zacamokał z uznaniem, a wtedy zorientował się, że na progu komnaty stoi samotny mężczyzna, który kłania mu się z szacunkiem.

Był to wysoki, szczupły mąż wciąż w sile wieku, lecz znać było, że z wolna przegrywa walkę ze starością - długie, kruczoczarne włosy przetykało już zdradliwe srebro, a twarz, ongiś urodziwą i dumną, znaczyły głębokie bruzdy smutku oraz znużenia. Brązowe oczy przybysza, niegdyś przyciągające spojrzenia niewiast, były matowe i wręcz martwe.

- Wzywaliście, panie - odezwał się przybysz cichym, chrapliwym głosem.

- Nie wzywałem, ale prosiłem. - Trygve usiadł na ławie wyścielanej skórą renifera i zaśmiał się sucho. - Was trza prosić, Vidarze, coby waszej sławie nie uchybić.

- Zbyteczna łaska, panie. - Człowiek nazywany Vidarem uśmiechnął się bez wesołości, po czym ponaglony zapraszającym gestem ulął sobie miodu do drugiego pucharu i usiadł obok konunga.

Przez moment obaj milczeli, patrząc przez wąskie okno na ołowiane chmury, zbierające się nad Nidarosfjordem, aż Trygve poruszył się i westchnął głośno.

- Do drogi gotowicie, Vidarze? - spytał cicho, poprawiając ciepły płaszcz na ramionach.

- Zasię lepiej być gotowym nie można - odparł gość, nadal nie patrząc na niego. - Choć jakiś dziwny smutek mnie ogarnął, gdym ujrzął, że mogę cały dorobek życia w jeden toból spakować.

- Cóż - mruknął Trygve, nieco zaskoczony tonem gościa. - Wasza uczta pożegnalna dopiero za dwa dni, ale przygotowania już prawie zakończone, tedy...

- Na co to wam? - Vidar naraz oderwał spojrzenie od nieba za oknem i spojrzał prosto w mętne oczy starca. - Na co ta uczta, panie? Dlaczego uparliście się mnie hucznie pożegnać, skorom sam temu przeciwny?

Brązowe oczy Vidara na moment rozbłysły życiem i stary konung poczuł ukłucie radości, że na powrót ma przed sobą Vidara Gustavsona, słynnego skalda islandzkiego, jednego z najdzielniejszych wojów w Norvegrze i najbieglejszych znawców prawa na Północy. Nie przeszkadzało mu nawet to, że spojrzenie gościa wyostrzył gniew. Niestety, blask zgasł tak szybko, jak się pojawił, a Vidar na powrót zwiesił głowę.

- I po cóż ja pytam? - szepnął na poły do siebie, na poły do milczącego konunga. - Wždy znam ci odpowiedź. Wystarczy rozpytać na dworze, kogoście, panie, zaprosili. Przecie sam biskup Helmgarth przybywa mnie pożegnać. I możny Torre Mocarna Pięść, a także Einar Białowłosa, gruby Grim z Austfjordu, Bjønstein Myszołów i wielu

innych. Znam ci ja niektórych, ale przecie żaden z nich nie jest mi druhem, a wielu to pewnie na oczy nie widziałem...

- Każdy z nich zna zasługi wasze, Vidarze, i chce...

- *Komdu, láttu það eiga sig, herra min.* - Skald machnął ręką, wciąż nie patrząc na starca. - Wiem przecie równie dobrze jak i wy, że nie o pożegnanie się rozchodzi. Nie z mego powodu ich ściągacie. Chcecie wszystkich możliwych w jednym miejscu zgromadzić, by im kolejny swój zamysł przedstawić. By kolejny swój cel osiągnąć.

- Tak - rzekł po chwili Trygve. - Prawiście, Vidarze. Mam jeno nadzieję, że urazy nie chowacie. Nadchodzą, widzicie, wielkie dni i...

- *Ég hef fengið nóg* - przerwał bezceremonialnie Vidar, po czym wstał, podszedł do okna i oparł dłonie na kamiennym parapecie. - Wybaczcie, panie, moje grube słowa, alem przez ostatnie lata dość się nasłuchał o wielkich dniach. Już ponad dwadzieścia lat trwam u waszego boku, wspieram was radą, pieśnią i znajomością prawa, a, kiedy trzeba, również i mieczem. Dwadzieścia lat trzebię z wami bory, wytoczam drogi, buduję kościoły, karzę opornych i głoszę wielkość Pana. Dwadzieścia lat to dość, by poczuć znużenie wielkimi dniami. Nie chcę o tym słuchać.

- Dwadzieścia lat - powtórzył Trygve, kręcąc głową, jakby z niedowierzaniem. - Wierzyć się nie chce, Vidarze. Ba, czasem wręcz sądzę, że od śmierci Białego Jastrzębia nic się nie zmieniło, że nawet nie zaczęliśmy walki o nowy Norveghr. Chciałoby się rzec, iż tak wiele wspólnie dokonaliśmy, prawda? Po śmierci Białego Jastrzębia ujrzelśmy obaj spalone, puste osady i wylęknionych ludzi, kipiących nienawiścią wobec kapłanów Boga na Krzyżu. Dziś mało kto pamięta te czarne dni, Vidarze. Ludzie daniny płacą mniejsze, za to prawo szanują bardziej i przywilejami większymi się cieszą.

Høvdingowie z Bjørgvin ani już myślą posłuszeństwa odmawiać i wyprawy zbójcekie na południe wypuszczać, a swiońskie bandy dawno już za góry przepędzone. Kapłani Boga na Krzyżu swobodnie po kraju chadzają, z ludem się przyjaźnią i co rusz ten i ów nową wiarę przejmują. Wsie ludne nam rosną, przy co drugiej już chram piękny stoi, traktów przybywa, a i kupcy z Anglii coraz chętniej u nas goszczą. Ba, nawet własną monetę w Nidaros bić zacząłem! Tak, Vidarze. Jeno jak długo to wszystko przetrwa?

Skald spojrzał uważniej na swego rozmówcę, który nagle zastygł w zadumie.

- Cóż to, panie? - spytał. - Pierwszy raz słyszę, by i was wątpliwości ogarniały. Nigdy bym się nie spodziewał...

- Nie kpij, skaldzie - powiedział cicho konung. - Takim samym czelkiem jestem jako i ty, a z wątpliwościami walczę co dzionek, jeno nie lza mi ich zdradzać. Nawet przed najbliższymi. Ba, nawet Svein nie wie, co kłębi się w głowie jego ojca. Niewiele zostało mi wiosen, Vidarze - ciągnął, zachęcony milczeniem skalda. - Może być, że ta jest ostatnia. Jak dumasz, stary druhu. Co się stanie, gdy nad moim ciałem wreszcie wyrośnie kurhan?

- Wasz syn Svein stolec przejmie. - Vidar wzruszył ramionami. - Jednego syna macie, panie, tedy do wasni o władzę nie dojdzie...

- Nie dojdzie? - Starzec zaśmiał się sucho. - Czasem mi się zda, że co drugi z moich poddanych tylko czeka na chwilę, aż ducha wyzionę. Wiele rodów do dziś mi pamięta, zem je ukarał za poparcie Białego Jastrzębia. Inne zaś nigdy mi nie zapomną, zem je z majątku obdarł za popieranie buntowników Ringvaldiego lub za podniesienie ręki na Kościół. Wielu marzy się przegnanie świątków z Norveghru, wielu chciałoby znów na smoczach łodziach na świat daleki się wyprawiać, wielu pragnie za broń pochwyć i wyrznąć nowe rody, com je wyniósł i znaczeniem obdarował. Te zaś w intrygach nie ustają, na tingach procesują się ciągiem, a na mym dworze o nowe przywileje skamleć nie przestają. Biskup Helmgarth prawi ino o ściganiu tych, co po lasach dalej *blót* odprawiają, karły bez ustanku na skargę przychodzą i ceny na stal podwyższają, a na tingach czcigodni godi coraz głośniej o powrocie dawnych praw krzyczą! I cóż na to wszystko Svein poradzi?

- Jest mężnym wojownikiem - rzekł skald. - I mężem prawym, szanowanym...

- Ale nikt się go nie boi! - parsknął konung. - Juźci, nie masz ci lepszego woja niżli Svein. Nikt ci sprawniej od

niego hirda nie przyszykuje, nikt skuteczniej wroga nie osaczy, jeno... Jeno do rządu tym krajem trza tęgiej głowy, Vidarze, a niej tęgiej pięści. Jakże Svein ma rządzić Norveghrem, skoro ino wojaczka mu w głowie, a przy każdej okazji powtarza, że w rzyci ma Kościół wespół z rodami?

- Po coście mnie, panie, wezwali? - spytał Vidar, uświadamiając sobie, że nie jest w stanie przejrzeć intencji starca.

- Muszę przygotować ten kraj dla mego syna - powiedział cicho Trygve. - Muszę zniszczyć tych, którzy szepczą najgłośniejszą pośród moich wrogów. Odnalezienie ich nie powinno być trudne, bo jeden tylko jest kraj w Midgardzie, gdzie można wrzeszczeć bezkarnie i zostać usłyszanym... Vidarze, druha mój. Wezwałem cię tu po to, byś wysłuchał mojej prośby. Szukuję bowiem w tajemnicy wielką wyprawę, pewnikiem ostatnią, nim walkirie wezwą mnie do Walhalli. O tej wyprawie mówić z tobą chciałem...

Naraz zawiesił głos i rzucił okiem ku ogromnemu, srebrnemu krzyżowi z postacią cierpiącego Chrystusa, wiszącemu nad drzwiami, i uśmiechnął się krzywo, jakby właśnie opowiedział zjadliwy dowcip, który zrozumieć potrafią tylko wtajemniczeni. W spojrzeniu Vidara znów zamigotały isierki gniewu.

- Na próżno śnicie o owych walkiriach, panie - warknął, jakby nie dosłyszał innych słów konunga. - I to nie dlatego, żeście chrzest przyjęli i miłość Świętej Trójcy przyrzekali. W głębi duszy pozostaliście przecie poganinem, tak jak większość tych, którzy chrześcijanami się mienią. Walhalla bowiem otwarta jeno dla tych, którzy w walce ducha oddadzą. Wy zaś, panie, toczycie boje cudzymi rękami. Do obalenia Białego Jastrzębia popchnął was syn wasz, Svein, który później wygniół resztę waszych wrogów. A z nowymi wrogami kazaliście rozprawić się memu synowi, którego tak to zajmuje, że nawet z ojcem pożegnać się nie może...

- Z mego to powodu? - Trygve zmrużył oczy. - Z mego, Vidarze? Wasz syn przewodzi dzielnemu hirdowi. Dałem mu sławę, miejsce na świecie i cel w życiu. A wy, Vidarze? Co wyście mu dali? Co mu daliście, że was tak nienawidzi?

Gniew w brązowych oczach skalda eksplodował. Vidar poderwał się, naraz ogromny, z pałającymi policzkami i zaciśniętymi pięściami. Przez chwilę krótką jak opadnięcie miecza mierzył konunga straszliwym spojrzeniem, w którym kotłował się bezgraniczny ból wraz z urażoną dumą, po czym wybiegł, trzaskając drzwiami.

Konung przymknął oczy, westchnął ciężko i pokręcił głową, jakby z żalem. Siedział nieruchomy i nie rozwarł powiek nawet wtedy, gdy drzwi do komnaty znów się otworzyły, a do środka niemalże bezszelestnie wślizgnęła się kruczowłosa Finka w szarej szacie. Dziewczyna ujęła płaszcz, który się zsunął z barków starca, i okryła go nim troskliwie.

Ciężkie, ołowiane chmury nad Nidarosfjordem zaczęły wypełniać z wolna horyzont.

## ROZDZIAŁ 2

- Nie jesteś sobą - powiedział piastun Halbjörn, siadając ciężko na piasku.

Viglund spojrzał na niego spode łba. Jego oczy były przekrwione, a twarz blada ze zmęczenia, co nadawało jego nadnaturalnym rysom jeszcze większej dzikości. Piastun jednakże wydawał się całkiem obojętny na złowrogą aparycję swego høvdinga.

- Nie jesteś sobą - powtórzył. - Ludzie to widzą.

- Nie dbam o to - mruknął Viglund, ale zwiesił głowę i wbił spojrzenie w skraj wyliniałej derki, na której siedział. - Wierz mi, nie dbam o to. Są moimi wojownikami, powinni słuchać rozkazów.

- Nigdy dotąd nie wydawałeś takich rozkazów. Nigdy dotąd nie kazałeś harować im na darmo.

Zebrańie łupów, przetrząśnięcie resztek zabudowań spalonej osady Sigvalda i spędzenie jeńców oraz niewolnych

zabrało ledwie godzinę i Helsvinir gotowali się już do drogi powrotnej, gdy Viglund niespodziewanie wydał rozkaz przetrząśnięcia okolicznych lasów w poszukiwaniu zbiegłych pobratymców zbuntowanego jarla. Wojownicy z trudem zamaskowali swe zdziwienie - przecież uderzyli na osadę z zaskoczenia, i to z trzech stron naraz! Szansa, że ktokolwiek zdołał się przebić na wolność, była znikoma, ale z hǫvdingiem nikt nie miał zamiaru dyskutować, tym bardziej że znać było po nim napięcie, które łatwo mogło przerodzić się w ślełą furję. Tego zaś lękali się nawet najbardziej zuchwali.

Podzieleni na pomniejsze drużyny, bez końca przeszukiwali bory i zagajniki, ale nie natknęli się na najmniejszy ślad jakichkolwiek zbiegów. Nie dowodziło to niczego, Helsvinir nie byli bowiem tropicielami, a przecież i najlepszy tropiciel będzie miał trudności z odnalezieniem uciekiniera, który umyka przez las pod osłoną ciemności. Gdy zniechęcone, wymęczone bezcelowymi poszukiwaniami drużyny zebrały się o świcie na powrót przy spalonej halli, Viglund zarządził natychmiastowy wymarsz.

Był to kolejny nieprzemyślany rozkaz. Wyczerpani walką i całonocnymi poszukiwaniami Helsvinir marzyli tylko o śnie i ciepłym posiłku. W tym stanie nie potrafiliby ani wykryć zasadzki, ani też stawić skutecznego oporu i gdyby w okolicy w istocie czyhali jacyś zbrojni poplecznicy Sigvalda, bez trudu zaskoczyliby oni maszerujący hird i być może nawet odbili część łupów. Tymczasem nieubłagany Viglund, choć sam ślaniał się na nogach, popędzał swych wojowników do coraz to większego wysiłku, aż około południa pierwsi z nich, zwłaszcza ranni podczas bitwy, zaczęli omdlewać. Dopiero wtedy hǫvding zdecydował się rozesłać zwiadowców z zadaniem odnalezienia miejsca nadającego się na obozowisko dla całego hirdu.

- Musiałem mieć pewność - wycedził Viglund, wciąż nie podnosząc wzroku na piastuna. - Gdyby któryś z Sigvaldowych się wy dostał...

- Czymże złym mogłoby się to skończyć? Cóż by się stało, gdyby ktoś z jego rodziny przerwał krąg naszych i zbiegł do swych krewnych? Otóż nic, Viglundzie. Przecie Sigvald to ino pomniejszy władca, tyle że majątny. Nikt by nie chwycił za oręż, by bronić jego honoru, zwłaszcza ninie, gdy stracił cały swój dobytek. A poza tym - Halbjørn zniżył głos - gdyby ktoś zaprawdę chciał uciec, nie znaleźlibyśmy go w tym ciemnym borze za żadne skarby karłów.

- O co ci chodzi, Halbjørnie? - Viglund zwrócił ciężkie spojrzenie ku piastunowi. - Chcesz mi pokazać, że postępuję kiej skończony dureń? Że niepotrzebnie rzuciłem ludzi do pościgu przez knieje, a zasię wyrzycowałem ich do wymarszu? Tak, to prawda. Zachowałem się jak ostatni młokos i teraz chcę to moim ludziom wynagrodzić. To dobra okolica. Zostaniemy tu aż do rana.

Mówiąc te słowa, zatoczył ręką łuk, wskazując miejsce, gdzie obozował hird. Była to szeroka polana przywiedłej trawy, tu i ówdzie pokryta jeszcze splechawkami starego śniegu. Od wschodu, skąd przybyli, piętrzyło się zwałisko ogromnych, szarych głazów przypominających monstrialne grzyby, natomiast spośród rosnących wokół świerków dobiegał szmer nieodległego strumyka. Popołudniowe słońce, przebijające się raz po raz przez całun ciężkich chmur, idących znad morza, zalewało polanę skąpymi strugami ciepłego blasku, które jednakże nie mogły rozpędzić mgieł snujących się tuż nad ziemią. Helsvinir, układający się do snu bądź próbujący rozniecić ogniska, wyglądali wśród nich jak przygarbione gnomy, szukające skarbów wśród traw.

- Aż do rana - powtórzył uparcie Viglund. - Wieczorem zaś każę odszpuntować te beczułki z zacnym przednim miodem, któreśmy zabrali ze spichlerzyka Sigvalda. Niech hird ma nagrodę za swój znój.

Machnął przy tym ręką w stronę kilku wozów z łupami oraz rannymi Helsvinir, stojącymi nieopodal szarych skał.

- Lza to tak? - Piastun zmarszczył brwi.

- Konung nie zbiednieje! - Młody hǫvding zaśmiał się chrapliwie. - Wždy miodu a wina zawsze u niego dostatek.

- O co innego mi się rozchodzi. Do Nidaros jeszcze niezły szmat drogi, Viglundzie, co najmniej dzień marszu.



Skoro jednak chcesz tu do wieczora zostać, a potem miód rozlać i zwycięstwo świętować, nie zdołamy dotrzeć na pożegnalną ucztę twego ojca. Konung...

W skośnych, brązowych oczach Viglunda niespodziewanie eksplodowała furia tak dzika, że Halbjørn z trudem opanował odruch zerwania się na równe nogi i cofnięcia o krok. Od dawna nawykł do budzących niepokój, wilczych rysów twarzy przywódcy Helsvinir, lecz z chwilą gdy ożywał je gniew, nawet w nieulęklej duszy starego piastuna rodził się prastary lęk przed złem.

- Konung kazał nam spalić sadybę zdrajcy Sigvalda i wygubić jego ród - wysyczał Viglund, mocno zaciskając pięści, aż pobiełały mu kłykcie. - Zalibym zabył, co jeszcze nam konung kazali, piastunie?

- Dobrze pomnisz, Viglundzie. - Halbjørn z trudem opanowywał drzenie w głosie, ale wytrzymał płonący wzrok høvdinga. - Jeno sądziłem, jak każdy w hirdzie, że będziesz chciał pożegnać ojca, nim ten na Islandię pożegluje.

Po przygarbionych plecach wojownika przebiegł dreszcz furii i przez moment piastun był przekonany, że w Viglundzie wyzwoli się niszczycielski, berserkerski szał. Aż przymknął oczy, ale młody høvding nabrał głęboko tchu, wolno rozprostował palce i rzekł prawie normalnym głosem:

- O jednym bym zapomniał. Przecie trza pogadać z owym charakternikiem, co Sigvaldowych do kupy skrzyknął i mężnie opór nam stawiał. Ciekaw jestem, któż on zac. Przeprowadźcie go do mnie, piastunie, a potem czas się wam do snu ułożyć.

Halbjørn skłonił się lekko i wstał bez słowa, nie patrząc Viglundowi w oczy. Młody wojownik czekał, aż starzec przybliży się do kilku wojów, którzy mimo zmęczenia czujnie pilnowali spędzonych w jedno miejsce jeńców, a na jego niemal brzydkiej twarzy pojawił się zły uśmiech.

- Przejrzałeś mnie, Halbjørn - szepnął. - Zaiste, zrobię co w mej mocy, by spóźnić się na ucztę. Oddałbym lewe ucho krukowi za to, by ojciec odpłynął z Norweghru, nim ja wrócę do Nidaros.

Nieustępliwe promienie słońca przedarły się wreszcie przez mur stalowych chmur, ciągnących szeregiem nad morza, i polana niespodziewanie zapłonęła. Brudne splachetki śniegu zajaśniały, a strzępy mgły rozbłysły srebrnymi nitkami. Przez moment Viglundowi wydawało się, że prowadzony przez dwóch Helsvinir jeniec ma włosy koloru najczystszej złota, i dopiero gdy ten znalazł się bliżej, ujrzał wśród nich mętne paski siwizny. Dostrzegł również szczupłą, nieurodziwą twarz, na której były wymalowane niechęć i zawziętość, oraz usta, mocno zacisnięte w krzywym grymasie. Nieznajomy szedł prosto i nie rozglądał się na boki. Helsvin idący po prawej popędził go obelżywym słowem i szturchnął w ramię, na co jeniec odpowiedział przeciągłym, niebezpiecznym spojrzeniem. Woj potknął się.

Charakternik z niego, pomyślał Viglund. Charakternik, co się zowie.

Wzburzenie opuściło go w jednej chwili, a jego miejsce zajęło napięcie. Choć przewodził słynnemu hirdowi, a sam w walce nie miał sobie wielu równych, nigdy nie nauczył się stawiać czoła tym, którzy przewyższali go siłą woli. Niejednokrotnie padał ofiarą ludzi mądrzejszych, sprytniejszych lub bardziej cynicznych od siebie, a jedynym, czym się mógł im odpłacić, były niekontrolowane napady wściekłości, pogrążające go zazwyczaj jeszcze bardziej. Liczył jednak na to, że nieznajomy nie dostrzeże w nim słabości, a uzna zwycięzcę, z którym należy się liczyć, tak więc rozsiadł się wygodnie, na kolanach ułożył miecz i zmierzył jeńca ponurym, nieprzychylnym spojrzeniem.

Z twarzy nieznajomego znikły wszelkie emocje, jedynie schodzące nisko kąciki ust mówiły o wrodzonym cynizmie. Jeniec skłonił się lekko i powiedział:

- Wyście, panie, høvdingiem owego zacnego hirdu?

Jeniec mówił po norsku bez śladów obcego akcentu, lecz jego głos był tak nieprzyjemny i zgrzytliwy, że Viglund aż się wzdrygnął. W odpowiedzi skrzywił się jeszcze bardziej i rzekł:

- Jam ci. Jeno dobry obyczaj...

- Witajcie tedy, Viglundzie synu Vidara - przerwał mu obcy, kłaniając się nieco niżej.

Młodzieniec rozchylił usta, nie mogąc opanować zdumienia.

- Nie dziwcie się, panie - rzekł szybko jeniec. - Są li tylko trzy hirdy, które równie sprawnie wycinają swych wrogów. Pierwszy z nich jednakowoż walczy daleko stąd, u boku basileusa Miklagardu. Drugi po morzach hula pod proporcem Jomsborga, tedy ani chybi trzeci mam przed sobą - sławnych Helsvinir z bitnym Viglundem Wilczym Pyskiem na czele.

- Przestańże słodkie słówka prawić - warknął młodzieniec, choć komplementy nieznanego sprawiły, że uczynił to niemal bez przekonania. - Mów, kim jesteś i dlaczego szukałeś gościny u zdrajcy Sigvalda.

- Zwą mnie Bjørgun Bywały, a pochodzę z Waregów ruskich. Ów człowiek, którego zwiecie zdrajcą, był przed laty mym druhem. Wraciałem właśnie z Nidaros do Holmgardu, tedy postanowiłem zawitać doń z gością i przy kubku miodu powspominać dawne dzieje. Nigdy bym nie przypuszczał, iż Sigvald nadużył zaufania konunga Trygvego. - Przy tych słowach jeniec pokręcił głową. - Nawet w dalekim Holmgardzie powiada się, że jeno surowość konunga przewyższa jego mądrość i sprawiedliwość.

Mimo nieprzyjemnego głosu, jeniec mówił potoczycie i przekonująco. Nie wyrażał skruchy, ale nie znać było też po nim zbytnej buty i Viglund złapał się już na tym, iż chce zaproponować mu miejsce obok siebie.

A właściwie... - pomyślał. Co mi zależy?

Gestem odprawił obu Helsvinir, odłożył miecz i sięgnął po bukłaczek z miodem.

- Tedy gościliście jeno przejazdem? - upewnił się.

- Jużci, høvdingu - potwierdził Bjørgun, który skromnie przysiadł na skraju derki i z przepaszającym uśmiechem ujął bukłaczek. - Na wiking z Sigvaldem wspólnie chadzaliśmy, tedy uradował się na mój widok i wielką ucztę wyprawił. Niechże mi jego jadołko kołkiem w gardle stanie, jeśli...

- Dość - przerwał mu Viglund, krzesząc w sobie resztki autorytetu. - Wierzę wam, ale nie we własnej sprawie bój ów stoczyłem. Do Nidaros zmuszony jestem was powieść, niechże konung sam uzna, czyście praw, czy nie. Mnie nic do tego.

- Gościem byłem, a ninie jeńcem przyszło mi być - westchnął Bjørgun. - Nic mi tedy nie pozostało, jak ino pogodzić się z prawami Norveghru i przed obliczem Trygvego o zmiłowanie prosić.

Prawiście, høvdingu, prawiście... Rzeknijcie mi jeno, czy zaprawdę okrutny on dla pojmanych?

- Nie wiem - burknął Viglund, wzruszając ramionami. - Mnie pojmani niewiele obchodzą, a po zdaniu ich straży grodowej zgoła wcale. Cóż wam rzec mogę? Okrutny on, to pewne, ale prawa ceni. Pomnę, jak któregoś razu...

I tak popłynęła opowieść. Bjørgun siedział, potakiwał i błędził wzrokiem po niebie i skraju lasu. Jego zgrzytliwy głos rozbrzmiewał rzadko, głównie po to, by zadać pytanie, które uwalniało kolejny potok słów ze strony Viglunda. Młody høvding opowiadał zaś bez końca, oszołomiony tym, iż po raz pierwszy w życiu napotkał kogoś, kto chce go słuchać. Popijając miód, z goryczą opowiadał o bezlitosnym konungu Trygvem, za sprawą którego stanął na czele hirdy zabójców, o surowym biskupie Helmgarthu, który darzył nieprzejednaną nienawiścią pogan oraz wszystko, co się wiązało z dawną wiarą, a także o niezrozumiałych dlań, zgubnych intrygach, które snuto na dworze konunga i na tingach jak kraj długi i szeroki. Nim opróżnili bukłaczek, zapatrzony w szare skały Viglund zaczął opowiadać o sobie:

- A ja służę konungowi wiernie kiej pies, kiej ogar myśliwski. Na rozkaz skrzykuję watahę i pędzę przez cały kraj, by pod osłoną nocy wyciąć kolejny ród, zabijając kolejnych ludzi. Potem wracam do Nidaros, wysłuchuję kilku słów pochwały i idę do karczmy, by zalać się tanim piwskim. A potem wybieram się na kolejną wyprawę.

- Zalibyście nie lubili rozlewu krwi? - spytał cicho Bjørgun.

- Nie boję się zadawać śmierci. - Viglund machnął dłonią. - Nie boję się z nią spotkać. Jeno brzydzę się

rozkazów, co zamieniają mnie w mordercę. Innym przypada sława wielkich wojowników, zwycięzców i pogromców. Inni zbierają sławę i walczą o swój honor. Ja jedno morduję dla konunga pod osłoną nocy, bo nie mnie stać na równi z możnymi Norveghru.

- Jakże to? Wždyście syn Vidara syna Gustava, zacnego skalda i doradcy samego konunga!

- Jużci, jeno mój wspaniały ojciec nie obdarował mnie w życiu niczym poza ową szkaradną gębą i kilkoma płachetkami jałowej ziemi! - prychnął wściekle Viglund. - Dorzucił jeszcze błogosławieństwo Odyna, które zbudziło się w nim, gdy jeszcze z Białym Jastrzębiem wojował.

- Czy to prawda, że i wy berserkiem jesteście?

- A prawda - burknął niechętnie Viglund. - Ci, co mnie w walce widzieli, prawią, że pono większym od ojca. Okrutną mi to radość sprawia, bo gdy niemowlęciem byłem, ojciec kilka miesięcy w chramie Boga na Krzyżu leżał i o łaskę dla mnie błagał. Niestety, Bóg go nie wysłuchał. Trzy wiosny ledwie miałem, gdym rozbił łeb Askilowi synowi Thorvalda..

Czuł, że ma zaufanie do tego poważnego człowieka, który siedzi na skraju derki i kiwa głową, słuchając jego historii. Czuł, iż będzie on pierwszym od bardzo, bardzo dawna, który usłyszy wszystko. Zaczerpnął już tchu, by kontynuować swą pełną goryczy opowieść, gdy uświadomił sobie, że ktoś za nim stoi. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał Halbjørna.

- Czy mam kazać otworzyć beczki z miodem? - spytał sucho piastun.

Viglund rozejrzał się ze zdumieniem. Ciemne chmury spotężniały, całkowicie odcinając drogę promieniom słonecznym, a wraz z nimi nadpełzał z wolna zmierzch. Mgły również podnosiły się coraz gęściej, a tu i ówdzie wśród nich migotały już przytłumione płomienie ognisk. Wokół słyszał gwar prowadzonych półgłosem rozmów, ktoś pogwizdywał wesoło, ktoś inny głośno ziewał. Najwidoczniej Helsvinir dochodzili już do siebie po całonocnych poszukiwaniach i forsownym marszu.

- Sam się tym zajmę - oznajmił Viglund i dzwignął się na nogi. - Wybaczcie, Bjørgunie!

Wareg skinął lekko głową, a w jego cierpliwych, rozumnych oczach zamigotała jakaś nowa, obca iskra. Viglund jednakże nie zwrócił na nią uwagi - szedł już szybkim krokiem ku wozom stłoczonym przy wysokich skałkach. Po drodze porwał jakąś żagiew, klepnął kogoś w ramię, kogoś innego pozdrowił głośnym okrzykiem i nim dotarł do wozów, połowa hircu wiedziała, że zanosi się na niecodziennie wydarzenie.

- Druhowie! - zawołał Viglund, unosząc wysoko pochodnię. - Zmierzamy do Nidaros, wioząc naszemu panu wieści o kolejnym zwycięstwie oraz wozy pełne wszelakich łupów. Sądzę, że nikt z nas nie wątpi, iż dobrze spożytkuje on należną mu zdobycz, być może z wyjątkiem miodu i wina. Wszyscy bowiem dobrze wiemy, że tylko wojownik po wygranej bitwie może należycie docenić smak owych szlachetnych trunków! A zatem, druhowie, pozwólmmy konungowi cieszyć się cennymi futrami, złotymi łańcuchami i arabską bronią, a sami zajmijmy się tym, co inni by zmarnowali! *Skál!*

- Helsvinir! - ryknęli wojowie, widząc, jak ich høvding zrzuca z wozu pierwszą beczułkę, a potem otwiera ją i nadstawia róg. - *Skál!* Helsvinir!

Powietrze wypełniły dzikie wrzaski, w które wdarły się chóralne śpiewy. Wojowie tłoczyli się, napełniali kubki i rogi, niektórzy tańczyli, a inni wymachiwali bronią. Ogniska buchnęły wyższym płomieniem, odpędzając jęzory mgły.

- *Skál!* - wrzeszczał Viglund, otwierając kolejną beczułkę.

Natychmiast zanurzył w niej swój róg i łapczywie wychleptał zawartość, nie dbając o to, że wino leje mu się na tunikę i kolczugę. Ledwie przełknął ostatni łyk, zadarł głowę i zawył przeciągle ku stalowoszaremu niebu. Odpowiedziały mu inne głosy, równie dzikie i upojone własną mocą.

I wtedy świat zamarł na krótką chwilę.

„Dziękuję ci za twą szczerą opowieść, Viglundzie synu Vidara - odezwał się wyraźny głos w jego umyśle. - Wiem ci ja ninie, że toczysz cudze boje za cudzych władców. Znalazłeś się na szlaku, który wiedzie donikąd. Twe miejsce jest gdzieś indziej, Wilku”.

Viglund cofnął się i potrząsnął głową, lecz obcy głos wciąż rozbrzmiewał mu echem w głowie. Złapał się za skronie i wtedy zrozumiał.

- Bjørgun?

Rzucił się do szalonego biegu, ignorując zaskoczone twarze swych druhów i okrzyki pełne niepokoju. Pędził przez siebie, mijając rozhułkane ogniska i nagle zamilkłych ludzi, aż znalazł się przy własnej derce. Jedyнным śladem po siwowłosym jeńcu były rozcięte rzemienie, które jeszcze przed chwilą krępowały jego nadgarstki. Obok na wilgotnej ziemi widniał szereg runów.

- Jomsborg - odczytał ktoś za plecami Viglunda.

\* \* \*

Vidar czuł się coraz gorzej.

Uczta w sali biesiadnej zamczyska w Nidaros toczyła się w najlepsze, lecz skald nie był w stanie tego docenić. Oszczędnie skubał leżący przed nim kawałek pieczeni, choć współbiednicy nie przestawali się zachwycać soczystością mięsa i smakiem drogich przypraw, kupionych od kupców arabskich. Miód również popijał oszczędnie, choć konung chęłpił się, że na tak szczególną okazję kazał wytoczyć z piwnic to, co miał najlepsze. Z wymuszonym uśmiechem odpowiadał na toasty, kłaniał się wszystkim, którzy żegnali go pięknymi słowy, lecz marzył tylko o tym, by jak najszybciej wyjść na świeże powietrze. Nie mógł oddychać dusznym, przepojonym ciężkimi zapachami powietrzem, a dzikie wrzaski uczujących wojów z hirdu królewskiego rozbrzmiewały w jego głowie coraz głośniejszym echem, które zaczynało sprawiać mu ból.

Kiedy to było? - zadał sobie pytanie w myślach, unosząc róg z miodem w odpowiedzi na toast któregoś z pomniejszych høvdingów, zaczerwienionego z opilstwa męża o długich, splecionych w warkocz włosach koloru miedzi.

Ba, niebawem upłynie dwadzieścia lat... - odpowiedział sam sobie. Dwadzieścia lat temu, gdy nad Nidaros rozszalała się burza, zasiadłem tu wraz z wieloma innymi, by ucztować u boku króla Eryka Halvdansona. Pełen zapału i wiary, z nabożeństwem wpatrywałem się w jego twarz i łapczywie słuchałem jego słów, gotów poświęcić za niego swe życie. Dziś zasiadam tu znowu, u boku tego, który Eryka pokonał. Jestem wciąż tym samym Vidarem, lecz w miejscu, gdzie ongiś żywo biło me serce, ziele ninie czarna jama.

Wzrok skalda mimowolnie powędrował ku Trygvemu, który zasiadał zgarbiony na wysokim stolcu, otoczonym bogato zdobionymi słupami tronowymi jarłów na Hladir, mając po prawicy swego syna Sveina, a po lewicy biskupa Helmgartha. Nad jego głową zawieszono dumny sztandar Norveghru, prezentujący złoty krzyż nad morskimi falami, lecz sam konung, który nieraz pędził w jego cieniu do zwycięskich bitew, dziś wyglądał na ciężko chorego. Jego twarz była blada, a błękitna szata z Miklagardu, miast ukazywać dostojeństwo, uwydatniała jego chudość. Ciężki, złoty łańcuch na szyi jakby ciągnął go w dół, lecz konung niestrudzenie unosił głowę i powracał do rozmowy, którą prowadził przyciszonym szeptem z biskupem.

Czy to twoja wina, że moje życie utraciło sens? - rozmyślał Vidar. Nie, chyba nie. Służąc Erykowi, wierzyłem przecież w uludy. Wydawało mi, że można zbudować na ziemi prawdziwe Królestwo Chrystusowe, że można wyplenić zło z ludzkich serc i nauczyć ich wszystkich żyć wedle przykazań. Ty jedynie pokazałeś mi, że nawet najlepszy władca nigdy nie zdoła wykorzenić zła. Jego zadaniem jest rządzenie, a rządzenie polega na zwalczaniu jednych rodzajów zła za pomocą innych. Nie mogę cię winić o rozwiewanie nierealnych marzeń.

Naraz kilku drużynników chrapliwymi głosy zanuciło pieśń o zwycięstwie nad Białym Jastrzębiem. Pozostali

biesiadnicy przy ich ławie natychmiast pochwycili melodię i wkrótce do śpiewu dołączyła cała sala. Nawet sam Trygve zaprzestał rozmowy z biskupem i jego pomarszczoną, ponurą twarz rozjaśnił blady uśmiech. Biesiadnicy ryczeli coraz głośniejsze, a niektórzy wybijali rytm rogami, kubkami, trzonkami noży bądź własnymi pięściami. Hałas był ogłuszający i Vidar z trudem opanował odruch zasłonięcia uszu.

No właśnie, *Hviti fálkinn*, pomyślał gorzko. To przecież on podeptał moje marzenia jako pierwszy. Potem zemścił się na mnie Odyn, zsyłając owo wilkołacze przekleństwo, które później odrodziło się w moim synu, jak na szyderstwo z naszego Pana. Musiał się wtedy Bóg obrazić, skoro zaraz po urodzeniu Viglunda zabrał do siebie mą Dię, a potem odepchnął ode mnie syna. Cóżes ty winny, Trygve, synu Ivara? Tyś jeno obdzielił nas zadaniami do wykonania. Co prawda nie miałem najmniejszej ochoty służyć ci jako doradca, wątpię też, by Viglund marzył o dowodzeniu hordem zabójców, ale któż w tym świecie może się poszczycić tym, iż robi dokładnie to, co sobie wprzód umyślił?

Pieśń powoli cichła, rozochoceni biesiadnicy wznosili jeden toast za drugim i klepali się nawzajem z radością po plecach. Wzrok Vidara powędrował ku pustemu dziś miejscu, które zazwyczaj zajmował jego syn.

A jednak nie przybył, pomyślał z goryczą. Miał ponoć zdążyć, mówili mi, że nie wyprawiał się daleko. Nie, gdyby chciał, dotarłby na czas. Bez wątplenia. Czyżby aż tak bardzo mnie nienawidził? Czyżby nie było go stać nawet na taki prosty gest? Boże, ja go naprawdę straciłem...

Rozpacz, którą usilnie odpychał od siebie, powróciła, paraliżując jego ciało. Vidar zacisnął powieki i w jednej chwili zapomniał o konungu, innych biesiadnikach i miejscu, w którym się znajdował. Chciał jedynie uderzyć czołem w blat ławy i wykrzyknąć Bogu swój żal. Chciał szlochać, tarzać się w pył i prosić o zmiłowanie, o cud, który zwróciłby mu to, czego pragnął najbardziej.

Niespodziewanie przez ścianę rozpacz przebił się czyjś wzrok, gorący i pełen współczucia. Vidar rozwarł z wysiłkiem powieki i spojrzał prosto w skośne, lecz szeroko otwarte oczy siedzącego naprzeciwko Arnula. Jego przyjaciel, od wielu lat zarządzający Arnulheim, niewielkim gródkiem zamieszkanym zarówno przez ludzi, jak i przez karły, oraz Hannar Puchacz, władca Dvergurfjall, z reguły odrzucali zaproszenia na uczyty na dworze konunga. Ich obecność krępowała nieco biesiadników, którzy bez przerwy rzucali im nieprzychylne spojrzenia, lecz Vidar się z niej cieszył. Patrzący na niego z troską Arnul uniósł nagle brwi, jakby chciał spytać, czy wszystko jest w porządku. Skald pokręcił lekko głową, zmusił się do uśmiechu, porwał za cynowy puchar z miodem i wysuszył go do dna.

Arnul uśmiechnął się również i wyprostował, przez co jego twarz znikła niemal całkowicie w cieniu kaptura, którego nie zdjął nawet pomimo zaduchu w sali. Skald chciał o to zapytać, choćby tylko po to, by odgonić powracającą rozpacz, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że ktoś do niego przemawia, a siedzący naokoło milkną i odwracają się ku niemu z szacunkiem.

- ...Jakby to zwykła biesiada była! - prawil Svein, a jego oczy błyszczały od nadmiaru wypitego alkoholu. Struzka miodu wciąż ściekała po jego rudej brodzie, połyskując w blasku pochodni. - A przecie to smutny wieczór dla nas wszystkich! Dziś to bowiem żegnamy naszego druha serdecznego, Vidara, najpierwszego wśród skaldów Norveghru! Bracie, zawdy szanowaliśmy twą radę i podziwialiśmy męstwo, wždy kochaliśmy cię za twe rymy. Nim opuścisz domostwo mego ojca, Vidarze, uczyn nam raz jeszcze zaszczyt i zaśpiewaj !

Vidar nabrał głęboko tchu i znów zamknął oczy. Zawsze lubił Sveina, który w przeciwieństwie do swego ojca nie rozumiał polityki i przedkładał wojaczkę czy polowanie ponad intrygi, i w innych okolicznościach nie odmówiłby jego prośbie, ale w tym momencie marzył jedynie o porzuceniu biesiady.

- Wybaczcie, Sveinie - wyszeptał przez ściśnięte gardło. - Wybaczcie, lecz wzruszenie wielkie zgoła mowę mi odebrało, a nie chciałbym wśród tak zacnych mężów pieśni fałszem kłaść.

- Tedy może wiersz jaki powiecie? - zaproponował Einar Białowłosy, jeden z najwierniejszych stronników rodu z Hladir, który dorobił się fortuny na handlu z Samami. - Ponoć wielcy skaldowie chwilą natchnieni

najpiękniejsze rymy układają. Znaćcie i wy tę sztukę?

A znam, pomyślał Vidar, wciąż wpatrzony w puste miejsce, które powinien zajmować jego syn. Słowa, dotąd błakające się w zakamarkach jego umysłu, przepędzane przez rozpacz, naraz zbiegły się niczym kruki, które w tej samej chwili przypadają do porzuconych zwłok. Skald nabrał tchu i rzekł donośnym głosem:

*Płyną iskry smutku  
W pogrzebowym słońcu,  
Placze świat za Baldrem.  
Tylko włócznia zwycięstwa  
Sterczy nieruchomo,  
Dumna kiej głupi kawał drewna.*

- Dumna kiej głupi kawał drewna - powtórzył Einar, kręcąc z podziwem głową. - Nie dość, że skald z was zaiste udany, Vidarze, to i człek odważny. Trza nie lada męstwa, by sztydzić z Odyna w taką noc, chociaż sam biskup z nami zasiada.

Einar skłonił się Helmgarthrowi, który od pewnego czasu nie rozmawiał już z konungiem i bacznie przysłuchiwał się rozmowom toczonym przy stole. Biskup był starym człowiekiem, którego ciało wyniszczyło wiele lat surowej ascezy, lecz jego wiecznie zmrużone oczy błyszcząły energią i nieustającą niechęcią do świata.

- Furda Odyn! Trzeba nie lada tupetu, by imię Baldra wspominać - rzekł głosem, od którego ciarki przechodziły po plecach. - Dziwię się wam, Vidarze, gdyż słyniecie jako człowiek wielkiej wiary. Napominam was tedy i dufam, że rychły odjazd ani mocne trunki nie przydadzą wam nadmiernej śmiałości.

Nikt nie zrozumiał, uświadomił sobie nagle Vidar. Nikt nie zrozumiał, co naprawdę miałem na myśli, wygłaszając ten wiersz.

Szeroko otwarte, błyszczące oczy Arnula mówiły mu, że zasiadali przy ławie tacy, którzy znali rozmiary jego bólu, lecz Vidar wiedział, że dla zdecydowanej większości liczyło się teraz wyzwanie, które bardziej lub mniej świadomie rzucił głowie Kościoła.

Niespodziewanie w głębi jego duszy zawrzał gniew, podsuwając mu odpowiedź:

- Opuszczać Norveghr będę z żalem, ojcze, tedy nie w głowie mi pozostawiać gorycz w sercach tych, którzy zwą mnie swym druhem. Miód zaś ledwie co napocząłem, a więc miejcie pewność, iż daleko mi do szaleństwa czy nierozwagi. Zaiste, jestem członkiem Bogu posłusznym, ojcze, lecz pamiętam, na jakiej ziemi się urodziłem, w co wierzyli moi ojcowie i jakie zwyczaje przepajają życie tej krainy. Dla tych ludzi - zatoczył ręką łuk - Baldr czy Odyn są wciąż bardziej zrozumieli aniżeli Święta Trójca i nie wyplenia tego nawet wasze gniewne słowa ani srogi grymas na czole.

Przy ławie naraz zapadła głęboka cisza, którą przerwał dopiero beztroski głos otęłego Grima z Austfjordu:

- Mówią ludzie, że Baldr powrócił do Midgardu. Prawią, że uzdrawia chorych i pociesza zagubionych, a są i tacy, którzy na własne oczy...

- *Það er lygi!* - Biskup zatrząsł się, a na jego obwisłych, pomarszczonych policzkach pojawił się niemrawy pąs. - Wybaczcie, panie, bo nie wam kłam chcę zadać, lecz wszystkim tym, którzy w gusta wierzą i fałszywą wiarę podtrzymują. Wždy nie ma Baldra, tak jak nie ma Odyna, Thora czy...

- Karłów? - wtrącił z mściwym uśmiechem Hannar, zsuwając nieco kaptur z głowy. W skośnych oczach króla załśniło wyzwanie.

Starzec westchnął głęboko i ze świstem wypuścił ustami powietrze.

- Grzeszę, gniew okazując - rzekł cicho. - Grzeszę, krzykiem kalając wielką chwilę pożegnania zanego syna

Kościola. Nie popełnię ci ja błędu mego nieszczęsnego poprzednika biskupa Hieronima - oby Bóg przygarnął jego zagubioną duszę! - i nie będę głosił, iżecie istoty nieczyste a piekielne, choć lękiem napelnia mnie niechęć, jaką darzycie Słowo Boże. Powolny jednakże jestem słowu konunga naszego, który wielce sobie ceni waszą drużbę...

- Radziśmy wszyscy to słyszeć - odezwał się tubalnym głosem posepny Bjørnstein Myszołów, jarl Bjørgvin. - Od czasów wojny z Białym Jastrzębiem karły są druhami Nidaros i nie przyszłoby nam łatwo wysłuchiwać o nich grubych słów.

Jużci! Vidar zaśmiał się w myślach, lecz był to gorzki śmiech. Przeciwno Kościolowi każdy z was sprzymierzyłby się i ze stadem brudnych wieprzy, zwłaszcza taki zatwardziały poganin jak ty, Bjørnsteinie! Nie ufasz karłom za grosz! Żaden z was nie nauczył się im ufać, a wyróżnilibyście je do ostatniego, gdybyście tak bardzo nie potrzebowali ich stali i nie lękali się ich magii.

Sądząc po grymasie na obliczu Hannara, król karłów miał podobne zdanie.

- Miłe nam wasze słowa, Bjørnsteinie - powiedział. - Tym miłsze, że pono głośno po tingach przeciwno nam przemawiacie, a miecze przez nas wykute nędznymi kawałami żelastwa zwiecie. Są i tacy, którzy prawią, że ostatnio odprawiliście *blót*, na którym okrutnieście wszystkich lżyli, po równo nas i świętków.

- Skąd...! - ryknął Bjørnstein, lecz zamilkł niespodziewanie i odwrócił głowę, mamrocząc przekleństwa.

Przypomniałeś sobie, co? - szydził w głębi duszy Vidar. Karły przyszłość widzą i myśli czytać potrafią, a sam Hannar zdolny jest każdy fałsz w głosie wykryć. Na nic ci protesty, pyszałku.

- Wiary dać nie mogę, że słowa naszego skalda prawdziwe być mogą - oświadczył ze zdumieniem w głosie biskup, lecz przymrużone, tchnące chłodem oczy mówiły, że bynajmniej nie jest zaskoczony. - Zaliby i przy tej ławie, w sąsiedztwie moim i potężnego konunga zasiadali ci, którzy mrocznych bogów dalej wielbią?

- Kościół wzniosłem! - burknął Bjørnstein, z trudem kryjąc wściekłość. - I świece ufundowałem, i naczynia srebrne! Nawet ziemi przydałem! Jakże śmiecie mnie, ojczu, kłamcą zwać!

- Jak śmiesz? - Biskup znów zatrzęsł się z gniewu, lecz nim wyrzekł kolejne słowo, odezwał się Skalle Mocarna Pięść.

- Macie przecie inne troski, ojczu - stwierdził lekceważącym tonem i otarł mokre od miodu wąsiska. - Jest wiele innych dusz do nawrócenia. Wiele, ojczu. Do nich trza się ojcu zabrać, a nie...

- *Ég heffengia nóg!* - ryknął nagle stary konung, podrywając się ze stolca. Jego policzki nabrzmiały krwią. - Stul gębę, Skalle, a i ty, Bjørnstein, nie trzep jęzorem kiej młokos, co mu miód do łba uderzył! Pod moim dachem gościcie i szacunek innym winniście, nawet gdybym was pośród cuchnących berserków usadził! Niech się który ośmieli wielebnego biskupa obrazić, a jak za brodę pochwycę, jak targnę raz i drugi...

Śmiechy i rozmowy ucichły niczym ręką odjął, a oczy wszystkich biesiadników skierowały się na rozszalałego konunga, który z ogniem w oczach lżył pobladłych jarłów. Ten i ów zagryzł wargi, uniósł głowę i pochwyił za miecz, lecz żaden nie zdołał wytrzymać dłużej wzroku Trygvego.

Niespodziewanie za wąskimi oknami sali zalśniła błyskawica, a w ściany zamczyska uderzyła ulewa. W tej samej chwili stary konung przerwał tyradę, zakaszłał i zasłonił dłonią usta. Usługująca mu fińska niewolnica o długich, kruczoczarnych włosach spojrziała nań z niepokojem i przypadła do jego łokcia, ale starzec odepchnął ją z gniewnym warknięciem.

- Miodu! - zażądał chrapliwym głosem. - I śpiewajcie! Śpiewajcie, by zagłuszyć muzykę gromu!

Svein nieśmiało zanucił pieśń, którą skwapliwie podjęło kilku biesiadników, lecz Vidar nie usłyszał już jej słów. Szedł wolno do wyjścia, pustym uśmiechem odpowiadając na toasty i pozdrowienia biesiadników.

Twój syn wybrał gromy i deszcze, wył z rozpaczą głos w jego duszy. Wolał je od ciebie!

Oba zakapturzone karły opuściły salę chwilę po nim.



Ulewa zelżała dopiero przed świtem, jakby Bóg wreszcie ulitował się nad jedynym człowiekiem na Północy, który spędził całą noc na modlitwie. Stalowszare chmury nadal wisiały nad fiordem, nie przepuszczając promieni słonecznych, lecz Vidar doszedł do wniosku, że pogoda nadaje się do wypłynięcia na morze. Zresztą, gdyby załoga miała na ten temat inne zdanie, był gotów ich do tego zmusić. Po ostatecznym rozczarowaniu, jakiego doznał podczas wieczornej uczty, nic już nie wiązało go z krajem, o który walczył przez ostatnie dwadzieścia lat.

Vidar pochwycił swój tobolek, na ramieniu zawiesił pas ze starym runicznym mieczem, a na ramiona zarzucił ciepły, wełniany płaszcz. Chwilę później przeciął opustoszały dziedziniec zamkowy i nie oglądając się za siebie, wyszedł przez bramę. Ospali, zziębnięci strażnicy nie zwrócili na niego uwagi. Znużony skald otulił się szczelną płaszczem i powędrował ku nabrzeżu, gdzie czekał jego okręt.

Rytmiczne głosy, unoszące się ponad pokrzykiwania witających świt mew, utwierdziły go w przekonaniu, że nie będzie potrzeby nikogo do niczego zmuszać.

- Hej, i raz! Hej, i dwa! - wołali krzepy, brodaci mężczyźni, napierający na szeroki, czarny kadłub, który ze zgrzytem, wolno przesuwiał się po piasku w kierunku wody.

Żeglarze raz jeszcze naprężyli mięśnie i oto ciężki smok zakotłosał się na falach, w jednej chwili tracąc swą niezgrabność. Jeden z żeglarzy, najwyraźniej szyper, wydał ostry rozkaz, a pozostali bez wahania weszli do wody, nie zważając na jej lodowate zimno. Sprawnie wspięli się na burty, plusnął wyrzucony kamień kotwiczny i sunąca już ku wodom fiordu snekkja znieruchomiła.

Skald uśmiechnął się krzywo na myśl o ostrym wietrze, słonych falach i niekończącym się zimnie żeglugi. W tym samym momencie usłyszał za sobą czyjś nieśmiały głos:

- A więc jednak...

Vidar zatrzymał się i odwrócił. Na kamieniu runicznym stojącym przy drodze wiodącej do nadbrzeża siedział Arnul.

Vidar uśmiechnął się. Ostatnie lata zamieniły Trygvego w zgrzybiałego starca, a jemu samemu odebrały zwawość ruchów i pozaczyły włosy siwymi paskami, lecz karzeł wyglądał dokładnie tak samo, jak w chwili ich pierwszego spotkania. Krótko przystrzyżona broda sięgała ledwie piersi, włosy wily się niesfornymi kosmykami, a skośne oczy dalej patrzyły nań nieśmiało, jakby z zawstydzeniem. Jedynie misternie wykonana kolczuga oraz jedwabny płaszcz spływający z barczystych ramiona karła przypominały o znaczącej pozycji, jaką jego dawny towarzysz broni zajmował teraz wśród pobratymców. Arnul nie ściągnął kaptura, ale światło budzącego się niemrawo świtu uwydatniało jego rysy twarzy.

- Ha...Hannar już wrócił, ale ja po...postanowiłem się z tobą po...pożegnać - mówił, jękając się jak dawniej, jak zawsze gdy rozmawiał z ludźmi. - Chcia...chciałem powiedzieć, że jest mi przykro... Ba...bardzo przykro, że...

- *Ég veit* - przerwał mu skald i spojrział w górę, ku krążącym mu nad głową mewom. Nie chciał, by Arnul dostrzegł błysk łez w jego oku. - Wiem, Arnul, bo choć jesteś karłem, więcej w tobie miłości niżli w tych, co niby Chrystusa miłują. Niestety, mój mały przyjacielu. Mój czas nadszedł. Straciłem wszystko, co na tym padole mogłem stracić - swe ideały, swego pana, ukochaną żonę, a nawet ufność w to, że Bóg czuwa nade mną. Teraz straciłem również syna.

- Skąd wiesz, że...że to koniec? - wypytywał z szeroko otwartymi oczyma karzeł. - Może warto zostać... Spró...spróbować jeszcze raz...

- To nie takie proste, Arnul! - Vidar cisnął kamykiem i obserwował, jak odbija się od powierzchni wody, by w końcu zniknąć w toni. - Jedyne, czego zdołałem nauczyć mego syna, to honor i duma. Na moje nieszczęście, pojął tę lekcję aż za dobrze. Viglund nie zwróci się już ku mnie z czystego serca. Ninie musiałbym prosić, nieledwie błagać



go o przychylność, lecz wtedy znienawidziłby mnie jeszcze bardziej. Nie, Arnul. Nie tędy droga. Długo o tym dumalem, aż postanowiłem, że czas po prostu zniknąć mu z oczu. Może jego nienawiść z czasem osłabnie i spróbuje przemyśleć sobie wszystko raz jeszcze?

- Wypływasz w złym momencie. - Arnul zmrużył oczy. - Tym krajem lada dzień wstrząśnie nowa burza.

- Jużci, jeśli konung Trygve dalej będzie lżył dostojnych jarłów i høvdingów...

- Nie chodzi o niego. Pomnij, że my, karły, czasem widzimy przyszłość. Nad Norveghr nadciągają czarne chmury.

- Cóż kraj na tym zyska, jeśli pozostanę? Nie mam przecie wielkich ziem ni setek stronników. Zwą mnie głosicielem prawa, lecz mój głos nie znaczy wiele na tingach, a dni konunga Trygvego, jedyne, który ceni mą radę, są już policzone. Będę się o was modlił z dalekiej Islandii.

- Módl się lepiej o swego syna. - Głos Arnula naraz stał się poważny i gdzieś zniknął nieśmiały uśmiech. - My sobie damy radę.

- Czyżby? Z tego, co słyszałem wczoraj na uczcie, znów będziecie musieli wybrać: czy stanąć po stronie Kościoła, czy przeciwko niemu.

- Istnieje jeszcze trzecie rozwiązanie, o którym żadnemu człekowi nie lza wiedzieć - oznajmił karzeł i zsunął się z głazu.

Vidar zerknął ponad jego ramieniem i ujrzał, że Arnul zasiadał na kamieniu, który sam pokrył runami ledwie kilka dni po pokonaniu Białego Jastrzębia. Twierdził wtedy, że musi upamiętnić czyny Haralda Yngvarsona, dzikiego berserka, który walnie się przyczynił do obalenia szalonego konunga.

Wbrew pozorom, były to dobre dni, pomyślał kwaśno Vidar. Trudno mi było wówczas dokonać wyboru, ale w końcu się zdecydowałem i wszystko jakoś samo potoczyło się naprzód. A teraz?

- Istnieje trzecie rozwiązanie - powtórzył karzeł, stojąc tuż przed skaldem.

Vidar niespodziewanie uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie widział takiego smutku na jego zwykle rozradowanym obliczu, wciąż rumianym nawet mimo wielu lat spędzonych w czeluściach Dvergurfjall. Karzeł odrzucił wreszcie kaptur i skald ujrzał, że zielone, skośne oczy Arnula błyszczą dziwnie. Niejednokrotnie miał do czynienia z magią i spotykał się z niewyjaśnionymi zjawiskami, lecz teraz poczuł dreszcz lęku. Powietrze zaczęło naraz jakby stygnąć i tężeć, a pokrzykiwania żeglarzy stały się odległe.

- Spotkamy się wkrótce, Vidarze, choć ty żeglujesz do dalekich krain, a ja nie zamierzam wsiadać na statek - mówił cicho Arnul, nie spuszczać niesamowitego spojrzenia ze znieruchomiałego skalda. - Spóźnię się jednakże. Ani nie uratuję cię przed wielką zdradą, ani nie zapobiegnę ciężkiej ranie. Pomnij jednak, że znajdziesz okruczeństwa w dniu mnogiej śmierci, to da ci nadzieję. Bacz na siebie w nocy, gdy powieje wschodni wiatr, a gdy przyjdzie ci oszukać własne serce, uczyni to bez wahania. *Bless*, Vidarze.

- *Bless...* - szepnął skald, próbując się otrząsnąć z czaru, jaki nim owładnął, lecz nie zdołał wykrztusić ani słowa więcej.

Milcząc, patrzył, jak jego drobny przyjaciel, naraz o wiele starszy i bardziej znużony, odwraca się i powoli, nie oglądając się, wędruje ku wałom Nidaros, zbrojnym w wieżyce szarego zamczyska.

Wierzchołki okalających fiord gór zabarwiły się purpurą. Żeglarze na kołyszącej się lekko snekkji wybrali ostatnie liny i spojrzeli wyczekująco na Vidara. Skald westchnął i pokręcił głową, po czym poprawił worek na plecach i zszedł ku cichym falom, omywającym kamienisty brzeg.

## ROZDZIAŁ 3

Ciężkie skrzydła bramy grodu rozwierały się powoli, ociążały. Stopy pchających je parobków ślizgały się w błocie, a ich przemoczone, brudne płaszcze wlewały się po ziemi niczym szczurze ogony.

Viglund patrzył na nich wzgardliwie, niemal z nienawiścią.

- *Ég heilsa yður, Viglund Vidarson!* - usłyszał niespodziewanie czyjś głos, zniekształcony monotonnym szumem ulewy.

Odwrócił się niechętnie i ujrzał dowódcę straży grodowej, który zmierzał ku niemu, próbując ominąć co większe kałuże.

- *Éttu skit* - warknął Viglund, nim mężczyzna zdążył powtórzyć słowa powitania.

Twarz woja stężała.

- Konung mi rzekli, cobym was do niego poprosił, jak tylko do Nidaros zjedziecie - burknął. - I to w te pędy.

Viglund zagryził wargi i otarł mokre czoło, po którym pomknął właśnie kolejny strumyczek wody. Płaszcz z kapturem, choć nasączony foczym tłuszczem, przesiąkł już w kilku miejscach i ciałem młodego høvdinga raz za razem wstrząsały dreszcze.

Szlag by to wszystko trafił, pomyślał z wściekłością. Nie dość, że ulewa złapała nas ledwie godzinę przed dotarciem do miasta, to jeszcze teraz przyjdzie mi się płaszczyć przed tym cholernym, starym grzybem...

Ignorując dowódcę straży, pognął konia, aż znalazł się w krótkim, ciemnym tunelu pod strażnicą broniącą bramy. Następnie odwrócił się w siodle ku szarym, rozmytym w deszczu chatom podgrodzia, spośród których wyłaniała się kolumna przemoczonych, znużonych Helsvinir. Wojownicy wlekli się noga za nogą, niektórzy wsparci na towarzyszach. Żaden nawet nie spojrział na swego høvdinga.

- Zadanie wypełnione! - zawołał głośno, próbując przekrzyczeć szum ulewy i bulgot strumieni wody, które wypadały z rynn prosto do kałuż. - Każdy z nas zasłużył na garniec grzanego piwka i sen w ciepłym, miękkim łożu. Wieczorem zaś spotkamy się wszyscy tam, gdzie zabawa będzie huczeć najgłośniej!

Kilku mijających go wojów uniosło głowy, niektórzy nawet próbowali się uśmiechnąć, lecz nie przegnało to gorczy z serca Viglunda. Wiedział, że jego hird jest zbyt wyczerpany i zniechęcony, by w ogóle myśleć o zadaniu i cieszyć się z jego wykonania. Wiedział też, że mało kto będzie miał ochotę cokolwiek tej nocy świętować. Gdyby powrócili do Nidaros zaraz po spaleniu osady Sigvalda, zapewne by tak się stało. Ale teraz?

Mają mi wszystko za złe, myślał Viglund, przyglądając się pochylonym głowom mijających go ludzi, zakrytym mokrymi kapturem. Mają dość ganiań po lasach najpierw za niedobitkami z osady Sigvalda, a potem za zbiegłym Bjørgunem, lecz naprawdę to nienawidzą mnie za uchybienie czci ojcu. *Fjandinn!*

To właśnie wyczytał z oczu mijającego go piastuna Halbjørna, wycieńczonego do tego stopnia, że musiał się wspierać na lasce i ramieniu młodszego woja. Mam nadzieję, że konung wytłumaczy ci twój błąd, mówił jego wzrok. Mam nadzieję, że zrozumiesz...

\* \* \*

Komnata, którą konung Trygve zwał z przekazem tronową, była z pewnością najzimniejszym miejscem w zamczysku. Nie dość, że szare kamienie, z których wzniesiono ściany, ziały wilgotnym zimnem, to jeszcze ze wszystkich kątów i każdej szczeliny napływały zdradliwe przeciągi. Viglund czuł, że dreszcze całkowicie objęły panowanie nad jego zziębniętym ciałem, i z najwyższym trudem powstrzymywał szcęknięcie zębami.

A konung czekał. Skulony na swym stolcu niczym pajak przyczajony w kącie pajęczyny wpatrywał się w młodzieńca i co rusz otwierał zaschnięte usta, jakby wciąż nie mógł dobrać odpowiednio surowych słów. Kasłał tylko sucho, a czuwająca przy nim fińska niewolnica natychmiast przypadła doń, by poprawić okrywające go pledy.

- Sigvald nie żyje, a jego halla została spalona - odezwał się w końcu Viglund.

Dobrze wiedział, że w towarzystwie porywczego konunga nikomu nie wolno zabrać głosu, nie będąc pytany,

ale zimno z każdą chwilą stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Młodzieniec marzył, by jak najszybciej wyswobodzić się z okowów mesmerycznego wzroku starca.

- Zebraliśmy wszystkie dobra na wozy - ciągnął høvding - a niewolników spędziliśmy do kupy i powiązaliśmy. Tostig miał wszystkie łupy zarządcy oddać...

- *Fråbert* - prychnął Trygve. Jego wodniste, przymrużone oczy błysnęły w blasku kilku pochodni targanych podmuchami przewiewów. - Tedy został szubrawiec pokarany. Stawiał ci większy opór?

- Nie. Straciłem jeno dwóch ludzi, a czterech zostało rannych - odparł dumnie Viglund i dopiero po chwili zrozumiał własny błąd. Zaklął w myślach.

- *Ég skil*. To dlatego wracasz pięć dni później, Viglundzie Wilczy Pysku? - syknął konung, pochylając się ku niemu. - Tyle czasu zabrało ci oplakiwanie poległych?

- Nie chciałem, by któryś z Sigvaldowych uszedł z życiem, tedy nakazałem przeszukać okoliczne bory - odpowiedział hardo Viglund, lecz jego wzrok umknął ku czerni kąta. - A potem rozesłałem ludzi na poszukiwanie zbiegłego jeńca, musi kogoś znacznego, bo...

- Juźci - przerwał mu Trygve i zakasłał. - Gdybyś zaś łosia tłustego przyuważył, pewnikiem puściłbyś się za nim w knieje. Rzuciłbyś się też w wody fiordu w ślad za foką, a już na pewno nie przepuściłbyś rzece pełnej pstrągów. Nieprawdaż, Viglundzie?

- *Ég skil ekki*. - Młody høvding zacisnął wargi, choć w głębi duszy doskonale rozumiał ironię w słowach starca.

- I owszem, rozumiesz. Zrobiłbyś wszystko, szczeniaku, by na odjeźdnym pogrzyżyć swego ojca! - syknął Trygve, patrząc nań z niechęcią. - Siedział tu, na pożegnalnej uczcie, którą dlań wyprawilem, i wzroku nie spuszczał z wrót do sali biesiadnej! Do ostatniej chwili miał nadzieję, że jednak przybędziesz! Że jednak kryjesz na dnie serca resztki synowskiej miłości!

Blask pochodni pochłonął mrok, znikła gdzieś fińska niewolnica, odeszły w niepamięć zimne przeciągi. Viglund wbijał wzrok w starego konunga, a w jego spojrzeniu pulsowała straszliwa groźba. Czuł, że budzi się w nim dzika, nieskończona furia, która nie nawiedzała go od lat.

- Czyżbyście ważnych spraw na głowie nie mieli, *herra mirin*? - usłyszał swój głos, obcy, chrapliwy, drżący z ledwie tłumionego gniewu. - Czyżbyście się miłością synowską od dziś troskać zaczęli?

- Twój ojciec był jednym z najznamienitszych mężów Norweghru - odparł Trygve. - Nie masz ci drugiego, który by lepszą radą służył. Któż ninie wesprze mego syna Sveina, gdy mu przyjdzie mój stolec zająć?

- Winicie mnie tedy o to, *herra minn*, zem Sveina piastuna a doradcy pozbawił? - prychnął pogardliwie Viglund. - Przestańcie więc brednie o miłości wygadywać! Rządzenie jeno wam w głowie, konungu! Rządzenie i rozstawianie ludzi kiej figury szachowe!

Gniew potężniał w nim z każdą chwilą. Włosy na przedramionach podnosiły się, a wzdłuż karku przemykały dzikie dreszcze, które nie miały nic wspólnego z zimnem. Paznokcie przebiły skórę dłoni, lecz nawet tego nie poczuł. Drapieżne, coraz szybsze pulsowanie krwi przepędzało ostatnie rozsądne myśli. Wydawało mu się, że popełnia straszliwy błąd, odzywając się w ten sposób do nieubłaganego, słynącego z surowości konunga, lecz o dziwo świadomość ta obudziła w nim radość.

Trygve najwyraźniej zorientował się, że młody høvding z wolna traci panowanie nad sobą, gdyż zamilkł i poprzestał na mierzeniu go wzrokiem.

- Kim był ów znaczny jeniec, który ci zbiegł? - spytał w końcu.

- Musi, że drug to Sigvaldowy - wychrypiał Viglund i przechylił lekko głowę, nie przestając się wpatrywać w starca. - Niski, krępy kiej barylka, ciemnowłosy. Zwał się Ivar Pęknięta Tarcza, syn Josteina z Gotlandii. Znaczny wojak, ani chybi.

W rzyć mnie całuj, wyschnięty pająku! - zawył głos w jego duszy, zagłuszając na moment dudnienie gorącej

krwi. Na co ci to wiedzieć, skoro równie dobrze mógłbym gonić za łosiami czy łowić pstrągi?! Dumaj teraz! Myśl, kim jest Ivar syn Josteina! Myśl, aż ci ten posiwiący łeb pęknie!

Na bladej, przypominającej maskę twarzy Trygvego nie pojawił się jednakże nawet najmniejszy ślad zaskoczenia. Przez moment starzec wpatrywał się w Viglunda, gdy nagle zdjął go kolejny atak suchego kaszlu. Rozwścieczony brakiem reakcji młodzieniec ledwie dostrzegł, że kaszlący starzec machnął lekko dłonią, nakazując mu opuścić salę.

\* \* \*

Lodowate strugi deszczu natychmiast przypomniały mu o tym, że jego ciało jest zziębnięte, a ubranie nadal przemoczone. Nie ugasiły jednak płomienia furii, który z każdą chwilą stawał się coraz większy. Viglund ryknął, pochwycił obłożony kamień leżący na ziemi i cisnął nim we wrota zamczyska, które właśnie zatrzaśnięto za jego plecami.

- Niech cię piekło pochłonie! - wrzasnął. - Niech kruki rozwlóczą twe ciało, cuchnący grzybie!

Z oczyma nabiegłymi krwią rozejrzał się w poszukiwaniu ofiary, na której mógłby wyładować wściekłość. Z wieżycy nad bramą przyglądali mu się milczący strażnicy, lecz ci pozostawali poza jego zasięgiem. Wśród niskich, krytych darnią chat podgrodzia nie dostrzegął żywego ducha. Gwałtownym ruchem otarł czoło ze strumyków wody ściekających z przemoczonego kaptura i sięgnął po następny kamień, lecz poślizgnął się w błocie i upadł na kolana.

Jego furia buchnęła jeszcze silniejszym płomieniem.

- *Andskotinn!* - ryknął i zadarł głowę ku stalowoszarym, nieprzeniknionym chmurom, nieprzerwanie ciągnącym znad fiordu i nieodległego morza. Strugi deszczu siekły go po twarzy, lecz nawet tego nie zauważał. - Miłość synowska! - zawył. - Cały Midgard się sprzysiągł, by nauczyć mnie miłości do ojca! Trygve, Halbjørn, co drugi woj w hirdzie pewnikiem też radą służyć gotów... Bądźcie wszyscy przekłeci! Tak, nienawidzę mojego ojca i mam do tego prawo! Prawo skrzywdzonego syna!

Przymknął oczy, drżąc z tłumionej wściekłości. Niespodziewanie napłynęły wspomnienia z dzieciństwa, obrazy, których nienawidził z całego serca, lecz tym razem postanowił ich nie odpychać. Chciał nakarmić się bólem, który nieodmiennie przynosiły. Znów stał na dziedzińcu zamkowym w słoneczne popołudnie tuż przed midsommer i z płaczem pytał ojca, dlaczego inne dzieci nie chcą się z nim bawić. Vidar nie odezwał się ani słowem i tylko przytulił go mocno, aż za mocno. Ów gest, miast uspokoić, obudził w nim jeszcze większy niepokój. Wieczorem tego samego dnia wymknął się poza mury miejskie i przykłęknął na brzegu leśnego strumyczka, by w bladym świetle północnego słońca po raz pierwszy świadomie przyjrzeć się swojej twarzy. Wpatrywał się w swe rozedrgane, lecz nadal szpetne oblicze, wodził po nim palcami i z wolna docierało do niego, że jest odmienny i zawsze odmiennym pozostanie.

Tego dnia zgasło dla niego słońce.

- A ty? - wyszeptał drżącym głosem. - Co ty dla mnie wtedy zrobiłeś? Tuliłeś mnie bez końca bądź wkleś do kościoła, byśmy obaj szukali spokoju w modlitwie. Zupełnie jakby to mogło dać mi zwykłą gębę! Jakbym mógł w ten sposób stać się kimś normalnym!

Wkrótce przekonał się, że prócz szkaradnego oblicza otrzymał jeszcze inny dar - niepohamowaną, śmiercionośną furie, która obudziła się w nim owego feralnego dnia, gdy zrozumiał swą odmienność, i z wolna narastała, by uwolnić się kilka tygodni później, gdy mimo sprzeciwu i niechęci rówieśników dołączył do gry w piłkę na łące niedaleko Hladir. Czuł podświadomie, że ten dzień nie skończy się dla niego niczym dobrym, ale się nie wahał.

- Śmiali się ze mnie... Szydzili za każdym potknięciem, obrzucali wyzwiskami, a ja cierpliwie czekałem na chwilę, gdy nie będę już mógł się opanować - szeptał Viglund. - Wtedy Askil, szczeniak Thorvalda Czarnego wrzasnął tuż przy moim uchu: „Krzywa mordą!”. Pochwyciłem tedy za kłodę i roztrzaskałem mu łeb.

Nie interesowały go wysiłki ojca, który starał się ułagodzić straszliwy gniew Thorvalda, a w końcu zapłacił mu

gigantyczną główczyzną. Nie przejmując się niczym, polował wśród chat podgrodzia na inne, najgłośniejsze z nich szyszające dzieciaki. Jednego pochwyił niedaleko stajni konunga i gdyby nie kilku stajennych, udusiłby go bez litości. Ciężko obity, z trudem dowlekl się do komnaty zamkowej, którą zajmował wraz z ojcem, i ledwie zatrzasnął za sobą drzwi, furia eksplodowała w nim raz jeszcze. Tym razem obrócił swój gniew przeciwko piastunce zajmującej się nim od śmierci matki.

- To chyba wtedy okrzyknięto mnie potworem - szeptał, zlizując krople deszczu z warg. - Nie wolno mi było chodzić po grodzie, gdyż zewsząd na mnie czyhano... Każdy chciał cisnąć kamieniem w małego berserka.

To właśnie wtedy Vidar znalazł Halbjørna, który zgodził się zostać piastunem młodego Viglunda. Cierpliwy, stary woj nie uląkł się furii drzemiącej w młodym Vidarsonie i nauczył go walki mieczem, zapasów, strzelania z łuku, ciskania oszczepem, a nawet polowania i łowienia ryb. Wnet okazało się, że Viglund wykazuje rzadko spotykany talent do walki i mało który woj z hirdy konunga jest w stanie się z nim mierzyć. To zaś sprawiło, że nienawiść, jaką darzono syna Vidara, zamieniła się w strach i niechęć. Wtedy to Trygve Surowy postawił go na czele swego drugiego hirdy.

- Wszystko, co ninie potrafię, zawdzięczam Halbjørnowi. - Viglund pokręcił głową, jakby go przytłoczyło to spostrzeżenie. - Ojciec był zbyt zajęty służeniem konungowi, by nauczyć mnie czegokolwiek... Potrafił się jeno o mnie modlić... Modlić! *Fjandinn!* I oto, co mi wymodlił! Stoję na czele hirdy wyrzutków i miotam się po Norvegrze, mordując rodziny tych, którzy odważą się sprzeciwić konungowi. Nie mam ziemi ani sławy wojennej! Nie mam majątku, szacunku czy dobrego imienia! Drogę toruje mi jedynie strach, taki strach, jaki odczuwa się przed szaleńcem, lecz wystarczy, bym się odwrócił, a strach zamienia się we wzgardę i kpinę. Oto Viglund Wilczy Pysk, dziki berserk, wódz watahy straceńców! Najgroźniejszy pies konunga, bo kąsa nawet najbliższych!

Wysoko wśród chmur zagrzmiało, jakby któryś z bogów również postanowił wyrazić swój gniew. Znad morza nadciągnął kolejny tabun wichrów, z których każdy smagnął twarz Viglunda garścią strug deszczu. Młodzieniec pochylił głowę i powoli, z wahaniem dźwignął się na nogi, by pójść do własnej chaty.

\* \* \*

Vidar nakłaniał go swego czasu, by zajął którąś z komnat zamkowych, jak przystało na syna wielkiego dostojnika i wodza groźnego hirdy. Viglund wyszydził jednak propozycję - nie miał najmniejszego zamiaru spędzać całych dni wśród tych, którzy spieszenie usuwali mu się sprzed oczu, by pokpiwać i spiskować za jego plecami. Za nic miał zaszczyty przynależne høvdingowi i z pomocą wiernego Halbjørna zbudował niewielką chatę na skraju podgrodzia, daleko za wałami okalającymi Nidaros.

Był jeszcze daleko od zagrody, gdy drzwi chaty, zbite z mocnych sosnowych desek, odskoczyły gwałtownie i uderzyły o krytą gliną ścianę. Ze środka wystrzeliła drobna, wręcz filigranowa postać i rzuciła się ku niemu biegiem. Lniana koszula bez rękawów oraz skromna suknia, a także długie, ciemne warkocze w mig przesiąkły deszczem. Spod drewnianych chodaków tryskało błoto, lecz nie zraziło to biegnącej. Szum ulewy nie zagłuszył radosnych pokrzykiwań.

Høvding zatrzymał się z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- Viglund! Viglund, wróciłeś! - wołała w biegu dziewczyna.

Zatrzymała się ledwie kilka kroków od niego, zdyszana i całkiem przemoczona. Po jej skroni, kształtnych kościach policzkowych i drobnej brodzie ściekały strumyki deszczu, lecz niebieskie oczy skrzyły się z radości.

- Wróciłeś! - szepnęła, wpatrując się weń z zachwytem. - Miałam złe, bardzo złe sny...

- Wróciłem - burknął Viglund i wzruszył ramionami, po czym ruszył przed siebie, omijając dziewczynę łukiem. - Nie wiem tylko, po jaką cholere.

- Modliłam się o twój bezpieczny powrót! - szczebiotała dziewczyna, całkiem niezrażona chłodnym

powitaniem. - Ludzie mówili straszne rzeczy...

- O mnie się mówi tylko straszne rzeczy, Thyro.

- Mówili, żeś uciekł, że mnie porzuciłeś... Że bez reszty ogarnęło cię szaleństwo i uciekłeś w góry, by żyć wśród dzikich stworzeń - ciągnęła Thyra. - Ale ja nie wierzyłam.

- Nie? - Viglund uśmiechnął się krzywo. - Naprawdę? Ujmuje mnie twoje oddanie. Zostało coś kaszy?

- Wasz ojciec zresztą też nie dawał wiary. Był tu i zapewniał mnie...

- Mój ojciec? - spytał głucho Viglund, znów się zatrzymując.

Świat zakołysał się ponownie, a szare chmury nad jego głową zaczęły błyskawicznie ciemnieć.

- Mój ojciec? - spytał znowu, lecz tym razem ledwie rozpoznał swój głos, chrapliwy i obcy. - Zachodził tutaj?

- Pytał o ciebie, zatroskany co niemiara, zasmucon niedłwie... Pięknie o tobie prawił, z tęsknicą jakową w głosie... - mówiła dziewczyna, lecz nagle się zawahała. - Viglundzie?

Nie słyszał dalszych słów Thyry. Stał nieruchomo i pozwalał, by wściekłość narastała, pęczniała w jego sercu. A więc dotarł aż tutaj, by skamleć o słowa pożegnania? Kadził tej głupiej dziewczce o miłości między ojcem i synem? Może nawet obiecał, iż się będzie za niego modlić?

Do rzeczywistości sprowadziło go szarpnięcie za ramię.

- Dalej, musisz się rozgrzać przy ogniu! - wołała dziewczyna, targając go za ramię i próbując zaciągnąć w stronę chaty. - Musisz zjeść coś ciepłego i zmienić ubranie na suche, a potem gadać nam mus! Opowiesz mi wszystko o swej wyprawie... Ale najpierw ubranie! Twój ojciec kazał mi się tobą opiekować, tedy...

- *Farðu* - warknął przez zaciśnięte zęby.

- *Hvað?* - Dziewczyna zesztyniała, ale nie puściła jego ramienia. - Co powiedziałaś?

- *Farðu!* - ryknął z taką mocą, że przerażona Thyra odskoczyła w tył, poślizgnęła się w błocie i wpadła plecami na ścianę chaty.

Na jej mokrej twarzy zastygł wyraz trwogi.

- Bierz swoje manatki i się wynoś! - krzyczał Viglund. - Tak, wiem, że jesteś niewolnicą, ale ja już cię nie chcę! Mam dość twojego gładzenia! Mam dość tej cholery przypalanej kaszy! *Farðu*...

- Ale... - Dziewczyna wpatrywała się w høvdinga szeroko rozwartymi oczyma. - Ale ja jeszcze nie...

Jej wywód przerwał siarczasty policzek. Oszolomiona uderzeniem Thyra straciła równowagę i upadła w błoto. Rozjuszony Viglund doskoczył do niej i wymierzył jej potężnego kopniaka w udo, po którym dziewczyna skuliła się, zakrywając głowę przed następnymi razami.

- Viglundzie... - zaszlochała żałością.

- Odejdź! - wrzasnęła. - Przystań skamleć i odejdz! Odejdź! Nie potrzebuję cię, idź sobie, wszeteczniczo! Idź!

Szum deszczu zdusił echo jego wrzasku. Wśród bruzd błota płynęła krew.

\* \* \*

Dochodził już wieczór, gdy Viglund, zziębnięty i znużony, a nade wszystko głodny, pchnął drzwi tawerny Pod Łbem Odyńca. W całym Nidaros trudno było o miejsce bardziej ponure i niebezpieczne - nawet pomimo ognia, płonącego wesoło w palenisku pośrodku izby, ustawione wzdłuż ścian ławy tonęły w cieniach, a twarze zasiadających przy nich ludzi stawały się mało widoczne. Viglund jednakowoż nie miał wcale potrzeby przyglądać się z bliska komukolwiek, wprost przeciwnie. Marzył jedynie o tym, by samemu zasiąść wśród cieni, z garncem miodu i misą ciepłej strawy. Potrzebował chwili samotności, by uszła zeń przepelniająca go wściekłość, a powrócił zdrowy rozsądek.

Tawerny takie jak ta nie były przeznaczone dla wojów z dobrych rodów, bogatych kupców czy mistrzów rzemiosła. Tamci gościli w karczmach za wałami miejskimi, gdzie podawano gęsty miód, wino z dalekich stron czy

pieczenie pachnące przyprawami, natomiast Pod Łbem Odyńca było miejscem spotkań tych, którzy wciąż poszukiwali swej szansy w życiu. Schodzili się tam najemni parobkowie, wędrujący w poszukiwaniu pracy, przychodzili Smolarze, rybacy i drobni kramarze, sprzedający swój urobek na pobliskim targowisku, pojawiali się nawet niewolnicy, którzy zakończyli już swe obowiązki. Viglund cenił sobie towarzystwo ludzi ubogich, wiedział bowiem, iż ci są mniej skłonni do szydzenia z innych, których pokarał los.

Młodzieniec zatrzasnął za sobą drzwi i wciągnął w nozdrza duszne, przesycone dymem powietrze tawerny. Zgodnie z jego oczekiwaniem, niemal wszyscy biesiadnicy zmierzli go spojrzeniami, ale nikt się nie skrzywił z niechęcią, nikt też nie odwrócił pośpiesznie głowy. Viglund uśmiechnął się blado, ściągnął mokry, ociekający wodą płaszcz i podszedł do paleniska, przy którym suszyło swe ubrania paru innych, gawędzących cicho przybyszy.

- Coś wam podać, panie? - Gospodarz tawerny, chudy starzec o jasnych włosach i długiej skudłonej brodzie, zwracał się uprzejmie do każdego gościa, ale błysk w jego mętnych, zażawionych oczach zdradził, iż poznał Viglunda.

- Dajcie coś ciepłego do jedzenia - rzucił młody høvding, siadając na skraju ławy przy palenisku. Pozostali siedzący tam ludzie nawet nie zwrócili na niego uwagi. - I miodu mi znajdźcie.

Miód okazał się nie najgorszy, a w kaszy znalazł mnóstwo smakowitych skwarków, co było kolejnym dowodem, iż gospodarz rozpoznał swego nowego gościa i postanowił ugościć go na miarę swych możliwości. Viglund szybko zjadł kaszę, wytarł miskę chlebem i dopił miód, po czym zamówił kolejny kubek.

Tak, pomyślał, rozglądając się wokół. Oto właściwe miejsce dla mnie. Ponura dziura, gdzie ludzie nie patrzą sobie w oczy.

Pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i zagapił w płomienie. Gęsty miód i bijący od nich żar sprawiły, że wściekłość kotłująca się w jego sercu zaczynała z wolna ustępować. Na brzydkiej twarzy Viglunda zastygł krzywy uśmiech. Zniknął już głód i, w miarę jak schło ubranie, zapominał również o zimnie. Pozostały mu smutek i gorzyc.

To zabawne, pomyślał. Dopóki ojciec przebywał w Norvegrze, wszystko wydawało się stabilne. Nienawidziłem swego życia, ale przynajmniej wiedziałem, na czym polega i czego mogę się po nim spodziewać. Wszystko runęło dopiero teraz, gdy ojciec postanowił wrócić na Islandię. Naraz wszystko się zawaliło. Straciłem szacunek hirdu, nabrałem nienawiści do konunga i wyciepniętem z chaty białkę. Nic mi się nie ostało, jeno szkaradna gęba, dobry miecz i garść srebrnych skwarków, by za wieczерzę zapłacić... Zalibyście, ojciec, nawet wyjechać z kraju nie potrafili?

Pokiwał lekko głową, ale nie czuł już wściekłości, jedynie żal. Wiedział, że Vidar zostawił mu jakieś ziemie, lecz by dowiedzieć się czegoś więcej, musiałby porozmawiać z Trygvem, na co w ogóle nie miał ochoty. Poza tym, zupełnie nie widział się w roli chłopca uprawiającego ziemię i wypasającego bydło.

Akurat, myślał. Marny by był ze mnie gospodarz. Czyżby pozostało mi nadal służyć konungowi jako høvding Helsvinir?

Splunął w płomienie. Nie, nie, po trzykroć nie. Nie będzie już wypełniał krwawych misji dla konunga. Nie będzie palił i mordował za miskę zupy i garść srebrnych monet. Nie po tym, jak został potraktowany w sali tronowej.

- Znajdź sobie innego straceńca, któremu na niczym nie zależy! - szepnął, oczarowany tańcem płomieni w palenisku. - Mój czas w Norvegrze dobiegł końca.

Jego myślom zabrakło już pasji. Huczące płomienie stawały się coraz wyższe, a głowa coraz cięższa, niemalże nie do utrzymania. Otaczający go świat zalała lepka senność, a rozmowy zmieszały się w ciche, niezrozumiałe szmer.

- Końca... - powtórzył niewyraźnie Viglund, próbując raz jeszcze rozchylić powieki.

- Jomsborczycy, jak nic, mówię wam! - czyjś gromki okrzyk momentalnie rozwiął gęstniejące opary snu.

Młodzieniec wyprostował się i zamrugnął.

Do kilku znużonych wojów ze straży grodowej dosiadł się kolejny, którego ci powitali niechętnymi mruknięciami. Przybysz zarzucił mokry płaszcz na ławę i zawołał o garniec najlichszego piwa.

- Chyba ci wichry wywiały resztki rozumu, Sigbjørn - rzekł z niesmakiem jeden z wojów. - Takie bajki to dziewczkom opowiadaj, cobyś je łącniej na siano mógł zaciągnąć. Jomsborczycy od lat cicho siedzą daleko u Wenedów. Do reszty zdziazieli, psubraty, i dobrze, bo to nieużyta banda.

- A po czym tyś poznał, że to właśnie Jomsborczycy, co? - zadrwił drugi. - Kłaniać się tobie zaczęli a przedstawiać? Witajcie, dzielny Sigbjørnie! Pomocy nam u ciebie szukać trzeba, bo w biedzie wielkiej jesteśmy...

- Wy sobie kpicie - Sigbjørn wychylił haust piwa, otarł wąsy i beknął potężnie - ale ja pewien jestem swego, bom okręt poznał, kamraci! To „Silfur Mávurinn”, snekkja, którą dziad mój Hildstein przed laty dla jarla Jomsborga zbudował! Pomagałem mu przy robocie i znam tę krypę od stępki aż po smoczy łeb na dziobie! Powiadam wam, to „Silfur Mávurinn” i nie może być inaczej. Zdatny okręcik, powiadam wam. Leżał wyciągnięty na brzeg Lundaflói, burtą zwrócony do drogi, jakże miałbym nie poznać!

- A skąd ty wiesz, barani łbie jeden, czy aby Jomsborczycy komuś go nie odsprzedali? - burknął najstarszy z wojów. - Stracić go również łącno mogli. Ludzie nie boją się Jomsborczyków tak jak drzewiej. Coś mi się widzi, Sigbjørn, że ino chcesz tanią opowiastką na kolejny garniec piwska zarobić.

- A gdzie tam! - zaperzył się przybysz. - Załoga jakieś pakunki na pokład wносиła, a jeden taki, wysoki a chudy, ciągiem na nich pokrzykiwał, że ma już dość chowania się po lasach i ninie do Jomsborga mu się cknii. Słyszałem wyraźnie, mimo że ulewa szumiała i wiatr znad morza świstał. Mówię wam, kamraci, tak ostrego głosu nigdym nie słyszał. Musi ktoś to znaczny być...

- Tfu, oby biedy z tego nie było - zafrasował się któryś z wojów. - Piraci na naszym wybrzeżu, tak blisko Nidaros? Jeśli prawdę rzeczesz, Sigbjørn, może trza konunga powiadomić?

- Iii tam. - Sigbjørn machnął ręką. - Ledwie tuzin ich przy statku naliczyłem. Nie ma strachu, kamraci.

- Strachu? - burknął najstarszy z wojów. - Jeszcześ robił pod siebie, Sigbjørn, kiedym ja z Jomsborgiem pod jarlem Thorleifem z Orkadów wojował. I nie gadaj mi tu o...

Więcej Viglund słyszeć już nie musiał. Gwałtownie zerwał się z ławy, wzbudzając kilka okrzyków zdumienia, po czym chwycił za płaszcz i wybiegł jak szalony na dwór, by zniknąć pośród deszczu.

## ROZDZIAŁ 4

Z tej odległości ciemne kontury Nidaros przypominały ogromnego smoka z legend, który zlecił nad brzegiem szerokiego fiordu. Nieliczne światełka przywodziły na myśl połyskujące, złote łuski, a wysoka, wciąż niedokończona wieża katedry wyglądała jak złożone wpół, zmęczone skrzydło. Wielki groźny smok drzemał, nie zwracając zgoła uwagi na tę, którą nieomal zniszczył.

Thyra zawsze lubiła legendy i opowieści, ale nigdy nie sądziła, że kiedyś przyjdzie jej wziąć w jednej z nich udział. W tej o wygnaniu.

Stała na Svartvindaskarð, na trakcie prowadzącym do Dvergurfjall i po raz ostatni spoglądała na miasto, które najpierw udzieliło jej schronienia, a potem odarło z wszelkiej nadziei. Patrzyła na obwiedziony wysokimi wałami mur, za którym krył się zamek konunga oraz kwatery jego hirdy, na szerokie podgrodzie, które wylało się już daleko poza niższe, opasujące je wały, na przystań z szopami łodziowymi, cmentarz, targowisko i masywną katedrę, a w jej sercu na powrót odezwał się rozdzierający ból. Wiedziała bowiem, że patrzy na miasto po raz ostatni.

- Nigdy już tu nie wrócę - szepnęła i przetarła opuchnięte od płaczu oczy. - Mam swój honor, nigdy tego nie zrobię. *Aldrei*.



Viglund, który kupił ją przed kilkoma miesiącami od Eysteina z Bjarney, nie zdawał sobie sprawy, że w jej żyłach płynie szlachetna krew. Jej matką była zwykła kobieta z ludu, ale ród ojca, angielskiego nobila, wywodził się od Rzymian. Do nielicznych rzeczy, jakie ojciec zdołał wpoić Thyrze, nim dziewczynę porwali duńscy piraci, należały honor i poczucie własnej wartości. Jako niewolnicy pielęgnowanie obu tych cech przychodziło jej z trudnością, lecz w chwili takiej jak ta ukazały się w całej pełni. Została wyrzucona, tak po prostu wyrzucona z domostwa, które zamieszkiwała przez ponad pół roku. Nic w świecie nie skłoniłoby jej, żeby błagać Viglunda o litość.

Nic w świecie, mimo że znalazła tam swoje szczęście.

Dobrze pamiętała chwilę, gdy ujrzała Viglunda po raz pierwszy. Oszołomiona zgiełkiem targowiska w Nidaros, stała z opuszczoną nisko głową, próbując powstrzymać łzy rozpacz. Stojący obok niej parobek, który zachwalał niewolnicę ochryplym krzykiem, niespodziewanie zamilkł, a Thyra poczuła, że ktoś ją łapie za podbródek i unosi jej głowę. Nie mogła się przed tym obronić, musiała spojrzeć mu prosto w oczy.

To, co w nich wyczytała, obudziło w niej paniczny lęk. Wąskie, przymrużone oczy, nieledwie ślepią zwierzęcia, sięgająca brwi grzywa ciemnych włosów oraz wykrzywione usta z wiecznie przygryzioną dolną wargą nadawały nowemu nabywcy wygląd przybysza z krainy mrocznych opowieści. Stał przed nią, milczący i ponury, a przerażona Thyra modliła się, by zemdleć i nie musieć się już wpatrywać w jego straszliwe oblicze. Gdy zaś ujrzała, jak odpina sakiewkę i niedbałym ruchem ciska ją w błoto u stóp parobka Eysteina, myślała, że serce pęknie jej z rozpacz.

Obiecywała sobie na wszystkie świętości, że pierwszemu, kto ją kupi, zamieni życie w piekło, choćby miało ją to drogo kosztować, ale gdy nieznajomy szarpnął ją za ramię i powłókł do swojej chaty, zabrakło jej nagle odwagi. Szlochając, szła posłusznie za nim, żegnając się w duchu z wszelką radością w życiu i z promieniami słońca.

Wbrew jej najgorszym koszmarom, nie pobił jej ani nie posiadał tej nocy. Wskazał jedynie ławę, obok której leżała wyliniąta owcza skóra, a potem skinął w kierunku paleniska.

- Będziesz tu sprzątać i gotować - rzekł głuchym głosem. - A także szyć i sprawunki załatwiać. I masz być posłuszna.

Łykając łzy pod osłoną ciemności, pozwoliła sobie na cień nadziei, że może się jakoś ułożyć. Sen, który nawiedził ją tej nocy, był zaskakująco ciepły i dodający otuchy.

Następnego dnia o świcie Viglund wypił kubek wody ze studni i zjadł pajdę chleba, zagryzając ją kawałkiem sera, po czym udał się nad brzeg Nidelvy, by ćwiczyć walkę w szyku ze swymi podwładnymi. Thyra zaś, powolna jego słowom, posprzątała w chacie oraz w obejściu, ugotowała garniec strawy, zacerowała kilka podartych koszul, a wszystkie inne rzeczy zabrała na brzeg rzeki do uprania. Nadal czuła strach przed swym mrocznym panem, lecz widząc go w kolczudze, jak komenderuje ludźmi, jak gani nieudolnych i wykrzykuje słowa zachęty, poczuła niechętny, lecz nieodparty podziw.

Gdy wrócił pod wieczór do domostwa, znużony, spotniały, lecz tym bardziej przerażający, powitała go za progiem, zgięta w pokornym ukłonie. Kątem oka widziała, jak Viglund się rozgląda, pełnym zaskoczenia mruknięciem kwitując zastany porządek, po czym nachyla się nad garncem z dymiącą, apetyczną strawą.

- Nałóż mnie, a potem sobie - burknął i zasiadł do wieczerzy.

Ulga sprawiła, że dziewczyna aż westchnęła i się uśmiechnęła. Viglund zauważył to i odpowiedział lekkim, niemalże niedostrzegalnym grymasem, który przy odrobinie dobrej woli można by również uznać za uśmiech. Z tą chwilą Thyra przekonała się, że jej nowy pan nie jest bestią, która dyszy nienawiścią do całego świata, i w jej głowie zaświtał nowy plan. Następnego dnia rano, nim zabrała się do pracy, zadbała o to, by góra jej koszuli nie została szczelnie zapięta.

Tego samego dnia skłoniła go do kolejnego bladego uśmiechu, a dwa dni później roześmiał się po raz pierwszy. Thyra uwijała się wokół niego z coraz większą ochotą. Wkładała wiele serca w przygotowywanie posiłków,

utrzymywała obejście w czystości, reperowała jego odzież, a nawet sama tkła, ale przede wszystkim napełniała domostwo radosną atmosferą. Zawsze witała go nieśmiałym, ciepłym uśmiechem, starała się wyprzedzać jego życzenia i często podśpiewywała, gdy był w pobliżu. Była uległa i okazywała swemu panu podziw, ale nie zapominała o dyskretnym ukazywaniu wdzięku, o przelotnych dotknięciach czy delikatnych muśnięciach włosami. Odnosiła wrażenie, że jej zamysł zaczyna przynosić efekty. Nie dość, że Viglund nigdy jej nie uderzył ani nawet nie zelżył, to jeszcze coraz częściej do niej zagadywał, aż w końcu zaczął z nią żartować i się przekomarzać.

Jej wdziękowi uległ dopiero po paru miesiącach, gdy prawie straciła nadzieję, że w ogóle interesują go kobiety.

Do tej pory sądziła, że wspólne noce to najlepszy sposób na rozgryzienie tajemnic duszy kochanka, lecz Viglund okazał się wyjątkiem od tej zasady. W łóżu był niespokojny i nieprzenikniony - potrafił ignorować ją przez całą noc, by nagle, nieoczekiwanie posiąść brutalnie tuż nad ranem. Milczał nawet po najbardziej upojnych chwilach i nigdy nie wyjawiał żadnych sekretów. A krył ich aż nadto, co do tego Thyra miała pewność. Czy w przeciwnym razie tak często dręczyłyby go koszmary? Czy upijałby się do nieprzytomności w nędznych knajpach lub spędzał całe noce na ostrzeniu miecza?

Nie udało jej się dotrzeć w głąb jego duszy ani też oswoić niepokoju, który go dręczył, lecz z każdym dniem uświadamiała sobie, że zależy jej na tym coraz bardziej. Nie chodziło jej już o oczarowanie nowego pana i zapewnienie sobie jak najwygodniejszego bytu, chodziło o niego samego, o jego troski i rozterki. Z coraz większą tkliwością opatrywała drobne rany, które odnosił podczas ćwiczeń, z nieustającą cierpliwością układała go do snu, gdy wracał pijany z biesiad w podłych tawernach, i z nieskończoną czułością głaskała jego spotniałe czoło, gdy rzucał się w nocy, dręczony koszmarami. Nie pamiętała już o swym początkowym lęku. Nie czuła się zagrożona - w jej duszy powoli rósł spokój, a także coś o wiele, wiele cieplejszego.

Gdy wyjeżdżał, płakała rzewnymi łzami. Mimo że nie powiedział jej, dokąd się wybiera, ani nie pożegnał choć jednym, serdecznym słowem, nie mówiąc już o pocałunku.

A teraz wrócił i kilkoma słowami roztrzaskał cały jej świat. Nie zdążyła mu nawet powiedzieć, jak bardzo go pokochała. Ani dlaczego z takim utęsknieniem oczekiwała na jego powrót. Jej sny znów okazały się niezawodnym ostrzeżeniem.

Odkąd pamiętała, sny zawsze zwiastowały gwałtowne zmiany w jej życiu. Nigdy nie widziała w nich wyrazistych obrazów, wychwytywała raczej nastrój, który ostrzegał przed zmianami. Brutalny realistyczny koszmar poprzedził porwanie z rodzinnego domu, inny ostrzegł ją przed pierwszym gwałtem, kolejny przepowiedział rychłą sprzedaż. Na tydzień przed powrotem Viglunda nie mogła już zmrzyć oka - straszliwe koszmary wyrwały ją z płytkiego snu i skazywały na bezsenne, duszne noce, przepełnione tęsknotą i obawą. Była przekonana, że Viglundowi przydarzy się jakieś nieszczęście, i ze wszystkich sił modliła się o jego ocalenie, lecz nigdy w życiu nie spodziewałaby się, że tragedia czeka ją samą.

Niebieskie oczy Thyry na powrót wezbrały łzami, które popłynęły po jej bladych policzkach, wciąż mokrych od deszczu. Naraz zatoczyła się i upadła na kolana, wpijając palce w błoto drogi. Jej ciało zadrżało od tłumionych konwulsji.

Wymiotowała długo i obficie, a nieodległy gród Nidaros, wraz z zamczyskiem, katedrą i ciągnącym się aż po rzekę podgrodzem, wpatrywał się w nią z obojętnością.

\* \* \*

To zabawne, jak wiele rzeczy zmieniło się od owego ataku na sadybę Sigvalda, pomyślał Viglund. Wtedy to drżałem ze zdenerwowania, choć miałem ze sobą cały hird, dwie setki chłopów na schwał, a przed sobą jedynie bandę na poły pijanych, niczego nieświadomych biesiadników. Ninie przywiódłem ledwie pół setki do ataku na nie wiadomo ilu Jomsborczyków, a czuję spokój jak nigdy.

Wychylił się zza głazu, chcąc jeszcze raz spróbować przebić wzrokiem ciemności, ale bez skutku. Wiatr natychmiast targnął za jego na poły wyschnięte odzienie i przeszył go tysiącem lodowatych igiełek. Młodzieniec czym prędzej schował się za osłonę głazu, klnąc przy tym szpetnie, lecz niemalże z rozbawieniem.

Prawdziwy gniew, jaki kotłował się w nim od chwili przybycia do Nidaros, znikł bezpowrotnie z chwilą, gdy wybiegł z karczmy Pod Łbem Odyńca i popędził ku długim chatom, w których rozlokowano Helsvinir. W jego sercu niespodziewanie zapanował spokój. Młody høvding naraz wiedział już, co ze sobą począć.

Mało-wiele nas dzieli od kolejnego spotkania, Bjørgunie Bywały, pomyślał, próbując opanować zdradzieckie szczękanie zębami. Tak po prawdzie to nicś mi nie zawinił, ale uciekając mi, wystawił na szwank me dobre imię, o które od dziś mam zamiar dbać. Zaczynam nowy okres w życiu, Bjørgunie, i dlatego nie mogę puścić twego czynu płazem. Tak oto ubiję dwa zające za jednym strzałem - pomszczę mą hańbę i zdobędę okręt, o którym usłyszałem kilka przychylnych słów.

W ciemnościach nocy zamajaczył jakiś ogromny cień. Zasapany Skalle, jeden z dwóch przybocznych, który zdecydował się poprzeć szalony plan swego høvdinga, zsunął się w dół i przysiadł tuż przy Viglundzie.

- Wszystko gotowe - szepnął podekscytowany. - Moi... Moi ludzie czekają przy skałach na północ od obozu, ludzie Tostiga przyczaili się na południu. Terje im przewodzi. Bystry młodzian.

- Widać coś? - spytał Viglund, czując, że zaczyna mu się udzielać podniecenie drużynnika.

- Gdzie tam, høvdingu - burknął olbrzym. - Ciemno kiej w czeluściach Hel. Chmury ciągiem niebo i gwiazdy kryją, dobrze, że deszcz się skończył. Prawicie, że ilu ich tam siedzi?

- Ponoć tuzin, ale to za mało jak na snekkję. Pewnikiem dwa tuziny, może i więcej.

- Dwa ogniska palą, psiajuchy. Musi, że więcej niż tuzin.

- Prawy, Skalle. Rzekłeś wszystkim o Bjørgunie?

- Rzekłem. Dla was ma ostać. Ranić wolno, jeno nie ciężko.

- Bywaj tedy, Skalle. Spotkamy się przy „Silfur Mávurinn”, a świt zastanie nas daleko stąd.

- *Bless!* - szepnął olbrzym, po czym pochwycił za swój topór i zniknął.

Spokój już się ulotnił, przepędzony przez potężniejące, radosne napięcie. Viglund odetchnął głęboko, próbując uspokoić dreszcze, i jeszcze raz wyjrzał zza głazu. Niestety, niemal absolutna ciemność zazdrośnie strzegła swego sekretu. Oba ogniska, przy których zasiadali Jomsborczycy, były zaledwie słabymi, ledwie migoczącymi światełkami. Nie widział ani ich okrętu, ani namiotów, które bez wątplenia postawili w tak zimną, wietrzną noc. Nieco dalej dostrzegał drobne, jaśniejsze plamki, najprawdopodobniej grzbiety fal pędzonych ku brzegowi. Oceniał, że od obozowiska ludzi Bjørguna dzieli go jakieś dwieście kroków biegu.

Biegu? Brzegi Lundaflói tworzyły oble głazy, podobne temu, za którym schował się przed wiatrem, lecz najczęściej o wiele mniejsze. Nawet za dnia wędrówka po nich stanowiła trudne wyzwanie, tym bardziej że niektóre oblepiały śliskie, wilgotne porosty. Nie miał pojęcia, jak poradzą sobie w całkowitym mroku, smagani wiatrem, spięci przed oczekującą ich walką. Nim spadną na karki Jomsborczyków, zapewne upłynie dobra chwila, a poderwać wszystkie oddziały swego hirdu naraz mógł tylko naśladować wycie wilka. Jeśli Bjørgun usłyszał jego zew przed atakiem na halle Sigvalda, z pewnością skojarzy go i w mig zorganizuje obronę. Tak, to był zdecydowanie słaby punkt jego planu ataku.

Tym razem nie usłyszy, pomyślał Viglund, nagle dziwnie rozkojarzony. Wiatr wieje przecie od morza. Zresztą, co mi tam. Czy ja jeszcze mam cokolwiek do stracenia?

Odczekał jeszcze chwilę, chcąc dać Skallemu czas na dołączenie do swoich ludzi, po czym wskoczył na głaz, nabrał głęboko tchu i otoczył usta dłońmi. Ku niewidocznym, czarnym jak krucze skrzydła chmurom popłynęła złowieszcza, drapieźna pieśń wilka, którą natychmiast pochwycił i poszarpał dziki wicher znad morza. Wilgotny podmuch targnął włosami Viglunda i smagnał go nimi w twarz, lecz młodzieniec parł już naprzód. Nie spuszczać

oczku z obu ogników, uważnie skakał z głazu na głaz. Kilkakrotnie serce zabiło mu mocniej, gdy nieomal stracił równowagę, ale widział coraz lepiej i jego skoki stawały się coraz dokładniejsze. Za plecami słyszał gniewne posykiwanie i tłumione przekleństwa garstki przybocznych, lecz nocnej ciszy nie przerwał jak dotąd żaden jęk, towarzyszący skręceniu kostki czy poważniejszemu obrażeniu.

*Mjög vel*, myślał Viglund, zapatrzony w rosnące, coraz bliższe ogniska, wokół których nadal nie widział żadnego poruszenia. Jeszcze tylko kawałek... Na pewno nie usłyszeli, wiatr jest coraz mocniejszy. Na Odyna...

Niespodziewanie uświadomił sobie istnienie jeszcze jednego słabego punktu swego planu i zatrzymał się jak wryty na szczycie kolejnego głazu. Któryś z biegnących za nim wojów nie zauważył go w porę i uderzył weń barkiem, ale Viglund nie zwrócił na to uwagi. Przerażony, próbował przeniknąć wzrokiem ciemność i dojrzeć skały, wśród których zaczaili się ludzie Skallego.

Skoro Jomsborczycy nie mogą mnie usłyszeć, to tym bardziej Skalle i jego chłopaki, myślał gorączkowo. A z tą garstką, co została przy mnie, mogą nie strzymać... *Andskotinn!*

Wytężył wzrok raz jeszcze i odniósł wrażenie, że dostrzega niewyraźne kontury skał. Odwrócił się ku nim i znów otoczył usta dłońmi, lecz wtedy znów ujrzał kątem oka ogniska jomsborskie, znajdujące się już niebezpiecznie blisko.

Na kozły Thora, zaklął w myślach. Jesteśmy za blisko. Jeśli ninie zawyję, prędzej oni mnie usłyszą niż Skalle. Nic, mus mi samemu do niego dotrzeć...

- *Árás!* - popędził swych ludzi, którzy zatrzymywali się wokół niego. Miast ich twarzy widział jedynie blade plamy, lecz był przekonany, że mierzą go pytającymi spojrzzeniami. - Ja uderzę z ludźmi Skallego!

Nie czekając na odpowiedź, przeskoczył na sąsiedni głaz i pochylony, balansując ciałem, ruszył ku skałom, które w tej chwili były zaledwie rozmazanymi plamami, ledwie ciemniejszymi od mroku nocy. Wykonał kolejny sus, a po nim jeszcze jeden, gdy usłyszał to, czego w głębi duszy obawiał się najbardziej - głuche stęknienie, a potem jęk bólu i miękkie pacnięcie. Ciemności całkowicie zakryły już jego ludzi, lecz nie musiał ich widzieć, by zgadnąć, co się stało. Któryś z nich poślizgnął się, skręcił kostkę i zsunął się między ogromne kamienie.

- *Fjandinn!* - prychnął Viglund. - *Dia klaufalegu óþokkar!*

Chwilę później usłyszał to po raz kolejny, tym razem z innej strony. A potem jeszcze raz.

- *Hvað?* - jęknął. Błyskawicznie narastało w nim straszliwe podejrzenie. - *Hvað er þetta?*

W ciemnościach szcęknał oręż, ktoś wrzasnął przeraźliwie, ktoś zawołał imię Thora. Od strony skałek, wśród których czaili się ludzie Skallego, nadbiegł przerażający wrzask agonii, porwany uderzeniami wiatru.

Oszołomiony Viglund okręcił się wokół własnej osi, zamiatając mieczem przestrzeń wokół siebie. Zerknął przy tym kątem oka na obozowisko Jomsborczyków, gdzie dalej paliły się oba ogniska, a wokół nich siedziały postacie ludzkie. Nagły obrót sprawił, że Viglund stracił równowagę i runął w tył.

Dlaczego oni nawet nie drgną? - przemknęło mu przez myśl. Dlaczego siedzą nieruchomo kiej...

Podświadomie oczekiwał, iż uderzenie o kamieniste podłoże wybije mu powietrze z płuc i sparaliżuje bólem, lecz nieoczekiwanie wylądował na czymś miękkim. Stęknął z przerażenia, odepchnął się i odtoczył na bok, aż uderzył ramieniem o jakiś kamień. Sięgnął po miecz, który upadł z brzęknięciem tuż obok, lecz jego dłoń (dopiero po chwili Viglund uświadomił sobie, że jest od czegoś lepka) natrafiła na stylisko ogromnego topora. W całym hirdzie tylko jeden człowiek zdolny był władać tak potężną bronią.

- Skalle? - szepnął, wyciągając rękę.

Jego palce przesunęły się po chropowatym, niegolonym policzku towarzysza, zsunęły się w dół i naraz natrafiły na szeroką wyrwę ziejącą w gardle, tuż ponad jabłkiem Adama.

- *Fyrir þor...* - szepnął młodzieniec.

Jęki i krzyki niosły się coraz głośniejsze, a do nich dołączył szcęk oręża. Wśród skał, na których przyczaili się

Skalle, najwyraźniej dochodziło do istnej masakry.

To zasadzka, przeszło Viglundowi przez głowę. Jomsborczycy wybijają moich ludzi!

- *Hörfið!* - wrzasnął. - *Hörfið! Hör...*

Raczej wyczuł niż dojrzał zbliżające się ostrze. Błyskawicznie rzucił się w bok i padł na mokre otoczaki, które zazgrzytały pod jego ciężarem. Tym razem zabołało, i to mocno. Viglund jęknął, lecz instynktownie przetoczył się po kamieniach. Klinga miecza, która przed chwilą przecięła ze świstem powietrze, tym razem skrzesła iskry o podłoże. Wciąż niewidoczny przeciwnik zaklął szpetnie, najprawdopodobniej straciwszy na moment czucie w ramieniu.

- *Komdu hingað!* - krzyknął chrapliwie. - Mam szczenię Vidarowe!

Szczenię? - pomyślał oszołomiony Viglund, wykorzystując sytuację i zrywając się na równe nogi. Znowu miał miecz w dłoni.

Nieznany wróg - Jomsborczyk? - zauważył, że Viglund znów jest gotów do równorzędnej walki i z dzikim rykiem rzucił się do ataku.

- Broń się, Wilczy Pysku! - Zaśmiał się. - Nędzny z ciebie drapieznik, boś zasadzki nie umiał wywęszyć!

Miecz napastnika ciął z lewej. Viglund unikałby go bez trudu, gdyby zdradliwe otoczaki nagle nie zachybotwały się pod jego nogami. W ostatniej chwili padł na kolana. Wroga klinga przeleciała tak blisko, że poczuł na czole podmuch rozcinanego powietrza.

- Broń się, bo usiekę jak tego brodacza! - wykrzykiwał napastnik, śmiejąc się dziko. - Krwi utoczę i tuszę sprawię!

Nieodległe morze zaszumiało, tak jak przybierający na sile wiatr. A może to krew tak wzbierała?

Wraca, uświadomił sobie Viglund. Moja furia wraca...

Poderwał się z cichym warknięciem, w porę, by zablokować opadające ostrze. Jego przeciwnik stęknął, zaskoczony tak błyskawiczną reakcją, i w tym samym momencie czoło *høvdinga* *Helsvinir* zmiażdżyło mu nos.

- Usiekłeś Skallego, tak? - szepnął głucho, wierzchem dłoni ścierając krew z czoła. - Zabiłeś go z zasadzki, w ciemnościach, niczym podły złodziej... I masz czelność się tym szczycić?

Uderzony mężczyzna zatoczył się jak pijany. Z jego ust wyrwał się jęk bólu, ale Viglund nie słyszał ani tego, ani wrzasków ginących *Helsvinir*. Wszystko zagłuszało coraz głośniejsze pulsowanie krwi.

- Zapłacę ci za to... - szeptał Viglund, postępując ku swemu przeciwnikowi, który jedną ręką trzymał się za obficie krwawiący nos, a drugą unosił drżący, skierowany ku niemu miecz. - Zapłacę cenę godną zdrajcy...

Otoczający go mrok zyskał naraz rdzawy odcień. Zniknęły gdzieś rozpacz i zrezygnowanie, a ławice chaotycznych, niepokładanych myśli rozbiegły się, by ustąpić jednej, lecz wyraźnej: pomścić Skallego, pomścić drwiny...

Viglund znowu zawył, lecz tym razem jego zew był przepelniony niespożytą, nieskończoną mocą. Z wściekłością odtrącił niepewny, słaby cios przeciwnika, wyrwijąc mu miecz z garści, po czym bez wahania wbił ostrze w jego genitalia.

- Prawdziwy mąż nie podrzyna gardeł pod osłoną mroku - syknął. - Tedy nie będziesz już prawdziwym mężem...

Przeraźliwy wrzask ranionego wbił się pod czarne, tchnące mrokiem chmury. W tej samej chwili na głazach pojawił się jakiś człowiek, wymachujący pochodnią.

- Tam jest! - zakrzyknął. - Szczeniak Vidarowy! Halle go dopadł!

Jaskrawy blask płomieni kłuł w oczy. Viglund targnął głową, warknął cicho i odbił się od ziemi.

W normalnych okolicznościach żaden człowiek nie byłby w stanie wyskoczyć tak daleko ani tak wysoko, lecz w żyłach Viglunda huczał ogień nieposkromionej furii. Mąż trzymający pochodnię zdążył jedynie krzyknąć ze

zdumienia, potem miecz Viglunda wystrzelił i uwiązał w jego trzewiach. Jedno uderzenie serca później høvding Helsvinir odwracał się już ku kolejnym przeciwnikom, ostrożnie przeskakującym z kamienia na kamień w jego kierunku.

- Wpadł w szal! - rozległ się czyjś głos, ostry, nieprzyjemny i dziwnie znajomy. - *Varaðu Þig!*

Viglund chciał się pogardliwie roześmiać i cisnąć jakąś obelgą, gdy niespodziewanie odczuł, iż coś blokuje jego ruchy. Szarpnął gwałtownie, lecz bez skutku. Poderwał głowę i wtedy zrozumiał, że narzucono nań mocną rybacką sieć. Zaklął i wierzgnął z całej siły, lecz ten, kto zarzucił ową sieć, dobrze znał swój fach i zacieśnił jedynie chwyt. Viglund poczuł, że mocne linki wrzynają się w jego ciało. Chciał zawołać, lecz w tej samej chwili potężne uderzenie w tył głowy rozpętało płas tysiąca gwiazd.

Świat załała prawdziwa ciemność, tym razem bez purpurowego poblasku.



Szare chmury skłębione nad fiordem Nidaros z wolna rozjaśniał blask świtu. Na kamienistym trakcie pojawił się samotny jeździec, bez litości popędzający spotniałego konia. Na widok zgrabnego kadłuba wyciągniętej na brzeg snekkji oraz garstki mężczyzn siedzących wokół ogniska zaczął głośno wołać. Jego zgrzytliwy i ostry głos przeciął monotony szum fal.

Słyszac nagłace wołanie przybysza, ludzie natychmiast się poderwali. Kilku przypadło do zbierania rozrzuconego ekwipunku, lecz większość napała na kadłub snekkji. Do okrzyków mew i wydrzyków dołączył zaśpiew żeglarzy, spychających okręt na wodę. Po ich ruchach znać było doświadczenie - ledwie ucichł chrobot kamieni i snekkja zakolysała się na falach, a już opadł szeroki żagiel z jasnego, wypłowiałego płótna i natychmiast wezbrał ostrym, zimnym wiatrem. Przybysz zaś popędził wierzchowca ku brzegowi i zatrzymał się dopiero, gdy fale sięgnęły jego kolan. Wtedy zsunął się prosto do wody i nie dbając dłużej o konia, jął brnąć ku burcie okrętu. Któryś z załogantów pomógł mu wciągnąć się na pokład, inny podał wełniany koc, a jeszcze inny pochwycił za wiosło sterowe. Nabierająca prędkości snekkja skierowała się zgrabnym łukiem ku otwartym wodom fiordu.

Przybysz przeszedł na dziób, gdzie krępy mąż w hełmie z osłoną na oczy opierał się o szyć drewnianego smoka, który teraz szczyrzył kły ku niewidocznemu jeszcze morzu. Mężczyzna co rusz odwracał się ku brzegowi, kręcąc przy tym głową jakby z niedowierzaniem.

- Dobrze, że wróciłeś w porę - powiedział na powitanie. - Co w Nidaros?

- Dowiedziałem się ciekawych rzeczy - odparł przybysz, zdejmując mokre spodnie. Tembr jego głosu wywoływał ciarki na plecach. - Nader ciekawych.

- A zatem wracamy szczęśliwie - mruknął mąż w hełmie. - Jarl będą uradowani, Snorri.

- Będą - westchnął drugi z mężczyzn i wzniosł oczy ku niebu. - Powiodło nam się aż za dobrze, Thorlak. Chętnie złożyłbym ofiarę, jeno nie ma już komu.

- Jużci - rzekł człowiek w hełmie, nazwany Thorlakiem. - Ninie nie ma komu się kłaniać. Na siebie jeno zdaniśmy.

- I na jarla.

Na dziób snekkji natarła kolejna fala i twarze obu mężczyzn zmoczyły bryzgi słonej wody. Thorlak zdjął hełm, przetarł oczy i przyjrzał się brzegom, sunącym wzdłuż burty nabierającego prędkości okrętu.

- We łbie mi się to wszystko nie mieści - przyznał. - Dobry plan miał jarl Thorkil, samego Lokiego godny. Norveghr śpi kiej dziecię, niczego nieświadom i aż się prosi, by spaść nań znieacka, łupić i rabować. Jeno jak? Garstka nas się ostała, a stary konung wiele ma drużyn.

- Nie tak znowu wiele. - Snorri skrzywił się i odgarnął z twarzy wilgotne, targane wiatrem włosy. - Pomniesz, po co właściwie tu przybylim?

- Pomnę. - Thorlak uśmiechnął się złowrogo, nakładając znów hełm. - Szkoda jeno, że stary konung się z Sigvaldem zawczasu rozprawił.

- Nie jeden Sigvald w Norvegrze na zgubę jego czyha. Przynajmniej jego śmierć się na coś przydała.

- Poznałeś zwyczaję Helsvinir! - Thorlak się zaśmiał. - Rzeczywiście, trza było naszych z trzech stron poukrywać, a potem na wycie wilka czekać. No, utoczyłim krwi sławnym Helsvinir, niech mnie!

- No i pochwyciłim Viglunda, szczeniaka Vidarowego - stwierdził Snorri, odwracając się ku maszтови, pod którym leżał mocno skrępowany, wciąż nieprzytomny jeniec.

Woda na spodzie łodzi zmywała zakrzepłą krew z rany na potylicy. Blady, z wciąż wykrzywioną, wilczą twarzą oraz mokrymi włosami przyklejonymi do czoła i policzków, bardziej przypominał złowionego morskiego stwora aniżeli człowieka.

- To powinno złagodzić nam żal po stracie Sigvalda.

- Czyżby? - powątpiewał Thorlak. - Co nam po tym szalonym dzieciaku?

- Jest w nim wiele gniewu - rzekł zamyślony Snorri. - Jednakowoż gniew jest jak ogień. Niszczy i pożera, ale gdy go oswoić, przynosi wiele dobrego. Mam dziwne przecucie, że jarl będzie wiedział, jak zamienić tego młodziana w naszego wiernego sojusznika.

## ROZDZIAŁ 5

- Pewnie wciąż się zastanawiasz, dlaczego tu trafiłeś.

Odpowiedzią Viglunda było milczenie. Pochylony młodzieniec siedział na skraju łoża, wpatrywał się spode łba w nieznanego i ciężko sapał, jakby chciał pokazać, iż ledwie trzyma emocje na wodzy, lecz w głębi duszy przeczuwał, że otwarta konfrontacja nie wyszłaby mu na dobre. Przybysz był wysokim, barczystym człowiekiem, a w przewieszanej przez ramię pochwie nosił zacny miecz, lecz Viglund nigdy nie lękał się silnych ludzi. Obawiał się jedynie tych, którzy przerastali go wiedzą bądź majestatem, a w spojrzeniu i postawie nieznanego wyczuwał majestat, którego nie było znać nawet u konunga Trygvego. Na jego znużonej, poranej zmarszczkami twarzy nie dostrzegł żadnych emocji, co odebrało mu resztki pewności siebie. Nie odzywał się więc, czekając na rozwój wypadków.

- A niepotrzebnie - rzekł obcy cichym głosem, w którym kryło się zmęczenie. - Snorri rzekł ci przecie swego czasu, choć nie wprost, że powinieneś należeć gdzie indziej. Podjął tedy decyzję za ciebie.

- Jaki Snorri? - szepnął Viglund.

- *Hvað?* - zdumiał się nieznanomy mąż. - Ach, racja. Wždy on zwykł się inaczej przedstawiać. Jużci, dla obcych nazywa się Bjørgunem Bywałym z Waregów ruskich.

- Bjørgun... - syknął młodzieniec, układając wydarzenia w głowie.

Cios w potylicę, którym pozbawiono go przytomności podczas rejsu z Nidarosfjordu do Jomsborga, okazał się poważniejszy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, i Viglund tylko kilka razy odzyskiwał przytomność. Udało mu się wówczas rozpoznać Bjørguna, dosłyszał też, że ludzie inaczej go zwa, ale nie spamiętał imienia. Targnął nim wtedy gniew, chciał się poderwać i odpłacić za doznane upokorzenie, ale nie pozwoliły mu na to mocne więzy.

- Wygubił mój hird... - powtórzył głośniej. - A mnie spętał jak świniaka! Jak...

- Sameś wygubił swych ludzi - przerwał mu nieznanomy nadspodziewanie ostrym tonem. - Nie wiń swego przeciwnika za własną nierozwagę, Viglundzie. Skoro poniósł cię gniew i powiodłeś swych ludzi w zasadzkę, jeno do siebie możesz mieć żal.

- Po co? Po co Jomsborczyk miałby zastawiać sidła na ludzi konunga? Czyście rozumy postradali?

- Nie, młodzieńcze. Wbrew pozorom wszyscyśmy tutaj przy zdrowych zmysłach. Cóż, pora, byś poznał przyczynę, dla której się tu znalazłeś. Przyodziej się, a ja zaczekam na ciebie za drzwiami.

Nieznajomy wskazał stojący pod ścianą kufer z metalowymi okuciami, po czym odwrócił się ku drzwiom.

- Zaczekajcie... - wykrztusił Viglund. - Znacie me miano, tedy chyba pora, bym i ja poznał wasze.
- Zwą mnie Thorkil Smocze Nasienie - odparł zapytany, nie odwracając się. - Jam ci jarl Jomsborga.

\* \* \*

Viglund nie wrócił jeszcze do pełni sił, a gdy dźwignął się z łoża, na którym wypoczywał od chwili zawinięcia do przystani jomsborskiej, natychmiast odezwały się zawroty głowy. Szybko dołączył do nich tępy ból głowy i chłopak oparł się o ścianę, chcąc uniknąć upadku. Minęła dłuższa chwila, nim ból zelżał na tyle, by Viglund mógł podejść do skrzyni i ją otworzyć.

Mimo wciąż pulsującego bólu, poczuł szczerze zdumienie na widok jej zawartości. Z niedowierzaniem wyciągnął leżącą na wierzchu lnianą koszulę z mankietami zdobionymi złotą nitką, a pod spodem odkrył wełniane spodnie, jasnozieloną tunikę, zacne buty z cielecej skóry oraz płaszcz z islandzkiej wełny. Obok leżał skórzany pas oraz pochwa z niezgorszym mieczem. Viglund nie znał się na odzieży i nie przykładał wielkiej uwagi do swego wyglądu, ale szybko się domyślił, iż rzeczy znalezione w kufrze muszą mieć sporą wartość.

- Czyżby chcieli uspić moją czujność? - mruknął. - Tym? Kilkoma łachami?

Czujność? - rozległ się jakiś rozbawiony głos w jego głowie. O czym ty mówisz, głupcze? Przecie ten Bjørgun czy tam Snorri zaiste podszedł cię kiej dzieciaka. Lepiej zastanów się dobrze, po co sam jarl Jomsborga zadał sobie tyle trudu, by cię tu ściągnąć. Może szuka pośmiewiska dla swych wojów?

Krzywiąc się i przeklinając pod nosem, włożył znalezione odzienie i starannie przewiesił przez ramię pas z mieczem. Po chwili namysłu odłożył islandzki płaszcz i z nieufnością otworzył drzwi na korytarz, gdzie jarl Thorkil rozmawiał z wojem trzymającym straż przy komnacie.

Ostatnia decyzja Viglunda okazała się błędem, gdyż Thorkil bez słowa poprowadził go ciemnym korytarzykiem ku drabinom wiodącym na wyższe piętra warowni, a potem na samą górę wieży. Wiatr okazał się tu równie przenikliwy jak wiele mil morskich stąd, nad brzegami Nidarosfjordu, i Viglund zadrzał z chłodu.

- Spójrz - odezwał się Thorkil. - Spójrz wokół siebie.

Viglund obrzucił go pytającym spojrzeniem, lecz jarl nie powiedział ani słowa więcej. Stał, milcząc, zwrócony ku niewidocznemu stąd morzu, a jego nozdrza co rusz rozszerzały się, jak u drapieznika, który nieoczekiwanie zwąchał smakowitą zdobycz. Młodzieniec spojrzał najpierw w dół i aż gwizdnął z podziwu. Jak przez mgłę pamiętał, że „Silfur Mávurinn” u kresu podróży stanęła w dryf przed jakąś warownią, której wrota otwarły się, gdy Bjørgun zadał w róg, lecz nie przypominał sobie chwili wpływania do środka. Teraz wewnętrzna przystań Jomsborga była widoczna w całej okazałości. Na zielonkawych, spokojnych wodach basenu unosiły się dwa okręty - nieduża, smukła snekkja, na której przypłynęli z Norveghru, oraz masywny langskip o nazwie „Hrafn”. Okręty przycumowano do przeciwnych nabrzeży przystani, przez co wystarczyłoby tu miejsca dla jeszcze dwóch, może nawet trzech jednostek. Od południa wejście do przystani zagradzała zwieńczona strażnicą potężna brama z dębowych pni, której skrzydła zanurzały się w wodzie rzeki, a od północy ciągnął się niewielki dziedziniec, na którym krzątał się tłum wojów i niewolników, zajętych ładunkiem. Wokół dziedzińca wznosiły się budynki mieszkalne wraz z hallą jarla, a całą przystań chroniły grube wały z drewnianym chodnikiem i blankami.

- Opowieści głoszą, że i trzysta okrętów pomieścić możecie - mruknął.
- Nie na przystań, ale dookoła gapić się miałeś - powiedział jarl, wciąż zapatrzony na północ.

Gdzieś z oddali dobiegło szydliwe krakanie kruka.

Viglund spojrzał w tym samym kierunku, wzdłuż porośniętych sitowiem i olchami brzegów snującej się leniwie



Dżwiny i dalej, na zasnute mgłami łąki i mokradła wyspy Wolin, spośród których co rusz wlatywał jakiś ptak. Daleko za nimi wyrastała ciemna ściana borów, a wilgotny posmak wiatru z północy zdradzał, że kryje się tam brzeg morza. Kłęby mgły jakby otulały całą okolice i wytlumiały wszelkie odgłosy - Viglund miał wrażenie, że mętna, szeroka Dżwina toczy swe wody całkowicie bezgłośnie, nawet pokrzykiwania na nabrzeżu były osobiście ciche.

Niespodziewanie ciszę przerwała chrapliwa pieśń rogu, która dobiegła z południa. Chłopak odwrócił się błyskawicznie, chwilę później jarl uczynił to samo. Oczom ich obu ukazał się dziób pięknego knorru, sunącego na wiosłach w kierunku Jomsborga. Na dziobie okrętu stał brodaty mężczyzna w błękitnym płaszczu i raz za razem dął w róg.

Uwagę chłopaka przyciągnęło jednak coś innego. Oto mgły rozsunięły się na moment, ukazując potężne, rozległe ziemne wały, tu i ówdzie wzmocnione drewnianymi wieżycami. Nieznajomy knorr mijał właśnie szerokie pomosty, wychodzące daleko ku nurtowi Dżwiny. Przy każdym z nich cumowało po kilka łodzi. Viglund wyteżył wzrok i wydawało mu się, że obok rodzimych knorów i snekkji wyróżnia również korabie Wenedów i okręty Germanów, a także inne jednostki, których pochodzenia mógł się tylko domyślać. Szybko przeliczył dymy unoszące się nad wałami i aż wstrzymał oddech z zaskoczenia.

- Cóż to za miejsce, *herra min!* - zawołał zdumiony.

- Nigdy nie słyszałeś o Jumme, przez miejscowych zwanym Wolinem? - zdziwił się jarl. - To najbogatsze miasto świata, Viglundzie. Zawijają tu wszyscy ci, którzy śnią o prawdziwym majątku. Znajdziesz tutaj kupców zewsząd, nie tylko ze Swionii, Danmarku czy Norveghru, ale również Wenedów, Rusów, Obodrytów, Germanów... Ba, bywają tam i Arabowie o twarzach spieczonych przez słońce. My zaś, Viglundzie, jesteśmy dla Jumme sforą psów podwórzowych. Współ z ich strażą grodową chronimy ich targowiska i magazyny. Strzeżemy ich chudoby, białek i dzieci - dodał z goryczą.

- Po coście mnie tu przywiedli, *herra min?* - Viglund dostyszał nutkę ironii w głosie Thorkila, ale postanowił na razie nie zwracać na nią uwagi.

- By ci pokazać, że nie jesteś tu więźniem - rzekł jarl, zapatrzony w nadpływający knorr. - By dać ci wybór.

- Jaki wybór?

- Zostałeś zabrany z Norveghru wbrew swej woli - oznajmił Thorkil i zwrócił się w jego stronę, odgarniając z twarzy długi kosmyk, wyrwany z warkocza przez wiatr. - O twym losie zdecydował Snorri, który odkrył w tobie dzielnego wojownika i postanowił cię zabrać tam, gdzie twa odwaga, bitność i niezłomność przydadzą się o wiele bardziej niż w Norveghrze. Pochwalam jego decyzję, bo zdasz mi się nie lada chwatem, Viglundzie. Drużynę jomsborską niebawem czekają wielkie boje, w których znajdzie się dla ciebie miejsce. Jeśli zdecydujesz się przystać do nas, czeka cię równy udział w łupach, lecz przede wszystkim sława i szacunek godne zwycięzcy. Nie chcę jednakże, byś mi służył z przymusu. Chcę, żebyś walczył dla mnie sercem, a nie tylko ramieniem zbrojnym w miecz. Jeśli więc czujesz, że serca dać mi nie możesz, że mimo wszystko należysz gdzie indziej, nie lękaj się i powiedz. Otrzymasz wówczas trzos srebra jako zadośćuczynienie dla twej udręki, a któryś z moich ludzi zawiezie cię do Jumme, skąd na pewno rychło wypływa jakiś statek do Nidaros.

- Cóż za boje czekają Jomsborczyków, *herra min?* - spytał oszołomiony Viglund.

- Tego nie mogę ci jeszcze rzec. Jeny z decyzją zwlekać ci nie lza.

- Ile dajecie mi czasu?

- Tyle, ile owemu knorowi zajmie dotarcie do bram Jomsborga - odpowiedział jarl, zapatrzony w coraz bliższy okręt.

Z wieży warowni było już widać malowany na czerwono smoczy łeb, wbrew morskiej tradycji nadal zatknięty na dziobie, oraz białe plamki spienionej wody tam, gdzie zanurzały się szerokie pióra wiosł.

- Wždy on zaraz...

- Czyżbyś długo się namyślał przed poderwaniem Helsvinir do ataku na ludzi Sigvalda? Zastanów się, chłopcze, lecz zastanów dobrze. Przemyśl wszystko, co zostawiłeś za sobą. Pomysł o konungu, któremu służyłeś. O ludzie, wśród którego się wychowywałeś. O grodzie, który był ci ojczyzną. O twym ojcu, przyjaciółach, ukochanej.

Każde zdanie jarla było niczym ostra szpila, wbijana prosto w serce młodzieńca. Chłopak przymknął oczy, a wtedy raz jeszcze przed oczyma przemknęły mu jakże świeże wspomnienia. Znow ujrzał niechętne, mokre od deszczu twarze Helsvinir przed bramami Nidaros. Znow stanął przed obliczem bezwzględego Trygvego, znow zamierzał się do ciosu na Thyre, znow zobaczył twarz znenawidzonego ojca. Konung, hird, chata, życie bez celu, bez nadziei na uzyskanie szacunku, na zdobycie sławy, na spokój... Nie.

- Nie - powtórzył głośniejszym głosem, lecz naraz zwiesił głowę, jakby przerażony tym, co powiedział.

Na otchłanie Niflheim, ale przecież tak jest! - krzyknął w myślach. Ja naprawdę tego nie chcę!

- Nie?

- Nie... Nie chcę tego, co zostawiłem w Norvegrze...

- Czyżby? Przemyśl sobie to wszystko, bo jeśli zdecydujesz się przystać do mnie, Viglundzie synu Vidara, nigdy już do tego nie powrócisz.

Młodzieniec otworzył usta, lecz nie wyrzekł ani słowa, niepewny, czy przekonywać jarla o swej lojalności, czy żyć ze swego marnego życia na Północy. Szczęściem Thorkil, zapatrzonej w wytracający prędkość knorr, nie zauważył jego wahania. Na jego surowej twarzy pojawił się blady uśmiech, a wtedy powietrzem wstrząsnął bliski już ryk rogu.

Ze strażnicy nad bramą odpowiedział mu podobny, lecz nieco cichszy. Z najniższego piętra strażnicy wybiegło kilkunastu niewolnych, poganianych kopniakami przez nadzorcę. Przerażeni niewolnicy chwycili za złożone nieopodal liny i poczęli ciągnąć co sił. Zanurzone w niemrawych falach Dźwiny skrzydła bramy jęły się poruszać.

- *Komdu hingað*, Viglund! - zawołał Thorkil, nagle dziwnie ożywiony. - O ile przecucie mnie nie myli, czeka nas niezłe widowisko !

Z tymi słowami ruszył szybko w stronę otworu w podłodze i drabiny wiodącej na dziedziniec nad przystanią. Viglund, który natychmiast skoczył za nim, zdążył jeszcze zauważyć, że załoga okrętu nie kwapi się, by zdjąć smoczy łeb ze stewy dziobowej.

Cóż to za chwata? - zastanawiał się, patrząc na stojącego na dziobie czarnobrodęgo wojaka. Zaliby nie bał się duchów opiekuńczych przystani urazić?

Wnet znaleźli się na dziedzińcu i przebili przez tłum rozemocjonowanych, pokrzykujących słowa zachęty Jomsborczyków. Rozchylone skrzydła bramy ukazały oczom wszystkich wciąż rozpędzony knorr, który nadal płynął prosto ku przystani. Jego załoga przystąpiła do delikatnej, wymagającej doskonałego zgrania operacji kładzenia masztu. Zdyszany lekko Viglund, choć nigdy wiele z morskim rzemiosłem do czynienia nie miał, aż zagwizdał cicho z aprobatą - nieznajomi marynarze uporali się z zadaniem błyskawicznie, a potem przypadli do wiosła.

Thorkil wykrzyknął jakąś komendę. Wiwatujący wikingowie nagle spoważniali i w try miga utworzyli szereg. Ich lewe ręce znieruchomiały, trzymając okrągłe tarcze na równej wysokości, a prawice opadły na ostrza toporów zatkniętych za szerokimi pasami. Okolone bujnymi brodami twarze, jeszcze przed chwilą rozentuzjasmowane, wyglądały teraz jak wykute z kamienia, jedynie ci stojący najbliżej pomostu zerkali na wpływający do twierdzy okręt. Skald Snorri, który pojawił się niespostrzeżenie u boku Thorkila, szepnął mu coś do ucha.

- Chwata - mruknął cicho tamten. - Chwata jak zawsze..

Brama prowadząca do wewnętrznej przystani Jomsborga była szeroka na dwanaście metrów i wysoka na dziesięć, przez co do środka wpłynąć mogły jedynie okręty ze złożonymi masztami i wciągniętymi wiosłami. Jeśli załoga w porę nie wciągnęła wiosła, te łamały się o śliskie od wodorostów bale strażnicy. Bywało, że wciągnięte zbyt późno, pękające wiosła wytrącały łódź z kursu, a wtedy jedynie błyskawiczne porwanie za bosaki mogło

zapobiec zderzeniu łodzi z balami bramy. Okręty zwykle sunęły tu już powoli, dlatego życie żeglarzy nie było ani przez moment zagrożone, ale wikingowie witali takie zdarzenia śmiechem i szyderczymi pokrzykiwaniami. Z zaciekawieniem zerkali więc ku zbliżającemu się knorrowi, oczekując chwili wesołości.

Tymczasem szeroka, wysklepiona pierś knorru szybko rosła w oczach i Viglund aż wstrzymał oddech. Okręt płynął z ogromną prędkością i gdy już się wydawało, że jego wiosła strzaskają się w zderzeniu z balami strażnicy, czarnobrody woj na dziobie rzucił krótką komendę. Rozległ się głośny chrobot i naraz z obu burt wystawały jedynie ociekające wodą pióra.

Rozpędzony okręt przemknął przez bramę i wiosła natychmiast zanurzyły się w wodzie, tym razem po to, by wyhamować jego pęd. Jednocześnie sternik mocno wychylił wiosło sterowe i choć wydawało się to zgoła nieprawdopodobieństwem, knorr odwrócił się niczym tancerka przy ognisku i zastygł burtą do nabrzeża, przy którym oczekiwał jarl Thorkil. Kilku żeglarzy wyskoczyło na brzeg i sprawnie zawiązało cumy wokół pachołków, a zaraz potem na burcie pojawił się sam czarnobrody.

Wśród zdumionych Jomsborczyków, oczarowanych niemożliwym wprost manewrem przybysza, poniosły się ożywione szepty. W ręku jarla niespodziewanie pojawił się róg z miodem.

- Kim jesteś, wędrowcze? - zapytał donośnym, uroczystym głosem. Szmer wojów ucieł natychmiast, słychać było tylko odległe pokrzykiwanie rzecznych ptaków oraz plusk zamierającej fali na basenie przystani. - Kim jesteś, skoro pieśnią rogu domagasz się otwarcia bram, a nawet smoczego łba na swej łodzi ściągnąć nie chcesz?

- Jam jest Ragnar Vagneson zwany Niszczycielem Drakkarów - oznajmił przybysz, który chwilę wcześniej zeskoczył na brzeg, ujął podany mu róg i upił potężny łyk, aż strumyki miodu pociekły mu po brodzie. - Wpłynąłem do jomsborskiej przystani i piję wasz miód, ślubuję tedy pokój zachować i prawa warowni morskiego bractwa przestrzegać! *Ég heilsa Jomsborg!*

- *Mjög vel.* - Na poważnej, surowej twarzy jarla pojawił się błądy uśmiech. - Witajcie tedy w gościnie u jomskich braci, Ragnarze, i bądźcie mi gośćmi. *Heill sé Ragnar Vagneson!*

- *Heill!* - krzyknęli stojący w szpalerze wojownicy.

- Rad jestem wielce, że widzę was w dobrym zdrowiu. - Thorkil zmrużył oczy. - Rad jestem, że odpowiedzieliście na wezwanie i gotowicie skrzyżować ścieżkę swego przeznaczenia z moją. Czekają nas bowiem wielkie czyny, godne ostatnich prawdziwych wojów Midgardu.

- I jam niebywale rad, jarlu! - huknął radośnie czarnobrody przybysz.

Oszołomiony Viglund nie mógł wprost oderwać od niego oczu - był to bowiem człowiek potężnej postury, a niedźwiedzie futro, które narzucił na ramiona, czyniło go jeszcze większym. Mimo tak ogromnych rozmiarów poruszał się żwawo, a z całej jego postaci miast o ciężkości biła niezwykła energia. Najbardziej jednakowoż uwagę przyciągały jego oczy, skrzące, bładoniebieskie niczym języki lodowca.

- Skrzyknąłem ludzi i w try miga pośpieszyłem na wasze wezwanie, jarlu! - ciągnął tymczasem Ragnar. - Ciekaw jestem, coście tym razem umyślili, lecz tego, jak mniemam, dowiem się dopiero podczas uczty. Chyba że - udał przy tym strapioną minę - chyba że słynna jomsborska gościnność odeszła w niepamięć jak wiele innych rzeczy w Midgardzie?

- Juźci, wiele rzeczy w Midgardzie zostało zapomnianych. - Thorkil uśmiechnął się. - Lecz nie prawa Jomsborga! Tak, Ragnarze, będziemy dziś ucztować, lecz wprzódę chcę, byś poznał tych, z którymi połączyło mnie przeznaczenie przed kolejnymi bitwami. Oto Snorri Ciernisty Język, największy ze skaldów Midgardu.

- Słyszałem ci ja o was! - Ragnar roześmiał się i uściśnął prawicę Snorriego. - Mówią, że mało takich, co się z wami na złośliwości mierzyć chcą!

- Mówią też pewnikiem, że nawet niedźwiedzie przed wami zmykają, by uścisku waszego strzymywać nie musiały - stęknął jasnowłosy skald i z udawanym bólem wysunął dłoń z ręki przybysza.

Stojący wokół mężczyźni, w tym również towarzysze Ragnara, gruchnęli gromkim śmiechem.

- A oto drugi z moich towarzyszy - oznajmił jarl, gdy tylko wojowie ucichli. - Oto Viglund Vidarson zwany Wilczym Pyskiem, do niedawna høvding Helsvinir z Norveghru, a ninie nasz brat Jomsborczyk.

- Rad jestem was poznać, Viglundzie - huknął Ragnar, a jego niezwykle oczy błysnęły zaciekawieniem - bo i wasze imię obilo mi się o uszy. Zaiste, rad jestem was poznać...

\* \* \*

Na niebie zapłonęły roje świetlistych gwiazd, którym odpowiedziały ognie na nieodległych wałach Jumme oraz rozhukane ogniska, rozniecone na dziedzińcu Jomsborga. Pokrzykujący gromko wikingowie wytaczali z piwnic baryłki z miodem i piwem, inni rozebrani do pasa pomimo chłodu obracali ogromne rożny, a jeszcze inni rozstawiali ławy i przynosili misy z chlebem i serem. Nie sposób było poznać, którzy przybyli z Ragnarem, a którzy należeli do drużyny jomsborskiej - rozochoconi, co rusz wybuchający śmiechem przypominali stado wilków, które gotowało się do wspólnej uczty, choć jeszcze przed chwilą należeli do dwóch różnych watah.

Zaiste, wilcze sfory, pomyślał stojący na wałach Viglund. Lada chwila wyc zaczną wezwanie do łowów...

Niespodziewanie jeden z wojów, zwalisty sternik łodzi Ragnara, odstawił niesioną skrzynię i zaintonował pieśń, którą natychmiast podjął Gunnar, młody Jomsborczyk z blizną na policzku. Po chwili przyłączył się do nich następny, potem jeszcze jeden i wkrótce cała warownia zatrzęsała się od chóralnego śpiewu, wzmocnionego rytmicznymi uderzeniami w bęben. Wikingowie porzucali pracę, zwracali się ku wieżycy, na której stał jarl Thorkil wraz z Ragnarem Niszczycielem Drakkarów, i śpiewali, unosząc naczynia pełne piwa lub broń, lśniąca w blasku gwiazd.

Nie wiedzą, co ich czeka, lecz mimo to aż drżą z niecierpliwości, uświadomił sobie Viglund, patrząc na rozpromienione, zarumienione twarze i błyszczące oczy. Wierzą w swych przywódców, wierzą w ich cel...

Naraz uświadomił sobie, że jego wargi poruszają się, powtarzając słowa prastarej pieśni bojowej, która przegnała pełną niepokoju ciszę, unosząc się nad mgłami rzeki Dźwiny. Świat jakby zamarł, słuchając drapieżnego zewu braci jomsborskiej, nawet dumne, migotliwe ognie Jumme jakby przygasały. Tymczasem zebrani na dziedzińcu wikingowie, upojeni własną siłą i nadzieją na rychłe zwycięstwa, śpiewali gromko:

*Prowadź nas, tancerzu płomieni,  
Karmicielu kruków, okiełznaj fale.  
Prowadź nas ku rzekom krwi,  
Prowadź nas ku chwale!*

- Prowadź nas ku chwale! - śpiewał głośno Viglund.

Nagle zorientował się, że trzyma już głowicę podarowanego miecza i szykuje się, by wyszarpnąć go z pochwy, jak uczyniło to wielu przed nim.

Oszalałeś, ofuknął się w myślach, cofając dłoń. Dajesz się ponieść tym szalonym wrzaskom! Dajesz się omamić gładkim słowom tego Jomsborczyka! Nie wstyd to?

Wstyd? - zapytał jakiś głos w jego głowie, do złudzenia przypominający jego własny. Cóż wstydliwego w przystaniu do bractwa, które przedkłada męstwo nad gębę? Cóż złego w okazaniu czci jarlowi, który nie niewoli, lecz pozwala dokonać wyboru? Który obdarowuje szacunkiem i nadzieją?

Nic, odpowiedział sam sobie, zapatrzony w poślaczanego smoka na stwie dziobowej okrętu Ragnara, który kołysał się na lekkiej fali przystani, jakby potakując dzikim śpiewom. Chyba nic.

Jomscy bracia ryczeli kolejną pieśń, coraz szybciej, coraz gwałtowniej, lecz Viglund już tego nie słyszał.

Zapatrzony w smoczy łeb, znów ujrzał siebie na wysokiej wieży twierdzy, wpatrującego się w dal, u boku jarła Thorkila. Znów widział, jak stoi w przystani i z powagą ściska dłoń Ragnara, jak ze spokojem znosi jego badawcze spojrzenie, jak mija Jomsborczyków i odpowiada na ich pełne szacunku pozdrowienie. Na powrót spróbował przywołać nieodległe przecież wspomnienia z Norweghru, ale wszystkie okazywały się blade i niewyraźne. Twarze konunga Trygvego, Thyry, Halbjørna, czy tym bardziej Vidara, zamazywały się i odpływały w niepamięć. Teraz liczył się tylko dziki śpiew, plusk fali o burty okrętów cumujących w przystani i aromat bogato przyprawionego pieczystego, przeganiający wilgotny zapach rzeki.

Naraz któryś z Jomsborczyków, rozśpiewany i na wpół pijany, zatrzymał się przy Viglundzie i objął go mocno ramieniem. Ów prosty gest uciszył ostatnie protesty w duszy chłopaka, który wyrwał miecz i skierował go ku gwiazdom.

Thorkil uniósł dłonie, a Ragnar pogroził zaciśniętą pięścią. Wojownicy zareagowali dziką wrzawą - pokrzykiwali, wymachiwali orężem, a niektórzy wywrzaskiwali przysięgi, wychylali toasty i ciskali naczyniami w wodę. Gwiazdy, odbijające się w tafli mętnej wody przystani, kołysały się na falach. Viglund krzyczał wraz z innymi, poklepując nieznanego wikinga po plecach.

Nagle podbiegł doń jakiś niewolny.

- Wyście, panie, Viglund, syn Vidara? - zapytał.
- Jam ci.
- Jarl Thorkil do siebie proszą. Na wieżycę...

Viglund skinął głową, schował miecz do pochwy i ruszył ku drabinom, zostawiając za sobą rozochoconych wikingów, którzy powrócili do przygotowywania uczy. Niecierpliwie przypadł do szczebli i chwilę później jego rozpalone policzki owiał nocny wiatr, chłodniejszy na tej wysokości. Wysunął głowę z otworu w podłodze wieżycy i ujrzał Thorkila zwróconego w stronę Jumme. Obok niego stał Ragnar oraz kilka innych postaci, wśród których rozpoznał skalda Snorriego-Björguna, milczącego Einara, o którym słyszał, iż postradał rozum w sadybie elfów, i starego Gunnulfa, kapłana warowni. Nie poznał jak dotąd szóstego z obecnych, niskiego człowieczka o ciemnych zmierzwionych włosach i haczykowatym nosie.

Nikt nie zauważył jego nadejścia, jedynie dwa kruki, siedzące nieruchomo na jednej z blanek, spojrzały na niego badawczo.

- ...ci dopiero pomysł... - mówił Ragnar, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Jak zamierzacie tego dokonać, jarlu?

- Powoli - odparł tamten. - Bardzo powoli.  
- Czasy, gdy drużyna jomsborska liczyła i pięć setek mieczy, minęły już dawno - odezwał się czarnowłosy nieznajomy. Mówił po norsku z osobliwym, miękkim akcentem, jaki Viglund wielokrotnie słyszał u fińskich niewolników. - Ninie ledwie sto kilka zbierzeć.

- Moich zasię ledwie cztery tuziny - dorzucił Ragnar. - Jużci, bitne to chłopcy, ale gdzie żeby od razu...  
- Stu pięćdziesięciu wojów, choćby nawet najwaleczniejszych, dokonać wiele nie zdoła - zgodził się jarl, wciąż zapatrzony na Jumme. - Jednakowoż będzie nas więcej. Niebawem wszyscy wyruszyście, by zbrojne drużyny w całym Midgardzie zaciągać.

- Che, che, nie raz słyszałem o bogactwach Jomsborga, jeno nigdy się nie spodziewałem, że lochy ze skarbami dna nie mają - rzekł Ragnar i zaśmiał się gromko.

- Czy po to mnie wezwaliście, jarlu? - spytał Fin. - Bym wam złoto wyczarował?
- *Þegiðu*, Koskela. Zamilknijcie i wy, Ragnarze. Złoto leży tuż pod naszym nosem.

Na wieży zapadła nagle cisza. Jeden po drugim, zebrani spoglądali ku światłom Jumme, odbijającym się od czarnej tafli wody, i zamierali ze zdumienia, jakby pierwszy raz go widzieli. W kąciку ust jarła błąkał się ledwie

dostrzegalny uśmiech.

- Złoto leży tuż pod nosem - powtórzył. - A ten, co ma złoto, wybiera pole następnej bitwy. Pora, byśmy wypili po kufelku, nim nastanie świt.

## ROZDZIAŁ 6

Kłęby mgły, pełzające ku pomostom i nabrzeżom Jumme, były gęste, niemalże materialne. Oczarowany Viglund patrzył, jak pochłaniają kadłuby kotwiczących okrętów, a potem wpelzają na ląd, otulają zawieszane na słupach kosze z żarem i dławią ich poblask. Ciemny kontur otaczających miasto wałów, odcinający się od rozgwieżdżonego nieba, rozplynął się chwilę później, a wraz z nim ucichły wszelkie odgłosy. Nie było słyhać ani pokrzykiwania wart, ani klótni marynarzy na nabrzeżu, ani nawet nieustającego nigdy poszczekiwania psów.

Świat zamarł, skąpany w duszącej lodowatej bieli.

Urzeczony Viglund uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie słyszał tak przejmującej ciszy. Jedynym odgłosem był delikatny plusk wody, rozgarnianej przez szeroki, masywny dziób langskipu. Nawet wiosła zastygły już nieruchomo, uniesione sprawnie przez milczącą załogę okrętu.

Załogę... Viglund poczuł, jak po plecach splywa mu zimny dreszcz, i z całej siły opanował odruch zerknięcia za siebie. Nieraz widywał już karły, częstokroć goszczące na dworze konunga Trygvego, i nigdy się ich nie obawiał, choć podzielał niechęć, którą je powszechnie darzono. Pod wieloma względami przypominały one ludzi - targowały się zacięcie, przeklinały, bekały gromko po obfitym posiłku, a zdarzało się, że wybuchały głośnym śmiechem, choć nigdy z tych samych powodów co ludzie. Te karły, które towarzyszyły jarlowi Thorkilowi, nie były w niczym podobne do swych pobratymców z Norveghru. Pochylały się nad wiosłami i co rusz obrzucały świat złowrogimi spojrzzeniami. Na jakiegokolwiek próby nawiązania kontaktu reagowały przymrużeniem oczu, obnażeniem ostrych kłów i dzikimi syknięciami. Miast strojnych, bogato zdobionych szat nosiły jedynie zgrzebne, ciemne giezła, ale krótkie toporki i noże za pasami świadczyły, że w razie potrzeby potrafiły zamienić się w groźnych przeciwników.

Skąd jarl wziął takich pomocników? - myślał gorączkowo Viglund, nieświadomie ściskając rękojeść darowanego miecza. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że złośliwe karły nie spuszczają zeń wzroku i tylko czekają na chwilę, by wbić mu ostrze w plecy.

Tymczasem nic się nie działo i „Midgardsorm”, ogromny langskip jarla Thorkila bez przeszkód sunął siłą rozpędu ku uśpionemu, spowitemu mgłą miastu. Obok niego pruły fale: mało co mniejszy langskip „Hrafn” oraz niewielka snekkja „Silfur Mávurinn”, obsadzone wojami z Jomsborga. Za nimi majaczył kształt „Fljótur Dreki”, którym dowodził Ragnar Vagneson. Dzioby wszystkich czterech okrętów wojennych mierzyły prosto ku rozległej przystani Jumme.

- Dziś nasze miecze opiją się krwi! - szepnął stojący obok Gunnar, zapatrzony w coraz bliższe pomosty.

Viglund zerknął na młodego Jomsborczyka. Ten, pobladły ze zdenerwowania, szczyrzył dziko zęby i co chwila zadzierał głowę, niczym drapieżnik, który węszy nieodległą zdobycz. Oddychał przy tym głośno, chrapliwie i co rusz ujmował swe ostrze, by je ucałować.

Chcesz, bym cię wziął za berserka? - pomyślał z drwiną Viglund, co pozwoliło mu choć na moment zapomnieć o narastającym napięciu. Chcesz we mnie wzbudzić lęk, jomsborski błaznie?

Któryś z karłów wymruczał kilka słów, na co jego sąsiad parsknął cichym, złośliwym śmiechem. Viglund wzdrygnął się i odepchnął wrogie myśli. Gunnar może i nie budził w nim sympatii, ale przynajmniej był człowiekiem z krwi i kości.

Jarla Thorkila bowiem przestał już uważać za zwykłego człowieka.

Spojrzał na ciemną sylwetkę høvdinga Jomsborczyków, co znów obudziło w nim dreszcze lęku. Poły ciemnego płaszcza jarla unosiły się lekko, choć okręt z wolna wytracał już pęd, a wiatry omijały tej nocy Wolin. Thorkil wydawał się wyższy, potężniejszy, a tym samym dostojniejszy niż dotychczas, a jego ciemne oczy lśniły jaśniej od gwiazd, które mętniały wraz z nadciągającą mgłą. Viglund zerknął na trzymany przez niego miecz, ogromny, poznaczony wieloma runami, a potem na milczące, przyczajone karły wzdłuż burt okrętu. Po jego plecach ponownie przemknął dreszcz.

Nie wiem, kim jesteś, jarlu, pomyślał, zapatrzony w niewyraźne zabudowania portowe Jumme. Ale z pewnością jesteś kimś wielkim. Nikt inny nie porwałby się na taki gród, z ledwie garstką wojów...

Niespodziewanie ciszę przerwało szydercze krakanie. Na tle rozmytych gwiazd zamajaczył ciemny, skrzydlaty kształt i na ramieniu jarla wylądował jeden z ogromnych kruków, które Viglund widział na wieży Jomsborga. Ptaszyko przybliżyło łeb do twarzy høvdinga i przez moment młodzieniec miał wrażenie, że kruk szepcze mężczyźnie coś do ucha. Thorkil prawie niedostrzegalnie skinął głową i ptak ponownie wzbił się w powietrze.

Viglund powiódł za nim wzrokiem. Kruk zmierzał do ledwie już widocznego Jomsborga, czającego się na brzegu Dźwiny niczym wygłodniały rzeczny potwór.

- Żegnaj - wyszeptał Gunnar.

Viglund uniósł brwi ze zdziwienia, lecz nim zdążył w myślach ułożyć pytanie, pośród zabudowań warowni błysnął płomień, a po nim kolejny. I następny, lecz w innym miejscu.

- Jomsborg płonie! - krzyknął zaskoczony. - Trzeba zawracać! Jarlu...

- Z drogi, na którą wkroczyliśmy, nie ma już odwrotu! - warknął Gunnar i zmierzył go spojrzeniem pełnym wyższości. - To Koskela, ów fiński czarownik, podpalił nasz dom. Takie było jego ostatnie zadanie.

- Ostatnie? - spytał Viglund, ze zdumieniem patrząc na płomienie, coraz śmiej atakujące prastare, pokryte mchem ściany Jomsborga. Nie mieściło mu się w głowie, że słynne gniazdo najstraszliwszych piratów mórz północnych miał czekać tak nędzny koniec. - Co tedy było pierwszym?

- Patrz przed siebie i rusz łepetyną, Wilczy Pyszczku! - prychnął pogardliwie Gunnar i odwrócił się plecami do płonącego Jomsborga.

W sercu Viglunda eksplodował straszliwy gniew. Jego palce zacisnęły się na ramieniu Gunnara, lecz w tej samej chwili okrętem wstrząsnęło potężne uderzenie, któremu towarzyszył trzask pękających desek. Młodzieniec zatoczył się i padł na burtę tuż obok karła, który parsknął z wściekłością, odsłonił ostre kły i chwycił długi, zakrzywiony nóż. Viglund wymacał swój miecz i zasłonił się nim w panice, lecz karzeł go zignorował i rzucił się ku dziobowi okrętu, głośno wykrzykując nieznanne, budzące lęk słowa. Pozostałe karły uczyniły to samo, i powietrze, osobliwie ciężkie i nieruchome, wypełnił tupot ich buciorów oraz chrapliwe pokrzykiwania w niezrozumiałym języku.

- Za pamięć naszego ojca, jarla Palnatoke! - huknął naraz Thorkil, a Viglund zasłonił uszy, upuszczając miecz. Głos høvdinga wstrząsał całym światem i kruszył odwagę w sercach wrogów. - Za pamięć naszych ojców i braci! Za zgliszcza Jomsborga! *Árás!*

Nagle Viglund zrozumiał, że dotarli na miejsce. Ciężki dziób „Midgardsorma” wgrzył się w masywny pomost portu Jumme, gruchocząc stare deski, a jarl Thorkil przeskoczył już przez burtę i biegł w stronę zabudowań portowych i miejskiej bramy. Dziobowy półpokład zalał tłum karłów, które, wrzeszcząc i wymachując nożami, próbowały przeleźć na pomost w ślad za nim, a ciskający przekleństwami Gunnar przestępował z nogi na nogę, czekając, aż zrobią mu miejsce. Do sąsiedniego pomostu przybijał już „Hrafn”, a gdzieś dalej mignęła „Silfur Mávurinn”, prowadzona przez wymachującego włócznią Snorriego. Na wodzie unosiły się, niczym potworne skwarki, szczątki niewielkiego knorra, którego rozerwała masywna, wzmocniona runami stewa „Midgardsorma”.

Niespodziewanie powietrzem nocy wstrząsnął kolejny, donośny odgłos - oto na dziobie nadpływającego „Fljótur Dreki” stanął Ragnar Vagneson, zwany Niszczycielem Drakkarów, i z całej siły zadął w ogromny róg. Oszołomiony

Viglund potrząsnął głową i ujrzał, że gęste pasma mgły, otulające miasto Jumme, zaczynają z wolna rzednieć. Między budynkami portowymi poniosły się pierwsze wrzaski.

Oto szansa dla ciebie, Wilczy Pysku, szepnął głos w jego głowie. Nie zmarnuj jej...

Viglund ryknął głośno, pochwyił miecz i wmieszał się w tłum przeklinających, okładających się pięściami karłów. Pierwszego szarpnął za giezło, drugiego bezlitosnym kopnięciem posłał na deski pokładu, tuż pod nogi zaskoczonego Gunnara, odrzącił dwa następne i już złapał za okrężnicę.

- Helsvinir! - wrzasnął i zeskoczył na pomost, wywołując zamieszanie wśród tych karłów, którym udało dotąd się spełznąć z burty.

Ledwie przebrzmiało echo potężnego okrzyku jarla Thorkila i ryku rogu Ragnara Vagnesona, a nad uspionym, nieszczęsnym Jumme popłynął kolejny mrozący krew w żyłach odgłos - wycie wygłodniałego wilka.

\* \* \*

Przetoczyli się po ulicach Jumme niczym Dziki Gon, oszalały orszak Odyna. Na przodzie biegł jarl Thorkil, z połami płaszcza łopoczącymi niczym skrzydła potwornego ptaka, a za nim pędzili wrzeszczący, ogarnięci żądzą krwi Jomsborczycy. Gęste kłęby ustępowały przed ich szarżą, odsłaniając grupki zaskoczonych strażników portowych, rozbudzonych, oszalomionych kupców czy na poły pijanych żeglarzy. Mało kto zdołał opanować zaskoczenie i porwać za broń, miecze wikingów zaś unosiły się i opadały, zraszając bale pomostu i drewniany bruk strużkami krwi. Wnet przez siwobiałe, rzedniejące całuny mgły przebiły się pierwsze krzyki, a w odpowiedzi na nie wśród zabudowań buchnęły żarłoczne płomienie.

A Viglund biegł tuż za Thorkilem. Owładnięty czarem jego głosu, nie odstępował go ani o krok, powalając każdego, kto tylko odważył się doń zbliżyć. Obojętny na ból i cierpienie, z furią parował pierwsze, niewprawne jeszcze ciosy obrońców Jumme, a potem odbierał im życie. Gniew pulsował gwałtownie w jego sercu, ale miast odbierać mu rozum, dodawał jedynie siłę i odwagę. Viglund walczył jak natchniony, a świadomość, iż przed sobą ma wodza, którego gotów był wielbić po kres swych dni, a za sobą drużynę z legend i mitów, zwielokrotniała moc jego ciosów. Wreszcie gdzieś należał. Wreszcie był czegoś częścią, wreszcie widział jakiś cel.

Dlatego też nawet się nie krzywił, gdy jego miecz przeszywał ciała kobiet czy starców. Dlatego śmiał się do rozpuku, gdy służące jarlowi ogromne kruki wydziobywały oczy strażnikom nad bramą portową i rzuciły liny dla kilku śmiałków, gotowych otworzyć wrota dla reszty hirdu. Dlatego też nawet się nie zawahał, gdy pytające spojrzenie jarla omiotło pierwszy szereg, a jego dłoń wskazała dyndającą linę.

Wspinaczka na górę i rozwarcie wrót zabrało jedynie chwilę, choć straż grodowa zdążyła oprzytomnieć i stawiała wikingom rozpaczliwy opór. Kilku obrońców napięło nawet łuki, lecz wisząca nad grodem mgła - teraz już wiedział, że była dziełem Koskeli - utrudniła celowanie i większość strzał chybiła. Viglund, który zeskoczył po drugiej stronie i natychmiast naparł na prawe skrzydło zasuniętej bramy, poczuł gorące smagnięcie przez ramię, ale nawet na nie nie spojrział. Nie zwrócił też uwagi na Gunnara, który miast pomagać pchać wrota, z dzikim wrzaskiem rzucił się na łuczników. Przeoczył również chmurę ognistych strzał, którą wypuścili Jomsborczycy - pchał z furią, aż pot zalewał mu czoło, a z nim inni, aż wrota w końcu ustąpiły, a do miasta wlała się horda rozwścieczonych Jomsborczyków. Viglund odsapnął i runął w ślad za nimi.

Zapucił się prosto w świat rozhułkanych płomieni i gwałtownej paniki, gdzie przed skrajnym szaleństwem chroniły tylko chłodne rozkazy biegnącego przodem jarla. Jego dudniący, potężny głos wznosił się ponad chrapliwe okrzyki walczących oraz łoskot płomieni, a posłuszni mu Snorri, Ragnar czy nawet stary Gunnulf okrzykiwał najbliższych wojów i znikali w bocznych uliczkach, by w nagłym ataku rozbić przegrupowujących się obrońców. Pozostali atakujący utworzyli zwarty mur tarcz i posuwali się szybkim krokiem w ślad za swym przywódcą, nawzajem osłaniając się przed ciosami przytomniejących strażników grodowych i wzniecając nowe pożary. Jeszcze



nie padł żaden ze znaczniejszych wojów i na razie hufiec jomsborski niezagrożony parł w głąb Jumme.

Jesteśmy coraz bliżej chramu Tryglawa, uświadomił sobie nagle Viglund, wyszarpując miecz z ciała kolejnego napastnika. Czyżby jarl chciał obrabować siedlisko boga Wolinian? Czyżby nie lękał się jego gniewu?

Mgły ostatecznie rozpierchły się, przegnane huczącymi płomieniami i zdeptane stopami biegnących wikingów. Na moment na niebie pojawił się księżyc i Viglund ujrzał ciemny, złowieszczy zarys chramu. Niepewnie rozejrzał się wokół siebie, ale Thorkil ani myślał się zatrzymywać. Viglund nie mylił się - hufiec jomsborski nacierał prosto na świątynię.

Obrońcy najwyraźniej doszli do tych samych wniosków. Wśród spowitych dymami zabudowań poniosła się chrapliwa pieśń rogu, której odpowiedziały inne. W rozedrganym od ognia powietrzu pojawiły się postacie kolejnych wojów, tym razem w hełmach i kolczugach. Na palisadzie otaczającej chram stanął kapłan, który jął wymachiwać włócznią i ciskać klątwy na napastników. Zginął niemal natychmiast, przeszyty strzałą któregoś z Jomsborczyków, ale nie powstrzymało to nadciągających obrońców. Viglund zajął swe miejsce w szeregu, uchwycił mocniej tarczę i przygotował się do następnego starcia.

Obrońcy uderzyli w chwili, gdy hufiec jomsborski znalazł się pod bramami chramu. Najpierw z kłębow dymu wyleciała chmara strzał, a potem wikingowie usłyszeli dziki, rozpaczliwy wrzask bojowy i ze wszystkich stron uderzyli na nich obrońcy Jumme. Do tych, którzy zdążyli nałożyć hełm, naciągnąć kolczugę czy skórzany kaftan lub pochwycić tarczę, dołączali również inni, których bronią była jedynie rozpacz w sercu. Viglund dostrzegł, iż co drugi z nadbiegających dzierżył siekiere, bosak, długi nóż czy zgoła okuty kij, ale dobrze wiedział, że w rękach człowieka zdesperowanego nawet zwykły kamień stanowi śmiertcioną broń. Co więcej, obrońcy dwu- lub nawet trzykrotnie przewyższali ich liczbą.

Mieli przed sobą trudną przeprawę.

- Witaj, śmierci! - mruknął, po czym uniósł nieco tarczę i ramię, które dzierżyło miecz.

Wojowie Jumme natarli z furją fali, walącej o skalisty brzeg, i mur tarcz wikińskich, wyszczerbiony uprzednim ostrzałem z łuków, ugiął się niebezpiecznie. Jomsborczycy walczyli z pogardą dla śmierci i drogo sprzedawali swe życie, lecz co rusz jakieś wrogie ostrze sięgało celu i któryś z wikingów osuwał się pod nogi walczących. Owładnięty szałem bitewnym Viglund rąbał zaciekle, ale nawet on pojął szybko, że hufiec Thorkila znalazł się w potrzasku. Obrońcy ginęli dziesiątkami, lecz nie przestawali napierać, a co gorsza na palisadzie okalającej chram pojawili się kolejni kapłani.

- Dalej, bić zdrajców! - wrzeszczeli piskliwie i czynili magiczne gesty. - Upuście krwi jomsborskim psom! Niech was Tryglaw wspiera!

- *Hörfið!* - zakrzyknął gromkim głosem Thorkil.

Viglund nie zwrócił uwagi na rozkaz, w tej samej bowiem chwili rzucił się na niego następny przeciwnik, ogromny mąż w rozchełstanej koszuli, z wprawą wywijający wielką, nabijaną skrawkami stali maczugą. Pierwszy z jego ciosów nieopatrznie przyjął na tarczę i ramię natychmiast zapłonęło straszliwym bólem. Zatoczył się, lecz kątem oka dostrzegł, że obrońca zamierza się do kolejnego uderzenia. Instynktownie pochylił głowę.

Dalsze wydarzenia zlały się w jedno. Maczuga przemknęła tuż nad hełmem Viglunda, aż ten poczuł na twarzy podmuch powietrza. Jego sąsiad w szeregu nie miał jednakowoż tyle szczęścia - maczuga zmiażdżyła mu twarz i wojownik osunął się bez życia na ziemię. W murze tarcz powstała niebezpieczna wyrwa, a Jomsborczycy zaczęli się cofać. Obrońcy wydali ryk radości i napaarli ze zdwojoną siłą.

Viglund potrząsnął głową. Walczył dotąd jak natchniony, upajając się gniewem i pogardą dla śmierci, lecz w swym szale nawet nie zbliżył się do stanu, przy którym zamieniał się w bestię. Teraz jednakże widok padającego towarzysza, tryumfalne okrzyki obrońców oraz świadomość rychłej przegranej zaczęły wyzwalać w nim pełnię furii, którą odziedziczył po ojcu. Jego miecz nagle wystrzelił i wbił się prosto w pachwinę przeciwnika. Ogromna

maczuga upadła w zakrwawione błoto, Viglund warknął dziko i pchnął głębiej, aż po jelec, po czym wyszarpnął zza pasa skramasaks i wbił olbrzymowi ostrze prosto w gardło.

Nie wiedział, co się potem wydarzyło. Nie pamiętał powolnego odwrotu hufca jomsborskiego, który odsuwał się od bramy chramu, ścigany pogardliwymi okrzykami kapłanów. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy odrzucił tarczę i wyszarpnął drugi miecz z dłoni jakiegoś zabitego, nie usłyszał również wołania Thorkila. Jego ciało i duszę bez reszty opanował szal bitewny i wyjął potępieńczo, Viglund rzucił się w tłum nieprzyjaciół. Wszelkie jego myśli, uczucia, wspomnienia znikły bezpowrotnie, zastąpione bezbrzeżną żądzą krwi. Świat utonął w purpurze, którą rozświetlał jedynie blask klingi opadającego miecza.

Dlatego nie widział kapłanów, którzy spadali z palisady z dzikim wrzaskiem, trzymając się za zakrwawione oczodoły, ani wielkich kruków, które wzbijały się nad łunę pożarów, kracząc z tryumfem. Nie widział również ogromnej fali cuchnącej wody, która nadeszła od strony przystani, by rozrzuć tłum obrońców i roztrzaskać bramę chroniącą święty chram Tryglawa. Nie było go pośród tych, którzy wraz z powolnymi Thorkilowi karłami wynosili skarby kapłanów na okręty. Odmieniony swym szalem, miotał się po ulicach dogorywającego, pożeranego przez płomienie miasta i kładł kres życiu każdego napotkanego człowieka.



Tej samej nocy, kiedy dziki ogień pożerał Jomsborg i sąsiadujące z nim Jumme, niebo nad Norveghrem na powrót wezbrało ciężkimi, burzowymi chmurami i rzygnęło gęstymi strugami deszczu. Smukłe, wysokie świerki, mocno wpijające się korzeniami w ziemię górzystej krainy, cierpliwie znosiły kolejne ataki niepogody i z wyrozumiałością kłaniały się północnym wiatrom, które oderwały się od podbrzusza chmur. Dla samotnego wędrowca, który wędrował pośród ich pni, ta ulewa jednakże mogła się okazać ostatnią.

Thyra oparła się bez sił o pień świerku i przytknęła rozpalone czoło do wilgotnej, chropowatej kory. Pokasływała cicho, niemal niesłyszalnie, jakby nawet kaszel stanowił dla niej wysiłek. Jej drobnym ciałem wstrząsnął kolejny deszcz.

- Bogowie... - wyszeptwała.

Nie miała już nic. Swą dumę przeklęła po raz pierwszy wkrótce po opuszczeniu Nidaros, gdy opanowała rozpacz na tyle, by poczuć prawdziwy głód. Okazało się wtedy, że oślepiąca łzami zapakowała do tobołka jedynie kilka podpłomyków i małą gomółkę sera.

- Powinam była zabrać mu wszystko, co ma jakąkolwiek wartość! - wrzasnęła wówczas, bijąc brudną piąstką o własne biodro. - Powinam obrabować tego łajdaka!

Niebawem okazało się, że nie pomyślała również o hubce czy krzesiwie oraz cieplejszym pledzie, którym mogłaby się okryć podczas nocnych chłódów. Jak na złość, niebo co rusz bluzgało kolejnymi ulewami, a odzienie Thyry schło tylko po to, by znów przemoknąć. Głód i przejmujące zimno szybko rozprawiły się z resztkami dumy. Nie zawahała się zakraść do obejścia smolarza, by podebrać wędzące się ryby, nie wzdragała się przed pożeraniem znalezionych robaków czy gonieniem królików wśród zarośli. Duma, miłość, szacunek do siebie samej, wszystko, czym się szczyliła, zostało w Nidaros.

Tylko tęsknota za Viglundem, dziwaczna, irracjonalna, wręcz wroga, nadal odzywała się jak dawniej. A przynajmniej tak było wczoraj, zanim na dobre pochwyciła ją choroba.

Słabowała już w chwili opuszczenia Nidaros.

Pierwsze mdłości opadły ją jeszcze, nim przeszła przez bramę grodu, lecz zrzuciła je na karb wzburzenia. Tymczasem słabość nie ustępowała - dziewczyna miała majaki, nierzadko wymiotowała, a dwukrotnie nawet straciła przytomność. Nic jednak nie mogło się równać ze straszliwymi dreszczami, które zbudziły ją dziś rano. Wraz z nimi pojawiła się wysoka temperatura, która odebrała jej resztki sił. Ledwie zdołała się podnieść i przejść kilka kroków, a

nogi natychmiast odmówiły posłuszeństwa. Upadła prosto na korzeń wielkiego drzewa - bolesne uderzenie odebrało Thyrze świadomość.

Gdy się ocknęła, miała twarz pokrytą czymś lepkiem, najprawdopodobniej krwią. Pozostała jednak na to całkowicie obojętna, podobnie jak na uparcie lejący się z nieba deszcz i fakt, że jej brudne, zabłocone suknie znów przemokły na wylot. Dreszcze jak wcześniej trzęsły ciałem Thyry, a gorączka zamieniła cały świat w rozmazaną, niewyraźną plamę. Z trudem wstała i ruszyła w drogę, lecz nie wiedziała, gdzie jest ani dokąd zmierza. Wiedziała tylko tyle, że nadszedł jej kres.

- To koniec... - wyszeptała, szcękając zębami. - To koniec... Viglund...

Nie pamiętała już, kim był Viglund ani dlaczego wzywała jego imię. Nie liczyła swoich upadków, była jednak świadoma, że są one coraz częstsze. Jej rozdygotane ciało słabło, energii wystarczało ledwie na przejście kilku kroków.

Ten las jednakowoż był inny. Choć słabość przytępiła wszystkie jej zmysły, Thyra czuła podświadomie, że różni się on od tych, które przemierzała przed atakiem choroby. Stała wsparta o pień świerku i przecierała zażawione oczy, próbując wypatrzeć jego tajemnicę, lecz otaczające ją drzewa nadal były jedynie rozmytymi, ciemnymi konturami na szarym tle. Nie rozumiała, dlaczego ten las wydaje się odmienny. Nie budził w niej lęku ani nieufności, nie był ponurym, prastarym matecznikiem ani słonecznym, radosnym gajem. Był po prostu inny, przepojony czymś, czego nazwać nie umiała, lecz co w przedziwny sposób podniosło ją na duchu.

Znów zaatakował ją dreszcz, tym razem silniejszy od pozostałych.

Osunęła się na ziemię. Jej palce wpiły się mocno w mech, lecz w drżących ramionach zabrakło siły, by znów podźwignąć całe ciało. Otworzyła usta, ale miast słów wydobył się z nich tylko słaby jęk. Legła nieruchomo, drżąc i pokaszując. Naraz uświadomiła sobie, że ktoś się do niej zbliża.

Co dziwne, czuła też, że świat wokół staje się cieplejszy.

- Wzywałaś bogów - rozległ się czyjś głos tuż przy jej uchu, cichy i melodyjny, ale jednocześnie przepojony trudną do pojęcia mocą. - Niestety, próżne twe wołania. Bogowie nikomu już nie pomogą.

- Kim jesteś? - wyszeptała. Chciała zadać kolejne pytania, lecz urwał je atak kaszlu.

- Wędrowcem - padła odpowiedź. - Ale także człkiem o dobrym sercu. Nie lękaj się, Thyro. Twoja męka dobiegła końca.

\* \* \*

Viglunda zbudził nagły wstrząs. Zamrugał i już chciał się poderwać, lecz jego ciało okazało się dziwnie bezwładne, pozbawione życia. Zdołał co prawda unieść głowę i przesunąć rękę, lecz nawet ten wysiłek obudził w nim falę obezwładniającego bólu. Młodzieniec jęknął cicho i znów legł nieruchomo, zamykając oczy.

Szczęściem to wystarczyło, by ból zaczął szybko ustępować. Chłopak leżał spokojnie i wdychał chłodny, słony wiatr, studzący pot na czele.

Przecież to morski wiatr, uświadomił sobie nagle. Czyżbyśmy byli na morzu?

W miarę jak ból słabł, chłopak uzmysławiał sobie kolejne fakty. Szybko doszedł do tego, że leży na twardych deskach, przykryty ciepłą derką, a jego ciało piecze tysiącem drobnych ran i skaleczeń. Nade wszystko jednak wyczuwał rytmiczne kołysanie, któremu towarzyszył plusk fali, świst wiatru oraz odległe krzyki morskich ptaków. Ktoś przeszedł tuż obok jego głowy i zaczął coś wołać - bliski odgłos kroków wywołał kolejny atak bólu w głowie Viglunda, lecz wydawało mu się, że rozpoznaje głos wołającego. Ciekawość okazała się silniejsza od cierpienia i chłopak obrócił lekko głowę, by lepiej słyszeć.

- ...Sławić w pieśniach! - wykrzykiwał znajomy głos. Wyraźnie było w nim słyhać nutę tryumfu. - Znaszli takich, co w nieco ponad setkę chłopca wielki gród spustoszyli?

Wielki gród? Słowa te obudziły burzę świeżych wspomnień.

Przez krótką chwilę znów biegł ulicami płonącego Jumme, znów stawał w szeregu i zaciekle ścinał się z obrońcami pod bramą chramu Trygława, znów odrzucał tarczę i wyzwał w sobie najstraszliwszy gniew...

A zatem to ów wilczy szal odebrał mi siły, pomyślał. Prawią ludzie, że ten, co się berserkiem w boju staje, siły ma niespożyte, lecz następnego dnia słaby kiej dzieciak...

- Nie znam, jarlu! - odpowiedział ktoś inny, głosem tubalnym i donośnym, lecz dobiegającym z większej odległości. - Mniemam jednakowoż, iż to dopiero początek!

- Jako rzeczecie, Ragnarze! - Pierwszy roześmiał się. Viglund już go rozpoznał, to był jarl Thorkil. - Zobaczmy się tedy na jesieni?

- Jużci! Będę czekał na wasze wezwanie!

- Czekaj zatem, a nie waż się do kruków z łuku szyć!

Nad falami ponióś się śmiech obu mężów, którym zawtórowali inni. Viglund otworzył oczy i wyteżył wszystkie siły, by unieść, a następnie odwrócić lekko głowę.

Burta potężnego „Midgardsorma” całkowicie zasłoniła cumujący do niej okręt, lecz młodzieniec natychmiast rozpoznał pomalowany na czerwono smoczy łeb, który zatykał Ragnar Vagneson na stwie swego knorra. Sam Ragnar stał na dziobowym półpokładzie i śmiał się głośno z odrzuconą do tyłu głową. Wiatr targał jego brodą i jakby dla żartu opryskiwał go pianą.

Thorkil, wciąż odziany w swój długi czarny płaszcz, pierwszy przestał się śmiać i uniósł prawicę w geście pożegnania.

- *Bless*, Ragnar! - zawołał. - Zrób dobry użytek ze złota, które zrabowaliśmy! Jestem pewien, że wielu Swionów się na nie połasi!

- *Bless*, Thorkil! *Sé þig i haust!*

- To samo się tyczy ciebie, Gunnulfie! - Jarl odwrócił się w drugą stronę i krzyknął nieco głośniejszym głosem, najwyraźniej kierując swe słowa do bardziej odległego okrętu. - Pokieruj „Hrafna” ku Uppsali i Birce. Dobrze cię tam pamiętają, a gdyby kto zapomniał, odśwież mu pamięć jummskim złotem.

- *Skal gert, herra min!*

- Snorri! - Thorkil wrzasnął jeszcze głośniejszym głosem, lecz skald nie pozwolił mu dokończyć.

- *Ég veit!* Będę na was czekał! *Bless!*

- *Bless allir! Setjið seglin!*

Ostatni rozkaz jarl rzucił już za siebie. Chłopak z trudem odwrócił głowę i ujrzał karły, które ruszyły ku szotom, szturchając się nawzajem i ponaglając ostrymi warknięciami. Kilka z nich przebiegło obok rozpiętego na śródkręciu wielkiego namiotu z nasyczonego foczym tłuszczem płótna, potykając się o wystające kufry, skrzynie oraz worki. Najbliższy worek, potrącony kilkakrotnie, przewrócił się i ze środka wysunął się złoty puchar, podobny do tych, które Viglund widywał w katedrze Nidaros. Któryś z karłów doskoczył do toczącego się naczynia i złapał je zreżnię, po czym pośpiesznie zapakował i powiódł dookoła złowrogim spojrzeniem.

Dostrzegłszy zapatrzonego Viglunda, obnażył kły i parsknął niczym rozwścieczony rosomak, ale chłopak nie spuścił wzroku. Już wiedział, co kryje wielki namiot na śródkręciu „Midgardsorma”.

Skarb chramu w Jumme, pomyślał. Na bogów, na cóż Jomsborczykom tyle złota?

Karły patrzyły nań z niechęcią i szczyrzyły ostre zęby.

Cztery okręty wikingów z Jomsborga postawiły żagle i ruszyły przez sine fale Bałtyku, by wypełnić przeznaczenie, utkane przez tajemniczego jarla Thorkila. Skąpana w mgłach świtu wyspa Wolin żegnała ich dwoma czarnymi jak śmierć słupami dymów.

## ROZDZIAŁ 7

- *Ég sé land!*

Wyrwany z niespokojnego snu Vidar poderwał głowę i rozejrzał się nieprzytomnie. Nagłym ruchem odrzucił okrywającą go derkę i skoczył na równe nogi. Człowiek na dziobie śmiał się i wskazywał coś ręką.

- *Ég sé land!* - krzyczał i z radością bił pięścią o rzeźbioną okrężnicę.

Horyzont spowijała stalowa szarość, zasłaniając tajemnicę łądu przed oczyma żeglarzy, lecz mimo to jak jeden mąż przerwali pracę i zamarli w bezruchu, z radością wpatrując się w brzeg. Któryś zbyt mocno poluzował szot i naraz żagiel zaczął łopotać. Szyper Bjarni zaklął siarczyście i pognął swych ludzi do pracy, lecz zaciekawieni żeglarze nadal odwracali wzrok ku północy.

Vidar przypadł do burty. Snekkija wspinała się na fale i opadała, z hukiem roztrzając na boki wysoką falę dziobową. Twarz Vidara zraszały miliony kąśliwych kropelek słonej wody, a ostry, zimny wiatr wyciskał ze zmrużonych oczu jedną łzę za drugą. Po chwili intensywnego wpatrywania się w horyzont dojrzał, jak szarość gęstnieje i z wolna układa się w ciemne pasmo łądu.

- Jesteśmy niemalże u celu, chwała niech będzie Aegirowi i Ran! - odezwał się ktoś za jego plecami.

Vidar odwrócił się i ujrzał Bjarniego, który trzymał się mocno jedną ręką burty wznoszącego się okrętu, a drugą czochrał się za uchem. Pchły i wszy były nieustającą plagą wszelakich podróży morskich i Vidar sam nie przestawał rozdrapywać dziesiątek małych zaczerwień na skórze.

- O ile się nie mylę, przed nami Ingolfhøvdi, *herra min* - ciągnął szyper. - To tam wylądował Ingolf, co go pierwszym osadnikiem okrzyknięto. Konung Trygve kazali, byśmy na wasze rozkazy do końca byli. - Bjarni nagle spowaźniał. - Gdzie wylądować chcecie?

- *Hvað?* - oprzytomniał nagle skald.

- Pytałem się, gdzie chcecie wylądować - powtórzył cierpliwie Bjarni. - Mamy do Reykjavíku płynąć, czy na wschód bardziej, ku...

- Skógar - wyszeptał Vidar.

- Skógar?

- Tam chcę. - Skald odwrócił się do dowódcy. - Wysadźcie mnie gdzieś między Skógar a Oddi i... I wracajcie do Norveghru. Do konunga Trygvego.

- Wždy tam nie ma ludzi ni osad, *herra min* - zaoponował Bjarni. - Olbrzymy ciągiem z lodowców schodzą... Strach tam się zapuszczają...

- A cóż ja stracić mogę wraz z moim życiem? - prychnął Vidar. - Poza tym, żaden olbrzym czy troll nie tknie chrześcijanina. Rób swoje, Bjarni. Za dzień czy dwa będziecie wolni.

Bjarni skłonił się skaldowi z powagą, lecz w jego oczach błysnęła wątpliwość. A wilkołaka? - pytało jego spojrzenie. Rozszarpać będą chciały czy jako swego potraktują?

Vidar zacisnął powieki i odwrócił się ku ledwie widocznemu brzegowi. Przysłuchująca się wymianie zdań załoga nie potrzebowała głośniego rozkazu - sternik wychylił wiosło sterowe i dziób snekkji skierował się na wschód. Kilku sprawnych żeglarzy zamocowało bom *beitass*, dzięki któremu okręt lepiej żeglował na wiatr, i rączy pognali ku niewidocznym jeszcze wyspom archipelagu Vestmannaeyar, niedaleko których leżała osada Skógar. Bjarni zaś pozostał jeszcze przy Vidarze, jakby miał nadzieję, że skald w ostatniej chwili zmieni decyzję, aż zniecierpliwiał się, wzruszył ramionami i skierował się na rufę, by zmienić sternika.

Islandia, pomyślał tęsknie Vidar. Kraina dzieciństwa, ostatni skarb, jaki mi jeszcze pozostał.

Wkrótce szary, nieprzyjazny horyzont przesłoniły ciepłe wspomnienia i na bladej, wynędzniałej twarzy Vidara

pojawił się nieśmiały uśmiech. Oczyma duszy widział łagodne pagórki, na których wylegiwał się podczas krótkiego lata, wystawiając twarz ku słońcu i układając pierwsze kenningi. Znów słyszał cichy chrzęst wilgotnego, czarnego piasku plaż, czuł ciepły zapach domostwa o ścianach z darni lub drzemał wśród gaików karłowatych brzoźek. Znów siedział skupiony nad wyprawioną cielejącą skórą i stawiał litery pod baczynym okiem surowego Ingolfa w szkole skaldów w Reykholt.

Naraz targnął ostrzejszy wiatr i Vidar otworzył oczy. Wspomnienia nadal wabiły swym czarem, ale skald nie łudził się, że rzeczywistość okaże się do nich podobna. Wiedział, że upłynęło zbyt wiele czasu, a on doznał zbyt wielu rozczarowań, by nadal szukać magii sprzed lat. Zresztą, nie miał nawet zamiaru pograżać się w poszukiwaniach własnej krainy wiecznej szczęśliwości. Gdy konung Trygve, syn konunga Svein albo Arnul wypytawali o powody powrotu na Islandię, nie wiedział, co im odpowiedzieć. Milczał jedynie, wbijając wzrok w czubki butów, a potem mówił cicho: „Bo nic innego mi nie zostało”.

Wracał na Islandię, bo marzył, by codzienna udręka w jego duszy zamieniła się w zwykłą, nieuleczalną, ale o wiele łatwiejszą do zniesienia tęsknotę.

\* \* \*

Czuł, że żeglarze będą odprowadzać go spojzeniami do chwili, gdy ostatecznie zniknie im z oczu. Wiedział, że kilku z nich odetchnie z ulgą, a wszyscy z ochotą zabiorą się do sychania snekkji na wodę. Przez ostatni tydzień na pewno zdążyli go znienawidzić. Bez wątplenia mieli dosyć jego martwych spojrzeń i zdawkowych odpowiedzi na najzyczliwsze pytania. Vidarowi było ich żal, ale w tym stanie ducha nie miał najmniejszej ochoty na nawiązywanie jakichkolwiek znajomości. Najbardziej potrzebował teraz samotności, a tej na niewielkim okręcie znaleźć nie potrafił. Całymi dniami kulił się więc pod burta, z brodą opartą na kolanie, ścisnął wiszący na szyi, srebrny krzyżyk i modlił się półgłosem, co napawało przesądnych, nadal czczących starych bogów żeglarzy bezbrzeżnym lękiem.

Zresztą nie tylko tego się bali. Któregoś dnia Vidar usłyszał, jak jeden z nich, stary brodac z imieniem Oski, opowiadał młodszemu członkowi załogi, że w duszy skalda mieszka krwiożerczy wilk. Byłby się roześmiał i machnął ręką, gdyby nie to, że jako dowód na prawdziwość swej opowieści Oski przypomniał krwawe wyczyny Viglunda. Vidar zwiesił nisko głowę, a atmosfera na okręcie, choć już była niewesoła, pogorszyła się jeszcze bardziej.

Przestał się tym przejmować w chwili, gdy zeskoczył z burty w płytką wodę przy brzegu i machnął Bjarniemu na pożegnanie. Szyper uniósł dłoń, lecz poza nim nikt nawet nie drgnął, jedynie stary Oski nachylił się i zaczął szeptać coś na ucho stojącemu obok żeglarzowi. Skald wzruszył ramionami, zarzucił na plecy tobolek, poprawił nieodłączny łuk i zaczął iść ku nieodległemu, czarnym wydmom.

Szedł szybko. Jego stopy grzęzły z chrzęstem w czarnym piasku, a ślady natychmiast wypełniały się wodą. Morskie ptaki kołowały wysoko w górze, nad sobą dostrzegł maskonura, a wśród wątlých, targanych wiatrem traw na wydmach dojrzał czerwony dziób ostrygojada. Skłębione chmury szybko pędziły nad odległymi szczytami gór.

- Wróciłem - szepnął.

Po chwili znalazł się na szczycie wydmy i rozejrzał się dookoła. Daleko na wschodzie wybiegały w morze wyniosłe, otoczone ptactwem klify Dyrholaey, przypominające skalną fortecę bogów, a na zachodzie ciągnął się długi pas czarnego, rozmywającego się we mgle brzegu. Pośród niewielkich lagun, utworzonych przez odpływ, czołgały się niezgrabnie tłuste foki, co rusz trwożliwie oglądające się na żeglarzy. Na wprost przed nim wypiętrzały się masywne wzgórza o łagodnych, pokrytych soczystymi trawami zboczach, tu i ówdzie poznaczonych nagimi skałami. Ciężkie chmury naraz plunęły dokuczliwą mżawką.

- Tak, wróciłem. - Vidar uśmiechnął się, wystawiając twarz ku niebu.

\* \* \*

Na widok pierwszych zabudowań Vidar westchnął z ogromną ulgą. Po kilku godzinach wędrówki w deszczu zdążył przemoknąć do suchej nitki - zarówno mocno uszyte skórzane buty, jak i spodnie, kaftan oraz gruby wełniany płaszcz były zupełnie mokre i skald marzył już o suchym schronieniu i ciepłym posiłku.

Zatrzymał się na moment, przyglądając się trzem niewysokim, podłużnym chatkom, których ściany zostały ułożone z warstw wysuszonej darni, a na dachu zieleniła się trawa. Na koślawej ławeczce siedział zgarbiony, starszy człowiek, pomimo dżdżu cierpliwie naprawiający sieć, a ze szczeliny w dachu sąsiedniej chaty wydobywał się dym, natychmiast rozwiewany przez wiatr. W pobliżu Vidar ujrzał kilka pustych stojaków na sieć, rusztowania do suszenia sztokfisa, oraz duże, ogrodzone pastwisko, na którym pasło się kilka koni. Skald uśmiechnął się.

Leżący obok ławki pies, nastroszony szpic ze szpiczastą mordką, skoczył na równe nogi i zaczął hałaśliwie ujadać. Starszy człowiek wolno zwrócił głowę w stronę przybysza.

Vidar uniósł dłoń i ruszył ku niemu. Stary wstał i ostrym rozkazem uciszył szalejącego psa, który przypadł do jego nóg i spoglądał nieprzyjaźnie na zbliżającego się skalda, warcząc i co rusz próbując się poderwać do ataku.

- *Ég heilsa yður!* - powiedział cicho Vidar. - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

- *Heill!* - powoli odrzekł starzec. - Niech pochwaleni będą twoi bogowie, przybyszu, kimkolwiek są, lecz tu nie im cześć oddajemy. Rzeknij szczerze, kim jesteś i skąd przybywasz?

- *Ég heiti* Vidar Gustavson - odpowiedział skald i przyjrzał się badawczo twarzy starego człowieka, chcąc się przekonać, czy rozpozna jego imię.

Wieści o jego czynach w Norvegrze z pewnością już dawno dotarły na Islandię, lecz skald miał nadzieję, że jego pojawienie się nie wzbudzi większego zainteresowania, a miejscowi oszczędzą mu dziesiątków pytań. Na szczęście porane zmarszczkami, ogorzałe oblicze starca nawet nie drgnęło - albo nie znał jego imienia, albo dobrze maskował ciekawość.

- *Og ég Sigbjörn Sigurdson* - odparł wolno. - Gościsz na ziemi syna mego, Ketila, przeto szacunek mu winienes.

- A gdzie wasz syn, dostojny Sigbjørnie? - Vidar pochylił lekko głowę, powstrzymując uśmiech. Jak przystało na rodowitego Islandczyka, starzec wypowiadał się z namysłem i kwiecistością. - Rad bym go poznać i się pokłonić.

- Skoro tak, na wieczór przyjdzie wam czekać, gościu miły. Syn mój pogodą znęcony na morze się wyprawił z bratem i kuzynami. Obiadę złożył zająć, tedy na bogaty połów ma nadzieję.

- Sigbjörn, dziadu przeklęty, a z kim ty znowu... - rozległ się nagle głośny kobiecy głos i z chaty, z której sączył się dym, wychynęła młoda niewiasta.

Jej rumiane od gniewu policzki oraz jasna spódnica były przybrudzone sadzą, a gdy odchyliła zawieszoną w progu skórę, Vidar poczuł mocny zapach zupy rybnej, od którego zakręciło mu się w głowie.

- Ta sekutnica to żona mego syna, Dagrún - mruknął Sigbjörn. - Wybaczcie, zacny Vidarze, słowa jej ostre, ale bogowie nie poskąpili memu synowi mocy w lędźwiach i przez większą część roku ziemia w Ketilstaðir trząść się nie przestaje.

Zaskoczony słowami starca Vidar spojrzął na brzuch kobiety i dostrzegł, że jest ona w zaawansowanej ciąży.

- Wywróżono, że syn będzie. - Stary wstał z ławeczki, lecz zatrzymał się z cichym syknieniem i pomasaował kolana. - To trzeci już. No, rusz się, diablico jedna! Nalej zupy gościowi, jak przyzwoitość nakazuje, a wy, Vidarze, synu Gustava, ściągnijcie ten mokry płaszcz. Wysusz się go nad ogniem.

Wzmianka o synach wywołała w sercu Vidara bolesny skurcz, ale ciepło torfowej chatki szybko przegnało udrękę i skald z ulgą zamknął oczy. Podana mu przez sąsiednią żonę Ketila zupa smakowała wprost wybornie. Skald wciągnął w nozdrza zapach dymu z paleniska, suszącej się skóry i wciąż parujących drewnianych misek, po czym westchnął z zadowoleniem. Następnie spojrzął na gospodarza.

Oczy starca, siedzącego po przeciwnej stronie paleniska, błyszczały, odbijając wąły żar grudek suszonego torfu.

- Skąd przybywacie, gościu miły? - spytał, nalewając piwa do garnca. - Jaka ziemia was zrodziła?
- Zrodziła mnie Islandia, ale na wiele dziesiątków lat przygarnął Norveghr.
- A gdzie wasz okręt? Rozbity gniewem morskich bogów?
- Nie... - Vidar pokręcił głową, zastanawiając się nad odpowiedzią, która zdradzi starcowi jak najmniej. -

Przyjaciele wysadzili mnie przy Reynisdrangur i popłynęli dalej. Do... Do Erinu.

- Do Erinu. - Sigbjørn się zadumał. - A dokąd wiedzie wasza droga, panie? Do Oddi?
- Do Oddi? - spytał zaskoczony skald. - Dlaczego sądzicie, że mógłbym chcieć jechać do Oddi? I dlaczego zwracacie się do mnie jak do wielkiego pana?

- Zalibyś myślał, Vidarze, że pamięć mnie zawodzi i miana waszego nie pomnę? - Stary uśmiechnął się chytrze. - Nawet Dagrún was poznała, choć im cięższy ma brzuch, tym puściej u niej we łbie. Mój syn na coraz dłuższe połowy pływa, bo... A, co wam będę opowiadał. - Zmiarkował się, widząc tężejącą twarz skalda. - Wiele się o was swego czasu mówiło, Vidarze, synu Gustava, a i ninie chętnie się wasze miano wspomina.

- A co takiego ludzie gadają?

- Wiele rzeczy. Ponoście króla Eryka Szalonego pokonać pomogli, bo wielce uciskał tych, co starych bogów czcili. Potem zaś wsparliście jarłów z Hladir, starego i młodego, by stolec w Nidaros przejęli i sprawiedliwe rządy nad Norveghrem roztoczyli. Wielce ludzie sławią miecz wasz ostry i rozum niezmierny, bardziej nawet niż rymy wasze zmyślne.

Pewnie dlatego, że od wielu lat żadnych nowych nie ułożył, pomyślał kwaśno Vidar. Ciekawe też, czy prawią o tym, jakim wspaniałym ojcem się okazałem?

- No, a skorom wiedział, żeście skald - ciągnął Sigbjørn - tom od razu pomyślał, że do Oddi idziecie. Bo gdzie skald może się na Islandii udawać, jak nie tam, do słynnej szkoły skaldycznej?

- Do Reykholt.

- A, do Reykholt... Juźci, przecie wyście chrześcijanin. No, szkoła w Reykholt słynie ninie jeszcze bardziej niżli drzewiej. Stary Ingolf, syn Gisura nadal skaldów szkoli i w świat rozsyła, by kunsztem swoim ludzi zadziwiali. Chętnie powita swego wychowanka...

- A zatem Ingolf żyw jeszcze. - Kąciki ust Vidara drgnęły lekko. - Wieści tak długo nie miałem... A wróżdę z Ulfsonami zakończył?

- Zakończył, a jak! Dwa lata temu będzie, jak ugodzili się na polach Tingvellir, a młody Thorstein Ulfson wziął za żonę Vigdis, najmłodszą córkę Ingolfa. Nie cieszcie się jednak, panie - ludzie powiadają, że wróżdy gasną jeno po to, by inne mogły się zacząć. Ponoć płoną zagrody na Borgarness, a ten wścickły pies Skalle Płaski Nos znów najechał ziemie Eirika Krótkiego. W nocnym ataku halle mu spalił, dwóch synów usiekl, żonę pohańbił, a sam Eirik ledwie żywy z płomieni umknął. Gada się, że Skalle nienawidzi wszystkich, co wiarę w Białego Chrystusa przyjmują, i poprzysiął śmierć każdemu, kto dawnych bogów zarzuci.

Przy tych słowach starzec spojrzął bacznie w oczy Vidara.

- Skalle Płaski Nos. - Skald pokiwał głową, uśmiechając się pogardliwie. - Pamiętam to miano. Przed laty w Norveghrze był możnym władką, naczelnikiem Grinnøy i wielkim ofiarnikiem chramu w Maerin, jednym z pierwszych, co poparli konunga Trygvego na tingu we Frosta. Nie w smak mu było to, że konung chrzest przyjęli i świątków sprowadzili. Wnet zaczął przeciwko konungowi przemawiać, daniny mu odmówił, a raz nawet napadł i poranił jednego ze świątków. No i się konung zbiesił. Wysłał przeciwko niemu...

Naraz zacisnął mocno usta i zapatrzył się w żar. Bolesć, o której zaczynał zapominać dzięki rozmowie ze starym, powróciła ze zdwojoną siłą. Stary konung wysłał przecież na Skallego zabijaków Viglunda.

- Znam ci ja tę historię, bo Skalle nie przestaje prawić, jakiego to pohańbienia ze strony konunga doznał. - Sigbjørn, najwyraźniej nie dostrzegłszy zawahania u skalda, roześmiał się. - Cięgiem się skarżył, że konung zbójców



swych na niego nastął, ziemie mu zabrał i wszystek majątek, a on sam ledwie zbiec do krewnych zdołał. Tak się nad swą niedolą rozwodził, że tu i ówdzie śmiali się z niego. Dopiero gdy za miecz porwał i chrześcijan prześladować zaczął, odechciało się ludziskom śmiechu.

- Skąd zatem zbrojnych wziął, skoro ledwie ująć z życiem z Norweghru zdołał? - spytał Vidar, siląc się na normalny ton.

To mój syn go pohańbił, huczała mu w głowie natrętna myśl. To Helsvinir po nocy go napadli...

- U Thorruna Siwogłowego tutaj się schronił, dziewiarza swego ojca. Prawdę wam rzeknę, Vidarze synu Gustava, że lepszego stronnika wybrać nie mógł. Onże Thorrun słynie bowiem z trzech rzeczy - wielkiego majątku, ogromnego umiłowania starych porządków oraz niezmiernej naiwności. Szybko go więc Skalle do swego namówił i gadają ludzie, że ninie to nie Thorrun Skallem rządzi, jeno odwrotnie.

- Złe wieści - mruknął Vidar.

- Jużci, że złe. Wielu ci na Islandii mężów, co krzywd od konunga Trygvego doznali bądź chrześcijan nienawiścią darzą. Skalle zaś gości to u jednego, to u drugiego i ciągiem do pomsty nawołuje. Niedługo czekać, aż ci, co dawnym porządkom powolni, za broń pochwycą i z Białym Chrystusem wróddę zaczną. Niełatwe to będą dla was dni, Vidarze.

- Nie dbam o to. - Skald wzruszył ramionami, choć poczuł, jak w głębi serca znów zaczyna narastać w nim przygnębienie.

Zalibym i tutaj musiał toczyć boje? - pomyślał. Czyżbym nawet na Islandii próżno miał szukać spokoju?

- Po mojemu to na pewno Reykholt nie oszczędzą. Ingolf przecie również chrzczony, a...

- *Komdu, láttu það eiga sig, Sigbjörn.* Konia chciałem od was kupić.

- Konia... - Sigbjörn zmarszczył krzaczaste brwi i pociągnął potężny łyk miodu. - Poczekać wam przyjdzie, aż mój syn z połowu wróci. Długo on ostatnio łowi, długo... Z nim o koniu pogadacie. Do Reykholt daleko.

- Znam dobrą drogę. Górami ruszę do doliny Langidalur, a dalej przez Puszcę Thora na północ.

Starzec milczał chwilę.

- Do Langidalur, a później zasię przez Thorsmörk - odezwał się w końcu. - Każdego innego spytałbym, czy aby szalony nie jest, ale wy...

- Zaliby banici po górach się chowali jako drzewiej? - zapytał beznamiętnie Vidar.

- Banici? Eee, tam... Banita to może i człek niegodziwy i prawa nieszanujący, ale nie na tyle głupi, by w Langidalur siedzieć.

- Gdybyście widzieli połowę tego, co ja przez ostatnie lata, Sigbjörn - Vidar spojrział nań obojętnie - śmialibyście się z takich ostrzeżeń.

- A gdybyś ty słyszał połowę tego, co ja ostatnimi czasy... - Stary zadumał się, wbijając wzrok w skórę powiewającą u wejścia do chaty. - To ściagałbyś tych swoich przyjaciół, co to do Erinu płyną, choćby i wplaw.

\* \* \*

Zza załomu skalnego biły kłęby pyłu wodnego, układające się w fantazyjne, znikające błyskawicznie kształty. Huk wodospadu stawał się z każdym krokiem głośniejszy. Vidar znów poczuł ponad ramieniem ciepły oddech wiedzionej na postronku trzyletniej klaczy, którą właśnie kupił za kilka złotych monet. Nie mógł się oprzeć, by nie zwolnić kroku i nie poklepać jej po pysku.

- Lubicie zwierzęta, Vidarze? - zapytał Ketil syna Sigbjørna, który szedł tuż za nim.

- Z wyjątkiem tych, co się w ludzkiej skórze kryją - odparł skald i ruszył dalej, pociągając za uzdę mocniej, niż należało.

Koń prychnął z urazą, ale poczłapał w ślad za swoim nowym panem.

Po chwili cała trójka - znużony skald, ogorzały rybak i beztroski, islandzki konik - stanęła nad brzegiem szerokiego potoku, którym wartko płynęła brudnawa woda polodowcowa. Kilkaset metrów dalej między skalnymi ścianami szalał wodospad Skógarfoss, wypychając naprzód olbrzymie kolumny pyłu. Vidar zadumał się - pamiętał go z młodych lat i wiedział, że w słoneczne dni na niezliczonych drobniutkich kropelkach wody często zawisała tęcza.

- Skógarfoss. - Ketil podążył za jego wzrokiem. - Nasz wodospad. Znaście legendę o skarbie?

- Znam. Ponoć jeden z pierwszych osadników ukrył pod nim swój kufer ze skarbami i niejeden szaleniec, nierzadko pijany w sztok, łeb sobie roztrzaskał, próbując go znaleźć wśród tych kaskad. Inni mówią, że nie osadnik to był, lecz elfy.

- Eee, tam, musi że to człowiek był. - Ketil uśmiechnął się i przetarł mokrą od pyłu wodnego twarz. - Elfy nie są tak głupie, by skarb w wodospadzie schować. Spotkaliście już kiedy elfy, panie Vidarze?

- Nie. Ale spotkałem ludzi, którzy z nimi rozmawiali. Dziwne rzeczy mówili.

- Zaiste. - Niebieskie oczy rybaka, dotąd śledzące Vidara badawczo, naraz załśniły niepokojem. - Ostatnio znów widywano je w górach. I to nie raz... Pewnie ojciec gadał wam i o tym.

- Rzekł jeno tyle, że góry stały się miejscem dla szaleńców. Mnie jednakowoż nie odstraszył.

- Róbcie, co chcecie. - Ketil wzruszył ramionami. - Znać po was, żeście człek wolny, tedy rad udzielać nie będę. Gdybyście chcieli, sami byście powiedzieli, gębę macie wszak nie od parady. Jedno ino powiedzieć muszę: na złe czasy się ma. Człowiek człowiekowi wilkiem...

- Ja sam sobie wilkiem. - Vidar uśmiechnął się kwaśno. - Czasy zawdy złe się wydają. Bywajcie, Ketilu, synu Sigbjørna.

- I wy bywajcie, skaldzie.

- I dziękuję wam za radę. - Vidar wskoczył w siodło. Jego konik prychnął i zwiesił głowę, potrząsając sterczącą niczym grzebień grzywą. - Jednak nie wśród ludzi jadę. Sam chcę być. Odpocząć muszę od... Od myśli.

- *Mjög vel.* - Ketil zmarszczył brwi. - Bo gdybyście chcieli wśród ludzi odpoczywać, skaldzie, lepiej schowajcie to.

Brudny, lepki od rybiej łuski palec wskazał krzyż na szyi Vidara.

\* \* \*

Nisko wiszące gęste chmury całkowicie zakrywały niebo nad doliną Langidalur i przesłoniły wierzchołki okolicznych gór. Do ich zboczy, pokrytych soczystymi, napęczniałymi od wilgoci trawami, tu i ówdzie przylgnęły kłęby mgły, a w powietrzu wisiała dokuczliwa mżawka. Nagie ściany bazaltowych skał ziały ogromnymi szczelinami, przypominającymi przymrużone oczy górskich olbrzymów.

Vidar wstrzymał zasapanego konia nad brzegiem potoku. Rumak natychmiast zwiesił głowę i zaczął pić szarawą wodę z topniejącego lodowca, jeździec zaś stanął w strzemionach. Langidalur sprawiała przygnębiające wrażenie. Na skalistym podłożu nie rosło nic poza koloniami żółtych i brązowych mchów, a krajobraz urozmaicały jedynie porozrzucane bezwładnie, ogromne bloki skalne oraz szare smugi potoków. Konik chciwie chłęptał lodowatą wodę, prychnając co chwila. Gdzieś we mgle, na wysokości ciemnych szczelin skalnych, rozległo się krakanie kruka.

Rzęsisty deszcz runął niespodziewanie.

- *Andskotinn!* - zaklął wściekle skald i uderzył piętami w boki konia.

Klacz, zaskoczona nagłą decyzją jeźdźca, zarżała bezradnie, lecz instynkt natychmiast zwyciężył i zwierzę, rozważnie rozstawiając kopyta, podjęło walkę ze wzburzonym nurtem. Nim jednak wyszło na przeciwny brzeg potoku, Vidar był już przemoczony do suchej nitki.

Chmury, dotąd litościwie zsyłające mżawkę, chłodzącą spotniałą sierść konia, naraz uwolniły całą swą furję.

Rozdrażniony Vidar odrzucił mokry kaptur, który, miał chronić jego twarz, przylegał do policzków i uszu, wywołując kolejne dreszcze. Popędzał rumaka, lecz islandzkie konie, choć posłuszne i wytrwałe, nigdy nie sływały z dobrego galopu. Do tego, co rusz pojawiały się przed nimi potoki, które podczas ulewy stawały się jeszcze bardziej wzburzone. Podczas ich przekraczania inicjatywę przejmował koń, długo i rozważnie wybierając miejsce na postawienie kopyta, co moknący w siodle jeździec kwitował stekami przekleństw. Vidar co chwila stawał w strzemiach i rozglądał się w poszukiwaniu jakiegokolwiek schronienia, lecz pełzające po zboczach mgły i rzęsiste strugi deszczu skutecznie ograniczały widoczność.

Gdy w zbczu mijanej góry zamajaczyła we mgle ciemna pieczara, Vidar był już na skraju wyczerpania. Szarpnął za wodze, kierując równie zmęczonego konia w stronę schronienia, a nawet zsunął się z siodła, by pomóc mu podejść pod stromy piarg.

Podłoże pieczary stanowił sypki, czarny piasek wulkaniczny, lecz jej wnętrze było ciche i przytulne. Trzęsąc się z zimna, skald zabrał się do odpinania z juków pledu, lecz zgrabiące palce nie podołały zadaniu. Pled ciężko pacnął o piasek i przytomniejący z wolna Vidar uświadomił sobie bezsens owego wysiłku - materiał był równie mokry jak reszta ekwipunku. Przypomnił sobie jednak szybko o hubce i krzesiwie, które miał w skórzanej sakiewce u pasa. Te z pewnością oparły się żywiołowi. Skald wysypał je na ziemię, po czym ujął w niezgrabne, wciąż zmarznięte dłonie i zaczął rozpalać ogień. Niebawem wśród garści zebranych patyczków, ułożonych na kupce wyschniętego mchu, zatlił się mały ogienek. Skald westchnął ciężko i położył się obok. Po chwili spał już mocno, a na jego zmęczonym, odwykłym od okazywania emocji obliczu malowała się ulga.

*Jeg hår ei tulle med øyne blå* - śpiewała Disa, jego ukochana żona, matka Viglunda. Siedziała nad nim i głaskała mokre, opadające na czoło kędziory, a on odśpiewywał: *Med silke hår og med ora små!* A potem wyciągał się niczym kot, poddając się najpiękniejszej z pieszczot. Nie dbał o to, że łąka, na której się spotkali, tchnęła zimnem - zniósłby znacznie więcej, by tylko móc jeszcze raz usłyszeć starą jak świat kołysankę, którą Disa tak bardzo lubiła.

*Og midt i fjeset en liten nese...* - nucił, odwracając twarz, by spojrzeć w oczy ukochanej. Chciał ją ostrzec, powiedzieć, że zostało im niewiele czasu, gdyż rodząc Viglunda, odejdzie do Królestwa Bożego, ale naraz uzmysłowił sobie, że nie może dobyć głosu. Co więcej, rumiane policzki Disy zaczął pochłaniać mrok, a zamiast kolejnego wersu piosenki, z ust dziewczyny wydobyło się parsknięcie konia.

- Ogień... - szepnął ktoś.

Ogień? Parsknięcie?

Nagły strach targnął sercem Vidara. Błyskawicznie porwał za miecz, przetoczył się pod ścianę pieczary i drząc, zastygł w pozycji obronnej.

Ciemny kształt, który zamarł w wejściu do pieczary, podpełzł kawałek bliżej.

- Ogień... - szepnął.

Vidar zerknął ku płomykom, wciąż nieśmiało przemykającym po stosie mchu i patyków, po czym ponownie spojrzął ku obcej istocie, która znów zastygła bez ruchu. Uspokoił swe myśli na tyle, by rozpoznać w niej człowieka. Dłonie, brudne i szczupłe, bezsilnie drapały wulkaniczny piasek, próbując podpełznąć jeszcze bliżej ognia, a oczy błyszczały gorączką w pomazanej brudem twarzy.

Teraz już dostrzegł, że obcy jest ubrany w nędzne łachmany, mokre i ubłocone, a jego ciałem wstrząsają fale dreszczy.

- W imię Boga, kim jesteś, człowieku? - spytał, strwożony.

- W imię Boga? - W chorych oczach nieznajomego zamigotała kpina. - On tu głuchy... Pomóż mi...

Vidar podniósł się i nieufnie ujął przybysza pod ramiona. Zdumiał się, jaki jest lekki.

- Nie mam nic, czym byś mógł się ogrzać - powiedział, układając go przy ognisku. - Wszystko przemokło w tym przeklętym...

Wyprostował się, patrząc na ścianę deszczu, odgradzającą go od doliny. Wydawało mu się, że słyszy huk pędzących przed siebie, zwielokrotnionych ulewą potoków.

- Nic to... - wyszeptał człowiek, unosząc drżącą dłoń nad wątłe płomyki. - Ogień...

- Jak cię zowią? - spytał Vidar.

- Eirik...

- Tyś Eirik Krótki? Tyś zadarł ze Skallem?

- To już nieważne... Nie, po tym wszystkim to już nieważne. Ja... - Odwrócił się z trudem, próbując spojrzeć Vidarowi w oczy. Udało mu się i skald aż zadrżał, widząc ból w jego spojrzeniu. - Ja odejdę szczęśliwy, gdyż... Przegrałem w walce, przegrałem wszystko, ale ostatecznie to ja jestem zwycięzcą! Zwyciężyłem, bo poznałem prawdę!

- O czym ty mówisz, człowieku? - Vidar oblizal spierzchnięte wargi.

- Jedziesz przez Langidalur... - Eirik patrzył nań obojętnie. - Spotkasz ich zatem. Usłyszysz. Dowiesz się o wszystkim. Powiedz ludziom, że... że już jest po bitwie. Że nastał świt.

Ścianę deszczu na chwilę rozjaśnił migotliwy blask błyskawicy, która pociągnęła za sobą grzmot, toczący się po zboczach. Vidar oderwał na moment wzrok od targanego dreszczami Eirika. Gdy na powrót na niego spojrział, jego lśniące gorączką oczy już zgasły, a dłoń, jeszcze przed chwilą grabiąca piasek, znieruchomiała.

\* \* \*

O świcie przykrył ciało Eirika kamieniami, a potem wykonał nad nim znak krzyża. W dalszą drogę ruszył cichy i zamyślony.

Deszcze wreszcie ustąpiły, a w szczeliny między chmurami nieśmiało zaczęły się wbijać promienie słoneczne, lecz myśli Vidara pozostawały ciemne i ponure. Widział w życiu wystarczająco wiele śmierci, by nie przejąć się kolejną, niemniej tajemnicze słowa umierającego zburzyły jego spokój. Po raz pierwszy od chwili wylądowania na Islandii nie rozmyślał o rozstaniu z Viglundem, choć nowy temat do przemyśleń był równie mroczny. Czuł, że w przedśmiertnym wyznaniu Eirika kryje się coś istotnego, ale nie potrafił odkryć co.

- Jasne! - warknął z goryczą. - Przesłanie! Wieści! Od chwili, gdy postawiłem stopę na czarnym brzegu przy Skógar, wszyscy wokół mnie mówią zagadkami! Pies trącał ich tajemnice, mam dość spraw innych ludzi...

Wreszcie znalazł samotność, lecz ta, miast przynieść ulgę, osaczyła go nowymi tematami do przemyśleń, a nie tego sobie życzył. Zaklął i popędził konia.

Przez cały dzień wściekle odganiał wspomnienie śmierci Eirika i jego ostatnich słów. Próbował na nowo odgrodzić się od świata goryczą, próbował na powrót katować się myślami o Viglundzie, lecz nowa zagadka nie przestała go kęsać. Podirytowany do granic, nawet nie zwrócił uwagi na to, że zbocza zagrządzające ujście doliny Langidalur rosną coraz wyżej, aż kopyta końskie zachrzęściły na otoczkach. Skald ściągnął wodze i rozejrzał się w poszukiwaniu ścieżki. Pamięć go nie myliła - ponad szerokim rozlewiskiem polodowcowym dostrzegał pnący się w górę wąwóz, którego ściany porastały karłowate brzoźki i gęste zarośla, pierwsze rośliny, jakie ujrzał od opuszczenia Skógar.

Stał u wejścia do Puszczy Thora.

Spojrzał w górę - o tej porze roku słońce zwykle długo wisiało na niebie, jednakże ciężkie chmury na nowo zwarły mocno szeregi i trudno było ocenić porę dnia. Ssanie w żołądku podpowiadało mu, że nadchodzi dopiero popołudnie. Na ogół droga przez Puszcę Thora nie zabierała więcej niż godzinę, ale Vidar miał osobliwe wrażenie, że tym razem lepiej będzie, jeśli pokona drogę przy świetle słonecznym.

- Przy świetle słonecznym - powtórzył głośno swą ostatnią myśl, krzywiąc się pogardliwie. - A co to ma za znaczenie?

Kręcąc głową, ujął konia za uzdę i wszedł między pierwsze drzewa. Puszcza Thora - Thorsmörk - nie była bowiem prawdziwym, niezmiernym borem, jakie porastały bezdroża Norveghru. Po obu stronach prowadzącej w górę ścieżki ciągnęły się szeregi poskręcanych pni brzózek, tu i ówdzie przeplatane grupką niskich świerczków. Między drzewami rosły bujne trawy i krzewy, a ciepłe powietrze niesło zapach leśnych kwiatów, lecz wystarczyło unieść głowę, by dostrzec nagie zbocza gór.

Nie był to więc las, w którym na nieostrożnego wędrowca czyhałyby troll-ludożerca czy szajka przydrożnych zbójników, ale Vidar rozglądał się czujnie i nasłuchiwał każdego odgłosu. Koń sapał ciężko, gdzieś szumiał potok, a nad głową skalda furkotały lotki zwracającego bekasa, ale w sercu wędrowcy narastał niepokój. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze słyszał najrozmaitsze opowieści o Puszczy Thora. Większość z nich była ledwie stekiem bzdur, ale niemal każda utrzymywała, że Thorsmörk jest lasem magicznym.

Oraz że zawsze panuje w nim cisza.

- A to sobie wymyślili! - prychnął Vidar. - Te drzewka są za niskie, by szumiały i skrzypiały! Trudno też, by mieszkały na nich ptaki!

W tej samej chwili drobnymi listkami brzózek zaszeleścił nagły powiew wiatru, długi i przeciągły, aż skald się wzdrygnął. Szarpnął za uzdę konia i poszedł naprzód, ocierając pot z czoła.

Nigdy nie zastanawiał się, dlaczego ludzie nie ufali temu lasowi. Zawsze żywił przekonanie, że żarliwa wiara obroni go przed nieznanym, czyhającym w miejscach uznanych za magiczne bądź przeklęte, ale mimo to nawet on nie był w stanie opanować lęku. Ponoć właśnie tutaj składali ofiary pierwsi osadnicy w podzięce za odnalezienie nowej ojczyzny, przypomniał sobie. Ponoć tu najłatwiej też jest zostać dostrzeżonym przez kogoś z Asów. Do licha, jeszcze tego mi brakowało... O, *hvað er þetta?*

Koń parsknął cicho i przystanął. Skald również znieruchomiał, wpatrując się w skalną ścianę, która pionowo wyrastała po jego lewej stronie. Na wysokości kilku metrów otwierała się ciemna jama.

Snorariki, przypomniał sobie nazwę pieczary. Królestwo Snorriego. Tu kiedyś pewien banita ukrył się przed mścicielami, a po tygodniu oblężenia, gdy prześladowcy zaczęli przymierać głodem, z pogardą rzucił im wędzony udziec. Zniechęceni mściciele, widząc, że u Snorriego jest jadła w bród, odwrócili się i odeszli. Nie wiedzieli, że to był blef - Snorri sam również umierał z głodu, ale zachował ów ostatni udziec, by w odpowiednim momencie oszukać swych prześladowców.

Czego ja się właściwie lękam? - pomyślał Vidar. Skoro Snorri i ścigający go ludzie przesiedzieli tu cały tydzień i wyszli z tego cało?

Ściana kryjąca Snorariki wznosiła się na szczycie przełęczy i teraz skald wdychał już chłodniejsze powietrze. Obrócił się wolno, klepiąc po szyi równie zmęczonego konia, i zmierzył wzrokiem pokonany dystans. Dopiero stąd Puszcza Thora przypominała prawdziwy las. Plama nieruchomej, ciemnej zieleni płynęła w dół między, nagimi zboczami, aż po szare pustkowia Langidalur, pocięte białymi nitkami potoków.

Upiorne miejsce jak na schronienie, pomyślał. Godne najbardziej zropaczonych wygnańców.

Eirik?

Oczy skalda zwężyły się, gdy przyjrzał się jeszcze raz Snorariki, po czym, tknięty nagłym impulsem, zsunął się siodła i podbiegł do ściany. Wykute w skale szczeliny idealnie pasowały do jego dłoni i po kilku sekundach wspinaczki Vidar wślizgnął się do wnętrza pieczary - schronienia banitów. Zamrugał, próbując dostosować wzrok do ciemności.

Runy dostrzegł niemalże natychmiast.

Były krzywo wydrapane leżącym tuż obok kawałkiem kamienia, ale odczytał je bez trudu. Eirik. A obok nich krzyż.

- A więc to tu się kryłeś... - szepnął.

„Sam Eirik ledwie żywy z płomieni umknął” - odezwał się w jego głowie głos starego Sigbjørna. - „Gada się, że Skalle nienawidzi wszystkich, co wierę w Białego Chrystusa przyjmują”.

Drżąca, brudna dłoń skalda dotknęła wydrapanego krzyża i przesunęła się w dół wzdłuż rysy. Naraz chciwie zacisnęła się na srebrnym krucyfiksie, wiszącym na szyi.

„Bo gdybyście chcieli wśród ludzi odpoczywać, skaldzie, lepiej schowajcie to”. Wśród spłoszonych myśli rozległy się słowa Ketila.

Dłoń poluźniła uścisk.

- Nie obchodzi mnie to - powiedział ochryplym głosem. - Eirik, Ketil, Skalle. Gdzieś mam was i wasze waśnie, wy rozwrzeszczane koguty na stosach ścierwa.

Coś jednak nie pozwoliło mu do końca skoncentrować się na własnych słowach, jakieś przemożne wrażenie, które napływało z zewnątrz i rozbijało jego skupienie.

Skald podszedł do krawędzi jaskini i zamarł.

Powietrze w Puszczy Thora zgęstniało, a chmury zeszywniały, jakby czas stanął. Las spowijał osobliwy, żółtawy blask. Panowała w nim całkowita cisza, nie drgnęło nawet najmniejsze źdźbło trawy. Środkiem ścieżki szedł obcy wojownik.

Zafascynowany Vidar patrzył na pogięty, wgnieciony w kilku miejscach szłom i osmoloną kolczugę, rozciętą dobrze wymierzonym ciosem. Włócznia, na której się wspierał nieznajomy, była złamana w jednej trzeciej długości. Wojownik utykał na prawą nogę, a na jego nadobnej, niemalże niewieściej twarzy malowała się skrajna rozpacz. Było w jego postaci coś, co budziło w sercu Vidara podświadomy, niewytłumaczalny niepokój.

Skald zmrużył oczy, koncentrując się na twarzy nieznajomego, i nagle krew stanęła lodem w jego żyłach. Wyraźnie widział prześwitujące przez nią zarysy drzew Thorsmörk!

Ranny wojownik przystanął i zwrócił się w stronę Snorariki oraz oniemiałego Vidara. Jego widmowa twarz była brudna od popiołu i zakrzepłej krwi.

„Czy ty wiesz, że to koniec?” - Jego głos rozległ się w głowie skalda. - „Oni wszyscy nie żyją, Vidarze synu Gustava. Wszyscy martwi, jak przepowiedziane było”.

Za plecami eterycznego wojownika sunęli inni, zbrojni w połamane miecze, zbroczone krwią topory, łuki bez strzał, odziani w poszarpane kolczugi i pocięte płaszcze, ranni, poparzeni, pełni rozpacz. Co rusz któryś zwracał oblicze w stronę Vidara, a jego puste oczy wyrażały bezdenny smutek. Wiatr zamarł, czas stanął.

„Nasz król nie żyje, pochłonięty promieniami Surta”. - Nieznany głos w głowie skalda kontynuował lament. - „Niech przeklęty będzie dzień, w którym oddał swój miecz Skirmirowi. Zginął w płomieniach świat, który kochaliśmy. Płacz z nami, Vidarze synu Gustava. Płacz z nami, oplakuj śmierć tych, którzy wypełnili swe przeznaczenie!”

Vidar zacisnął mocniej palce na krawędzi pieczary. Nieznajomy głos huczał w jego głowie, a obrazy zaczynały tańczyć mu przed oczyma.

„Płacz z nami, śmiertelniku!”

- Nie mogę - wymamrotał. - Boże Jedyny, wspomóż mnie...

„Płacz z nami! Oplakuj poległych!”

„Powiedz ludziom, że... że już jest po bitwie” - szepnął mu do ucha Eirik. - „Że nastał świt”.

„Lepiej krzyż schowajcie, panie!” - dodał Ketil.

- Nie...

„Płacz, Vidarze synu Gustava!”

„Jeg har ei tulle med øyne blå...”



Słabość, która trzymała go od chwili napaści na Jumme, nie mijała. Viglund potrafił już usiąść, wstać, a nawet przejść kilka kroków, ale wystarczył rzut oka na szare, rozkołysane fale, by natychmiast opuściły go wszelkie siły, a żołądek ponownie zaczął się buntować. Chłopak wciskał się wówczas w swój kącik przy wiośle sterowym, narzucał na siebie pled i kulił się, dopóki torsje nie ustąpiły, a karły nie przestały szczerzyć ku niemu klów i chichotać ze wzgardą.

Nienawidził tych złośliwych pokurczy z całego serca i wielokrotnie składał solenne przyrzeczenie, że w pierwszej dogodnej chwili rozpruje im bebechy albo je powyrzuca za burtę. Widok rozhukanego morza, które szalało od chwili, gdy Wolin zniknął na horyzoncie, skutecznie jednak tępił jego siłę woli i pokonywany kolejnymi atakami słabości Viglund zapominał o wszystkich swoich obietnicach.

Kiedyś Halbjörn przyuczał go do żeglarstwa i odbyli nawet wspólnie kilka rejsów wzdłuż wybrzeża Norweghru, ale morze podówczas było spokojne, a wiatr wiał równo. Viglund nabrał wtedy przekonania, że polubi rzemiosło żeglarskie podobnie jak wojenne, lecz kilka dni rejsu na pokładzie „Midgardsorma” zabiło w nim jakąkolwiek miłość do morza. Choroba morska dopadła go bowiem natychmiast po tym, jak ustąpiła słabość wywołana berserkerskim szałem w płonącym Jumme. Szare, monstrialne fale, ciskające potężnym langskipem niczym kruchym drewnkiem, oraz ostry, przenikliwy wiatr, smagający twarz bryzgami wody i targający mokrym żaglem, wnet stały się największymi koszmarami Viglunda. Zziębnięty, przemoczony na wskroś i wycieńczony chorobą morską chłopak nie próbował nawet wstawać, nie mówiąc już o jedzeniu bądź rozmowach z innymi.

Choć przez większość czasu pozostawał przytomny, niewiele zapamiętał z podróży. Kojarzył jedynie roztańczone, stalowosine morze oraz przynoszone wiatrem strzępy pokrzykiwań morskich ptaków. Raz na jakiś czas karły zaczynały trajkotać podniesionymi głosami oraz wskazywać kontury jakichś odległych lądów, ale Viglund nawet się nie starał zrozumieć nazw. Z wolna ogarniało go całkowite odrętwienie i docierało doń coraz mniej wrażeń.

- Jeśli wiatr się utrzyma, jutro o świcie miniemy Orkady! - wykrzyknął mu naraz ktoś do ucha.

Viglund uniósł z trudem głowę i ujrzał Jomsborczyka Gunnara, jednego z czterech ludzi na langskipie. Oprócz niego i Viglunda na „Midgardsormie” żeglował jeszcze jarl oraz ów tajemniczy Fin Koskela, który dołączył do nich w Jumme, wciąż śmierząc dymem z płonącego Jomsborga; resztę załogi stanowiły karły. Najmłodszy z jomsborskich wojów usiadł ciężko tuż obok niego, strzepując krople wody z płaszcza z foczych skór i oznajmił:

- Jarl to dzielny żeglarz i pewnością nie będzie chciał zawijać do brzegu! Myślę tedy, że jeszcze dwa, trzy dni, a będziemy na miejscu! Pływałeś kiedyś po północnych morzach?

- Nie - warknął Viglund, mierząc rozmówcę nieprzychylnym wzrokiem.

Nie podobał mu się jego pozornie beztroski ton, a w swobodzie, z jaką przysiadł się do niego Jomsborczyk, wyczuwał sporo sztuczności. Kilkakrotnie widział Gunnara, jak wpatruje się w niewidoczny horyzont i szepcze coś sam do siebie z zaciętą miną. Miał wrażenie, że młody woj przeżywa jakiś wewnętrzny konflikt i nie miał najmniejszego zamiaru poznać jego szczegółów.

- Nie lubię żeglowania - powtórzył ostro.

- To widać. - Gunnar zmierzył go lekko kpiącym spojrzeniem. - Ja też źle znoszę wzburzone morze, ale umiem się opanować. To nietrudne. Gdy wyprawilem się do Anglii zeszłej wiosny, dopadł nas sztorm tak straszliwy, że...

- Słyszałem o twojej wyprawie do Anglii - przerwał mu Viglund głosem ociekającym jadem.

Jak na złość, wiatr natarł ostrzej na wanty i Gunnar najwidoczniej nie zrozumiał jego intencji, gdyż jeszcze przez moment opowiadał o burzy, jaką przeżyli u szkockich brzegów. Następnie spojrzał prosto na Viglunda i rzekł z ledwie tłumioną wściekłością:

- Dowodziłem naonczas dwoma okrętami! Łupy może i do najbogatszych nie należały, ale przez trzy lata żaden Jomsborczyk nie przywiózł więcej! I co mnie za to spotyka?

- Jesteś przybocznym jarla Thorkila - stwierdził Viglund, nie spuszczać wzroku z Gunnara.

Oczy młodego wojownika aż lśniły od gniewu i były hǫvding Helsvinir uświadomił sobie, że dobrze się stało, że wiatr zagłuszył jego wcześniejsze słowa. W pełnym zdrowiu bez wahania stawiłby czoło Jomsborczykowi, ale nie teraz, gdy rządziły nim mdłości oraz znużenie.

- Bzdura! Wziął mnie ze sobą tylko dlatego, że mi nie ufa! - krzyczał Gunnar. - Ma mnie za młokosa i chce trzymać przy sobie! Mnie, który dowodził okrętami w najeździe na England! Jak on śmiał przydzielić okręt temu staremu przykowi Gunnulfowi miast mnie?

- Wždy mnie też zabrał...

- Nie porównuj siebie do mnie, Wilczy Pyszczku! - Gunnar poderwał się na równe nogi. - Jam więcej bitew widział, niżli ty guzów sobie nabieś!

Okręt skoczył na fali, Jomsborczyk zachwiał się i złapał okrężnicy, w ostatniej chwili chroniąc się przed upadkiem. Żołądek Viglunda zaatakowała kolejna fala mdłości, co zagasiło rodzący się wybuch furii. Chłopak zacisnął pięści i spojrzał na Gunnara z nieskrywaną pogardą.

- Moje miejsce w tej wyprawie jest na czele drużyny! - krzyczał Gunnar, a wiatr rwał jego słowa na strzępy. - Na czele! Zapamiętaj sobie to dobrze, przybłodo! Za nic mam ów szal, który porwał cię w Jumme! Za nic mam szacunek, jakim obdarzył cię jarl! Któregoś dnia znajdziesz się pod moimi rozkazami! Pod moimi! I pamiętaj wtedy, by dobrze służyć, Wilczy Pyszczku!

Jomsborczyk odwrócił się i ruszył wzdłuż burty ku dziobowi, potykając się o wręgi. Zdawało się, że nikt nie zauważył starcia między dwoma młodymi wojownikami. Karły kłóciły się o coś, zbite w kupę przy beczce ze słodką wodą, inne trwały przy żaglu i sterze lub czerpały wodę z dna łodzi. Jarl Thorkil stał nadal na dziobie, zapatrzony w dal, a odwrócony do nich plecami, milczący Koskela czuwał przy skarbach skrytych pod namiotem. Smagany wiatrem żagiel łopotał, deski poszycia poskrzypywały, stawiając opór kolejnym falom, morze unosiło się i opadało. Niewzruszony „Midgardsorm” pędził przed siebie, posłuszny swemu przeznaczeniu i obojętny na ludzkie przemyślenia.

Tylko Viglund nie przestawał zaciskać pięści. Czuł, jak fale świeżo zbudzonej furii przetaczają się przez jego ciało, odpędzając nawet wszechpotężne mdłości. Czuł też, że długo nie zdoła nad nią zapanować.

## ROZDZIAŁ 8

Reykholt nie zmieniło się wcale.

Wszyscy wędrowcy opowiadali, że słynna osada zawsze ukazuje się znieca oczom podróżników. Swego czasu Vidar spędził w Reykholt wiele lat, ale znów dał się zaskoczyć czarowi tego miejsca. Pośród szarozielonych pustkowi lawowych, które przemierzał od wielu dni, niespodziewanie zamajaczyła plama soczystej zieleni. Skald popędził konia i wkrótce znalazł się na krawędzi zbocza, skąd ujrzał tętniącą życiem, ludną wieś, otoczoną połaciami pól i pastwisk. Widział długie, torfowe domostwa o dachach porośniętych trawą, znad których snuły się słupy dymów, widział też kłęby pary nad gorącymi źródłami i stada koni, pędzone na pastwiska przez roześmianych pastuchów. Na martwej twarzy skalda pojawił się uśmiech melancholii - przypomniało mu się, jak sam dokazywał wśród zabudowań wraz z grupką rówieśników, starając się zapomnieć o perspektywie niekończących się, poważnych nauk oczekujących go w szkole. Spojrzał dalej, ponad domostwa. Tam znajdowała się siedziba Ingolfa.

Wzrok Vidara przesunął się po okalającym ją wysokim kamiennym częstokole. Tu również niewiele zmieniło się



od czasów jego dzieciństwa, poza tym, że nad bramą wyrosła mocna drewniana strażnica. Skald pokręcił głową z niedowierzaniem. Na Islandii drewno było droższe od czegokolwiek innego, a mimo to stary Ingolf nie poskąpił srebra na umocnienie swej siedziby. Trudno o lepszy dowód, iż nadeszły niebezpieczne czasy.

Ingolf dobrze strzeże swego skarbu, pomyślał.

Skarb... Bóg jeden wie, iluz to jarłów, królów albo konungów trzymało na dworach skaldów, którzy nauczyli się sztuki poezji właśnie tutaj, w Reykholt. Najlepsze rody przysyłały tu swoich utalentowanych potomków, płacąc Ingolfowi spore sumy w srebrze i bydle, by ten zapoznał ich z trudną sztuką układania rymów.

Nie wystarczyło jednakże zapłacić - każdy kandydat na skalda musiał przejść kilka surowych prób, musiał również być ochrzczony i zaznajomiony z kanonami wiary katolickiej. Ingolf był przy tym odporny na jakiegokolwiek przekupstwa, a jako jeden z najmożniejszych i najbardziej wpływowych ludzi na wyspie mógł także drwić w żywe oczy z prób zastraszenia. Trudno zatem było dostać się na naukę do starego Ingolfa syna Gisura, ale jeśli rodzice młodego chłopaka bądź (co zdarzało się rzadziej) dziewczyny, spełniających wszystkie warunki, sownie zapłacili za szkolenie, mogli być spokojni o ich przyszłość.

Za czasów Vidara grupy adeptów sztuki skaldycznej na dworze w Reykholt rzadko liczyły więcej niż pięciu, sześciu młodych ludzi, przez co Ingolfowi łatwiej było nadzorować ich rozwój. Nauki zaś odbierali wszechstronne - oprócz zasad sztuki poetyckiej poznawali bowiem wszelkie legendy Północy, genealogię większych rodów Północy oraz tajniki wiary w Asów, a także Białego Chrystusa. Sam Ingolf uczył ich stawiania runów oraz znaków alfabetu łacińskiego, tłumaczył im Biblię oraz dzieła Rzymian i Greków. Inni nauczyciele ujawniali przed nimi tajniki gramatyki łacińskiej, etykiety dworskiej, sztuki wygrywania bitew, a nawet robienia mieczem czy jazdy konnej.

Vidar wiedział, że jeśli tu nie odnajdzie swego utęsknionego spokoju, nie odnajdzie go już nigdzie. W końcu Reykholt się nie zmieniło. No, prawie. Skald miał wrażenie, że prócz owej strażnicy w otoczeniu osady pojawił się jakiś nowy, niepokojący szczegół, lecz nie poi rafiai go jeszcze zidentyfikować.

Kopnął piętami końskie boki i zaczął zjeżdżać w dół zbocza, wzdłuż ścieżki wytyczonej wśród załomów skamieniałej lawy. Długie domostwa, kryjące w sobie izby mieszkalne, obórki i spichrze, rosły mu w oczach i z każdą chwilą coraz lepiej słyszał beztrioskie pokrzykiwania wieśniaków. Jego przybycie nie zostało jednak niezauważone, niespodziewanie bowiem na ścieżce pojawiło się kilku zbrojnych mężów. Jeden wyszedł mu naprzeciw i uniósł prawą dłoń.

Vidar wstrzymał konia. Nie mógł nie dostrzec, że wojowie taksują go chłodnymi spojrzeniami, a ten, który stanął naprzeciwko niego, opiera dłoń na głowicy miecza. Dostrzegł też, że jego trzymający się z tyłu towarzysze są zbrojni w łuki lub słynne *daneaxe*, dwuręczne topory o blisko dwumetrowym trzonku. Dobrze wyćwiczony wojownik mógł taką bronią bez wysiłku strącić go z konia.

- Witaj w Reykholt, przybyszu - powiedział woj. - Zdradź nam swe imię i powiedz, w jakim celu przybywasz do osady Ingolfa, syna Gisura?

I naraz Vidar zrozumiał, co się nie zgadza w otoczeniu osady. Nigdy dotąd nie widział w niej tylu ludzi pod bronią.

- Jestem Vidar, syn Gustava - powiedział. - Przybywam pokłonić się Ingolfowi, memu nauczycielowi.

- Witajcie tedy, Vidarze, synu Gustava. Bramy Reykholt stają przed wami otworem.

\* \* \*

- *Frábært!* - sapnął z zadowoleniem Vidar, siadając i zamykając oczy.

Gorąca woda omyła jego ciało aż po pierś.

- Woda z mych źródeł jest lekiem na wszystko, drogi Vidarze - powiedział ze śmiechem Ingolf. - Zarówno na rany ciała, jak i ducha.

Vidar odetchnął głęboko, rozkoszując się chwilą. Nie sądził, że jeszcze kiedyś zasiądzie w Gisurlaug - znajdującej się na świeżym powietrzu, wyłożonej kamieniami kadzi, do której prowadzono gorącą wodę z pobliskich ciepłych źródeł. To właśnie tutaj Gisur, a po nim Ingolf przyjmowali goście miłych ich sercu i omawiali z nimi ważne sprawy, popijając miód i wpatrując się w nieodległe góry. W chłodne dni, tak jak teraz, nad taflą baseniku unosiły się kłęby pary, niekiedy zakrywając twarze rozmawiających, ale Vidar zdążył się już dobrze przypatrzeć swemu staremu nauczycielowi.

Od ich ostatniego spotkania upłynęło ponad dwadzieścia lat, lecz Ingolf nie zmienił się wiele. Jego siwa, nienakana w wodze broda wydawała się nieco dłuższa, zmarszczki głębsze, a dłonie drżały już jak u wiekowego starca, ale spojrzenie mądrych, bładniebieskich oczu jak zawsze przenikało duszę rozmówcy na wylot.

- Zawsze czytaliście z twarzy jak z otwartej księgi, Ingolfie - westchnął Vidar, patrząc, jak wynurzona z wody dłoń paruje w chłodnym powietrzu. - Co ninie wyczytaliście?

- Więcej mi ciało twe rzekło. - Ingolf ujął dwa rogi z miodem, podane przez milczącego sługę, i przekazał jeden Vidarowi. - Po bliznach znać, że od dawna walczysz już nie rymami, lecz mieczem.

- To prawda, Ingolfie.

- Przybysze z Norweghu również niejedno mi o tobie powiedzieli.

- Tedy wszystko wiecie.

- Skądże. Ludzkie słowa są niczym odbicie w tafli wody. Niby wiernie ukazują cały świat, ale wystarczy rzucić na nią małe drewnienko, by odbicie zostało zniekształcone. Opowiedz mi o wszystkim, Vidarze.

Skald uśmiechnął się i rozpoczął opowieść. Najpierw krótkimi, oszczędnymi zdaniami opisał, jak to w Englandzie dołączył do orszaku króla Eryka Halvdansona, władcy, który postanowił zjednoczyć Norweghr i zanieść tam Słowo Boże. Unikając misternych sformułowań, opisywał szaleństwa króla i popełnione przez niego zbrodnie, aż przeszedł do chwili swej zdrady i przystąpienia do jarla Trygvego, który zdecydował się stawić królowi czoło. Więcej ciepła pojawiło się w jego głosie, gdy zaczął opisywać porządki, jakie zaprowadził Trygve, od ostatniego tingu we Frosta nazywany już konungiem.

- Jakby lepiej zaczęło się dziać w Norweghrze - powiedział, zapatrzony na nitki pary snujące się nad powierzchnią wody. - Konung Trygve okazał się surowym władką, ale sprawiedliwym i rozsądnym. Z karłami družbę zawarł, kupców do Nidaros i Bjørgvin ściągnął, co bardziej zasłużonym rodom godności przydał, a innych, co wzbronili się uznać go władcą, bez litości przegonił z kraju.

- Wiem ci dobrze o tym - mruknął Ingolf. - Co drugi tutaj na Islandii konungowi Trygvemu źle życzy.

- Jużci. Wielu w niechęci wobec nowych porządków trwało, a przecież zmiany na lepsze nadeszły. Konung monetę własną bić zaczął, nowe kopalnie otworzył, szlaków kilka nowych poprowadził, a co najważniejsze družbę ze świętkami zawarł. Rychło nowy biskup do Norweghru przybył, surowy starzec o imieniu Helmgarth, a konung jął eremy nowe budować, mnichów sprowadzać, nawet katedrę postanowił powiększyć. Nie chciał niezgody w państwie, dość się jej naoglądał.

Mądre oczy nauczyciela lśniły, obramowane kropelkami wody na rzęsach. Wiedział, kto pomagał konungowi w podjęciu słusznych decyzji, i uśmiechał się na tę myśl.

- A potem urodził się mój syn. - Głos Vidara zadrżał. - Zabijając przy porodzie swą matkę.

- Wiem - westchnął Ingolf. - Wyczytałem to w twych oczach. Jak... Jak jej było na imię?

- Disa - rzekł skald i uśmiechnął się ze smutkiem.

Upłynęło tyle lat od twej śmierci, pomyślał naraz z żalem, a wciąż odczuwam żal, ilekroć wypowiem twe imię.

- A syn?

- Syn stał się dla mnie wszystkim. Absolutnie wszystkim. I dlatego chyba go straciłem.

- Nie żyje?

- Nie, skąd. Żyje. Wyrósł na dzielnego męża, jeno...
- Jeśli ból ci to sprawia, Vidarze, tedy nie mów o nim.
- Nie, opowiem wam o wszystkim, Ingolfie. W końcu po to tu przybyłem - by uwolnić się od rozpacz, która ogarnia mnie za każdym razem, gdy o nim pomyślę.

Tym razem opowieść całkiem go poniosła. Zamyślony i zapatrzony w odległe szczyty górskie, mówił bez końca, nie oszczędzając cierpliwemu słuchaczowi nawet najbardziej bolesnych szczegółów. Opowiadał o niechęci, jaką inne dzieci darzyły jego syna, o jego samotnym dzieciństwie i o pierwszym wybuchu szału, który zakończył się śmiercią jednego z towarzyszy zabaw.

Gorzko opisywał rosnącą przepaść między Viglundem a jego rówieśnikami, którą on sam, Vidar, bezskutecznie próbował zasypywać swą nadmierną troską, nie zapominał również o chwili, kiedy uświadomił sobie, że dla swojego syna to on stał się głównym winowajcą jego niedoli.

- Wszystkie moje starania obróciły się wniwecz - mówił cicho. - Viglund odrzucił moją przyjaźń i moją miłość, odrzucił chyba również wiarę w Boga, której nauczyłem go w dzieciństwie. Stokroć przedkładał towarzystwo swego piastuna Halbjørna, mnie zaś unikał jak mógł. Czulem jego rosnącą niechęć, wiedziałem też, że z czasem przerodzi się ona w nienawiść. I nie pomyliłem się. Viglund winił mnie o wszystko - o swą szpetną twarz, o swą samotność i kpiny innych ludzi, o swe napady szału i ubóstwo. Konung Trygve chciał nam obu wyświadczyć przysługę i uczynił go przywódcą Helsvinir, swego drugiego hirdu, który wysyłał do walki z tymi, którzy źle mu życzyli. Niewiele to jednak pomogło - Viglund marzył przecie o prawdziwej sławie woja i poczuł się upokorzony pozycją høvdinga hirdu morderców. Ja zaś straciłem go ostatecznie.

- Bez nadziei?

- Bez. Nie pojawił się nawet na uczcie pożegnalnej, którą konung Trygve wyprawił w zamczysku na moje pożegnanie. Zresztą chyba nawet dobrze się złożyło, bo bynajmniej nie o pożegnanie konungowi się rozchodziło. Uczta było jeno sposobnością, by spotkać się z kilkoma znaczącymi mężami i pociągnąć kolejne knowania. Tego też mam już dość, Ingolfie, obmierzły mi intrygi i polityka.

- Jeśliś od knowań chciał uciec, drogi Vidarze, toś źle kierunek ucieczki obrał! - Stary skald roześmiał się, kręcąc głową. - Więcej jej na Islandii ninie niżli kiedykolwiek wcześniej.

- *Komdu, láttu það eiga sig.* - Skald przypomniał sobie o rogu z miodem, nadal trzymanym w ręku, i pociągnął łyk. - Zawdy przecie rody wadziły się o ziemię lub mściły za zabójstwa, lecz wszystkie wróżdy kończyły się ugodą na tingach. Inaczej knowania wyglądają w Norveghrze, Ingolfie.

- Czyżby? - Stary skald uśmiechnął się ze smutkiem. Jego poskręcane artretyzmem palce uniosły zanurzony w wodzie krzyżyk, wiszący na piersi Vidara.

- Zupełnie zapomniałem - powiedział Vidar. - Przecie śniedzią zajdzie w tej wodzie.

- Lepiej, by kryła go śniedź niżli krew, drogi chłopcze - wyszeptał Ingolf. - Złe dni idą dla tych, co w Boga Wszechmogącego wierzą.

- Słyszałem o tym, jeno wiary jakoś dać w to nie mogłem. - Vidar pokręcił głową. - Dlaczegoż to? Przecież...

- Przecież na Islandii zawdy wierzenia się mieszały, to chcesz powiedzieć? - podchwycił stary. - Prawie rzeczesz. Ci, co Asom ofiary składali, zawdy zgodnie żyli z tymi, co się Białemu Chrystusowi kłaniali. Bywało, że jeden z drugim za dużo wypili i do oczu sobie skakali, własnych bogów wynosząc, jeno nikt na poważnie takich waśni nie brał. Przecie podczas pijatyki każdy powód dobry, by sąsiadowi w pysk przyłożyć. Ninie wszakże nie chodzi już o to, by w pysk komu dać.

- Eirik... - Vidar nagle otworzył szeroko oczy.

- Tak, Eirik znany Krótkim. Choćby i on. Na tingu w Borgarness z Płaskim Nosem się powadził, wyzywając go od czcicieli jednookiego capa. Tydzień później z jego halli ino zgłiszczą zostały. Prawie postąpił Skalle, bo obrażono

część jego, jeno coś mi się widzi, że Skalle tylko powodu do waśni szukał. Nie od dziś przecie na chrześcijan nastaje, nie od dziś przeciwko nim przemawia, a rody podburza. A Skalle nie sam, ma sojuszników wielu. Żle ninie na Islandii w Boga na Krzyżu wierzyć.

- A Allting? Przecie mogą godi na prawa odwieczne się powołać i zabronić poganom podnosić rękę na chrześcijan...

- Zapomnij o Alltingu, Vidarze.

- *Ég skil ekki...*

- Allting nie jest już tym, czym kiedyś. Za czasów twej młodości godi podejmowali tam wielkie decyzje, a sędziowie w pokoju rozstrzygali nawet najtrudniejsze sprawy. Nie było ci na Islandii zuchwalca, który by ich decyzję zlekceważył. Dziś zaś trudno o takiego, co by ją uszanował. Za dwa tygodnie zaczynają się obrady, których nie lza mi opuścić. Pojedziesz ze mną, Vidarze? Zawsze przyda się dodatkowa para rąk.

Skald dopił miód. Z wolna nabierał pewności, że pomysł ucieczki na Islandię nie był najszcześniejszy. Po cichu liczył na to, że tu go będzie oczekiwać cisza i odosobnienie, a tymczasem każdy etap podróży obarczał go kolejną porcją pytań bez odpowiedzi. Milczał, patrząc ponuro w chmury, układające się w osobliwe kształty nad polami lawowymi, aż wreszcie spojrzął na swego nauczyciela i nieoczekiwanie zapytał:

- Ingolfie, czy... Pamięć mnie chyba zawodzi, niby jestem pewien, ale... Czy elfy miały walczyć w Ragnarokku?

- Cóż za pytanie! - zdumiał się nauczyciel. - *Að sjálfsögðu!* Wždy Alfheim to królestwo Freya, jednego z największych Asów. Jakże zatem miałby Frey przystąpić do Ostatniej Bitwy bez swych najlepszych wojów? Skąd pytanie?

- Tak mnie coś naszło... - wyjąkał Vidar i z całej siły opanował odruch pochwycenia się za skronie.

„Oni wszyscy nie żyją, jak przepowiedziane było” - huczało mu w głowie.

\* \* \*

Vidar leżał bezsennie i wdychał ciepłe, pachnące wysuszoną darnią powietrze alkowy, którą przydzielił mu Ingolf. Przez umysł przebiegały mu dziesiątki myśli, z których wszystkie, niczym ćmy do płonącej pochodni, zbiegały się wokół spotkania pod pieczarą Snorariki. „Już po bitwie!” - krzyczał z rozpaczą ranny elf. - „Oni wszyscy nie żyją!”. Serce skalda biło jak oszalałe, a otwarte szeroko oczy wpatrywały się w ciemność.

Już po bitwie.

„To ja jestem zwycięzcą” - szeptał zgnębiony Eirik, skulony przy ognisku w głębi pieczary. Eirik chrześcijanin, którego pokonał i wygnał poganin Skalle. Eirik, który zapewne elfów spotkał znacznie wcześniej i zrozumiał znacznie lepiej.

Po bitwie.

Vidarowi przychodziło na myśl tylko jedno wytłumaczenie zagadki. Ragnarokk.

Jako skald doskonale znał opowieści o dniu Zmierzchu Bogów, ostatniej bitwy, w której to zastępy bogów zmierzają się z armiami olbrzymów, a cały świat ulegnie spustoszeniu. Dobrze pamiętał, który z bogów zmierzy się z którym olbrzymem bądź potworem, wiedział, kto w walce wesprze siły Asgardu, a kto się opowie po stronie ciemności. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, by w opowieść o Ragnarokku uwierzyć.

Vidar wystarczająco dużo wiedział o świecie, by odrzucić przekonanie, że świat Asów i Asgardu zakończy walna bitwa między siłami Porządku i Chaosu. Zawsze podejrzewał, że opowieść o Ragnarokku jest odbiciem uniwersalnego marzenia o bohaterskiej śmierci - skoro świat bogów ma się kiedyś zakończyć, niech położy mu kres tryumfalne, ostateczne starcie. Nie wyobrażał sobie ani pożerającego słońce Fenrisa, ani Bifrostu, zapadającego się pod ciężarem maszerujących olbrzymów. Był przekonany, że świat dawnych bogów po prostu kiedyś odejdzie w

niepamięć, w ciszy, bez wiecznej nocy, niekończących się mrozów i bratobójstwa.

Mylił się jednak. Choć w ciszy i zapomnieniu, Ragnarokk jednak się odbył. Bogowie i olbrzymy nie żyli, a niedobitki istot z wierzeń jego ojców były pogrążone w rozpacz, gotowe ustąpić z tego świata.

Skoro tak, myślał gorączkowo, przewracając się na łożu, to skąd naraz ta nienawiść wobec chrześcijan? Czyżby inni ludzie też odkryli prawdę o zmierzchu bogów i mścili się na tych, którzy mieli odtąd niepodzielnie panować?

Próbował się modlić, lecz umykały mu słowa modlitwy i dłonie wypuściły w końcu srebrny krzyżyk. Jednocześnie jego umysł wypełniał się chaotycznymi skojarzeniami, które spamiętane za dnia, w nocy rozpoczynały szalony taniec. Twarze i sytuacje, słowa i zdania, myśli i rozważania, wszystko to zlewało się w bezsensowną papkę bez motywu przewodniego i Vidar z ulgą powitał nadpływającą senność.

\* \* \*

Wiosna, która tak długo zwlekała z nadejściem, wydawała się wreszcie z wolna zmierzać do Norweghru. Ponaglone przez nią słońce wyrzało zza chmur - stalowoszare wody fiordu załśniły złocistym blaskiem, a czerwone zagłę oddalających się królewskich langskipów naraz zaczęły przypominać kwiaty unoszące się ku otwartemu morzu. Niektórzy ze zgromadzonych na nabrzeżu ludzi zadarli wysoko głowy i uśmiechnęli się, inni jednakże nie przestawali się wpatrywać w odpływające okręty. W spojrzeniach, jakimi obrzucali samotną postać konunga Trygvego, podziw mieszał się ze zgrozą.

- Tak - mruknął konung, otulając się szczelniej futrem, pomimo ciepłego poranka. - I tak oto odpłynęli. Dzięki wam składam, wasza wielbność, żeście raczyli ich pobłogosławić.

- Chciałbym ci ja wierzyć, że szczerze te słowa mówicie, panie - mruknął biskup Helmgarth, który nie spuszczał wzroku z królewskich okrętów. Prowadzący eskadrę „Eld Dreki”, którym dowodził syn konunga, sam Svein Trygveson, wykonał właśnie zwrot i niknął z pola widzenia. - Wielu wojów waszych wzdragało się przed świętymi słowy.

- Miejmy zatem nadzieję, że ci pierwsi dadzą gardło w bitwie - burknął konung i się odwrócił. - Ufajmy też, że reszta będzie miała więcej szczęścia i w try miga oczyści tę przeklętą wyspę z wichrzycieli. No, nic tu po nas.

Z tymi słowami poszedł kamienistą drogą ku miastu i górującemu nad nim zameczysku. Eskorta ruszyła jego śladem, pobrzękując orężem i powiewając połami płaszczy. Biskup rad nierad musiał pośpieszyć za nimi.

- Nie spodziewałem się, panie... - zaczął, nieco zdyszany. - Nie spodziewałem się, że zdecydujecie się na Islandię...

- Nikt się nie spodziewał. W tym właśnie sęk, *faðir*, by nikt się nie spodziewał! - burknął Trygve oschle, lecz w jego głosie pobrzmiwało zadowolenie.

W istocie, miał być z czego dumny. Zbieranie wojska na wielką morską wyprawę było mozolnym, a na domiar wszystkiego czasochłonnym zadaniem - rozesłanie wici i oczekiwanie na przybycie ostatnich wojów zabierało bowiem całe tygodnie. W takich okolicznościach utrzymanie tajemnicy było niemożliwością, przez co potencjalna ofiara nierzadko miała czas na przygotowanie obrony, a nacierający tracił atut w postaci zaskoczenia. Trygve zaś, któremu bardzo zależało na przypuszczeniu niespodziewanego ataku, postanowił zrezygnować z tradycyjnych metod zbierania ludzi. Rozesłał wici jedynie do najbliższych osad, a trzonem armii uczynił wojów ze swego hirdu oraz drużynników wtajemniczonych w plan: Bjørnsteina Myszołowa, Grima z Austfjordu i innych zacnych mężów, z którymi omówił szczegóły podczas uczty ku czci Vidara.

Ciekawe, gdzie się teraz podziewasz, pomyślał, poczuwszy nagłe ukłucie tęsknoty za starym druhem. Jeśli bowiem dotarłeś na swą utęsknioną Islandię, niebawem znów o mnie usłyszysz. Być może odezwie się w tobie żądza sławy i pożałujesz wtedy, że odmówiłeś mej prośbie w zamku Nidaros.

Naprawdę zebrana drużyna liczyła prawie pięćuset wojów. Trygve miał nadzieję, że zdoła namówić jarłów i

høvdingów do przysłania większych oddziałów, lecz ci niechętnie rozstawali się ze swymi drużynnikami, tym bardziej że głównym zadaniem zwołanej przez konunga wyprawy wcale nie miała być grabież. Trygve był zmuszony obdzielić swych dostojników nowymi przywilejami, a i tak jedynie Bjørnstein i Grim zdecydowali się wesprzeć siły konunga swoimi okrętami. Osiem z dziesięciu langskipów wyprawy stanowiło jego własność.

Trygve skrzywił się i machnął dłonią. Pięciuset zbrojnych to aż nazbyt wielu, by wypełnić wyznaczone im zadanie.

- Powiada się, że Islandczycy jak drzewiej hołdują starym bogom - rzekł zdyszany Helmgarth. - Prawda to, konungu?

- Jużci - prychnął starzec. - A najbardziej skorzy do tego są ci, którzy ongiś zadrzeć ze mną śmieli. Ci, którzy rychło rozstaną się z życiem!

- Skoro... - sapnął biskup i przystanął demonstracyjnie.

Konung zatrzymał się niechętnie i zwrócił ku niemu.

- Skoro posyłacie już drużynę na tę pogańską wyspę, to dlaczego nie chcecie jej opanować? - spytał Helmgarth, ocierając pot znad siwych, krzaczastych brwi. Jego chuda pierś unosiła się i opadała szybko, na obwisłych policzkach pojawił się rumieniec, lecz przymrużone oczy nadal cięły chłodem. - Dlaczego nie chcecie jej podbić, a potem pozwolić, byśmy nauczyli jej mieszkańców, czym jest Słowo Boże?

- Islandczycy to naród wygnańców, ojcze - powiedział wolno Trygve. - Kłótlivi, swarliwi, ale dumni i niepokorni. Nie zniosą nad sobą władzy, bo dość się przez nią nacierpieli tam, skąd uciekli. Rządzą się tedy sami, bez jarłów lubo konungów. Zaiste, gdybym chciał podbić Islandię, musiałbym każdego Islandczyka dopaść i ujarzmić z osobna. W pięciuset chłopów nie dam rady.

- Wolicie tedy zemstę? - wycodził biskup. - Zwykłą zemstę na niewinnych, niczego nieświadomych...

- Niewinnych? - warknął konung z taką pasją, że sędziwy Helmgarth aż zamilkł, nienawykły do takich wybuchów w swym otoczeniu. - Na Islandii schronili się wszyscy ci, którzy tu w Norvegrze tylko czekali na okazję, by wbić mi nóż w plecy! By roznieść wszystko to, co z takim mozołem budowałem! By pogrześć również i wasze dokonania! Svein ma wyróżnić ich do ostatniego, bo jeśli tego nie zrobi, marny jego los jako mego następcy. Czy to nie wy przypadkiem rzekliście, ojcze, że pasterzowi nie lza wypasać owiec w borze pełnym wilków?

Biskup oblizał wyschnięte wargi i pokiwał głową. Słony wiatr znad fiordu targnął króciutkimi siwymi loczkami otaczającymi starannie wygoloną tonsurę.

- Jako waszego następcy? - zapytał.

- Nie będę panował wiecznie - rzekł Trygve. - Zostało mi bardzo niewiele czasu, by pomóc jemu i wam przy okazji również. Pewne jest bowiem to, że po mojej śmierci będziecie musieli się dogadać. Mnie i wam, wasza wielebność, jakoś się to udawało. Wiele nas połączyło, wzdry obaj jesteśmy starzy, obaj też mieliśmy wielką misję przed sobą. Mój syn jednakowoż to człek młody, mężny, lecz niestały, bardziej do wojowania niżli rządzenia skory. Doprawdy, pojęcia nie mam, jak połączycie siły.

- Wasz syn ma wielkie serce... - zaczął biskup, lecz Trygve przerwał mu ponownie.

- Za kilka dni mój syn rozpocznie rzeź, jakiej Islandia nigdy dotąd nie zaznała! - warknął. - Będzie ciął, rąbał i palił, dopóki kilka wrogich mi rodów nie zostanie wybitych do nogi. Kiedy wróci tutaj, ledwie obmyty z krwi, wciąż cuchnący dymem z płonących domostw, nadal słysząc wrzask ginących kobiet i dzieci, będziecie mogli sami ocenić, czy zaiste ma wielkie serce. Wierz mi, ojcze, nie mam pojęcia, jak wam się uda połączyć siły. Ale jakoś będziecie musieli to zrobić. Nie ma wyboru.

Przyboczni stali posłusznie, nie śmiąc się poruszyć. Stali i wpatrywali się w czubki swych butów, od czasu do czasu pozwalając sobie na ukradkowe spojrzenie na obu starców. Konung Norveghru i biskup Północy odwrócili się ku niknącym na horyzoncie czerwonym żaglom królewskiej floty. Helmgarth wykonał powoli znak krzyża. Drżąc,

wykręcona artretyzmem dłoń Trygvego dotknęła piersi, jakby w poszukiwaniu ukrytego pod nią amuletu, po czym opadła. Fińska niewolnica, która nie odstępowała go ani o krok, poprawiła futro na jego ramionach i zerknęła ku flotyli. W błękitnych oczach kobiety błysnęła obca, złowroga iskra.

## ROZDZIAŁ 9

- Czemu to robisz? - spytała Thyra cichym, wciąż słabym głosem.
- Co? - odparł z tym samym, naiwnym, a jednocześnie tajemniczym uśmiechem.
- No... Dlaczego mi pomogłeś?
- Bo tego potrzebowałaś.

No tak. W głębi duszy spodziewała się kolejnej, zagadkowej, nic niemówiącej odpowiedzi. Od chwili, gdy znów odzyskała przytomność, rozmawiali co prawda kilka razy, jednakowoż ich rozmowy zawsze polegały na tym, że ona zadawała dziesiątki pytań, a on odpowiadał półsłówkami, uśmiechając się przy tym promiennie.

Nie wiem, gdzie jestem, pomyślała. Nie wiem też jak długo, a co najważniejsze, nie wiem z kim.

Siedział odwrócony do niej plecami.

Może to dobrze, pomyślała Thyra,

Za każdym razem, gdy patrzyła w jego twarz, wprost urzekło ją jej szlachetne piękno i blask bijący z oczu. Wystarczyło jednak, by się odwrócił, a natychmiast zapomniała, jak wyglądał. Nie potrafiła sobie przypomnieć koloru jego oczu, barwy włosów, nie pamiętała nawet, czy miał brodę, czy nie. Jedynym, co pamiętała, były jasne, niemal białe brwi.

Może nawet podawał swe imię, tylko mnie wyleciało ono z głowy, pomyślała ponuro.

- Bo nie mam nic innego do roboty - powiedział nagle, tak nieoczekiwanie, że Thyra niemalże poderwała się z posłania.

- Jakże to? - wyjąkała.

- Połóż się, powinnaś odpoczywać - rzekł swym miękkim, melodyjnym głosem, który od paru dni tak skutecznie koił rozpacz w jej sercu.

- Po co? - wyrwało jej się. - Po co mam odpoczywać? Czy ty w końcu odpowiesz na któreś z moich pytań?

Kim jesteś? Gdzie ja trafiłam?

- To, kim jestem, nie powinno mieć dla ciebie znaczenia. A to miejsce to Stenskógurinn.

- Stenskógurinn! - Thyra otworzyła szeroko oczy. - Kpisz sobie ze mnie?

Nieznajomy opiekun nic nie powiedział, tylko się uśmiechnął i odwrócił spojrzenie.

- Stenskógurinn... - powtórzyła szeptem. - Kamienny Las.

Doskonale znała tę nazwę, lecz jak dotąd była dla niej równie magiczna i nieosiągalna jak Walhalla czy Alfheim. W miejscach zwanych Stenskógurinn, zaszytych w najgłębszych macecznikach lub skrytych wśród nieosiągalnych szczytów, gromadziła się prastara magia. Tam sędziwi kapłani odbywali najpotężniejsze rytuały ku czci swych panów, tam młodzi wojowie poznawali swój los, tam rodzili się bohaterowie i powstawały runy. Kiedyś słyszała w Nidaros ckliwą pieśń o tym, jak karzeł Arnul wespół z wojem Haraldem odczytali w Stenskógurinn wróżbę, która pomogła im obalić okrutnego króla Eryka, lecz Thyrze ani do głowy przyszło, by uznać ją za prawdę. Teraz już sama nie wiedziała, co myśleć.

- Co ja tu robię? - wyjąkała.

- Dowiesz się wkrótce, Thyro. Twój udział w sprawach tego świata jeszcze się nie zakończył.

- Tak? - prychnęła. - A skąd ty o tym wiesz?

- Nie wiem. Nie mnie wyrokować i przyszłość przepowiadać. To tylko przeczucie.
  - Przeczucie? - Pomimo zdumienia, w głosie Thyry znów pojawiła się złośliwość. - A co jeszcze mówi twe przeczucie?
  - Że to ktoś inny zasłużył sobie na ów gniew, który próbujesz na mnie wyładować.
- Thyra opadła na posłanie i naciągnęła derkę na oczy, które natychmiast wezbrały łzami.
- *Pú skilur ekki* - wyszeptała. - Ja... Ja nie mam domu, nie mam swego miejsca. Odkąd porwali mnie piraci, tułam się to tu, to tam... kupowana, sprzedawana... i pogardzana. Marzę o spokoju, ciszy, o miłości, lecz cóż z tego? Nie taki los mi pisany. Już prawie odnalazłam to, za czym tak tęskniłam, lecz on...
- Świat drżał, ukryty za kurtyną łez. Ciepła dłoń mężczyzny zakryła jej nadgarstek.
- *Ég skil* - powiedział, wciąż tym samym głosem. - Rozumiem, bo ja również nie mam domu. Ani rodziny - dodał po chwili. - To dlatego mogę się tobą zająć.
  - Dlatego? - Thyra przetarła piąstkami załzawione oczy. - Wyglądasz przecież na wielkiego konunga, a co najmniej jarla.
  - Jużci, mój ojciec był zasię wielkim wodzem, jeno jego czas dobiegł już końca.
- Nadal czuła dotyk jego dłoni, miała wrażenie, jakby jej ciepło przeganiało resztki strachu i smutku. Bała się tylko tego, że otworzy oczy i czar pryśnie.
- W twym sercu mieszka rozpacz, która czasem, kiej berserk w środku bitwy, przemienia się w gniew. Jednakowoż nie przestajesz miłować i tego ci zazdroszczę. Twoja miłość jest pełna wyrzutów, zraniona i okaleczona, lecz wciąż bije od niej moc. Wierz mi, Thyro, bardzo ci tego zazdroszczę.
  - Ja nienawidzę tego szubrawca... - wyjąkała słabym głosem.
  - Nieprawda. Chcesz go zobaczyć? - spytał, kładąc jej dłoń na oczach.

\* \* \*

Nastał świt, a wraz z nim znów napłynęły mgły. Ich porwane kłęby przytulały się do zboczy gór, wytłumiając soczystą zieleń rosnących tu i ówdzie traw, inne zaś sunęły wzdłuż plaży, posłuszne woli lekkiego, słonego wiatru. Pokrzykujące w górze mewy i rybitwy co rusz zniżały lot, jakby zaniepokojone pojawieniem się czwórki przybyszów.

Jarl Thorkil szedł równym, zdecydowanym krokiem człowieka, który doskonale wie, co należy zrobić. Na jego bladej twarzy, która zazwyczaj nie okazywała żadnych emocji, tym razem zastygł drapieżny uśmiech, a dłoń muskała głowicę miecza. Gunnar, który jako jedyny nałożył hełm, starał się dorównać jarlowi kroku i niemalże przydeptywał mu płaszcz. Idący jako trzeci kudłaty Koskela nie przestawał rozglądać się z zaciekawieniem po okolicy i mruczał coś pod nosem z rozbawieniem.

Zamykający pochód Viglund nieświadomie powiódł wzrokiem za tajemniczym Finem. Skryty we mgłach fiord wydawał się nierzeczywisty, jakby nagle znalazł się na pograniczu świata legend. Chłopak spojrzał wyżej i dostrzegł grupki ciemnych świerków, które wpiły się korzeniami w skaliste zbocza, a nad nimi majestatyczne, ośnieżone szczyty. Niebo o tej porze dnia było jedynie płataniną odcieni szarości.

- Gdzie my jesteśmy? - szepnął.

Jego słabość zaczęła ustępować z chwilą, gdy Koskela napał na ster i ogromny langskip skręcił ku wejściu do szerokiego, malowniczego fiordu. Karły sprawnie skróciły żagiel, po czym rzuciły się do wiosła. Fale stały się spokojniejsze, co niemal natychmiast przyniosło chłopakowi ulgę. Już moment później Viglund uświadomił sobie, że może wstać, a nawet zrobić kilka kroków. Siły wracały mu szybko, a gdy langskip wreszcie zarył w mokry piach plaży, Viglund zeskoczył na ląd niemal bez trudu. Nadal czuł zawroty głowy i lekkie mdłości, wiedział też, że upłynie jeszcze kilka godzin, nim odzyska moc w ramieniu, ale cieszył się z odmiany, a radość w jego sercu



przytłumiała niepewność, którą obudził nieznany brzeg.

Obejrzał się, lecz po potężnym „Midgardsormie” zostały jedynie szerokie bruzdy w piachu, zalewane stopniowo przez fale, oraz stos kufrów i worków ze złotem z Jumme, złożonych byle jak na plaży. Gdzieś dalej na wodach fiordu zamajaczyły niewielki z tej odległości żagiel.

- Co to za miejsce? - spytał Viglund.

Idący przed nim Koskela zatrzymał się.

- To Eyjafjord - powiedział z owym dziwacznym, nieprzyjemnie brzmiącym akcentem. - Jesteśmy na północy Islandii, chłopcze. Ujrzysz tu rzeczy, których nie widział dotąd żaden człowiek.

- Na Islandii? - Młodzieniec poczuł rosnące rozczarowanie, przemieszane z irytacją. - Czy ze wszystkich krain na świecie musieliśmy trafić akurat do tej, gdzie...

- ...gdzie dotarł twój ojciec? - wszedł mu w słowo Thorkil, odwracając się nagle, aż zafurkotały poły płaszcza. W jego ciemnych oczach zamigotały iskierki irytacji.

- Skąd wiecie o mym ojcu? - wyjąkał Viglund.

- Chciałeś przed nim uciec, Wilczy Pysku? - pytał jarl cicho, patrząc mu prosto w oczy. - Tak bardzo nim gardzisz, że wolisz być jak najdalej, tak? Choćby i w drużynie jomsborskiej? Popelniasz wielki błąd, Viglundzie, bo przed prawdziwą nienawiścią schować się nie sposób. Ona jest jak ropa, która się gromadzi w ranie - trzeba pozwolić jej wypłynąć, bo inaczej zatruje całe ciało. Nie chowaj się przed ojcem, skoro go nienawidzisz. Skorzystaj z szansy danej ci przez przeznaczenie, staw mu czoło.

- Mam go zabić? - spytał Viglund, wpatrując się w jarla rozszerzonymi oczyma.

Gunnar parsknął pogardliwym śmiechem, a Koskela unióśł brwi.

- Nie wahałeś się dobywać broni, gdyś walczył na czele Helsvinir. - Jarl skrzywił się. - Nie wahałeś się również w Jumme. Skąd ninie te wątpliwości, Wilczy Pysku?

- Nie... Nie umiem tego wyjaśnić.

- Nic dziwnego, wždy to stek bzdur. Nienawiść jest nienawiścią, Viglundzie, i trza dać jej upust. Dość tej czczej gadaniny. Czujesz?

Głęboko poruszony słowami jarla Viglund dopiero teraz sobie uświadomił, iż lekki, poranny wiatr przyniósł ledwo wyczuwalny zapach dymu.

- Potrzebujemy koni i wozu - ciągnął jarl, lecz tym razem w jego głosie pojawiła się jakaś obca, straszliwa nuta.

Chłopak poczuł, że po plecach przebiegają mu dreszcze, ale nie mógł oderwać wzroku od Jomsborczyka.

- Przydałoby się również paru niewolnych i coś do jedzenia. No, Viglund, do roboty. Mam wreszcie dla ciebie pracę, na której się na pewno dobrze znasz. Nie zapomnij się jeno wprzód przedstawić swym prawdziwym mianem.

\* \* \*

- Kim jest ów mąż? - spytała zduszonym szeptem Thyra. - Kim jest człek, który posyła Viglunda na śmierć? Mam jakieś straszliwe przeczucia...

- To człowiek, który widział świt po bitwie. - Głos nieznanego niespodziewanie ochłódł. - Bije odeń jakaś nienaturalna moc, Thyro, obca dla zwykłego śmiertelnika. Ja też mam złe przeczucia... Patrmy więc, poznawajmy przeznaczenie...

\* \* \*

Obwiedziona niskim murkiem osada składała się z trzech długich chat o ścianach ułożonych z kamieni i dachach

krytych darnią. Do boków każdej z nich dołączono mniejsze pomieszczenia. W porównaniu do wielkich, przestronnych halli, które wznoszono w Norvegrze, te przypominały nędzne lepianki, lecz Viglund pamiętał z opowieści ojca, iż na jałowej Islandii trudno o większe domostwa.

Pchnął zagradzający bramę płótek i dumnym krokiem wszedł na podwórze. Zignorował szczekającego wściekle kudłatego psa, nie spojrzął nawet na dzieciarnię poganiającą stadko wystraszonych kóz ani na siwowłosego, okutanego w futra staruszka, drzemiącego na ławie. Jego wzrok padł na zasłonę, wiszącą w wejściu do największej chaty. Ta drgnęła, odsunięta drzewcami włóczni, a ze środka wyszedł wysoki, brodaty mężczyzna.

- Wyście Hjornstein syn Thorlaka? - zapytał głuchym głosem Viglund.

Dziwne słowa jarla Thorkila wciąż huczały mu w głowie, miał wręcz wrażenie, że ponaglają go do kolejnych czynów, obojętne, pochopnych czy nie.

- Jam ci - rzekł powoli mężczyzna i oparł się ciężko na włóczni.

- Potrzebuję kilku koni, wozu i paru niewolnych.

Mąż z włócznią przekrzywił lekko głowę, nie spuszczać wzroku z przybysza.

- A kim jesteś, chłystku, że masz czelność takie żądania wygłaszać? - spytał chrapliwie. - I gdzie ów bitny hird, który cię wesprze, gdy wyśmieję twoje słowa i wybatożyć jeszcze każę?

- Zważ mnie Viglund Wilczy Pysk - odparł chłopak. - A mój hird to Helsvinir. Nie znają litości dla każdego, kto konungowi Trygvemu bruździ.

Rysy twarzy Hjornsteina stężały, a on sam wyprostował się i mocniej ujął włócznię. Chłopak poczuł ukłucie dzikiego tryumfu, lecz nie umknęło jego uwagi, że z jednej z chat dobiegły czyjeś urywane wołania, wsparte szczękami oręża, a za drugą przemknęło kilka przygarbionych postaci.

- A zatem konungowi spodobało się i na Islandii wrogów swoich ścigać. - Tym razem w głosie Hjornsteina zabrzmiała śmiertelna powaga.

- A spodobało.

- Wiedz zatem, Viglundzie Wilczy Pysku, że mało czym tak się szczycę, jak tym, że ongiś za miecz przeciwko temu łotrowi chwyciłem! - ryknął mężczyzna, unosząc włócznię. - Niech go Hel pochłonie, a ciebie wraz z nim!

Viglund wyszarpnął miecz w ostatniej chwili.

\* \* \*

- Och! - krzyknęła Thyra, chcąc się poderwać z posłania, lecz silna ciepła dłoń nieznajomego przytrzymała ją w pozycji leżącej, a druga przysłoniła jej oczy.

- Leż spokojnie - szepnął cicho. - Uspokój myśli i patrz w dal... Odkryj przeznaczenie swego ukochanego...

- Nie chcę patrzeć na jego śmierć!

- Zalibyś była mądrzejsza od Norn i wiedziała, że śmierć go czeka? Patrz cierpliwie, Thyro, patrz...

\* \* \*

Viglund poruszał się jak w transie. Zręcznie uskoczył przed szarżą uzbrojonego we włócznię Hjornsteina i ciął go w lewe ramię, zdawałoby się lekko i wręcz od niechcienia, lecz wystarczyło, by rosły chłop zakrzyknął głośno z bólu i się zatoczył. Młodzieniec nie interesował się nim już ani chwili dłużej, gdyż oto kątem oka dostrzegł parobka, biegnącego nań z siekierą. Warknął dziko i skoczył mu na spotkanie.

Domownik najwidoczniej nie spodziewał się ataku ze strony osamotnionego napastnika, w jego oczach bowiem odbił się niespodziewanie lęk. Uniósł siekiere i spuścił na biegnącego Viglunda, lecz uczynił to tak nieporadnie, że ten nie miał żadnych problemów z unikiem. Zanurkował pod ramieniem parobka, a następnie ciął go mocno, bez

litości przez plecy. Tuż obok głowy bzyknęła mu strzała, lecz nawet nie zwrócił na nią uwagi. Przypadł do otwieranych właśnie drzwi jednej z chat i szarpnął za nie ze wszystkich sił. Zaskoczony obrońca rozdziawił tylko usta, gdy Viglund wraził mu miecz głęboko w trzewia.

Na podwórku naraz zawrzało. Raniony Hjørnstein przyciskał dłoń do zakrwawionego ramienia i głośnym rykiem popędzał swych ludzi do walki. Ci wybiegali już z krzykiem zza chat, uzbrojeni w co popadło - Viglund dostrzegł dwa zacniejsze topory, a nawet miecz, lecz większość trzymała zwykłe siekiery, niezgrabnie wykonane włócznie bądź kije. Mało który z obrońców zdołał pochwycić za tarczę lub nałożyć hełm, lecz na ich twarzach malowała się taka zaciekłość, że chłopak od razu odgadł, iż czeka go śmiertelna przeprawa.

- Tuzin was - mruknął, waząc w dłoni miecz. - A ja sam. Obaczmy tego, kogo chętniej walkirie do Walhalli zawleką.

Domownicy Hjørnsteina rzucili się hurmą ku Viglundowi, poganiani wrzaskami swego pana. Któryś przewrócił stojak z sieciami, inny odkopnął szczekającego psa, jeszcze inny napiął łuk i strzelił w biegu, lecz chybił. Viglund uśmiechnął się paskudnie, splunął i zawył dziko niczym ranny wilk.

Wrzaski Hjørnsteina nagle przeszły w zdławiony bulgot. Kilku parobków przystanąło i odwróciło się, a biegnący ku nim Viglund uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Jarl Thorkil wpadł między ludzi Hjørnsteina niczym jastrzęb w stado kuropatw. Jego miecz uniósł się i opadł, gasząc życie człowieka z łukiem, a mgnienie oka później wbił się w bok kolejnego, uzbrojonego w ciężkie toporzysko. Domownicy zakrzyknęli i odskoczyli przerażeni, lecz jarl ani myślał odstąpić. Parł naprzód z nieodgadnioną twarzą, na której nie było znać żadnych emocji, bez wysiłku odbijając przypadkowe ciosy. Któryś z domowników rzucił się do ucieczki, lecz zatrzymało go ostrze chichoczącego Koskeli. Nad ciałem Hjørnsteina stanął Gunnar, ściskający w dłoniach zakrwawiony topór.

Zaraz potem starcie dobiegło końca. Zdyszany Viglund oparł się na mieczu i z oszołomieniem rozejrzał po zasłanym trupami podwórku, a potem spojrzął na ostatnich parobków, którzy w panice uciekali ku wzgórzom. Z chwilą gdy ucichły ich wrzaski, nad napadniętym domostwem zapadła cisza, głucha i pełna napięcia, jakby cały świat naraz wstrzymał oddech. Wiatr bezgłośnie owiewał spotniałą twarz Viglunda, a słyhać było jedynie urywany jęk jednego z rannych i dobiegające ze spichrza stłumione piski kobiet.

- Dobrze się sprawiłeś - rzekł jarl Thorkil, wycierając miecz w kozuch któregoś z zabitych. Viglund zauważył ze zdumieniem, że jarl nie jest nawet zdyszany. - Nie ma jednak czasu do stracenia. Zaprzęgaj konia i wracaj na plażę, trzeba załadować łupy i w te pędy ruszać w dalszą drogę. Gunnar ci pomoże.

- A tamci, jarlu? - Gunnar wskazał styliskiem topora malejące sylwetki uciekających.

- Niech uciekają. - Machnął dłonią jarl i uśmiechnął się złośliwie. - Niech rozpowiedzą na całej wyspie, że konung Trygve powrócił, by mścić się na swych dawnych wrogach.

\* \* \*

- Bogom niech będą dzięki... - wyszeptła Thyra, czując, jak napięcie z wolna opada, a w jego miejsce pojawia się bezbrzeżna ulga, - Och, bogowie, dzięki wam za łaskę ...

Nieznajomy cofnął dłoń. Gdy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwał smutek:

- Ciesz mi twoją radość, Thyro, gdyż ja zapomniałem już, co ona znaczy. Jestem bowiem sam na tym świecie, zagubiony i zapomniany. Wciąż szukam celu, dla którego powróciłem na szlaki Midgardu, szukam piękna i spokoju, które ongiś tak bardzo umiłowalem. Wszystko jednak wskazuje, że próżne me nadzieje.

- Nie pojmuję twych słów... - Thyra się zaniepokoiła. - Dlaczego?

- Ten człowiek, którego nazywali jarlem. Nie umiem tego opisać, Thyro, lecz wyczuwam w nim groźbę, wielką groźbę dla nas wszystkich. Być może to on jest owym celem, dla którego tu jestem?

Ulga natychmiast znikła, zastąpiona przez niepewność, a potem rosnący strach. Ciałem Thyry wstrząsnęły torsje, początkowo słabe, lecz potem coraz silniejsze. Z cichym jękiem dziewczyna wysunęła głowę za posłanie i zaczęła wymiotować.

\* \* \*

Jeziro Lögirunn tchnęło niesamowitością. Jego mlecznoniebieskie, nieprzejrzyste wody były niemalże niezmacone podmuchami wiatru, a drobne fale omywające kamienisty brzeg jakby szeptały tajemniczą historię. Wokół jeziora ciągnął się milczący, acz malowniczy las sosnowy, pierwszy bór z prawdziwego zdarzenia, jaki Viglund widział na Islandii. Odetchnął głęboko - zapachy lasu w powietrzu były bardzo intensywne, o wiele mocniejsze od woni puszczy w Norvegrze.

Czyżby ów las też był przepojony magią? - pomyślał leniwie, przysmykając oczy. Nieważne, wystarczy, że pomaga mi się uspokoić.

Wydarzenia w jego życiu toczyły się w takim tempie, że z trudem je zapamiętywał. Nieudany napad na Jomsborczyków, następnie niewola i spotkanie z jarlem Thorkilem, splądrowanie Jumme, szalony rejs na północ, a na koniec rzeź w napotkanym gospodarstwie - wszystko to zaczynało go przerastać. Jego przepojony lękiem szacunek dla jarla powoli przechodził w niepewność i niepokój. Wciąż dobrze pamiętał, iż w Norvegrze nie zostawił nic, za czym mógłby tęsknić, a decyzja o przystaniu do Jomsborczyków była dlań jedyną słuszną, lecz bezlitosny wzrok jarla Thorkila, jego chłodne oczy, a nade wszystko tajemnicze, niepojęte zamysły mąciły w nim resztki spokoju. Cieszył się więc każdą chwilą, gdy mógł przymknąć powieki i choć na moment o wszystkim zapomnieć.

- Co my tu właściwie robimy? - Naraz usłyszał za sobą markotny głos Gunnara. - I w ogóle co to za miejsce?

Chłopak otworzył oczy. Najmłodszy z Jomsborczyków darzył go szczerą niechęcią i wykorzystywał każdą sytuację, by pokazać swą przewagę. Ignorowanie go przychodziło Viglundowi z coraz większym trudem.

- To jezioro Lögirunn - odrzekł. - Ludzie powiadają, że w jego głębinach mieszka potwór. Ongiś pustoszył okoliczne gospodarstwa i pożerał bydło, tedy poproszono o pomoc fińskich czarodziejów. Ci przybyli na wezwanie, zanurzyli się w wodzie, stoczyli z bestią bitwę i na koniec przymocowali ją stalowymi kłami do dna. Mówi się też, że woda jest mętna dlatego, że potwór ciągnie szarpie się w swych więzach.

Przynajmniej na coś przydały się bajania ojca, pomyślał kwaśno Viglund.

- A po co jarl postanowili się tu zatrzymać? - burknął Gunnar. - Podumać nad swym losem?

Viglund spojrzał na obłe, granitowe skały piętrzące się przy brzegu. Thorkil siedział na jednej i wpatrywał się w toń. Nigdzie nie było widać Koskeli.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Jarl nie zwierza się nam ze swych zamiarów i przez to...

- Tobie się nie zwierza! - Gunnar roześmiał się i spojrzał nań z wyższością. - Ja wiem wszystko. Znam każdy szczegół jego planu ataku na Norvegr!

- *Hvað?* - Zdumienie Viglunda było tak wielkie, że nawet nie zwrócił uwagi na pogardliwy ton młodego Jomsborczyka. - Jarl chce podbić Norvegr? Zaliby oszalał? Z garstką ludzi?

- Garstką? - Gunnar pokręcił głową. - Rusz łepetyną, Wilczy Pyszczku. Po co jarl kazał nam łupić Jumme? Po co Ragnar i stary Gunnulf zabrali część srebra na ziemi Swionów? Po co on sam zabrał ostatnią część tu, na Islandię? Pomniesz chwilę, gdy cię Snorri pojmał w niewolę? Jak myślisz, co on wtedy porabiał na twych ojczystych ziemiach? I co robi tam ninie?

Viglund aż się zachwiał. Burza emocji, która rozgorzała w nim z chwilą przybycia do Jomsborga - nabożny szacunek wobec jarla, zachwyt z powodu znalezienia się w szeregach drużyny jomsborskiej czy przybierająca na sile niechęć do Gunnara - odebrała mu trzeźwe spojrzenie na świat. Fakty, którymi od niechcenia rzucał teraz

Jomsborczyk, niespodziewanie ułożyły się w złowieszczą układankę. Czyżby jarl Thorkil w istocie rozpętał ową ogromną intrygę tylko po to, by opanować i zdobyć Norveghr?

Bo jeśli tak, uświadomił sobie ze zgrozą, to nagle stałem się zdrajcą.

Zdrajcą! - Jakiś głos zaśmiał się w głębi jego duszy. A kogo zdradziłeś, Viglundzie Wilczy Pysku? Ojca, którego nienawidzisz najbardziej na świecie? Konunga, który cię upokorzył? Krainę, w której czekał na ciebie jedynie wstyd? Boga, który nie istnieje?

- A to chyba najlepiej świadczy o twojej pozycji, Wilczy Pyszczku - ciągnął Gunnar. Przewisko Viglunda wymówił z pogardą, niemalże przy tym spluwając. - Nikt nawet nie raczył powiedzieć ci, dokąd zmierzamy. Jesteś dla jarla jeno dzikim berserkiem. Szaleńcem, którym łatwo kierować. Zwykłym przybłądą, mało co lepszym od niewolnego...

Naraz znikło oszołomienie, a dziki, nieokiełznany gniew w sercu Viglunda, który nawet się nie zatlił podczas potyczki z ludźmi Hjornsteina, niespodziewanie buchnął wysokim płomieniem. Chłopak zmrugał oczy i zacisnął mocno pięści, po czym odwrócił się ku Gunnarowi, lecz nagle zamarł. Poblady Jomsborczyk zamilkł bowiem i wpatrywał się szeroko otwartymi oczyma w toń jeziora.

Po mlecznoniebieskiej tafli sunęły bowiem fale, coraz wyższe i gwałtowniejsze. Niespodziewanie mignął wśród nich ciemny kształt, a potem znowu, na chwilę dłużej, i całą okolicą wstrząsnął potworny, nieziemski ryk. Zmartwiały Viglund patrzył, jak ze wzburzonej kipieli wysuwa się ogromny łeb, przypominający nieco koński. Nawet z tej odległości widział oczy bestii, białe niczym śnieg bladym światem.

Monstrum targnęło wściekle łbem raz i drugi, wywołując kolejne wielkie fale, po czym naraz dostrzegło jarla Thorkila, który tymczasem zsunął się ze skały i wszedł po kolana do wody, a teraz wołał coś i machał ręką.

- *Nei* - wyszeptał poblady Gunnar. - Nikt nie wyjdzie cało ze szponów takiego...

Potwór szarpnął się gwałtownie, najwidoczniej uwalniając jakieś niewidoczne, podwodne więzy, po czym ruszył w stronę jarla.

Ku skrajnemu zaskoczeniu obu wojowników - Gunnar trzęsącymi się dłońmi nakładał już strzałę na cięciwę - bestia znieruchomiała tuż przed wyprostowaną dumnie sylwetką Thorkila, po czym złożyła łeb u jego stóp.

Jomsborski jarl pogłodził ją po ogromnych nozdrzach i powiedział coś rozkazującym tonem, wskazując drugą ręką północ. Potwór z jeziora Lögirunn sapnął głośno, uderzył ogonem we wciąż wzburzoną tafle, po czym ponownie wsunął się w toń jeziora i popłynął we wskazanym kierunku.

## ROZDZIAŁ 10

Sędziwy konung Trygve podszedł do okna, po czym spojrział na dziedziniec zamkowy i zabudowania Nidaros, które ciągnęły się za wałami grodu aż po stalowoszare, niemalże znieruchomiałe wody fiordu. Zbliżał się powoli wieczór i w grodzie z wolna cichły wołania kupców i zwykłych przechodniów, a coraz częściej było słyhać wesołe śpiewy i pokrzykiwania. Nidaros szykowało się do nocnych uczt i hulank, na błoniach zapłonęły już pierwsze ogniska, ale złe przecucia, które niespodziewanie targnęły sercem konunga, bynajmniej nie ucichły.

- Ki diabeł? - zlorzczył, zaciskając pięści i wpatrując się w stłoczone ciasno domostwa grodu, próbując dopatrzeć się między nimi zagrożenia. - Svein, do licha ciężkiego, wracaj bezpiecznie, synu...

Przez kilka ostatnich miesięcy nie układało się między nimi najlepiej. Trygve, czując nadchodzącą śmierć, próbował wciągnąć syna w sprawy państwa, ale ten bronił się ze wszelkich sił przed przyjęciem na siebie choćby najprostszych obowiązków. Rozmówiony w łowach, biesiadach i ćwiczeniach w posługiwaniu się orężem Svein nie wykazywał najmniejszego zainteresowania rządzeniem i na tym tle częstokroć dochodziło do ostrych kłótni między

nim a ojcem. Teraz jednak, gdy Svein opuścił Nidaros na czele floty płynącej na Islandię, Trygve niespodziewanie poczuł, że za nim tęskni.

- Żałuję wszystkich cierpkich słów, które mu rzekłem - szepnął, zwieszając głowę i wbijając wzrok w kamienny parapet. - Najpierw odszedł Vidar, po nim Viglund, a ninie znikł również Svein. Samem tu kiej palec.

Próbował się modlić, potem zmusić wyobraźnię, by przedstawiła mu wizję zwycięskiego powrotu Sveina. Jego myśli kłębiły się jednak niczym ławice wygłodniałych ryb i nie uformowały żadnego obrazu, jakby ostrzegając go, że na próżno liczy na zwycięstwo syna, a tym bardziej na jego tryumfalny powrót. Zaciśnął więc pięści w geście bezsilności i zwiesił głowę.

Stojąca w pobliżu, niemal niezauważalna fińska niewolnica jak zwykle idealnie wyczuła odpowiedni moment, by nakryć barki starca płaszczem. Tym razem jednakże w jej ruchach zabrało dotychczasowej służalczości, a w przymrużonych lekko oczach na nowo pojawił się dziwny, nieznaną blask.

\* \* \*

Nie tylko stary konung czuł przyływ irracjonalnego niepokoju. Wielu ludzi - rybaków, wojów, żeglarzy czy zwykłych gospodarzy - zamarło, wpatrując się w niebo, nieodgadnione niczym twarz kłamcy. W zagrodach i karczmach, na podgrodziu Nidaros i na pokładach łodzi, pod dachami chat i otwartym niebem cichły śmiechy, pokrzykiwania i zwykłe, codzienne rozmowy. W ich miejsce wpłynęła złowroga cisza, niepokojąca niczym wyrzut sumienia. Każdy wiedział, że właśnie dzieje się coś strasznego, lecz nikt nie potrafił powiedzieć, co to takiego.

Wędrujący leśnym duktem biskup Helmgarth również poczuł się nieswojo. Zamknął oczy i jął odmawiać w myślach Pater noster, lecz naraz usłyszał, jak jadący za nim Hrafn, przywódca jego eskorty, nieoczekiwanie wstrzymuje konia. Duchowny otworzył oczy i odwrócił się ku przybocznemu.

Hrafn był starym wojem. Mówiono o nim, iż swego czasu należał do *Náttfarinn*, świty poprzedniego biskupa Norveghru, Hieronima, lecz przeżył boje z Białym Jastrzębiem i bez zbytnich skrupułów wstąpił na służbę do konunga Trygvego, który natychmiast uczynił go dowódcą straży biskupiej. Była to decyzja ze wszech miar słuszna - w przeciwieństwie do wielu ochrzczonych wojów konunga, Hrafn rozumiał wiarę chrześcijańską i znał nawet kilka modlitw. Był ponadto człowiekiem małomównym, rozważnym i statecznym, przez co biskup szybko nauczył się cenić sobie jego towarzystwo, jego zdumienie nie miało więc granic, gdy na brodatej, ogorzałej twarzy woja dostrzegł wahanie i trwogę.

- Cóż was zaniepokoiło, Hrafnie? - spytał cicho, próbując nadać swemu głosowi beztroskie brzmienie.

Były *Náttfarinn* spojrział ku niebu, a następnie rozejrzał się pośpiesznie na boki. Po obu stronach traktu ciągnął się gęsty bór sosnowy, wyściełany soczyście zielonym dywanem mchów. Las wydawał się pogodny nawet pomimo braku słońca, lecz na twarzy starego woja na próżno by szukać spokoju.

- Coś złego za nami lezie, *faðir* - powiedział chrapliwym głosem.

- I ja tak sądzę - potwierdził jeden z ludzi eskorty, wystraszonego młodzieniec o rozczochranych, płowych włosach. - Jenó nie za nami, ale przed.

- Widziałeś co? - Hrafn położył dłoń na stylisku topora bojowego, nie przestając lustrować wzrokiem lasu.

- Nie, jeno... Jenó coś mnie się tak wydaje...

- Dajcie pokój, mężni wojowie - rzekł dobrotliwie biskup, unosząc dłonie. - Wždy nie jest to dziki kraj, jak przed laty. Ninie konung nim rządzi, a Bóg Wszechmogący opiekę nad nim sprawuje. Nie grozi wam nic, skoro w towarzystwie świętej osoby wędrujecie...

Starął się mówić te słowa z jak największą pewnością siebie, a mimo to nie mógł się oprzeć wrażeniu, że bór ciemnieje, jakby niespodziewanie narzucono nań czarny koc nocy. Drżącą lekko dłonią wykonał znak krzyża. Kątem oka dostrzegł, że kilku wojów poszło w jego ślady. W innej sytuacji zapewne by go to uradowało, ale teraz przeraził

się jeszcze bardziej.

Całe życie stałem przeciwko gusłom i czarom, pomyślał. Czyżby ninie leśne licha zemstę na mnie szykowały? O Boże w niebiesiech, zbaw nas od śmierci...

- Prawie rzeczenie, *faðir* - powiedział z wahaniem Hrafn. - W drogę nam mus...

- Przecie w tym lesie ptaków wcale nie słyhać! - zawołał nagle inny z wojów, piegowaty chudzielec, z niewiadomych względów zwany przez wszystkich Podkową.

Jakby na zaprzeczenie tych słów, wśród pni poniosło się głośnie krakanie, tak chrapliwie i szydercze, że kilka koni podskoczyło nerwowo, a inne zarżały. Między rozkołysanymi wiatrem gałęziami leciał czarny kruk, lecz biskup nawet nie zwrócił na niego uwagi. Z niedowierzaniem przetarł załzawione oczy, wymęczone wieloma laty czytania przy świecach, i spytał trwożliwie:

- Rzeknijcie, synkowie, załoby mnie wzrok mylił czy...

- Nie myli was, *faðir*! - zawołał przerażony Hrafn. - Chodu!

Głębokie cienie, przeslizgujące się między pniami starych sosen, nabierały coraz wyraźniejszych kształtów i po chwili przypominały już biegnące postacie, przygarbione, kryjące się za tarczami, zbrojne w wielkie topory. Niziutkie, wręcz groteskowe postacie...

Między omszałymi pniami drzew poniósł się upiorny chichot.

Miecz Hrafna, wyszarpięty błyskawicznie z pochwy, smagnął zad biskupiego konia, który zarżał głośno i wystrzelił naprzód. Starzec krzyknął z przerażenia i przywarł kurczowo do końskiego karku, ze wszystkich sił broniąc się przed upadkiem. Kiepsko trzymał się w siodle i dotąd nie zdarzało mu się jeździć galopem, dlatego lęk przed upadkiem momentalnie przytłumił wszystkie jego obawy. Nie widział zatem, jak próbujący za nim nadążyć Podkowa spada z trafionego bełtem konia, a następnie ginie, zasieczony karlimi toporami. Nie widział, jak Hrafn nawrócił, z rozpaczą ciał jednego z napastników przez plecy, a potem ponaglił resztę wojów do śmiałej ucieczki. Nie dojrzał, jak karły próbują dosięgnąć uciekających bełtami z kusz, a później wybiegają na drogę, by ciskać w ślad za nimi bluźnierstwa.

Nikt z ludzi Hrafna, którzy cudem wyrwali się z zasadki, nie zauważył wysokiego człowieka, który zbrojny w miecz wyszedł na trakt w ślad za karłami, lecz nie wyrzekł ani słowa. W jego oczach kotłowało się bowiem szaleństwo, choć na zaskakująco nadobnej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

\* \* \*

Svein Trygveson odrzucił kaptur i spojrzał ku niebu, po którym zmierzały poszarpane, coraz ciemniejsze obłoki.

- *Andskotinn!* - warknął wściekle, ocierając mokrą od słonych bryzgów twarz. - Steruj ku północy, Hrimulf!

Mrukliwy, jednooki sternik napał na wiosło i rączy langskip skrzył zauważalnie, lecz chwilę później, gdy w prawą ćwiartkę rufową uderzyła kolejna, potężna fala, Svein pożałował swego rozkazu. Deski poszycia aż zaskrzypiały, a wstrząs zbił Sveina z nóg. Między wręgami langskipa zasyczała spieniona woda morską, która przelała się nad okrężnicą.

- Czerpać! - prychnął, podnosząc się po omacku. - Czerpać wodę, psiekrwie!

Otumanieni, przemoczeni do suchej nitki wikingowie, niektórzy zieleni od choroby morskiej, pochycili ze znużeniem za czarki i jęli powolnymi ruchami wylewać wodę. Jeden chlusnął nią prosto w twarz Sveina, lecz høvding nawet tego nie zauważył. Przypadł kurczowo do śliskiej okrężnicy i zaczął wypatrywać okrętów swej flotyli.

Najbliższy, zwany „Hvíta Ský”, również szedł ostrym baksztagiem, lecz na pierwszy rzut oka znać było, że jego dowódca, młody Atli z Tyrdallir, jest lepszym rębajłą aniżeli żeglarzem. Na pokładzie jego langskipu panowało zamieszanie - kilku ludzi zleгло nieruchomo między wręgami, inni kłócili się bądź szarpali za sztagi, próbując

manewrować żaglem. Sternik natomiast miał trudności z ustawieniem okrętu rufą do fali, przez co przez jego burty wdzierały się co rusz kolejne masy wody. Z pozostałych okrętów Svein dostrzegł cztery, z czego tylko jeden, najprawdopodobniej „Spjót”, płynął z koszem żaru, zamocowanym do topu masztu.

Svein czuł, jak w jego sercu budzi się rozpacz. Nie winił pozostałych żeglarzy, że zapomnieli o obowiązku zamocowania koszy, dzięki czemu łatwiej im się było odnaleźć na morzu. Nie obwinił ich również o to, że odłączyli się od flotylli - walka ze sztormem, jaki rozpętał się kilkanaście godzin temu, okazała się bowiem wystarczająco trudnym zadaniem. Svein wściekał się jedynie na złośliwy los, który rozbił jego dumną flotę i nakazał jej resztkom bronić się przed żywiołem, miast płynąć po chwałę i zwycięstwo. Bezsilnie patrzył na unoszące się i opadające grzbiety fal, przypominające siwe grzywy rozhukanych rumaków, i zaciskał pięści, połykając słone łzy.

Może jednak powinniśmy byli złożyć ofiarę Ran i Ægirowi, pomyślał po raz tysięczny. Wielu wikingów nalegało na to, między innymi słynny Aslak Ponury, dziewierz Einara Białowłosego, dowódca „Svarti Refur”, ale Svein uparcie odmawiał, posłuszny zasadom wiary wpojonej mu przez biskupa Helmgartha. Aslak obrzucił go wówczas wyzwiskami i tak czy owak złożył ofiarę wraz ze swą załogą. To, że jego okręt zaginął jako pierwszy, nie było jednakowoż dla Sveina żadnym pocieszeniem.

We wzroku jednookiego sternika oraz kilku druzynników, którzy jeszcze się trzymali na nogach, również wyczytał oskarżenie. Potrząsnął głową, aż mokre kosmyki włosów smagnęły go po policzkach. Nabrał tchu, by popędzić ich do żywszej pracy, gdy nagle wiatr przybrał na sile i wspinający się na kolejną falę langskip wychylił się jeszcze bardziej. Czerwony żagiel był naprężony do granic i ludzie mocujący brasy co rusz zerkali na niego z niepokojem.

- Musimy podejść bliżej „Hvíta Ský”! - wrzasnął. - Ten dureń Atli gotów jest zatopić okręt!
- Nie podejźmy blisko przy tej fali! - krzyknął w odpowiedzi sternik.

Jego jedyne oko patrzyło drwiąco, jakby chciał zapytać: Co chcesz osiągnąć, podchodząc tak blisko? Przeskoczysz nad kipiela i zaprowadzisz porządek w załodze?

Rozpacz, wściekłość, wzburzenie - wszystkie te emocje niespodziewanie wyparowały z serca Sveina, a zastąpiło je nagłe, niewytłumaczalne i całkowicie irracjonalne przerażenie. Wyczulony instynkt żeglarza i wojownika był głośno w jego sercu, ostrzegając przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Po plecach spłynął mu strumień dreszczy. Nie pamiętał już o znużeniu, zimnie czy przemoczonej odzieży, patrzył to ku niebu, to ku rozszalałemu morzu, a niepokój błyskawicznie przechodził w pewność, iż zaraz stanie się coś strasznego.

- Tam! - wrzasnął naraz Hrimulf głosem tak straszliwym, że wikingowie porzucili czarki oraz sztagi i w mig przypadli do burt.

- To wieloryb, *fiflið þitt* - próbował zażartować któryś z wojów, lecz sternik miał bystry wzrok, choć oko tylko jedno.

- „Midgardsorm”!

Między falami prześlizgnął się ciemny kształt, a potem kolejny nieco dalej. Svein chciał się roześmiać, beztruskim słowem rozproszyć lęk, lecz groza uwięziła mu słowa w gardle.

Zamieszanie na pokładzie „Hvíta Ský” sięgnęło zenitu. Nagły podmuch wiatru zerwał dwie liny i żagiel załopotał rozpaczliwie. W tej samej chwili przerażony sternik zbyt mocno napał na ster i okręt niemalże stanął burtą do fali. Nie to jednak zadecydowało o zgubie okrętu - tuż przy jego stewie dziobowej wystrzelił z kipieli słup wody, z którego wyłonił się monstrualny łeb na długiej, okolonej mokrą grzywą szyi. Oniemiały z przerażenia Svein zdążył dostrzec, że przypomina on nieco głowę konia, lecz w rozchylonej paszczy żółcą się ostre zęby, a wąskie oczy lśnią złowrogą zielenią. Potem wydarzenia potoczyły się z prędkością siekącego ziemię gradu. Potwór uniósł się wysoko nad pokład dryfującego okrętu, po czym niewyobrażalnie płynnym ruchem obniżył się i jednym kłapnięciem szczęk zmiażdżył swą drewnianą podobiznę, zatknął na dziobowej stewie langskipa. Następnie znów się uniósł, lecz tym



razem z potworną siłą uderzył w burty „Hvíta Ský”. Pomimo huku fali i świstu wiatru Svein dosłyszał wrzaski załogi i trzask pękającego drewna.

Morze łapczywie, niemalże natychmiast pochłonęło przelamany na pół okręt Atliego. Łeb potwora wynurzył się chwilę później. Jego masywne szczęki były zaciśnięte na ciele jakiegoś wikinga, którego krew ściekała prosto w spienione fale, lecz złowrogie, zielone oczy wpatrywały się prosto w Sveina.

- Chryste, okaż nam swe miłosierdzie - wyszeptał trupio błady høvding. - Do broni! Do broni, bracia!

Z tymi słowami rzucił się do dobrze zamocowanego kufra, w którym przechowywał kolczugę, hełm i miecz, nieprzydatne podczas prowadzenia okrętu. Nie zdążył.

\* \* \*

Nie tylko Svein Trygveson patrzył tego dnia z niepokojem w niebo. Nie tylko konung Trygve i biskup Helmgarth poczuli obcy sobie lęk, również wielu innych ludzi, których przeznaczenie uczyniło pionkami w tej samej rozgrywce, zamarło i skuliło się w odpowiedzi na złe przecucia, które targnęły ich sercami. Skald Vidar w dalekim Reykholt odłożył pióro, ujął wiszący na szyi krzyżyk i powoli, jakby z obawą uklękł na polepie, by pograć się w cichej żarliwej modlitwie. Samotna, wciąż osłabiona Thyra z trudem doszła do wyjścia z jaskini, w której znajdowało się jej posłanie, lecz upadła bez sił, nim zdążyła uczynić krok na zewnątrz. Poważny Arnul spojrzął w oczy Hannara Puchacza, króla Karlich Wzgórz i zagryzł wargi, gdy wyczytał z nich ostateczną decyzję. Młody Viglund Vidarson, skulony na rufie miotającego się wśród wzburzonych fal „Midgardsorma”, znów walczył z własną słabością, ale i on zrozumiał, że na niciach przeznaczenia zadziergnięto nowy, niezwykle mocny węzeł.

Wysoko nad nimi wszystkimi, w krainach niedostępnych dla zwykłych śmiertelników, pędził bowiem orszak Odyna. Ongiś dumny i wspaniały, tchnący blaskiem i potęgą, dziś przypominał ledwie zgrają zjaw i upiorów. Waleczni einherjear, nie tak dawno najdzielniejsi z poległych wojowników, teraz biegli w pociętych kolczugach, poranieni, osmoleni ogniem Surta, wrzeszcząc ochryple i wymachując połamanym orężem. Ich umęczone, brudne twarze nie wyrażały nic poza bólem i rozpaczą. Walkirie w poszarpanych, zakrwawionych sukniach z trudem unosiły się nad nimi na połamanych skrzydłach, lecz ich pieśń co rusz rwała się, gdy któraś z nich spadała na ziemię. Nikt zresztą nie słyszał ich skargi, żaden z bogów nie odwrócił się, by wysłuchać najwierniejszych służących Asgardu. Nie było już bowiem bogów - ich ostateczna bitwa się zakończyła, a ciała dawno spłonęły w niszczycielskim ogniu Surta.

Nikt nie słyszał skargi niedobitków orszaku Odyna. Z wyjątkiem dwóch osób.

\* \* \*

Usta jarla Thorkila, jak zwykle stojącego na dziobie „Midgardsorma”, rozciągnęły się w lekkim uśmiechu, pierwszym od opuszczenia Jomsborga i splądrowania Jumme.

- Tak - szepnął cicho, smakując mocny, słony wiatr, który podrywał morze do dzikiego płąsu. - *Ég veit. Ég veit vel.* Wielki jest wasz żal, psy Odyna, lecz dla mnie wasz lament oznacza jeno początek mej własnej bitwy. Bitwy o nowy porządek Midgardu!

I wybuchnął dzikim śmiechem, niepomny tego, że karły kulą się niespokojnie, a pobladły, ponownie schorowany Viglund patrzy nań z przestachem.

\* \* \*

Bezimienny człowiek o ciepłych dłoniach i dobrotliwych oczach zaniósł nieprzytomną Thyre z powrotem na posłanie, po czym usiadł obok niej i zamyślił się. Na jego jasnej, pięknej twarzy pojawiła się głęboka zaduma.

- A zatem przecucia mnie nie myliły - powiedział głosem cichym niczym szemrzący potok. - Przeznaczenie mego ojca, mych braci i wszystkich ich drużynników wreszcie się wypełniło, a ja wróciłem, jak zostało przepowiedziane. Lecz po co? Jaka jest moja rola w tym świecie, który sam się zaczął porządkować?

Przez moment trwał w zadumie, po czym spojrzął na Thyrę i uśmiechnął się lekko.

- Śnij, niewinne dziewczę - szepnął. - Niech twe sny mkną po świecie niczym podmuchy wiatru, niech gonią wszystkich, którzy nie zdążyli na ostatnią bitwę. Niech sprowadzą wszystkich, którzy podobnie jak ja zgubili swój szlak. Musimy się przygotować... *Sofðu vel*, dziewczę, i śnij...

## ROZDZIAŁ 11

- A przeto zapomnieć nie lza, że diabeł różne przybiera oblicza. Najrozmaitsze, bracia mili i siostry! Często kroć z lękiem oglądamy się na strasliwą, mrokiem spowitą puszcę, a nie pamiętamy, że on czaić się może tuż za progiem naszych chat, tam gdzie pada dobrotliwy blask naszego domowego ognia! A w tej postaci diabeł największym jest wrogiem i najgłębszą ranę zadać może.

Drżący głos biskupa co rusz się urywał, jakby sędziwy kapłan z trudem powstrzymywał szloch rodzący się w jego krtani. Choć stał zwrócony w stronę ołtarza i zebrani w katedrze wierni nie widzieli jego twarzy, nikt nie wątpił, iż jego sercem targają ogromne emocje i nadal nie otrząsnął się po strasliwych przeżyciach, o których szepmano już w każdym domostwie Nidaros. Nawę główną świątyni zalewały ciemności, a w świetle kilku woskowych świec postać Helmgartha wydawała się szczególnie drobna i krucha.

- Konung Trygve, miłościwie panujący temu królestwu, długo pobłażał wrogom Chrystusa! - Niespodziewanie głos biskupa nabrał większej mocy i odbił się echem od ścian katedry. - Wiedziony przykazaniem miłości do bliźniego sam go do tego namawiałem! Sam powstrzymywałem jego zbrojne ramię, unoszące karzący miecz zemsty, nigdy bowiem nie porzuciłem nadziei, że każdy mieszkaniec tych dzikich ziem zaufa kiedyś słowom Pana. W dzień i w nocy modliłem się o łaskę dla tych, w sercach których nadal mieszka diabeł, lecz na próżno! Na próżno, bracia i siostry!

Wykrzyczawszy ostatnie słowa, biskup nagle zgął się w suchym kaszlu, jakby ten wysiłek kosztował go zbyt wiele. Odpowiedziała mu całkowita cisza, niezmacona nawet najdrobniejszym szelestem, nawet najcichszym odgłosem.

Doprawdy? - pomyślał z drwiną jomsborski skald Snorri, który klęczał skulony w jednej z ostatnich ławek. Zalibyś naprawdę modlił się o zbawienie dla karłów, starcze? Czyżbyś nigdy nie słyszał historii swego nieszczęsnego poprzednika, Hieronima?

- Pan nasz zaprawdę jest wszechmocny i nigdy nie skąpi łask dla swych najwierniejszych sług - grzmiał z uniesionymi rękoma biskup. Jego postać, jeszcze przed chwilą wiotka i chorowita, teraz jak gdyby rosła i potężniała. - Tym razem wszakże nie wysłuchał moich modłów. Czy potrzeba wyraźniejszego znaku, bracia i siostry? Skoro Pan nasz, Bóg w Trójcy jedyny, nie zechciał wesprzeć mnie miłością swoją i pomóc mi trafić do serc plugawych, przez diabła zatrutych, czyż nie oznacza to, że obojętny jest Mu ich los? Czy nie nakazuje nam tym samym, byśmy pochwycili za miecze zemsty?

Tym razem odpowiedział mu szmer wzburzonych głosów. Zasluchani wierni kiwali głowami, niektórzy szepotali z ożywieniem z sąsiadami, czynili znaki krzyża na piersiach lub nawet wygrażali wojowniczo pięściami.

Głupi, przerażony staruchu, szydził w myślach Snorri, pochylając mocniej głowę, aby nikt nie spostrzegł jego pogardliwego uśmiechu.

Niespodziewanie wrota do katedry się rozwarły, a do środka wdarł się ostry blask słoneczny. Tłum wiernych

zamarł - próg przestąpił bowiem konung Trygve w asyście kilku zbrojnych, władca Norweghru zanurzył dłoń w wodzie święconej i przyklęknął, by wykonać znak krzyża, po czym ruszył w stronę pierwszej ławki, przeznaczonej tylko dla niego. Dłonie Trygvego drżały jednak, a w jego oczach połyskiwała nieopisana furia.

Biskup, nadal zwrócony plecami do tłumu wiernych, jak gdyby nie zauważał przybysza. Nadal trzymając uniesione ręce, zaintonował Pater noster, a ludzie, oniesmieleni pojawieniem się konunga, powoli podejmowali słowa modlitwy. Trygve uklęknął i złożył dłonie, lecz nienawistnym wzrokiem niemal pożerał postać biskupa.

*Frábært!* - Snorri śmiał się w myślach. *Frábært!* Rzućcie się sobie do gardeł, wściekle psy! Tańczcie w rytm mej pieśni!

Przechylił lekko głowę i zezując, zerknął w kierunku zbrojnej asysty konunga. Wojowie, nie ośmieliwszy się podejść bliżej, klęczeli przy wrotach do katedry, a za nimi stała samotna niewiasta, o której szeptano, że nie opuszcza Trygvego ani na krok. Ich spojrzenia spotkały się na bardzo krótką chwilę, lecz wystarczyło to, by na twarzy jomsborskiego skalda pojawił się jeszcze szerszy uśmiech.

\* \* \*

Furia konunga eksplodowała dopiero, gdy katedrę opuścili ostatni ludzie, a wojowie zasunęli za nimi wrota.

- *Fjandinn!* - ryknął Trygve, a echo w opustoszałej już katedrze wielokrotnie powtórzyło jego wrzask. - *Andskotinn!* Czyście, *faðir*, do reszty na łeb upadli? Czyżby wicher wywiał wam resztki pomyślunku?

- Błóżnicie, *herra min*. - Biskup pobladł, ale jego głos nawet nie zadrżał.

- Błóżnię, tak? - Trygve pochylił się niczym szarżujący byk i zacisnął mocno pięści. Blask niezagaszonych jeszcze świec przydawał jego policzkom i brodzie żółtawego, niezdrowego odcienia, lecz z postaci była niepohamowana, nieokiełznana wściekłość. - Od dwudziestu lat, *faðir*, walczę o to, by utrzymać rządy w garści! Dwadzieścia lat godzę interesy własne, możnych rodów i waszego Kościoła! Dwadzieścia nieszczęsnych lat przelewam krew, niszczę i buduję, byście wy zrujnowali całe me dzieło w jednym kazaniu!

- Nie pojmuję przyczyn waszego gniewu, *herra min* - odparł biskup nadal spokojnym głosem. - Zalibym to ja nierozważnie postępował? Zalibym to ja rękę na Norweghr podniósł? Przecie...

Trygve zrobił gwałtownie krok naprzód, jak gdyby chciał pochwycić biskupa za skraj szaty i potrząsnąć nim niczym niesfornym parobkiem, lecz naraz opadł na kamienną posadzkę, jakby opuściły go wszelkie siły.

- Młody Viglund Vidarson wygubił połowę swego hirdu i dużo czasu minie, nim reszta przekona się do nowego *høvdinga* - szepnął. - Mój hird oraz drużyny mych największych sojuszników zabrał ze sobą Svein. I w takiej to chwili, gdy wojów mi starcza ledwie do obsadzenia grodów granicznych, wszczynacie mi, biskupie, wielką zawieruchę.

- Wszczynam wam zawieruchę? - Na pobladłej twarzy Helmgartha nie drgnął nawet jeden mięsień. - Okrutne są wasze słowa, *herra min*, albowiem nie masz ci w całym Norweghrze człowieka, który bardziej by was miłował ode mnie. Zostałem jednakowoż zdradziecko napadnięty, przeto wyraziłem swój żal i dałem ostrzeżenie, by...

- Ostrzeżenie! - prychnął Trygve, podrywając się na nogi. - *Faðir*, wasze słowa sprawią, że ludzie w całym Norweghrze pochwycają za broń i zaczną mordować karłów! Między naszymi plemionami nigdy nie było druzby i wasze „ostrzeżenie” rozpęta kolejną wojnę!

- Przez dwadzieścia lat, o których prawie z taką rozpaczą, nigdy nie napadł mnie żaden człowiek! - Biskup zeszywniał. - Będziecie żałować karłów, którzy wąż się na taki grzech?

- Nie będę żałował karłów, *faðir!* - wycedził przez zęby konung, patrząc ku niknącemu w ciemnościach sklepieniu katedry. - Będę żałował spokoju na mych ziemiach!

- Będę się modlił...

- Szlag niech trafi wasze modlitwy! - Trygve ryknął z taką siłą, że, zdawałoby się, zakółysały się promyki

najdalszych świec. - Tylko patrzeć, jak do rzek spłynie krew zabijanych karłów i ludzi! Tylko patrzeć, jak wszędzie zapłoną kościoły, podpalone przez karłów, ale i przez tych, którym Biały Chrystus niemiły! Tylko patrzeć, jak na traktach znów pojawią się zbrojne bandy, a różne rody zaczną się nawzajem oskarżać o nawrót do dawnych wierzeń, a potem chwycą za broń! A co będzie, jak karły stracą cierpliwość i same ruszą do boju przeciwko ludziom? Widzieliście kiedyś karli hufiec w boju, *faðir*?

Naraz zabrakło mu słów. Stał, ciężko dysząc i wpatrywał się z niegasnącą nienawiścią w biskupa, który próbował opanować dreszcze i odpowiedzieć mu równie twardym, nieprzejednanym spojrzeniem. Płomyki świec łopotąły i dobrotliwy uśmiech na twarzy wyrzeźbionego w drewnie Chrystusa co rusz zakrywały cienie. W katedrze zapadła całkowita cisza, zakłócana jedynie skwierczeniem knotów.

Skrzypnięcie rozwieranych wrót i kroki wchodzącego nieśmiało człowieka zabrzmiały w tej sytuacji niczym huk pioruna.

- *Henra min* - powiedział nowo przybyły i uklonił się nisko. Znać było po nim wyczerpanie: kolana mu drżały, a zdyszany głos rwał się co słowo. - Przybywam z Hrafnvellir z wieściami. Ze straszli... straszliwymi wieściami. Osadę z dymem puszczone, *herra min*. Nikt nie ocalał...

- Kto? - szepnęła chrapliwie konung, odruchowo sięgając po miecz. - Kto się poważyl?
- Nie wiadomo, *herra min*... Ludzie mówią, że to karły.

\* \* \*

Vidar otworzył oczy i obraz straszliwego wilka o oczach jego syna, który opierał mu się na piersiach i ział gorącym oddechem, natychmiast zbladł. Skald westchnął ciężko i przetarł spotniałe czoło. Było jeszcze wcześniej i przez unoszone wiatrem poły namiotu dostrzegał szarzejące niebo i domownika Ingolfa, który próbował rozniecić ogień i klął przy tym z werwą. Vidar usiadł, potrząsając głową, lecz wspomnienie majaków nadal nie ustępowało. Jęknął, przyciskając palce do skroni.

- Cóż tam znowu, Vidarze? - Nagle wewnątrz namiotu zalała fala światła, a Vidar, mrugając, z trudem rozróżnił ciemny kontur ludzkiej postaci trzymającej połę. - Jęczysz, jakby cię zmora jakaś dusiła!

Głos należał do Ingolfa.

- Bo dusi - mruknął Vidar i wyczołgał się spod baranich skór, ale ledwie otulił ramiona płaszczem i wygramolił się z namiotu, zaraz ogarnęła go słabość. Zatokczył się i przysiadł na kamieniu.

- Choryś? - pytał zaniepokojony Ingolf.
- Nie. - Vidar gwałtownie pokręcił głową. - Chcę być sam.

Stary nauczyciel zamilkł. Skald nie dałby rady wrócić do namiotu - siedział opatulony wełnianym płaszczem, kołysząc się w przód i w tył, i wystawiając twarz na ostre ataki wichru. Po ogorzałych policzkach ciekły mu łzy, a głowa, wciąż rozbrzmiewająca obrazami ze snów, huczała tęnym bólem.

Nagle za jego plecami coś zaszurało na kamieniach, a potem stuknęła stawiana na jednym z głazów miska.

- Zjedz, Vidarze. Nie możesz tracić sił - odezwał się znów Ingolf. - W tej cholernej dolinie trzeba uważać na wszystko.

- *Takk fyrir* - wymamrotał skald, niezgrabnie sięgając po grubą pajdę chleba ze smalcem i pasek wędzonej koniny.

Wiatr natarł ponownie i stojący obok kubek wody zakołysał się. Vidar uniósł go, wziął głęboki łyk, jeszcze raz westchnął i rozejrzał się dookoła. Wczorajszego wieczoru nie zwrócił wielkiej uwagi na okolicę, w której Ingolf zarządził rozbicie obozowiska na noc - od chwili wyruszenia z Reykholt dręczyły go bowiem potworne bóle głowy i trudno było mu się skupić na czymkolwiek. Obozowali na przełęczy, tak wysoko, że czuli się tak, jakby pędzone ostrymi atakami wiatru chmury sunęły tuż nad ich głowami. Droga, którą jechali, opadała w dół zbocza i nikła wśród

puszki ciemnej, kamienistej doliny, ciągnącej się aż po zasnuty mgłami horyzont. Na wschodzie i zachodzie dolinę obramowywały masywne wzniesienia z wierzchołkami tonącymi w obłokach, a po ich zboczach zsuwały się przybrudzone jezory lodowca. Niepodzielnie panowała szarość - niebo, góry, kamienie, a nawet wielkie połacie lodu przybierały różne odcienie szarości, a skąd, choć wyteżał wzrok, nie dostrzegał nawet najdrobniejszego skrawka zieleni.

- Kaldidalur. - Ingolf uśmiechnął się. - Zimna Dolina. Dość ogłędnie nazwana, przyznam. Gdybym to ja miał nadać miano owemu miejscu, bez ochyby wybrałbym Chędożoną Dziurę.

Vidar uśmiechnął się smutno i wgryzł w pajdę chleba. Łupanie w głowie stało się słabsze, a może to on się przyzwyczajał?

- Nadal doskwiera ci ból łba? - Ingolf patrzył nań badawczo. - Obwiń go sobie czymś. Tak czasem bywa, jak kto nie nawykł do silnych wiatrów i deszczy. Albo gdy duma za długo.

Vidar nie odpowiedział, żując zawzięcie chleb i popijając wodą. Wpatrywał się przy tym w kamień, leżący obok jego prawej stopy.

- Nie marudź za długo - dorzucił stary nauczyciel. - Wkrótce będziemy się zbierać. Nie bez przyczyny zabrałem cię na Allting.

- *Ég veit* - odezwał się nagle Vidar. - Chciecie, Ingolfie, bym się czymś zajął. Bym myślał i działał, a nie poddawał się rozpacz. Chyba niepotrzebnie wam powiedziałem, że odpocząć tu chcę.

- Są takie zmory, Vidarze, co człowieka duszą i radość z żywota mu odbierają, ale nie masz ci na nie lepszej broni, jak działanie. Trzeba się brać za bary z życiem, działać, walczyć, nie poddawać się! Czas leczy wszelkie rany, jeno pozwól mu swobodnie płynąć! Jeśli się w smutku pograżysz, drogi Vidarze, czas zwolni swój bieg, a wtedy rany będą jętrzyć po wsze czasy.

- Jeno ja myślę, że już dość dostałem...

- Może - zgodził się niespodziewanie Ingolf. - A ja, człek podły i niegodziwy, miał głaskać cię po czuprynie, na ting cię wlekę, w kolejne tarapaty pakuję. Rację masz, Vidarze, dość już wycierpiał. Siedz tu zatem i pław się w swym nieszczęściu po wsze czasy. Nam w drogę mus.

- Wybaczcie, Ingolfie, ale...

- Nie chcę tego słuchać. - Starzec wstał. - Decyduj za siebie. Obóz prawie zwinięty. Jeśli nie chcemy nocować w Kaldidalur, ruszać trzeba natychmiast.

Vidar rozejrział się. Dwóch domowników Ingolfa zmagalo się właśnie z płótnem składanego namiotu, wydętego nagłym podmuchem wiatru, inni podprowadzali i siodłali konie. Reszta była zajęta pakowaniem ekwipunku i przytracaniem mieczy, toporów, łuków i zawieszonych na plecach tarcz. Przygotowaniom do wymarszu nie towarzyszyły jednak zwyczajowe żarty. Stronnicy i woje Ingolfa milczeli zacięcie, od czasu do czasu ponaglając siebie nawzajem siarczystymi przekleństwami. Vidar przeczuwał, iż nie jest to jedynie wpływ bliskości niegościnniej doliny.

- Wygląda to jak wyprawa wojenna - spróbował zażartować.

- Jedziemy na ting, chłopcze. - Ingolf zatrzymał się w pół kroku. - To jest wyprawa wojenna.

\* \* \*

Kamienisty trakt, prowadzący przez dolinę Kaldidalur, nie pozwalał jednak na szybką podróż, toteż orszak Ingolfa z Reykholt poruszał się powoli i z mozołem. Ciężkie, ołowiane chmury lada chwila groziły ulewą, lecz ostry wiatr, smagający policzki wędrowców, przeganiał je znad ich głów. Daleko, na tle bieli lodowców, sunęły kruki.

Około południa jadący z przodu domownicy Ingolfa dostrzegli odległe sylwetki kilkunastu innych podróżnych, wędrujących grupą w tym samym kierunku. Nastąpiła krótka narada - nawet w spokojnych czasach nierozważnie

było zaczepiać na trakcie obcych. Niektóre z wasni rodowych obejmowały zasięgiem znaczne połacie kraju i nigdy nie było wiadomo, czy napotkany człowiek nie należy do wrogiej frakcji. Ingolf był jednak przekonany, że wędrujący traktem orszak należy do jego sąsiada Thorvalda Bywałego i pchnął w jego stronę kilku konnych z pozdrowieniami oraz zaproszeniem do wspólnego kontynuowania podróży. Mimo pewności siebie Ingolfa, jego zbrojni nieufnie śledzili jadących powoli konnych i dopiero gdy wiatr przyniósł odgłosy serdecznego powitania, wydali zbiorowe westchnienie ulgi.

Thorvald był ogromnym, barczystym mężem o surowej twarzy i bujnych, jasnych kędziarach, a jego jedyne oko patrzyło na Ingolfa z życzliwością. Drugie stracił ponoć podczas służby w gwardii wareskiej u boku basileusa bizantyjskiego, lecz niechętnie opowiadał o tych czasach. O obecnych również nie wyrażał się pochlebnie.

- Mój ojciec brał na ting jeno nóż do krojenia mięsa! - prychnął, wskazując ciężką dłonią swych wojów, uzbrojonych po zęby zabijaków, którzy nawet na ludzi Ingolfa patrzyli spođe łba. - A ninie? Spójrzcie, Ingolfie!

Razem z ludźmi Thorvalda orszak liczył już ponad setkę wojów.

- A z roku na rok jest gorzej! - westchnął Ingolf, zakładając kosmyk siwych włosów za ucho. - Zawdy rody się wadziły, zawdy ludzie prawo łamali i na banicję szli, lecz nigdy tyle krwi nie płynęło. Nigdy aż tyle...

- A wiecie, czemu to wszystko?

- *Ég veit*. Są tacy, którym przeszkadza, że sąsiedzi wiarę w Odyna zarzucili.

- Durnie! - Thorvald się zatrzęsł. - Głupcy! Wichrzyciele! Co im wadzi, że ktoś inny dał się ochrzcić? Jego to sprawa! Czy to powód, by domostwa sobie palić i rodziny siec? Jakby kto ród jego znieważył, ziemie zagarnął, kobietę pohańbił, czy krewnego ubił, insza to rzecz i wedle prawa mścić się winien, jeśli czci stracić nie chce. Ale po co na chrześcijan nastawać?

- Wyście ochrzczeni, Thorvaldzie? - spytał cicho Vidar, masując skronie.

- W Miklagardzie mnie ochrzczoneo - burknął zapytany - ale za nic mam wiarę w Białego Chrystusa. Nie dla mnie to, naszych bogów szanuję i im ofiary składam. Lecz na równi z bogami prawo szanuję i krew się we mnie burzy, gdy widzę, jak banda hulaków jeno powodu szuka, by chrześcijanom domostwa palić!

- Skalle Płaski Nos? - Ingolf uśmiechnął się ponuro.

- Tenże sam - warknął Thorvald. - Doszły mnie słuchy, że jarlem pono kazał się nazywać. Jarlem! Wždy my nigdy jarłów ni konungów nie mieli! Mój kuzyn zaś, co ziemie ma z nim po sąsiedzku, powiada, że stronników ściąga, obiecując pomstę na tchórzliwych chrześcijanach i zagrabienie ich majątków. Najpodlejsze łajdaki doń ściągają! Ponoć pełno banitów w jego hirdzie się chroni. Jarl, trolle łajno! Miałem dwóch takich w moim orszaku, co to pochlebnie o nim mówili. Po gębach cyckożyjów waliłem, aż spuchli!

- Są jeszcze inni tacy jak on, Thorvaldzie. - Ingolf pokręcił głową. - Wielu, zbyt wielu. Przez nich nigdy prawo nie wróci do łask.

- Czekaj nas krwawy ting, Ingolfie. - Mina jednookiego woja była ponura. - Chrześcijanie na pewno nie pozwolą sobie w mordy pluć. Mówi się, że Haakon Szrama, najznacniejszy z wyznawców Białego Chrystusa, sam ludzi ściąga i na Skallego się szykuje. Uch, będzie krwawy ting...

- Przemówię przeciwko Skallemu - zdecydował stary nauczyciel. - Nienawiści do chrześcijan nie wybije mu z głowy, ale może chociaż ludziom do rozumu przemówię. Może pojmą, że szykuje się wojna, która nikomu nie jest potrzebna.

- Może pojmą - mruknął Thorvald. - Ja jednakowoż radzę miecza z garści nie wypuszczać i siodlane konie trzymać. Pomnijcie moje słowa, Ingolfie.

Jakby w odpowiedzi powiał wiatr, zimny, przesywający do szpiku kości. Droga zaczęła opadać, a w oddali pojawiły się zwały skruszałej lawy i pierwsze kępy krzewów. Od Tingvellir - równin parlamentarnych Islandczyków, serca kraju wygnańców - dzieliło ich jeszcze pół dnia drogi.



Zbudził ją szum wiatru, cichy i delikatny niczym pocałunek matki. Thyra uniosła się na pościeli i odrzuciła jeszcze ciepły wełniany koc, po czym usiadła z trudem. Słabość odezwała się niemal natychmiast, ale dziewczyna zacisnęła mocno zęby i odczekała dłuższą chwilę, aż zelżeje. Następnie powoli wstała, narzuciła koc na ramiona i podeszła do wyjścia z grotu.

Pierwsze samodzielne kroki oraz świeże powietrze, pachnące niedawnym deszczem i świerkowym igliwem, sprawiły, że dziewczynę dopadły zawroty głowy. Ziemia naraz uciekła jej spod nóg. Próbowwała chwycić się wystającego załomu skalnego, lecz ten wyslizgnął się z jej osłabłych nagle dłoni i Thyra osunęła się na kolana.

Ogarnęły ją aksamitne, nieprzeniknione ciemności. Na skraju świadomości zanotowała, że chcą się do niej przebić jakieś głosy, ale nawet nie próbowała ich zrozumieć. Dopiero silne szarpnięcie za ramię sprawiło, że z wahaniem, wręcz z niechęcią otworzyła oczy.

- Chórzyście są, pani? - pytał ktoś cichym melodyjnym głosem, potrząsając nią delikatnie.
- Zanieśmy ją do jaskini, Eivind.
- *Nei...* - jęknęła podświadomie. - Nie do jaskini...

Wysiłek sprawił, że na moment znów ogarnęły ją ciemności, lecz wtedy poczuła na policzkach i szyi zimne krople wody. Usiadła zdecydowanie, oswobadzając rękę.

- Tylko nie do jaskini - szepnęła raz jeszcze. - Kim... Kim wy jesteście?

Człowiek, który podtrzymywał ją przed chwilą, okazał się urodziwym młodzieńcem o złocistych, opadających na ramiona włosach i lekko skośnych, przymrużonych filuternie oczach. Jego twarz aż skrzyła się radością życia, podczas gdy oblicze jego towarzysza było surowe i nieodgadnione. Zawiązywał właśnie bukłak, z którego spryskał jej czoło - Thyra zerknęła na jego dłonie i aż westchnęła. Nigdy w życiu nie widziała tak ogromnych rąk ani tak szerokich ramion.

- Kim my jesteśmy? - Młodzieniec uśmiechnął się. - Jesteśmy tymi, których oczekujecie.
- Jak widać, przybyliśmy jako pierwsi. - Głos jego towarzysza był tubalny, jakby dobiegał z podziemi.
- Ależ ja nikogo nie oczekuję! - zafrapowała się dziewczyna. - Jestem Thyra i od paru dni...

Niespodziewanie obaj przybysze poderwali się na równe nogi i złożyli jej głęboki ukłon.

- Witaj więc, Thyro, królowo snów - powiedział młodszy, poważniejąc. - Wielceśmy radzi was poznać, pani.

Królowo snów? O czym oni gadają? - pomyślała zaskoczona dziewczyna i rozejrzała się dookoła. Wyszła na zewnątrz po raz pierwszy od chwili, gdy znalazła się pod opieką tajemniczego nieznanego i ze zdumieniem przekonała się, że grot prowadzi na niewielką polankę u stóp szarej skalnej ściany, tu i ówdzie krytej kobiercem mchów. Otaczały ją sędziwe, rozkołysane na wietrze świerki, których korzenie, mocne i grube niczym smoki, wpijały się głęboko w kamienisty grunt. Niebo zasnuły rozrzedzone, niebieskawe chmury, przez co skryte za nimi słońce przypominało bladą kulę, a cały świat sprawiał wrażenie, jakby czas biegł tu wolniej.

A więc to tak wygląda owo Stenskógurinn? - pomyślała zaskoczona. Chyba spodziewałam się czegoś o wiele bardziej imponującego.

Zdziwienie na jej twarzy musiało się malować bardzo wyraźnie, gdyż mąż o wielkich dłoniach pośpieszył z wyjaśnieniami:

- To wasze sny powiedziały nam o powrocie Baldra, pani. Wyruszyliśmy w drogę, gdy tylko...
- Baldra? - wykrztusiła zszokowana dziewczyna.

Młodzieniec szybko złapał ją za ramię.

- Dość tych wrażeń, pani - powiedział, pomagając jej powstać. - Powinniście się położyć, tak będzie nam łatwiej rozmawiać. W waszym stanie...

- W jakim stanie? - warknęła Thyra, po raz kolejny odpychając jego dłoń. - O czym ty bredzisz, człowieku?
  - Przecie nosicie dziecię pod sercem, pani - rzekł starszy z przybyszów. - Nie lza tak biegać po zimniku.
- Thyra zemdlła po raz kolejny.

## ROZDZIAŁ 12

Przybyli na ting późnym wieczorem, gdy postrzępione chmury na ciemnobłękitnym niebie podpałił blask zachodzącego słońca. Resztki rdzawego światła odbijały się jeszcze w spokojnej tafli nieodległego jeziora Tingvellirvatn, podczas gdy na trawiastych równinach u stóp bazaltowych skał zapłonęły już setki, jeśli nie tysiące ognisk. Jak okiem sięgnąć, wszędzie ciągnęły się namioty przybyszów, pośród których wyróżniały się niewielkie budki o dachach krytych płótnem, wznoszone dla co znacześniejszych wodzów. Chłodny wiatr przynosił echa niezliczonych rozmów, radosnych pokrzykiwań oraz rżenia stad koni, pojonych u brzegów rzeki Öxara. Wielki Allting, najdonioślejsze wydarzenie roku na Islandii, właśnie się rozpoczął.

Viglund przystanął, zafascynowany. Spośród wszystkich opowieści, które ongiś opowiadał mu ojciec, najbardziej upodobał sobie gawędy o Alltingu. Często wymagał na ojcu, by ten przytoczył ją raz jeszcze, nie potrafił bowiem wyobrazić sobie zdarzenia, które ściąga wszystkich najznacześniejszych wojów niemalej przecież wyspy. Zwykł wówczas marzyć sobie, że kroczy dumnie między namiotami, a siedzący wokół ognisk szepczą jego imię i go pozdrawiają z szacunkiem. Niestety, przeznaczenie zdecydowało inaczej i oto wkradał się na Allting jako człowiek bez imienia i rodu, w orszaku tajemniczego jarla-renegata, któremu poprzysiął służyć po wsze czasy.

- Idźże! - Gunnar klepnął go w ramię i Viglund ruszył posłusznie, nie chcąc wszczynać kłótni, która na pewno skończyłaby się chwyceniem za oręż. W końcu jarl przykazał, by na Allting weszli niespostrzeżenie.

Obejrzał się za siebie. Idący tuż za nim jarl Thorkil narzucił na barki niewyszukany płaszcz z owczej wełny i pochylił głowę, przez co zatracił nieco swej dumnej aparycji. Koskela, który od czasu uwolnienia smoka z jeziora Lögirunn nie powiedział ani słowa, wyglądał na szczególnie znużonego i przybitego, jedynie Gunnar wciąż zaciskał zęby z wściekłością i obelżywymi słowy popędzał spętanych jeńców.

Jeńców, pomyślał Viglund, a po jego plecach spelzły dreszcze. Przed oczyma na nowo stanęła mu czarna plaża na południowym wybrzeżu wyspy, gdzie oczekiwał ich potwór z Lögirunn. Bestia leżała nieruchomo na piaskach i gdyby nie zielone, lśniące złowrogo oczy, można by ją wziąć za przybrzeżną skałę. Dopiero po chwili przerażenie opuściło Viglunda na tyle, by mógł dostrzec, że smok trzyma jakieś ciała w swych pazurzystych łapach.

Wtedy lęk znowu go opadł, gdyż w jednym z nich rozpoznał Atliego z Tyrdalir, drużynnika grubego Grima. Reszty nie widział, leżeli twarzami do dołu.

Co on tu robi? - rozmyślał gorączkowo od trzech dób. Jak on się tu znalazł i po co? No i najważniejsze - na cóż jarlowi żywy Atli? Na kły wielkiego Fenrisa, po cóż wlec go na sam Allting?

Viglund już dawno stracił nadzieję, że zdoła rozszyfrować skomplikowaną intrygę jomsborskiego jarla, mimo to nie przestawał bacznie śledzić wszystkich jego poczynań. Początkowy zachwyt wobec niego dawno już znikł, a zastąpiła go nieufność, która po rewelacjach ujawnionych przez Gunnara zmieniła się w chłód.

Cóżeś sobie umyślił, jomsborski lisie? - myślał intensywnie, zerkając to ku Atliemu, to ku ocienionej kapturem twarzy Thorkila.

Intencje Jomsborczyka pozostawały nieodgadnione, niemniej sprawiał on wrażenie człowieka, który doskonale wie, co należy czynić. Zignorował Gunnara, który podsunął pomysł znalezienia miejsca na rozbiecie obozowiska, i ruszył prosto ku skale zwanej Lögretta, na której zasiadał głosiciel prawa. U jej stóp znajdował się występ skalny, na którym obradowali najwyżsi sędziowie i kapłani, zwani godi.



Nikt nie patrzył na czwórkę nieznanych wojów, wiodących kilku skrępowanych mężczyzn - mniejsze i większe orszaki ściągały na Tingvellir od paru dni i mało kto zwracał uwagę na kolejnych przybyłych. Poza tym, w mijanych obozowiskach panowało dziwne ożywienie. Na próżno by szukać rubasnych powitań, hałaśliwych pijatyk czy pełnego powagi umawiania małżeństw, brak było dzikich wrzasków, towarzyszących walkom koni czy poezji deklamowanej przez skaldów. Mężczyźni rozmawiali przyciszonymi głosami lub popijali w milczeniu, wielu patrzyło ku miejscu obrad godich otoczonych przez zasłuchany tłum. W wieczornym powietrzu, przepojonym zapachem dymu z ognisk, stratowanej trawy oraz końskiej sierści, unosił się niesprecyzowany niepokój.

- Jesteśmy wolnym narodem! - Czyjś chrapliwy, nabrzmiały od gniewu głos odbijał się echem od skalnych ścian wyznaczających zachodni kraniec Alltingu. - Wolnym! Po to uciekliśmy na Islandię, po to zakładaliśmy tu sadyby i ustanawialiśmy własne prawo, by nikt nie wyciągnął ręki po władzę!

Zgromadzony wokół Lögregetty tłum zafalował. Poniósł się szmer aprobaty, wzmocniony kilkoma okrzykami.

- Wielka twa mądrość, Skalle, a przewyższa ją jeno miłość do ojczyzny - odpowiedział mu inny głos, równie donośny, ale znacznie spokojniejszy. - Zważ jeno, że wiara w Białego Chrystusa nie oznacza wcale groźby dla naszego kraju. Ja przecie w niego wierzę, to samo czyni wielu zebranych tu zacnych mężów. Czyżbyśmy byli niebezpieczeństwem dla was wszystkich? Zalibym wydawał ci się wrogiem, Skalle?

Viglund, który przedzierał się przez tłum w ślad za jarlem Thorkilem oraz prowadzącym jeńców Gunnarem, zatrzymał się na moment i spojrzał ponad głowami zebranych. Odziani w dostojne szaty godi siedzieli nieruchomo niczym posągi, choć ich twarze znamionowały niepokój i poruszenie. Stało tylko dwóch z nich - krępy brodac z łysą, lśniącą od potu czaszką oraz wysoki mąż z długą, siwą brodą i przerzedzonymi włosami, zaplecionymi w cienki warkocz. To on zabierał głos jako ostatni, a teraz ujmował bukłaczek z wodą, by przepłukać usta.

- Gdybyś wydawał mi się wrogiem, Ingolfie, dawno bym już rozwłóczył twe ciało wzdłuż płotu w Reykholt! - rzekł z pychą Skalle, a odpowiedziały mu pokrzykiwania zachęty. - A czy wydajesz mi się niebezpieczny? Otóż tak, Ingolfie. Bezsprzecznie tak.

- Doprawdy? - Starzec nazwany Ingolfem zaśmiał się. Viglundowi przypomniało się, że takie imię nosił nauczyciel skaldów z Reykholt. Nauczyciel jego ojca. - A podziel się z nami ową tajemnicą! Jakże to ja, stary skald, mogę zagrozić naszemu krajowi?

- Wiara w Białego Chrystusa czyni was ślepcami. - Skalle wyprostował się dumnie i z godnością skrzyżował ręce na piersi, jedynie ciemne oczy nadal połyskiwały nienawiścią. - Chadzałem ci ja na wiking za młodu, widziałem świątków, którzy ginęli na progach swych kościołów. Widziałem i takich, którzy własnymi piersiami zasłaniali tę waszą świętą księgę, widziałem takich, co to woleli modlić się, miast uciekać. Skoro raz człowieka słowa Boga na Krzyżu opętają, nigdy się spod ich mocy nie wyzwoli. Będzie służył swemu Bogu jak pies, jak niewolnik batem ćwiczony. Twierdzisz, starcze, żeś dla kraju nieszkodliwy, tak? A co poczniesz, gdy jaki król chrześcijański zapragnie Islandii dla siebie? Staniesz podówczas wraz z nami, jako Islandczyk? Czy może wraz z nim, jako chrześcijanin?

Ostatnie słowa Skallego, wykrzyczane ze wszystkich sił, wywołały prawdziwą burzę wśród słuchaczy. Zgromadzeni wokół skały mężowie krzyczeli z gniewem i wygrażali pięściami, a niektórzy unosili twarze ku niebu i wzywali bogów. Chmury płonęły czerwienią niczym krople krwi wpadające do czystej wody.

- Nikt nie będzie bezkarnie nazywał mnie zdrajcą! - zawołał poblądły z wściekłości Ingolf. - Zwłaszcza taki śliski węgorz jak ty, Skalle! Ja przyszedłem na świat na Islandii i przez całe moje długie życie zawsze okazywałem szacunek wobec praw, jakie wspólnie ustanowiliśmy. Ja budowałem ten kraj, a tyś tu przybył, by w nim wicherzyć i synów jego klócić! Tobie nie o Islandię chodzi, zakłamanym nędzniku! Nie o nasze prawa i naszą wolność! Ty jeno pomsty na chrześcijanach pragniesz, bo cię ongiś z ziem twoich za pysk wywlekli i godności pozbawili!

- Jużci, bracia, ucierpiałem z ręki chrześcijan! - Skalle odwrócił się ku zgromadzonym tłumom, które wciąż potężniały. Ścisł był tak wielki, że Viglund nie mógł już zrobić ani kroku, stracił też z oczu jarła, Koskełę oraz Gunnara. - Prawdą jest też to, że jestem nowy wśród was i ledwie kilka lat upłynęło, odkąd Islandia stała się moim domem, lecz dzięki temu lepiej widzę niebezpieczeństwo, jakie grozi wam wszystkim. Prawie rzeczce Ingolf z Reykholt, pragnę pomsty na chrześcijanach, ale pomsta owa utwierdzi jedynie waszą wolność i wasze prawa. O nas wszystkich się tu rozchodzi! Pomnijcie moje słowa - bliska jest chwila, gdy przybędą do nas zbrojne hufce pod znakiem krzyża. Jakże stawimy im czoło, skoro będziemy podzieleni? Jakże się im oprzemy, skoro są wśród nas tacy, którzy sami krzyżowi z miłością służą?

Odpowiedziała mu cisza, przerywana jedynie świstem wiatru w załomach skalnych.

- Czyżbyś wiedział więcej od nas wszystkich, Skalle? - zagrmiał głosiciel prawa, dostojny potężny starzec z czarną brodą. - Ostrzegasz nas przed napaścią na nasze prawa. Czyżbyś zatem wiedział, co nam grozi?

- Nikt z was tego nie wie! - rozległ się niespodziewanie nowy głos, ostry i przenikliwy niczym krzyk sokoła. Viglund rozpoznał z zaskoczeniem głos jarła Thorkila. - Bo ten, kto wam zagraża, zwykł atakować z zaskoczenia. Jestem Thorkil z Jomsborga i przywożę wam dar, Islandczycy. Poznajcie jednego z waszych nowych wrogów!

Viglund stanął na palcach i dostrzegł, jak jarł rozcina sztyletem więzy Atliego z Tyrdallir, po czym pcha go na stratowaną trawę u stóp skały.

- To Atli, drużynnik starego Grima! - wykrzyknął któryś z zebranych.

- W hirdzie Trygvego Surowego służy, psi syn! - wrzasnął ktoś inny.

- Prawie rzeczecie! - krzyczał Thorkil. - Sędziwemu Trygveemu służy, jak wielu innych zaprzedańców! A zgadnijcie, gdzie go znalazł! Na plaży niedaleko Oddi leżał, wśród trupów swych pobratymców, wielu pobratymców. A spytajcie go, z jakim zadaniem przyплыnęli na wyspę, Islandczycy! Spytajcie, po co wysłał ich tu chrześcijański, dobry król Norveghru.

Wycieńczony Atli uklęknął i otworzył usta, lecz jego słowa utonęły w dzikiej wrzawie.

- Konung Trygve nam bruździ, tak? Niech Hel pochłonie starego skurwysyna! - krzyczeli wikingowie. - Śmierć mu! Śmierć i hańba!

- Mówią, że nad Eyjafjordem drużynnicy Trygvego całą osadę wybili!

Oszolomiony Viglund aż otworzył usta, gdy zrozumiał ogrom intrygi jomsborskiego jarła. Na moment mignęła mu twarz Thorkila, promieniejąca złym uśmiechem, lecz natychmiast stracił ją z oczu. Ludzie wokół niego wymachiwali pięściami i wrzeszczeli do utraty tchu, upojeni własną wściekłością, trupio błąd Ingolf stał jak sparaliżowany, a spotniały Skalle śmiał się do rozpuku. Zdawać by się mogło, że na polach Tingvellir rozstąpiła się ziemia, uwalniając nagromadzony gniew i głosiciel prawa na próżno dął w róg, próbując uspokoić rozszalały tłum.

Skala Lögretta słynęła jednak z tego, że każde wypowiedziane na niej słowo niesło się daleko, aż po brzegi rzeki. Chrapliwy dźwięk rogu przetoczył się nad głowami wzburzonych wikingów niczym grzmot pioruna i stopniowo zmusił ich do zamilknięcia. Zebrani, z wciąż błyszczącymi oczyma i pałającymi gniewem policzkami, zwrócili się ku głosicielowi prawa.

- Ważne to nowiny - oznajmił starzec dobitnie, wpatrując się w nieprzytomnego Atliego, powalonego kopniakami najbardziej krewkich wikingów. - Dlatego rada godich musi rozważyć je w ciszy i spokoju. Ogłosimy decyzję jutro przed zachodem słońca.

- Jeszcze jedno, czcigodny! - rozległ się nowy głos. Viglund poczuł, że zamiera w nim serce. - Wszyscy dobrze znacie Ingolfa z Reykholt, wiecie też, że nigdy nie skalał się nieprawym czynem ani fałszywym słowem. Tymczasem w przytomności was wszystkich Skalle nazwał go zdrajcą i zagroził mu zemstą. Tylko najnędrniejszy z tchórzów mógłby grozić pomstą starcowi, samemu będąc człkiem w pełni sił. Gotów więc jestem stanąć w imieniu Ingolfa i stoczyć walkę o jego dobre imię.

- Niechże i tak będzie, Vidarze, synu Gustava. *Holmgang! Holmgang!*

\* \* \*

Vidar czuł, że ma ochotę się uśmiechać.

Cała jego rozpacz i wszystkie rozterki, jakie obudziło w nim przybycie do Islandii, przysły w jednej chwili, przegnane wyzwaniem, jakie rzucił Skallemu. Znikło napięcie, przepadła udręka, myślał już tylko o tym, jak zwyciężyć w walce. Wiedział, że następne kilka chwil zadecyduje o jego życiu bądź śmierci, lecz mimo to prostota owego wyboru jeszcze pogłębiła w nim chęć wybuchnięcia śmiechem.

Przyjrzał się barczystej postaci Skallego, który zaciskał w ogromnej pięści młotek Thora i szeptał nad nim jakieś słowa, co rusz zerkając dokoła spode łba. Ogromny, zwalistej wręcz budowy, tchnął grozą niczym zapomniany kamień ofiarny w sercu puszczy, lecz Vidar patrzył nań bez lęku.

*Takk fyrir*, Skalle, pomyślał z kpiną. Dziękuję ci za tę chwilę. Dziękuję ci za to, że choć raz nie muszę myśleć o swym synu, o swym zmarnowanym życiu i o ojczyźnie, która niczym mnie nie obdarzyła.

Rozejrzał się. Zgromadzeni na brzegach Öxary ludzie, zwykle ochoczo dopingujący walczących, tym razem milczeli, jakby przeczuwali, że ten pojedynek jest zapowiedzią wielkich zmian. Trzymane przez wojów pochodnie oświetlały twarze, poważne, napięte, niektóre wykrzywione szyderstwem. Nieliczne obelżywe pokrzykiwania zamierały w ciszy nocy. Naraz Vidar dostrzegł Ingolfa, otoczonego murem uzbrojonych domowników - oczy starca były zamknięte, lecz usta się poruszały, jakby rzeźbiły słowa modlitwy dla swego obrońcy.

- Po co, Ingolfie? - zapytał cicho Vidar.

Skalle drgnął. Wypuszczony z dłoni młotek Thora odbił się od ogniw kolczugi, miecz przeciął z wyciem powietrze. Poganin rzucił się do ataku i nagle dylematy Vidara stały się jeszcze prostsze.

Twarze śledzących walkę zwały się w jeden ciemny mur, blask pochodni stał się rozmazanymi smugami światła. Świat wypełnił zgrzyt zderzających się mieczy, chrapliwe oddechy i łomot coraz szybciej bijącego serca. Mimo swej ogromnej postury Skalle poruszał się błyskawicznie, a jego miecz opadał bezustannie, krzesząc snopy iskier na runicznej klindze Vidara. Skald parował jednakże lekko, niemalże od niechcenia, ignorując narastający ból w ramieniu.

Odskoczyli od siebie - dyszący, spotniały Skalle i uśmiechnięty, choć równie zdyszany Vidar.

- Masz dość, skaldzie? - warknął poganin.

- Dość? - odparł łagodnym głosem Vidar. - Skądże, Skalle. Nacieraj do woli, niedźwiedziu.

W jego słowach nie było nawet krzty drwiny, niemniej przypatrujący się walce roześmieli się lub zakrzyknęli z oburzeniem. Wszystkich jednakowoż zagłuszył Skalle, który wyrzucił ramiona ku nocnemu niebu, zadarł głowę i zaryczał, szczerząc zęby niczym ranione zwierzę. Gdy znów spojrział na Vidara, w jego przekrwionych oczach czaiła się nieposkromiona dzikość.

Udajesz berserka, Skalle? - pomyślał skald, patrząc, jak poganin wywraca oczyma i gryzie skraj tarczy. Jego serce drżało z tłumionej podświadomości radości.

Łysy brodacz natarł jeszcze gwałtowniej. Vidar zręcznie uniknął dwóch pierwszych ciosów, które przerąbałyby wołu na pół, a potem pochopnie zastawił się przed trzecim. Jego miecz sychnął znów snopem iskier, a w ramieniu buchnął paralizujący ból. Vidar jęknął i cofnął się o krok, lecz wtedy, ku swemu zaskoczeniu, uświadomił sobie, że morderczy cios Skallego obudził w nim coś, czego nie czuł od wielu lat. Miecz poganina poderwał się do kolejnego uderzenia i Vidar znów się zastawił, tym razem z premedytacją.

Nie mylił się. Każdy sparowany cios Skallego, prócz bólu, budził w nim coś jeszcze - jakąś nieposkromioną, niepowstrzymaną moc, która zasnuwała oczy purpurową mgłą szaleństwa, lecz przydawała mu siły olbrzyma.

Witaj, mój stary, przeklęty przyjacielu, pomyślał między jednym parowaniem a drugim. Kiedyś cię

nienawidziłem, lecz teraz wszystko mi jedno.

Ból w ramieniu zniknął, ogromna, miotająca się postać Skallego rozmazywała się w czerwonej chmurze. Ulga i wesołość ulatywały, ustępując pola pradawnej, niezwykłej potędze.

- Walcz, *tikarsonurinn þinn!* - dobiegł go z wielkiej oddali dziki, bezsilny wrzask Skallego. - Walcz, miast unikać walki! Walcz!

I wtedy z ust Vidara popłynęła straszliwa pieśń, ułamek zewu potwornego wilka Fenrisa. Przez rozległe równiny parlamentarne przeszło tchnienie grozy. Płomienie ognisk przygasły, a ludzie zastygli, jakby pochwyciły ich lodowate palce mrozu. Nikt nawet nie zauważył, że konie zaczęły szarpać postronki, rżnąć i bić kopytami w ziemię. Wszyscy patrzyli na Vidara, rosnącego, potężniejszego, który nagle przerwał pieśń i przekrzywił głowę niczym drapieżnik szykujący się do skoku na swą ofiarę. Na jego obliczu malował się nieludzki grymas.

- Walczę - wycharczał. - Całe życie walczę, a wrogowie moi mocniejsi są od twych nędznych bogów i olbrzymów razem wziętych! Zejdź mi z oczu, marny psie, bo żal mi miecz kłać baraniami flakami!

Blady z przerażenia Skalle zrobił krok do tyłu, lecz naraz targnął głową, jakby z niedowierzaniem.

- Ty przybłędo... - szepnął, wpatrując się w skalda płonącym wzrokiem. - Ty krucze ścierwo, ty cuchnący psie! Uwierzyć nie mogę, że nie słyszałeś, co dzieje się z tymi, którzy ubliżają...

Nie dokończył. Runiczny miecz w dłoni Vidara naraz zamienił się w świetlistą smugę, ciągnącą za sobą blask pochodni. Przerąbał drewno tarczy, którą w ostatniej chwili próbował zasłonić się Skalle, rozerwał jego grdykę, a potem zawrócił, by cisnąć umierającym już ciałem na stratowane trawy wysepki.

Skald zamrugał. Purpurowa mgła zafalowała, jakby nagle znikło to, co ją podtrzymywało, a jego samego napędzało do działania. Z niedowierzaniem spojrzął na zakrwawioną klingę swego miecza, wyraźną wśród umykających, czerwonych strzępów.

- Straszny z ciebie woj, skaldzie.

Słowa te, wymówione donośnym, ostrym głosem człowieka nawykłego do prowadzenia drużyn do boju, nagle rozegnały ciszę, która zawisła nad Tingvellir. Rozległ się głośny plusk i spojrzenia wszystkich zwróciły się ku sylwetce jarla Thorkila, brnącego po kolana przez płytkie wody Öxary ku wysepce.

- Straszny z ciebie woj - powtórzył Jomsborczyk, wychodząc na brzeg i odpinając płaszcz, który zleżał na stratowanej trawie niczym cień walkirii. - Jeno zapomniałeś, że twój czas minął. Ongiś przyczyniłeś się do klęski szalonego Białego Jastrzębia i wdzięczniśmy ci za to wszyscy, Vidarze, synu Gustava, lecz dziś inni toczą już swe boje o ten świat. Po co znów nawołujesz, skaldzie? Po co unosisz miecz?!

Ostatnie słowa wykrzyczał, co wzbudziło już dziką wściekłość stronników Skallego, którzy zaczęli wrzeszczeć i wymachiwać orężem. Przez równiny parlamentarne przetoczyła się burza gniewnych okrzyków, przerwana uniesieniem dłoni przez Thorkila. Cisza zapadła niemal natychmiast, a wikingowie stłoczyli się gęściej, chciwie nasłuchując słów jomsborskiego woja.

- Dlaczego rzuciłeś wyzwanie Skallemu? - pytał z szyderstwem w głosie. - Czyżbyś prawdziwie kochał Ingolfa? A może tak oto chciałeś pokazać wiarę w swego Boga, co? Postanowiłeś ubić przywódcę tych, których zwiecie poganami, samemu przyzywając dar Odyna? Cóż za obłuda. Trza było trzymać mordę zamkniętą, skaldzie, bo ninie czeka cię kara.

I zaatakował bez uprzedzenia.

\* \* \*

Viglund przyglądał się rozszerzonymi oczyma walce na wyspie pośrodku nurtu Öxary. Ojciec, początkowo zaskoczony pojawieniem się Thorkila, bronił się niemrawo i odzyskał rezon dopiero po kilku złożeniach. Zawył dziko, aczkolwiek już bez owej mocy, która chwilę temu sparaliżowała całą równinę, i skoczył ku swemu

przeciwnikowi. Zwarli się niczym dwaj bogowie wojny, potężni, wyniośli, straszliwi w swym gniewie. Przetaczali się po wysepce jak dwa szalejące, próbujące się pochłonąć płomienie, jeden ogarnięty nieposkromioną, wilczą pasją, a drugi powolny nieludzkiemu, gadziemu wyrachowaniu. Viglund patrzył na to i wciąż nie mógł zdecydować, jak nazwać targające nim uczucia.

Pojawienie się ojca wywołało w nim, prócz bezbrzeżnego zaskoczenia, przemożny wstyd i niechęć. Chciał się odwrócić i zmieszać z tłumem, lecz osobliwy wyraz twarzy Vidara przykuł jego uwagę. Nigdy nie widział u niego tak dziwnego uśmiechu, pierwszy raz też dostrzegł, że ojciec wznosi broń powoli, niemalże od niechcenia.

On pragnie śmierci! - pomyślał i wykrzywił z pogardą usta, choć w głębi duszy coś natychmiast zaszeptало, że temu odruchowi brakuje szczerości.

Thorkil, na ogół powściągliwy w słowach i ruchach, szalał niczym szkwał nad falami. Jego miecz uderzał z każdej strony, a twarz, nadal chłodna i nieodgadniona, emanowała czystą nienawiścią. Skald zaś nawet nie atakował. Jego wilczy szal powoli wygaszał, powracał do rozsądek, a wraz z nim słabło ramię parujące ciosy - zupełnie jakby na powrót odezwał się w nim ból, lecz Viglund przeczuwał, że ojciec po prostu nie chce już walczyć.

Oto na niewielkiej wysepce pośród nurtu Öxary zawarło się w śmiertelnej walce dwóch ludzi, z których jednego nienawidził od zawsze, a drugiego dopiero uczył się nienawidzić. Viglund nie wiedział, doprawdy nie miał pojęcia, któremu z nich życzyć śmierci. Zacisnął mocno powieki.

Otworzył je chwilę później, gdy powietrzem wstrząsnął kolejny ryk Vidara, a zaraz po nim okrzyk bólu Thorkila.

- Psi synu! - wrzasnął niespodziewanie stojący obok Gunnar i ujął oszczep do rzutu.

Bieg wydarzeń naraz zwolnił tempo, jak gdyby złośliwi bogowie na nocnym niebie zapragnęli się nacieszyć chwilą narodzin chaosu. Vidar jakby odzyskał część swej mocy - jego runiczny miecz zatoczył koło, siejąc naokoło drobinkami czarnej krwi, a Thorkil zachwiał się z dłonią zaciśniętą na rozciętym ramieniu, lecz w tej samej chwili w ramię skalda wbił się pocisk ciśnięty przez Jomsborczyka Gunnara. Vidar zrobił krok do tyłu i opadł ciężko na kolana.

- Jomsborg! - krzyknął Gunnar. - Śmierć niewolnikom Boga na Krzyżu!

- Śmierć! - odpowiedziały mu liczne wrzaski, poparte potrząsaniem broni.

Krzyki stojącego obok niego Gunnara rozbiły wszelkie myśli i wątpliwości Viglunda. Chłopak wyszarpnął miecz z pochwy i z głuchym warknięciem ciął go po plecach. Przerazony, wrzeszczący z bólu Jomsborczyk zatoczył się, ale Viglund przypadł doń i bezlitosnym ciosem posłał go w wilgotne trawy nad rzeką.

W cierpliwe, nocne niebo nad Tingvellir buchnęła kolejna fala dzikich krzyków. Na zmianę wrzeszczeli Ingolf Biały na brzegu rzeki i raniony Thorkil na wysepce, odpowiadały im rozkrzyczane chóry wrogów i zwolenników Boga na Krzyżu, szcęk oręża i coraz głośniejsze kwiki szalejących koni. Ktoś dobył już miecza i wskazywał pobratymcom co zajadlejszych krzykaczy z wrogiego stronnictwa, ktoś złapał Viglunda za ramię, nazwał mordercą znad Eyjafjordu i padł na ziemię z rozszczepioną czaszką; prerażeni godi błagali o odłożenie broni, lecz nikt ich nie słuchał. Rozwrzeszczane tłumy falowały i z wolna rozdzielały się, formując dwa najeżone bronią, buchające nienawiścią obozy, gotowe lada chwila skropić trawy Tingvellir strumieniami krwi.

Wtedy to ziemia zagrziała po raz pierwszy, a wkrótce po tym pękło niebo.

## ROZDZIAŁ 13

Zbudził go deszcz.

Drobne, kąśliwe krople smagały jego rozpaloną twarz, z wolna budząc w nim życie. Vidar poczuł, jak jego umysł powoli napełnia się niechcianymi wspomnieniami i naraz zapragnął na nowo osunąć się w mrok. Niestety, było już

za późno - pod zaciśnięte mocno powieki wdarło się światło dnia, a nozdrza pochwyciły nieprzyjemny zapach siarki.

- Dobry Boże... - jęknął cicho.
- Zbudziłeś się wreszcie - szepnął ktoś znajomym głosem.
- Tak - stęknął Vidar, wciąż nie otwierając oczu. - Nie wiem jednak, czy dobrze zrobiłem.
- Źle - rzekł ten sam głos. - Na Islandii wybuchła wojna.
- Co takiego? - Skald zamrugał i usiadł raptownie.

Gwałtowny ruch wywołał atak bólu w plecach, tak silnego, że skald o mało nie stracił przytomności. Dopiero po chwili ból zelżał na tyle, by Vidar mógł dostrzec, iż leży na zaimprovizowanym pościeli pod derką z owczej skóry, bok i plecy ma mocno przewiązane bandażami, a naprzeciwko niego klęczy Ingolf ze smutnym uśmiechem na twarzy. Stary nauczyciel sprawiał wrażenie, jakby ostatnie dni postarzyły go o kolejne dziesięć lat - blask w jego oczach zgasł bezpowrotnie, a pod nimi pojawiły się ciężkie, czarne worki. Jego wykrzywione artretyzmem, pokryte plamami wątrobowymi dłonie drżały lekko.

- Jakże to wojna? - dopytywał się Vidar. - Z kim? Przeciwko komu?
- Przeciwko nam, Vidarze - westchnął Ingolf. - Przeciwko wszystkim, którzy oddali swe serca Chrystusowi. I nie mów tak głośno, zaklinam cię.

Dopiero teraz zauważył, że nie znajdują się już na Tingvellir. Otaczały ich wysokie, niemal pionowe, bazaltowe ściany wąwozu, do którego wejście przesłaniała grupa soczyście zielonych świerczków. Dołem wąwozu płynął wartki strumień, a niosące się między ścianami echo podpowiadało, że niedaleko za załosem znajduje się niewielki wodospad. Dostrzegł też kilku domowników Ingolfa, poważnych i białych, z twarzami mokrymi od deszczu. Dwóch miało być jak przewiązane rany, a wszyscy dzierżyli broń.

- Kim jest ten człowiek, Vidarze? - pytał Ingolf cichym głosem, w którym pobrzmiwała rozpacz. - Kim jest ów Thorkil, który zwie się jarlem Jomsborga?

- Nie mam pojęcia - szepnął Vidar. - Słyszałem, że jarl Jomsborga zaiste zwie się Thorkil, jeno nigdy go nie widział. Aż do wczoraj.

- Przedwczoraj - poprawił go starzec. - Dwa dni leżysz bez ducha, odkądśmy cię z pola bitwy unieśli.
- Z pola bitwy?

- Któryś z kompanów Thorkila ugodził cię oszczepem, szczęśliwie, że nie śmiertelnie. W odpowiedzi ktoś ubił Jomsborczyka. Thorkil wezwał tedy wszystkich do pomsty na chrześcijanach - opowiadał Ingolf martwym głosem. - Ponad dwustu chłopów dało gardło na równinach Tingvellir, Bóg jeden raczy wiedzieć ilu rannych było... Ledwieśmy cię uwieźli, Vidarze.

- Nie trzeba wam było ryzykować, Ingolfie. - Vidar przymknął oczy. - Jużci, stanąłem w obronie waszego honoru, jeno... Jeno po prostu nie było trza. Rację miał Jomsborczyk szyderca. Nie moje to już wojny, nie moje walki. Wracamy do Reykholt?

- Śpieszno ci wpaść w jomsborskie łapy? - zdziwił się Ingolf. - Wždy Reykholt raczej dawno już spalone. Thorkil jest tak zapamiętały, że wszystko robi, by wygubić chrześcijan. Szasta ninie złotem na lewo i prawo, a wojowie młodzi i starzy zewsząd do niego ściągają, by służyć mu w wojnie z Chrystusem. Buńczuczni i pewni swej siły, ciskają się po kraju i mordują wszystkich, których o przyjęcie chrztu podejrzewają. Zaiste, ledwieśmy im uszli.

- Cóż zamierza ten potwór? - wyszeptał oszołomiony Vidar.
- Nie wiem. Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.
- I co teraz pocniemy?
- Tego też nie wiem.

Przez moment siedzieli w milczeniu - zdezorientowany, ranny skald i jego przygnębiony, znużony nauczyciel. Deszcz wzmógł się, jak na szyderstwo, lecz nawet gęste, pchane uderzeniami wiatru chmary kropel nie były w stanie

zdławić ostrego zapachu siarki. Ziemia się zatrzęsła.

- Co się dzieje? - zapytał cicho Vidar. - Czyżby jakiś wulkan się odezwał?

- Hekla - rzekł z roztargnieniem Ingolf. - Grzmi i pluje dymem od chwili, gdy na Tingvellir pochwycono za broń. Od wieków odzywa się zawsze wtedy, gdy na świecie zaczyna źle się dziać. Dobra, stara Hekla, przynajmniej ona jedna trzyma się swych zasad. Słuchaj, wczoraj wieczorem dołączyło do nas kilku ludzi. Gadają, że szalony Jomsborczyk trzyma w niewoli jeszcze paru innych znacznych wojów z hirtu konunga Trygvego. Ponoć dowodzili okrętami Norweghru, które miały napaść na Islandię. Prawda to?

- Stary szaleniec... - szepnął Vidar, nagle przypominając sobie treść swojej ostatniej rozmowy z konungiem. - To o tym wtedy mówił... Na Islandię chciał napaść...

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś? - szepnął głucho Ingolf. - Dlaczego?! - wrzasnął nagle pomimo swych wcześniejszych ostrzeżeń. - Dlaczego?

- Może powinienem, Ingolfie, może zaiste powinienem. Przykro mi, inne troski zaćmiły mi rozum. Lecz dałoby to coś? Pomogłoby ci to w czymś?

- Sam nie wiem. - Stary nauczyciel zwiesił nisko głowę. - Być może nie. Przecie dopiero ninie na jaw wyszło, że Islandia jest narzędziem w intrydze tego przekłętego Jomsborczyka. Na litość boską, gdyby nie pewność, iż bogowie naszych ojców już dawno dali gardła w bitwie krańca świata, nazwałbym go wcieleniem samego Lokiego.

Vidar zamknął oczy, przypominając sobie niespotykaną szybkość ruchów Jomsborczyka, jego kocią zręczność i kamienny spokój, a nade wszystko nieubłagane spojrzenie niemalże nieruchomych, gadzich oczu. Znów stał na wysepce pośrodku nurtu Öxary, znów unikał ciosów jomsborskiego miecza i wzroku jego właściciela, znów czuł pustkę po opuszczającym go szale bitewnym i straszliwy ból rany w plecach. Znów kątem oka widział ową niepokojąco znajomą postać, która dwoma ciosami ścina tego, który ugodził go oszczepem.

Nie, pomyślał. To przecież niemożliwe.

- Czy tam był Viglund? - spytał mimo woli. - Czy tam był mój syn?

- Nie widziałem - rzekł Ingolf.

Dziwny błysk w matowych oczach starego nauczyciela zdradził jednak skaldowi, że Ingolf kłamie...

„Znajdziesz okruch szczęścia w dniu mnogiej śmierci”, przypomniał sobie słowa Arnula i nagle poczuł, jak w jego sercu zaczyna narastać ciepło.

\* \* \*

Wicher rozpościerał swe skrzydła niczym potworne ptaszysko i przelatywał nad równinami Tingvellir, smagając je tym samym deszczem, który zbudził Vidara Gustavsona. Z chłodną obojętnością chłostał martwe, okaleczone ciała, rozrzucone wśród wygasłych ognisk i przewróconych namiotów, na stratowanych trawach i w brunatnych falach Öxary, między wrogami i przyjaciółmi. Następnie podrywał się ze złowrogim świstem i pędził ku Hekli, która daleko na horyzoncie wbijała czarne słupy dymów w podbrzusza szarych chmur. Nie dbał o to, że tej nocy w strumieniach bratobójczej krwi utonął majestat świętego rytuału, nie obchodził go los niewielkiej krainy daleko na północy.

Podobny chłód malował się w nieruchomych oczach jarla Thorkila, który przyglądał się przez moment pobojuwisku, a następnie spojrzął ku wulkanowi. Podmuch wiatru wydał jego płaszcz i wyrwał kosmyk czarnych włosów z ciasno ściągniętej kity, lecz Jomsborczyk nawet tego nie zauważył. Nie zauważył również Viglunda, który podszedł niespostrzeżenie i stanął za jego plecami.

- Konie gotowe do drogi, jarlu - powiedział cicho.

Jarl drgnął.

- Widzę - powiedział nader szorstko i odwrócił się ku młodzieńcowi.

Twarz Thorkila, zwykle blada, była teraz wręcz szara ze znużenia. Przez moment wpatrywał się w Viglunda i przygryzał dolną wargę, jakby szukał odpowiednich słów. W końcu rzekł:

- Tak, widzę. A ty? Co widzisz?
- Ja? - Chłopak spojrzał na niego z niepewnością. - Co ja widzę? Gdzie?
- *Fylgið mér.*
- Pole bi... bitwy widzę, jarlu - bąknął młodzieniec. - Trupy, mnóstwo trupów...
- Czyżby? - Głos Thorkila stwardniał. - A co widzisz, kiedy na mnie spojrzysz, Viglundzie?
- Jarla mego widzę...
- Szkoda jeno, że z takim wahaniem te słowa wyrzekłeś. Dlaczego zabrakło ci siły, Viglundzie? Czyżby dlatego, że jarl twój niemalże zabił ci ojca w pojedynku?
- Nie dbam o mego ojca. - Viglund skrzywił się i chciał wzruszyć ramionami, lecz dobitny, ciężki niczym kamień wzrok jarla Thorkila sprawił, że opuścił głowę.
- Jednakowoż powaliłeś Gunnara.
- To był odruch. Żałuję...
- Nie żałuj. Gunnar był głupcem i złąkionym sławy pyszałkiem, który mógł nam jeszcze wiele biedy naprowadzić. Swoich słabości żałuj, chłopcze. Z dała znać, że wątpisz.
- Ja nie...
- Milcz.

Chłopak podniósł wzrok. Nacierający wicher sprawił, że jego oczy wezbrały łzami. Wyniosła, skrzydlata połami płaszcza postać jarla zaczęła się rozmywać i przepoczwarczać, a rosnące przerażenie nadało jej kształtów skupionego przed atakiem smoka. Jedynie wzrok Thorkila wciąż wydawał się twardy i wyraźny, materialny niczym lina obwiązana wokół szyi.

- Nie jesteś głupcem, Viglundzie. Wiesz, że nie jestem zwykłym hersztem jomsborskiej bandy. Widziałeś, na co mnie stać. Splądrowałem Jumme, zburzyłem pokój na Islandii, pogrzyłem chrześcijan, a teraz szykuję się do ostatecznego ciosu. Chcę zdobyć Norveghr. Chcę zdeptać konunga Trygvego, biskupa Helmgartha i każdego innego, kto mi stanie na drodze. Twego ojca również, jeśli kiedykolwiek jeszcze wyściubi nos z ukrycia. Pojmujesz to, Viglundzie?

- *Nei, herra min.* - Viglund mocno zacisnął zęby. - *Ég skil ekki.* Bo wyście są hersztem jomsborskiej bandy i nie mam pojęcia, doprawdy nie mam pojęcia, jak doszło do tego, że sięgacie aż tak wysoko.

- A chcesz się tego dowiedzieć? - Na twarzy Thorkila pojawił się zły uśmiech.

Zdrowe ramię Jomsborczyka niespodziewanie wystrzeliło naprzód i z niewyobrażalną siłą zacisnęło się na materiale kaftana Viglunda, by jednym szarpnięciem przyciągnąć go do siebie. Straszliwe, przepastne oczy jarla znalazły się tuż przy jego twarzy.

- To patrz... - wysyczał.

Oczy Thorkila, czarne i głębokie, naraz stały się całym światem. Viglund nie czuł już smagnięć wichru na twarzy, nie widział szarego nieba ani zielonej, zdeptanej trawy. Otoczyła go wszechwładna czerń, rozświetlona nielicznymi ogniami, pożerającymi samą ziemię. W ich wątlym, nikonącym blasku ujrzał kolejne pobojuwisko, tym razem większe, niekończące się, sięgające aż po horyzont. Nikłe promyki pełzały po poszczerbionej stali strzaskanych mieczy oraz rozrąbanych helmów i na próżno próbowały rozgrzać blade, ongiś dumne i szlachetne twarze. Przerażony Viglund patrzył na wykrzywione w bólu, zastygłe po wsze czasy oblicza i podświadomie przydawał im prastare tchnące grozą imiona. Patrzył też na połyskującą niemrawo łuskę zasieczonych smoków, na bezwładne już, potężne ramiona powalonych olbrzymów, na rozwłócone, zwęglone truchła potworów, a oszołomienie usuwało mu grunt spod nóg. Jego policzki owionął zimny, nieziemski wicher, który niósł echo



odległego śmiechu jarla Thorkila.

- *Pú skilur?* - pytał ze śmiechem Jomsborczyk. - Ja należę do nich! Jestem jednym z ostatnich z ich rodu! Czym jest dla mnie Jomsborg? Czym jest dla mnie Norveghr? Puste nazwy, narzędzia przy pracy! Pojawiłem się w Midgardzie po to, by rozgrywać własne gry, a zuchwali słudzy kalekiego Boga na Krzyżu są moimi pierwszymi przeciwnikami, Viglundzie! Zmiażdżę ich jeszcze tej jesieni, a potem zacznę porządkować Midgard wedle własnego upodobania, ty zaś, Viglundzie, będziesz mi posłuszny! Będziesz mi posłuszny!

Siarczyście uderzenie w policzek przywróciło Viglunda do rzeczywistości. Zamrugał oszołomiony i na powrót ujrzał zastane trupami równiny oraz szare chmury pędzące ku morzu. Niedaleko wąwozu Allmanngjá grupa wojowników kończyła siodłać konie. Niektórzy siedzieli już w siodłach, a wszyscy spoglądali na Thorkila. Viglund widział ich zaledwie kątem oka, ale mimo to nie miał wątpliwości, że patrzą nań z podziwem.

Zupełnie tak jak ja przed paroma dniami, pomyślał. Zgraja idiotów...

- Będę wam posłuszny, panie - rzekł i uklonił się nisko. Bardzo nisko, tak by Thorkil nie mógł czytać z jego oczu.

\* \* \*

Tajemniczy wojowie napływali w dzień i w nocy, i Thyra rychło straciła rachubę. Wielu z nich używało jej mowy i z tymi próbowała z początku rozmawiać, lecz niesporo jej to szło. Wszyscy oni zwali ją bowiem królową snów i traktowali z największym szacunkiem, co Thyre zarówno rozśmieszało, jak i ogromnie peszyło. Patrzyła na swe odbicie w lustrze wody i widziała blade oblicze z zapadniętymi oczyma, skołtunione włosy oraz przybrudzoną szatę.

Królowa, juźci, myślała z pogardą wobec siebie. Żarty sobie stroją...

Ludzie, którzy przybywali tu bez dnia przerwy, nie robili jednakowoż wrażenia skorych do kpin. Nadciągali w pełnym rynsztunku, nierzadko wielce zdrożeni, niekiedy pozdrawiali się z szacunkiem, lecz żaden nie myślał o zabawie czy uciesze. Wszyscy rozpalali ogniska wśród drzew naokoło grotty i czuwali w milczeniu przez całą noc, skuleni wokół ognia. Czekali na coś, skupieni i poważni, z rzadka przełamując ciszę, a prastary las otaczający Stenskógurinn czekał razem z nimi. Thyra zaś czuła, że choć wokół jej grotty z każdym dniem przybywa ludzi, ona sama jest coraz bardziej samotna.

Ten, którego nazywali imieniem boga piękna i dobroci, najpiękniejszej postaci z dawnych, zakazanych już opowieści, zniknął bowiem bez śladu. Z początku pojawił się kilkakrotnie i przyjął milczący, pełen nabożnego szacunku salut zebranych wojowników, lecz potem odszedł w puszcę, zanim zdążyła z nim porozmawiać, zanim zdążyła mu powiedzieć, że spodziewa się dziecka.

Brakuje mi tego, uświadomiła sobie po raz kolejny, a jej oczy zaszklily się łzami. Potrzeba mi kogoś, kto mnie posłucha, komu powiem, że noszę pod sercem dziecko Viglunda, kto ukoji moją tęsknotę.

I cóż on ci na to poradzi? W jej sercu rozległ się szyderczy śmiech. Czyżbyś była pierwszą dziewczyną na tym świecie, którą porzucił mężczyzna? Czyżbyś była tą jedyną, którą mężczyzna pozostawił z pęczniejącym brzuchem? Na wszystkich bogów, Thyro, przecie jesteś tylko niewolnicą i do tego jeszcze zbiegła! Marnym, zdeptanym źdźbłem trawy!

Otarła łzy z oczu i prawą, wciąż wilgotną dłonią nakryła swe łono.

Ale on będzie umiał mnie pocieszyć, pomyślała uparcie, przypominając sobie jego cichy, łagodny głos i delikatne, wciąż ciepłe dłonie. Będzie do mnie mówił, a ja znów poczuję spokój. Ba, a może on naprawdę jest Baldrem? Naprawdę jest synem Odyna, który powrócił do Midgardu?

Myśl ta wydała jej się zabawna i Thyra usiłowała wzbudzić w sobie wesołość, lecz smutek i poczucie osamotnienia nie pozwoliły na najsłabszy uśmiech.

Może naprawdę jesteś Baldrem, pomyślała z goryczą, przypatrując się milczącym wojownikom. Pojawili się w tym świecie, by rozgrywać własne gry, a ja, mając nadzieję na choć odrobinę twojej dobroci, znów okazuję się głupią gęsią.

Żal w jej sercu zamienił się w czarną rozpacz. Podświadomie marzyła, by Baldr pozostał tylko dla niej i tylko ją otaczał troską, gdyż wszyscy ci wojownicy, którzy zebrali się dla niego, budzili w niej dziwny strach. Nie byli co prawda podobni do drużynników Trygvego, nie pili na umór i nie starali się jej obłapiać, ale czasami stokroć bardziej wolałaby sprośne wygłupy od owego pełnego napięcia, milczącego oczekiwania. Niepokoiło ją również to, co wyczytała w ich oczach. Niektórzy patrzyli na nią ze spokojem elfów, we wzroku innych czała się chłód lodowych olbrzymów bądź szaleństwo berserków. Mijali ją ludzie o posturze trolli, ze złośliwym uśmiechem karłów bądź złym spojrzeniem niksów, słyszała również ciche rozmowy w językach czarodziejów z krainy Finów bądź Samów. Osobliwe przeczucie mówiło jej, że wokół groty, w której przyszło jej dochodzić do siebie, zbierali się najzaciejsi wojowie, jakich zrodził świat bajan i marzeń.

Jeno po co? - myślała z narastającą niepewnością. Czyżbym patrzyła na zwiastun jeszcze gorszych chwil? Czyżby świat miał oszaleć jeszcze bardziej?

Zaciskała powieki i snuła nierealne, piękne sny o Viglundzie, a gdy otwierała oczy, natychmiast spoglądała ku drzewom, gdzie widziała Baldrę po raz ostatni.

Jej gorące modły zostały w końcu wysłuchane. Nadszedł ciepły, październikowy wieczór, kiedy na zewnątrz pieczary rozległy się okrzyki radości i zachwytu, a wybawca Thyra stanął w grocie tuż przy jej pośłaniu. Widok nadobnej, promieniejącej dobrocią twarzy tego mężczyzny w jednej chwili przegnał dręczące ją nudności.

- Wreszcie jesteś... - szepnęła, próbując się podnieść.
- Dlaczego mnie oczekiwałaś? - odparł ze zdziwieniem i jakby znużeniem.
- Bo się boję... - Thyra zagryzła wargi. - Boję się i brak mi twojego ciepła. Tyle mam ci rzec...
- Boisz się. - Człowiek nazywany Baldrem ze smutkiem powtórzył jej pierwsze słowa, po czym

niespodziewanie usiadł ciężko na ziemi i oparł brodę o kolana. Świetlisty blask jego błękitnych oczu przygasł, przesłonięty niezmierną troską. - I słusznie, gdyż na Midgard znów padają złe cienie. Ci wojowie zbierają się tutaj, bo wielu z nich przeczuwa, że rychło się wypełni ich przeznaczenie. Wiedzą, że niebawem czeka ich straszliwy bój. Ostatni bój na tym świecie.

- Bój? Wždy w Norvegrze pokój panuje... - Zdumiona słowami swego wybawiciela Thyra zapomniała o wielkiej nowinie, którą chciała mu przekazać. - Z kim mieliby walczyć? Kto odważyłby się stawić czoło tak chobrym wojom?

- Pokój, Thyro, jest niczym powierzchnia górskiego jeziora, niewzruszona i piękna, jeno starczy najlżejszy podmuch wiatru, by zmącić ją i wzburzyć. Kto zaś miałby stawić im czoło? Nie wiem. Doprawdy nie wiem. Przeznaczenie jest niczym postaci skryte we mgle - niby kogoś widzisz, ale nie potrafisz rozpoznać ani twarzy, ani intencji. My po prostu wiemy, że wnet pojawi się śmiertelna groźba, lecz nikt z nas nie ma pojęcia, kto ją przyniesie. Możemy tylko czekać.

- A skąd wy wszyscy... - Poruszona dziewczyna usiadła na pośłaniu. - Skąd oni wiedzą, dokąd należy się udać?

- Dzięki tobie. - Uśmiechnął się lekko. - Ściągnęły ich tutaj twoje sny. W twoich snach pojawiła się moja twarz, twe sny pomknęły nad Midgardem niczym ptaki nocy. To dzięki tobie wszyscy zeszli się w to miejsce, choćby mieszkali w najodleglejszych odstępach czy na najzimniejszych wyspach.

- Moje sny?

- Tak, dziecko. Nie zdajesz sobie jeszcze z tego sprawy, lecz masz zdolność wysyłania snów do tych ludzi, których sobie wybierzesz, a to miejsce jeszcze ów talent spotęgowało. Na razie ja nim kierowałem, pora więc, byś sama zaczęła go poznawać i ujarzmić. Drzemie w tobie wielka moc, Thyro, tym większa, że twe ciało zaczyna

gromadzić siły do najważniejszej próby.

- *Ég skil ekki.* - Dziewczyna się zawahała.

Słowa bezmiennego uzdrowiciela wywołały zamęt w jej głowie, lecz ostatnie zdanie całkiem ją zszokowało. Jej policzki były śmiertelnie blade.

- To ty wiesz? - wyjąkała.

- Tak, Thyro. Wiem o twoim dziecku od samego początku, od chwili gdy cię tu przyniósł. Czas więc, byś wysłała swe sny w daleką podróż. Czas, byś powiadomiła przyszłego ojca.

- Viglund... - szepnęła dziewczyna, a jej oczy wezbrały łzami tęsknoty i niepewności. - Viglund ma wiedzieć?

- Tak, Thyro. Viglund musi wiedzieć. Brak mu celu, brak mu oparcia... Musisz tchnąć w niego nowe życie. Musisz dać mu nieco nadziei.

- Ale jak? I po co?

- Po co? - Na twarzy człowieka nazywanego Baldrem znów pojawił się ciepły uśmiech, ten, który lubiła najbardziej. - Nie wiem, ale czuję, że jego czyny pomogą ułożyć przeznaczenie tego świata. Nie martw się niczym. Po prostu przekaz mu wieści.

Z tymi słowami uzdrowiciel położył dłoń na czole dziewczyny, która posłusznie opadła na siennik.

- Przekażę... - wyszeptała półprzytomna, broniąc się przed ogarniającą ją sennością. - Lecz skąd ty wiesz... Dlaczego mówisz tak wiele o przeznaczeniu? Czy ty naprawdę jesteś tym, kim cię zwa?

- Tak, Thyro. Kiedyś zaiste zwano mnie Baldrem. Ale nic to. *Sofðu vel.*

\* \* \*

Viglund raptownie otworzył oczy i ze strachem rozejrzał wokół siebie.

Wydawało mu się, że spał całą wieczność, a tymczasem na horyzoncie wciąż widział czarne, zwaliste skały, pocięte białymi żyłkami wodospadów, które mijali ledwie parę minut temu. Gęste słupy dymu z niewidocznej już Hekli nadal raziły poszarpane chmury. Wyglądało też na to, że nikt nie dostrzegł jego drzemki. Dwóch wojów jadących przed nim rozmawiało o czymś przyciszonymi głosami, a trzymający się z tyłu milczeli, najwyraźniej pogrążeni w marzeniach o sławie. Viglund poprawił się więc w siodle i sapnął, niby znużony niewygodami wędrowki, lecz wciąż nie mógł się uwolnić od szoku.

Sen, który przyniosła ze sobą krótka drzemka w końskim siodle, był bowiem niewiarygodnie wyraźny i realistyczny. Ujrzał w nim Thyrę trzymającą na ręku kwilące cicho niemowlę. Dziewczyna miała na sobie błękitną suknię ze złotymi broszami i wyglądała pięknie jak nigdy, lecz na jej bladej, skupionej twarzy widniała śmiertelna powaga. Jej usta otwierały się i zamykały, a choć Viglund nie słyszał głosu, był przekonany, że dziewczyna woła: „Wróć do nas! Wróć do nas, póki jeszcze czas!”.

- Wróć do nas... - powtórzył cicho.

Do nas? Czyli do niej i do tego dziecka? A cóż to właściwie było za dziecko?

Nie, to przecież bzdura, warknął w myślach. Nie ma już Thyry, tak jak nie ma Vidara, Helsvinir, Norveghru i konunga Trygvego ! Rozpocząłem nowe życie i żaden sen, choćby najbardziej prawdziwy, nie zmieni mojej decyzji!

A co takiego postanowiłeś? - spytał jakiś głos w jego sercu.

Viglund zagryzł wargi i spojrzał przed siebie. Teren opadał ostro ku plaży, ku spalonej osadzie Vik, i konie szły teraz ostrożnie, zanurzając nogi aż po pęciny w czarnym piasku. Kilku jeźdźców na przodzie orszaku zeskokczyło nawet z siodła, by ulżyć swym wierzchowcom, jedynie jarl Thorkil nadal jechał wyprostowany, ani chybi spoglądając ku siedmiu okrętom - knorrom, langskipom i snekkjom, wyciągniętym na plażę. Kilkadziesiąt kroków dalej leżał majestatyczny „Midgardsorm”. Z tej odległości wszystkie przypominały ciemne, najedzone smoki, szczególnie że wisiały nad nimi chmury rozwrzeszczanego, morskiego ptactwa, łasego zapomnianych kasków.

Chłopak aż się wzdrygnął, przypomniał sobie potwora, który schwytał Atliego z Tyrdallir, lecz jego uwagę w porę przykuła zebrana przy okrętach grupa ludzi, którzy na widok zbrojnego orszaku poderwali się z piasku i ruszyli biegiem w ich stronę. Ich radosne krzyki przebijały miarowy szum fal, uporczywie ozdabiających mokre piaski plaży białymi koronkami piany.

Oto kolejni, którym zawróciłeś w głowie, pomyślał kwaśno, wbijając spojrzenie w szerokie, okryte płaszczem plecy jarla Thorkila. Islandczycy, których obróciłeś przeciwko chrześcijanom, a potem omamiłeś do własnych celów. Będą cię podziwiać, jarlu. Będą cię ubóstwiać i nazywać wodzem i wybawicielem.

Towarzyszący im wojowie wyprostowali się w siodłach i zmierzli nadbiegających niechętnymi spojrzeniami, jakby sam fakt, że stanowią eskortę jomsborskiego jarla czynił ich lepszymi wobec reszty ludzi. Jeden z nich szarpnął za linę, na której prowadził kilku odnalezionych niedawno rozbitków z hufca konunga Trygvego - jarl nakazał zabrać garstkę ze sobą na okręty, by złożyć z nich ofiarę demonom morza. Człowiek uwiązany jako ostatni potknął się i upadł twarzą w piach.

A co takiego postanowiłeś? - powtórzył uporczywie ów głos w jego głowie i Viglund zacisnął z wściekłością zęby.

Bo nie postanowił nic. Wiedział tylko, że nie będzie już służył jarlowi Thorkilowi. To, że Jomsborczyk odkrył przed nim swe prawdziwe plany, to, że ukazał mu swą moc, nie miało dlań żadnego znaczenia - Viglund nie żywił żadnego przywiązania wobec swej ojczyzny, a konung Trygve był mu obojętny. Jego złośliwa natura zbuntowała się tylko i wyłącznie przeciwko przymusowi.

Nie będę służył nikomu, kto mnie do tego zmusza, pomyślał mściwie. O nie, Thorkilu. Zapamiętam ten policzek, jomsborski psie, a przypomnę go sobie w odpowiedniej chwili.

Wyobrazenie Thyry z dzieckiem na ręku, tak niewiarygodnie świeże i przekonujące, nie chciało go jednak opuścić. Wzburzony, wyprowadzony z równowagi Viglund dźgnął konia piętami i wnet się znalazł przy młodym Islandczyku, który nadal w siodle lżył leżącego jeńca i szarpnięciami liny próbował zmusić go do powstania. Ten, najwidoczniej ranny i osłabiony, robił ledwie jeden, drżący krok i natychmiast padał z powrotem na kolana.

- Siły nie masz, *svikarinn þinn*? - sztychł Islandczyk. - A znalazłbyś jej nieco na gwałt czy rabunek, co?

Palce obu dłoni jeńca wpiły się w wilgotny, czarny piach. Viglund usłyszał stłumione, wściekle przekleństwo, a potem ujrzał jego twarz, brudną i poranioną. Z najwyższym trudem opanował zaskoczenie.

Svein Trygveson! - przemknęło mu przez głowę. Sam syn konunga...

- Pohulałbyś z naszymi niewiastami, psi chwoście? - zakrzyknął Islandczyk i splunął.

Biała płwocina opadła na powalany ziemią policzek jeńca, który otarł ją bezsilnym gestem i opuścił głowę.

Zaskoczenie minęło w jednej chwili, a miast niego buchnął zimny, biały płomień nienawiści. Viglund wyszarpnął skramasaks zza pasa, obrócił go ostrzem do góry, podjechał bliżej do niespodziewającego się niczego Islandczyka i z całej siły uderzył go między łopatki. Ten stęknął głucho i zawisł w siodle, a Viglund jednym szybkim ruchem przeciął popręg i napał na jeźdźca. Islandczyk zwałił się z łoskotem na ziemię i zastygł nieruchomo, desperacko próbując złapać oddech.

- Pozwolił ci jarl podnieść rękę na swego jeńca? - wysyczał. - Pozwolił ci? To ty nie pozwalaj sobie na zbyt wiele, kurwi synu. Następnym razem wypruję ci flaki i świniom rzucę, bo kruki byle łajna nie jedzą!

Purpurowy na twarzy Islandczyk rzeził i drapał ziemię, próbując wstać. Viglund przyglądał mu się przez moment beznamiętnie, po czym opluł go celnie i ruszył w stronę jarla Thorkila, witanego hałaśliwie przez załogi okrętów. Miał niezbitą pewność, iż powalony przez niego Islandczyk nie widział noża, który Viglund niespostrzeżenie upuścił tuż przy skulonym na ziemi Sveinie.

## ROZDZIAŁ 14

Dopełniało się przeznaczenie.

Wiatr zamilkł i cofnął się, niczym narowisty rumak cięty ostrym biczem. Stalowoniebieskie, zimne fale morza ukorzyły się i rozstąpiły przed dziobami ośmiu rączych okrętów, które niepowstrzymanie pędziły ku wciąż odległym fiordom Norweghru. Poważny, blady mąż z obandażowaną klatką piersiową, stojący na rufie największego z nich, rozłożył ręce i zawołał wielkim głosem ku zamartwiałemu ze strachu chmurom. Niespodziewanie zamajaczyły wśród nich czarne skrzydlate kształty, które jeden po drugim jęły nurkować ku okrętowi i rozsiadać się na burtach, stewie i rejach. Przekrzywiwszy z zaciekawieniem łby, ogromne kruki słuchały ludzkiego wodza, a gdy ten kłaśnieciem w dłonie zakończył swą mowę, zamachały ciężkimi skrzydłami i wzbiły się w powietrze.

Nikt im nie przeszkadzał, ani przerażony wiatr, ani zmęczenie, wróg każdego śmiertelnika. Wielkie kruki, pomiot Hugina i Munina, mknęły przez przestworza, wykrakując z radością swe imiona, aż ujrzały majaczące w oddali, skryte we mgłę wybrzeża bezbronnej krainy. Wtedy to pożegnały się chrapliwymi głosami i każdy zanurkował w innym kierunku. Jeden śmignął nad wysokimi, roztańczonymi górskimi świerkami i opadł prosto na ramię zbrojnego, osobliwie uśmiechniętego męża, w oczach którego kotłowało się skrajne szaleństwo. Inny wylądował u stóp starego skalda, śpiącego na kamienistym cyplu morskim, tuż obok zamaskowanej snekkji, a jeszcze inny przemknął nad głowami zbrojnego orszaku, wędrującego górskim szlakiem, i w powietrzu wykrzyczał swe przesłanie. Były i takie, które lądowały przed zacnymi hallami w głębi borów bądź na oddalonych wyspach, a niektóre przeleciały nawet nad ośnieżonymi szczytami, by odszukać wielkie obozowiska rozbite u stóp gór. Wszędzie wyrzaskiwały słowa przekazane im na morzu, wszędzie też ich chrapliwy zew okazywał się iskrą padającą na wyschniętą ściółkę leśną. Ludzie podrywali się ze snu, nakładali hełmy i ujmowali broń oraz tarcze, a ich høvdingowie, tryumfalnie uśmiechnięci, bez wahania wskazywali kierunek marszu.

Przeznaczenie się dopełniało.



Nie licząc zgrzytów podków o kamienie i cichych sapnięć zdrożonych rumaków, zbrojny orszak poruszał się niemal w całkowitej ciszy. Przygarbieni jeźdźcy jechali w milczeniu i nie przestawali się rozglądać. Co do jednego byli znakomicie uzbrojeni - ich torsy kryły pyszne kolczugi, częściowo przesłonięte zapiętymi na prawym ramieniu płaszczami, głowy zaś chroniły hełmy z okularami. Każdy miał również włócznię oraz tarczę, przytroczone do siodła, a u pasa zwisał mu miecz, lecz mimo to wojowie nie wyglądali na zbyt pewnych siebie. Wielu nie mogło opanować szybkich, niemalże trwożliwych spojrzeń na boki, a kilku co rusz wykonywało znak krzyża na piersiach bądź nerwowo ścisnęło rękojęść miecza. Nie było bowiem człowieka w całym Norweghrze, ani gdziekolwiek poza nim, który czułby się pewnie na zboczach Dvergurfjall - Karlich Wzgórz.

Rozmowy i dowcipy w oddziale ucichły, gdy tylko dotarli do Arnulheim. Niewielka wioska, w której karły mieszkają wspólnie z ludźmi, była opustoszała, a przecinała ją ogromna, przepastna szczelina, pamiątka po wielkim trzęsieniu ziemi sprzed kilku dni. Ciemne oczodoły okien i drzwi łyptały ponuro na przejeżdżający chyłkiem orszak, jakby mówiły: „To miejsce było pomyłką od samego początku, a ci, co popełniają błędy, ponoszą karę!”. Konung wyznaczył kilku najodważniejszych wojów, by zajrzeli do pozostałych chat i szop, lecz ci nie znaleźli ani śladu czyjejś obecności. Wszystko wskazywało na to, że zarówno karły, jak i ludzie po prostu znikli, jednakże ponury wyraz twarzy Trygvego wskazywał, iż miał on znacznie gorsze podejrzenia.

Wkrótce dotarli do podnóża Karlich Wzgórz, lecz jak na złość, krainę zamieszkaną przez podziemny lud spowiewa gęsta mgła, w której każdy kopczyk kamieni przypominał przyczajoną istotę, a każdy odgłos stawał się

przytłumionym tąpnięciem. Wojowie mieli przekleństwa i modlili się w duchu, by ich władca zaniechał swego szalonego pomysłu. Konung Trygve jednakowoż parł naprzód, nie oglądając się na boki, a zacięty wyraz twarzy wskazywał, iż nie cofnie się za nic w świecie.

Pojedyncze spojrzenia drużynników śmigały też ku milczącej, odzianej w ciepłe futra fińskiej niewolnicy, jadącej konno tuż za konungiem. Tu i ówdzie słyszało się już głosy, że Trygve spędza w jej towarzystwie zbyt dużo czasu i zbyt chętnie nadstawia ucho jej podszeptom, ale po wyjeździe Vidara w całym hirdzie nie było nikogo, kto ośmieliłby się zwrócić mu na to uwagę. Od czasu, gdy Svein opuścił Norveghr, a karły rozpoczęły swe bandyckie napady, konung bezustannie ulegał atakom dzikiej furii. Sam fakt, że postanowił upomnieć karlego króla w jego własnej stolicy, był zdaniem większości wojów najlepszym dowodem na to, iż z wolna ogarnia go szaleństwo.

Z roztańczonych tumanów mgły niespodziewanie wychynał wystraszony przewodnik i kłaniając się nisko konungowi, ostrzegł go przed kolejną wielką szczeliną, która otworzyła się w zboczu góry.

- Wielka ci ona, panie! - bełkotał. - A szeroka kiej... Ho, ho! Trza nam skręcić, do przełęczy zawrócić, abo...

- *Þegiðu!* - ofuknął go Trygve. - Nigdzie zawracać nie będziem. Zresztą, to miejsce jest równie dobre jak każde inne. Na pewno mnie tu usłyszysz, karzeł zatracony. Hannar!

Chrapliwy krzyk starego konunga odbił się stłumionym echem i ucichł, roztarty gęstą bielą.

- Hannar! - zakrzyknął jeszcze głośniejszym głosem Trygve. - Hannarze Puchaczu, karli królu! Wyjdźże ze swej fortecy, bom pogadać z tobą chcia! Wyjdźże, Hannarze, nie lękaj się!

Odpowiedziała mu cisza, głęboka, niezemska. Mgła falowała złowieszczo, konie parskwały niespokojnie i przysuwały się do siebie, lecz konung nawet tego nie dostrzegł. Odczekał chwilę i zawołał ponownie:

- A więc boisz się, karli królu?! - W jego głosie zdrzało szyderstwo. - Boisz się rozmawiać ze mną, z władcą ludzi, z tym, który ślubował ci drużbę i słowa dotrzymywał? Z tym, którego wsie palisz i poddanych zabijasz? Jakże to, Hannarze?

I znów odezwała się pulsująca cisza, zasysająca wszelkie dźwięki. Twarz Trygvego nabrzmiała gniewem. Przygryzł wargę i nabrał tchu, by znów ryknąć, lecz przeszkodził mu obcy dźwięk. Niespodziewanie, pośród mgły u dołu zbocza, zagrał donośnie róg.

- To mój sygnał... - szepnął ze zdumieniem konung. - Dawaj no który, odpowiedz!

Jeden z drużynników podniósł instrument do ust, spojrzał niepewnie na towarzyszy i zadał ze wszystkich sił, ostatecznie burząc ciszę Karlich Wzgórz. Róg z dołu odezwał się ponownie i po chwili z mlecznej zawiesiny wychynał zdyszany goniec, wiodąc za uzdę spotniałego, potykającego się o kamienie konia.

- *Herra min!* - sapnął i padł na kolana, bardziej ze zmęczenia aniżeli szacunku. - Panie, z grodów granicznych przybywam! Wieści... Wieści okrutne nadeszły!

- Okrutne? - Trygve zmarszczył brwi. - Prawże, człowieku!

- Wielka kupa swiońskich wojów do Norveghru się wdarła! - meldował pośpiesznie goniec, obawiając się wybuchu wściekłości u swego władcy. - Pono niektóre rody po ich stronie stają! Ćma ich, panie, ćma... Wsie płoną!

Z twarzy sędziwego konunga, jeszcze przed chwilą nabrzmiałej purpurą wściekłości, odeszły wszystkie kolory.

- Swioni? - spytał cicho, jakby z niedowierzaniem.

- Tak, panie! Mówią, że im słynny wiking przewodzi! Ragnar Niszczyciel Drakkarów, *herra min...*

- Ragnar Niszczyciel Drakkarów... - powtórzył szeptem Trygve.

Przez moment siedział nieruchomo w siodle i bezwiednie gładził koński kark, nieświadom pytających, niepewnych spojrzeń swych wojów. Otwierał i zamykał wyschnięte wargi, jakby nie mógł dobrać właściwych słów, aż w końcu obejrzał się na nienawistne we mgle wierzchołki Karlich Wzgórz. W jego wzroku malowało się skrajne znużenie.

- Szkoda, że się ode mnie odwróciłeś, Hannar - szepnął. - Szkoda, że w takiej chwili. Twój to jednak wybór,

karli królu. Eskill! - rzucił ostrzejszym tonem, jakby nagle odzyskał część wiary w siebie.

Wywołany woj popędził konia i podjechał bliżej.

- *Já, herra min?*

- Masz najszybszego rumaka, pognasz tedy do Nidaros i przekażesz grododzierzcy Gisliemu moją wolę. Od tej chwili zabrania się tarzenia z karłami, a złapani na tym zostaną wygnani z kraju. Każdy karzeł zaś ma zostać schwytyany i uwięziony w lochach zamku. Einar, ty zaś pędź do Grima, każ mu zebrać ludzi...

Na suchych, obwisłych policzkach starca pojawił się rumieniec, gdy wysyłał swych drużynników z kolejnymi misjami. Jeden po drugim przybocznicy konunga wykrzykiwali z entuzjazmem słowa pożegnania i spinali konie do galopu, by jak najszybciej urzeczywistnić wolę swego pana i przygotować kraj do obrony. Wydawszy ostatni rozkaz, Trygve westchnął ciężko i zawrócił konia, po czym wraz z pozostałą mu garstką wojów wyruszył ku umocnionej osadzie Arnstadir, która nierzadko odpierała już ataki zbrojnych band z gór kraju Swionów.

Jechał, zgoła nie patrząc na drogę, gdyż jego umysł był pochłonięty nadciągającymi wydarzeniami. Przeliczył dostępne mu siły i czas potrzebny do ściągnięcia drużyn z poszczególnych okręgów, próbował ocenić prawdopodobną postawę swych największych sojuszników, wytypować możliwych zdrajców oraz przypuszczałny kierunek marszu Ragnara. Towarzyszący mu wojowie zaś lustrowali okolicę w poszukiwaniu śladów ewentualnej zasadzki i rozmawiali cicho, z napięciem, o nadchodzących wypadkach. Nikt więc nie zwrócił uwagi na ogromnego kruka, który trzykrotnie przeleciał nad wędrującym orszakiem, kracząc przy tym głośno.

Nikt z wyjątkiem fińskiej niewolnicy konunga, która ukryła uśmiech.

\* \* \*

Pośród wielu sztuk przyswojonych przez starego Ingolfa znalazła się umiejętność leczenia obrażeń. Zajął się więc troskliwie raną, jaką Vidarowi zadał Jomsborczyk Gunnar, i już po trzech dniach stosowania okładów skałd stwierdził, iż jest w stanie poruszać ramieniem bez większego bólu. Kiedy więc czwartego dnia Ingolf zapytał swoich ludzi, który z nich jest gotów wybrać się na zwiad po okolicy, bez chwili wahania zgłosił się jako pierwszy.

Zzerała go niecierpliwie, podobnie jak wszystkich pozostałych. Z wąwozu, w którym się schronili, widzieli wysokie słupy dymów, unoszące się zza zielonych, mokrych od deszczu wzgórz. Widok ten obudził w ich sercach trudną do opanowania wściekłość. Próbowali odgadnąć, które to zagrody bądź osady padają ofiarą pogan, i co chwila któryś z nich siadał na kamieniu i krył twarz w dłoniach. Tajemniczy Jomsborczyk, raniony podczas holmgangu przez Vidara, okazał się stokroć groźniejszy od wichrzyciela Skallego i w ciągu jednego wieczoru dokonał tego, co tamten usiłował zrealizować od miesięcy - obudził gniew pogańskich Islandczyków i obrócił go przeciwko chrześcijanom. Wszystkie dymy bowiem unosiły się nad osiedlami, których mieszkańcy przyjęli chrzest.

Vidar zaś nie zaznał snu od chwili odzyskania przytomności. Nie przestawał myśleć o tym, że gniew Islandczyków wywołał dopiero widok wziętych do niewoli wojów z drużyny Trygvego, którzy przybyli na wyspę z wrogimi zamiarami - i bezustannie wyrzucał sobie, że okazał obojętność wobec planów konunga.

Powinienem był się domyślić, gryzł się w myślach. Powinienem mu to wyperswadować, lecz miast tego pławiłem się we własnej rozpaczce. Cóż ze mnie za głupiec! Cóż ze mnie za skończony głupiec!

Najbardziej jednak frapowało go to, że w otoczeniu jomsborskiego jarla mignął mu własny syn. Nie wierzył wymijającym odpowiedziom Ingolfa, stokroć bardziej ufał swemu sercu, które uparcie, bez chwili wahania utrzymywało, że to właśnie Viglund powalił woja, który cisnął weń oszczepem. W targanym rozterkami sercu Vidara wciąż migotała mała isierka nadziei.

Co się z tobą dzieje, drogi synu? - myślał, schodząc wąską ścieżką ku soczyście zielonym pastwiskom wokół osady Vik. Gdzie ty zawędrowałeś i po czyjej stoisz stronie? Nie wiem tego, ale się dowiem, Viglundzie. Odnajdę cię, choćbym miał jak Skirnir zejść do samego Hel.

W zwiadzie Vidarowi towarzyszyło czterech wojów z orszaku Ingolfa. Najstarszym był ogorzały, zwałisty Steinni, pochmurny i bez ustanku złorzeczący Jomsborczykom. Za nim szedł szczupły, czarnowłosy Irlandczyk Kormak, rzekomo nieodzywający się częściej niż raz na tydzień, a dalej wysoki, bladej Vali, który podczas potyczki na Tingvellir stracił kuzyna. Pochód zamykał młodzieńki Sigurd, uczący się sztuki skaldycznej pod surowym okiem Ingolfa. Starzec początkowo protestował przeciwko jego uczestnictwu w wyprawie, ale wbrew samemu sobie wsparł go Vidar.

- Jeśli skald ma dobrze opiewać walkę i dzielne czyny - powiedział - powinien w nich uczestniczyć. Bierz swój łuk, Sigurdzie. Czas na nas.

Schodzili ostrożnie. Przez całą noc padał rześisty deszcz i ścieżka była śliska, a ponadto nie przestawali wypatrywać zagrożenia. Okolica jednakowoż sprawiała wrażenie opuszczonej. Skromne domostwa, przytulone do wyniosłej ściany klifu wychodzącego daleko w morze, nie uchowały się przed gniewem wzburzonych Islandczyków - nawet z tej odległości było widać kryty darnią dach jednej z nich, zapadnięty jak od uderzenia gigantycznym młotem. Druga została doszczętnie spalona, natomiast na progu trzeciej leżały rozrzucone zwłoki. Zniszczono też ułożony z kamieni murek, za którym trzymano owce.

- Czy tam mieszkali chrześcijanie? - spytał półgłosem Vidar.

- Nie. - Stary Steinni pokręcił głową. - Zwykli ludzie to byli, panie.

Widać nawet domowników Ingolfa trudno przekonać do nowej wiary, pomyślał kwaśno Vidar.

Powiódł wzrokiem wzdłuż brzegów. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widział fale wdzierające się z szumem na ląd i osuwającą się w ślad za nimi pianę, osobliwie jasną przy czarnych piaskach plaży. Daleko za klifem wyrastały z morza trzy szpiczaste, nieregularne skały, rozmazane przez odległe szkwały i otoczone chmurami rozkrzyczanego ptactwa. Wilgotny wiatr cierpliwie czesał kępy nadmorskich traw i ciskał garściami mżawki w mokre twarze piątki wojów.

Ani śladu człowieka.

- Wracamy - zdecydował. - Zatoczmy łuk i obejdziemy...

- Pozwólcie, panie! - odezwał się niespodziewanie Sigurd. Na policzkach młodzieńczego skalda widniał niezdrowy rumieniec, chłopiec oddychał szybko i co rusz zerkał nerwowo ku spustoszonej chatom. - Pozwólcie mi zejść do tej osady!

- Po co?

- Mój wuj tam mieszkał, panie! Mus mi wiedzieć... Mus mi...

- Zejdziemy wszyscy - zdecydował Vidar i pierwszy ruszył w dół.

Po chwili skórzane buty wojów zanurzyły się w zwilgotniałym od deszczu piasku plaży. Szli w ciszy wśród rozkołysanych traw, płosząc ciekawskie ostrygojady i zabłąkane owce, ani chybi ze spustoszonego gospodarstwa, a gdy chaty na powrót wyłoniły się zza wydm, Vidar powstrzymał towarzyszy.

- Idź, Sigurd - mruknął, nie patrząc na chłopca. - Rozejrzyj się. My zaczekamy tutaj.

Stary Steinni ledwie dostrzegalnie kiwnął głową, a Kormak i Vali nadal milczeli niczym posągi. Wszyscy odwrócili się i zapatrzili w sunące ku brzegom rozczochrane, grzywiaste fale, oddając się własnym ponurym myślom. Gdzieś za ich plecami znów huknęła Hekla, zagłuszając nawet łoskot roztańczonego morza.

- Cholera by wzięła ten wulkan - powiedział Steinni. Porywisty wiatr zaatakował ich ostrzejszym deszczem i stary woj owinął się szczelniej płaszczem. - Jak żyję, nigdy...

Jego słowa przerwał przenikliwy wrzask Sigurda.

- To nie jest krzyk rozpaczy! - Vidar uniósł głowę. - *Fylgið mèt!* Obrócił się na pięcie i rzucił biegiem ku spustoszonej osadzie w tej samej chwili, w której chłopiec wypadł z jedynej ocalałej chaty. Młody skald potknął się o leżące na progu trupa, stracił równowagę i padł na piach, lecz wystarczyło mu przytomności, by natychmiast



odtoczyć się na bok. Ciężki, nieforemny topór człowieka, który wyskoczył z chaty w ślad za nim, zagłębił się przez to w piachu aż po stylisko.

- *Biddu!* - wrzasnął Vidar. Wyszarpnięty z pochwy runiczny miecz zatoczył siny okrąg nad jego głową.

Nieznamy znieruchomiał i popatrzył na skalda. Ich spojrzenia się spotkały.

- *Biddu!* - krzyknął raz jeszcze Vidar, tym razem do Kormaka, który zdążył ściągnąć łuk z pleców i założyć strzałę na cięciwę. - To swój!

Wicher targnął jeszcze mocniej, niemalże przewracając skalda na ziemię, lecz ten nie zwrócił na to uwagi. Zdumiony do granic, patrzył na człowieka, który jeszcze przed momentem próbował zabić Sigurda. Patrzył na jego mocną, barczystą sylwetkę, na harde, okolone brodą oblicze i strzępy ongiś drogiego kaftana, patrzył i nie mógł uwierzyć.

- Svein? - wyjąkał. - Svein syn Trygvego?

\* \* \*

Przez całe swe życie w Norvegrze Vidar Gustavson spotkał tylko jednego człowieka dzielniejszego od Sveina. Był nim berserk Harald zwany Tordenem, niezłomny, nieprzejednany w swej nienawiści wojownik, którego upór doprowadził w końcu do obalenia Białego Jastrzębia. Svein być może nie dorównywał Haraldowi siłą czy dzikością, lecz dalece przewyższał go wyobraźnią i umiejętnością dowodzenia. Vidar niejednokrotnie był świadkiem, jak syn konunga na czele garstki wojów wpędzał w zasadzki i rozbijał znacznie liczniejsze kupy rabusiów bądź drużyny zbuntowanych jarłów, a raz nawet towarzyszył mu w zwycięskiej wyprawie na orkadzkich piratów. Cenił Trygvesona za męstwo, honor i umiejętność improwizowania na polu walki, dlatego też stan, w jakim ten się znalazł, wstrząsnął skaldem do głębi.

Mimo dwóch ciepłych pledów, jakie zarzucili mu na barki, Svein wciąż trząsał się z zimna. Skudlone, pozlepiane kędziory okalały bladą, niemalże siną twarz i przesłaniały lśniące gorączką oczy, w których Vidar dostrzegł upokorzenie, udrękę i zaczątki szaleństwa.

- Nie bójcie się - szeptał, próbując opanować szcękające zęby. - Jego nie ma już na Islandii... Nie ma, odpłynął stąd! Odpłynął!

- *Mjög vel, Svein!* - Vidar zacisnął dłonie na drżących ramionach wojownika, starając się nie oddychać przez nos. Od syna konunga bił bowiem smród zgniłych ryb i długo niemytego ciała. - Dość przeżyłeś, stary druhu! Czas ci odpocząć, siły zebrać...

- Odpocząć? - Svein prychnął i spróbował odepchnąć skalda, ale naraz zatoczył się i pochwycił go za nadgarstek, w ostatniej chwili broniąc się przed upadkiem. - Mam odpoczywać, tak? A wiesz, gdzie ten gad popłynął, Vidarze?

- Nie obchodzi mnie to - mruknął skald i poprawił pled, który zsunął się z ramion Sveina. - Najważniejsze, że...

- Do Norveghru popłynął! Sam słyszałem! Jomsborczyk zebrał zastęp chętnych mu Islandczyków i popłynął do Norveghru, w siedem lub osiem okrętów! Trzy dni się w tej chacie kryję, żrę ryby, co je odpływ zostawi, a oni...

- Biadolisz kiej stara baba! - ofuknął go z udawaną stanowczością Vidar. - Cóż jest w stanie zdziałać jeden człowiek, choćby nawet jarl jomsborski, na czele siedmiu okrętów przeciwko Norveghrowi?

- *Ég veit ekki* - wyszeptał Svein, przymykając lśniące gorączką oczy. - Naprawdę nie wiem, ale boję się, skaldzie. Bo to diabeł. Pomiot Lokiego.

- Nie bluźnij.

- Spójrz. - Svein chwycił poły wilgotnej, brudnej koszuli i rozchylił je jednym szarpnięciem. Na wysokości żeber ciągnęły się sinożółte siniaki, podobny pas było widać nieco niżej. - Złapał mnie i trzymał godzinami, dopóki nie przybył ten Fin...

- Na litość boską, Svein, o czym ty gadasz?

- Smok, Vidar - szepnął zmęczony woj. - On ma morskiego smoka na usługi. To smok rozbił naszą flotę, to on nas wyłapał i przytaszczył Jomsborczykowi pod nos. To przez niego bałem się z chaty nosa wyściubić.

Na plaży zapadła złowroga cisza. Wojownicy z orszaku Ingolfa przyglądali się niepewnie Sveinowi, lecz żaden nie oparł się pokusie zerknięcia na morze. Vidar przygryzł wargę i spojrzał w bok, po czym oznajmił:

- Mus nam zanieść wieści staremu Ingolfowi, on będzie wiedział, co czynić. Możesz iść, Sveinie?

- Mogę - odparł z krzywym uśmiechem zapytany i z obrzydzeniem wyciągnął źdźbło trawy ze skołtunionej, brudnej brody.

- Opowiesz nam tedy resztę w drodze.

Wiatr zelżał, a deszcze zaciemniły tym razem zachodnie niebo, lecz powrót wcale nie okazał się łatwy. Svein ledwie stawiał nogi, co rusz się przewracał, a nawet tracił przytomność. Ani na chwilę nie przestawał mówić, lecz jego opowieści gubiły sens i zaczynały przypominać majaczenia szaleńca. Vidar dowiedział się tylko tyle, że Svein jakimś cudem zdobył bądź znalazł nóż i gdy wraz z innymi rozbitkami wsadzono go na islandzki knorr, potajemnie przeciął więzy i wyskoczył za burtę, a następnie ukrył się w spustoszonej chacie. Skald nie wypytywał go dalej, gdyż bredzenie Sveina zaczynało go irytować, a ponadto odezwała się jego własna rana.

Z każdym krokiem czuł, jak opuszczają go siły, a władzę nad ciałem obejmuje coraz silniejsza gorączka. Wyrzucał sobie pochopną decyzję wyruszenia na zwiad i marzył tylko o ułożeniu się na suchym, miękkim pledzie choć na chwilę.

Widok wejścia do wąwozu, w którym rozbił obozowisko Ingolf, był dlań niczym wybawienie. W ogóle nie zwrócił uwagi na ciszę między jego ścianami, a niezwykłość sytuacji zrozumiał dopiero, gdy znad niewielkiego ognia podniósł się ten, którego nigdy by się tu nie spodziewał.

- Arnul? - spytał cicho, z niedowierzaniem.

- Witaj, przyjacielu - rzekł poważnym głosem karzeł. - Spotykamy się po raz ostatni.

## ROZDZIAŁ 15

Arnul szedł szybko, krokiem człowieka, który doskonale wie, dokąd zmierza, i znużony Vidar zaczynał się poważnie obawiać, czy zdoła długo za nim nadążyć.

Przystanął na moment i przetarł spotniałe czoło, schłodzone przed chwilą litościwą mżawką. Cel ich wędrówki - skryte w czarnych kłębach dymów zbocza Hekli - wydawały się równie odległe jak o świcie, gdy pożegnali się z Ingolfem i jego domownikami. Co więcej, spod zasłony dymów wynurzył się zarumieniony plaster lawy, wolno, acz nieubłaganie spelzający w dół zbocza. Vidar odetchnął głęboko zimnym, cuchnącym siarką powietrzem i zrezygnowany pokręcił głową.

- Cóż ten szalony karzeł zamierza? - warknął zasapany Svein, który przystanął tuż za nim.

Vidar odwrócił się i zmierzył starego druha wzrokiem. Kordiały Ingolfa, suty posiłek i kilka godzin nieprzerwanego snu znacznie pokrzepiły Sveina na duchu. Wczesnym rankiem zaś przyciął brodę, rozczesał włosy i włożył rzeczy używane mu przez domowników Ingolfa, po czym zażądał, by Arnul i Vidar zabrali go ze sobą, obojętne dokąd się wybierają. W jego głosie pojawiło się więcej pewności siebie.

- Ojca ostrzec już nie zdołam - rzekł, wpatrując się w Vidara. Gorączka w jego oczach zaczęła przygasać, zdławiona przez upór i chęć zmazania hańby. - Nie mam też hufca, by ruszyć mu z odsieczą. Muszę więc trzymać się was i mieć nadzieję, że wspólnie obmyślimy sposób, by powrócić do Norweghru i pokonać Jomsborczyka.

Mówiąc te słowa, całkiem zapomniał, że kieruje je do znużonego, rozczarowanego życiem skalda oraz do

obojętnego na ludzkie sprawy karła, dwóch osób, którym los Norveghru był całkowicie obojętny. Siła i przekonanie w jego głosie były jednakże zaraźliwe i nawet Arnul uśmiechnął się lekko.

Arnul... Skald spojrzął w ślad za karłem, niknącym właśnie wśród zwałów zastygłej, pokrytej żółtozielonym mchem lawy i po raz wtóry pokręcił głową. Zawsze myślał o mieszkańcach podziemi jako o istotach niezmiennych, niewzruszonych niczym góry, wśród których mieszkały, odpornych na ludzkie lęki i emocje. Z prawdziwym żalem obserwował, jak Arnul zmienia się pod wpływem swoich pobratymców. Bezpowrotnie tracił niezdecydowanie, lękliwość czy wrażliwość na niedolę innych, niemalże z tygodnia na tydzień upodabniał się do swych oschłych, zimnych współbraci i z czasem już tylko ciepły, wstydlivy uśmiech lub zająknięcie w głosie przypominały w nim dawnego Arnula, karła, którego poznał i pokochał podczas wojny z Białym Jastrzębiem.

Z dala od swych kamratów Arnul znów stał się bardziej ludzki. Wydawał się dziwnie roztargniony, urywał zdania w połowie i nie przestawał spoglądać na wulkan, lecz w jego wzroku, zamiast strachu, pojawiała się niecierpliwosć. Jąkając się jak dawniej, nakazał Vidarowi położyć się spać, rankiem bowiem czekała ich daleka droga.

Świt również nie przyniósł żadnych rozwiązań, ale Vidar nadal czuł niezbitą pewność, że Arnul wie, co czyni. Wątpił tylko, czy wystarczy mu sił, by się tego dowiedzieć.

- Nie mam pojęcia, Sveinie - rzekł cicho, zdyszany. - Ale nie nazywaj go szaleńcem. Arnul! - zawołał.

Karzeł zatrzymał się i odwrócił ze zdziwieniem. Machnął ręką, chcąc ponaglić obu mężczyzn, lecz Vidar uniósł dłoń i zawołał jeszcze raz:

- Arnul, nie dajemy rady! My... My musimy odpocząć! Chociaż pół godziny!

- Jeszcze nie! - wrzasnął karzeł. - Szkoda czasu!

- Nie mam już sił, do cholery! - przyłączył się Svein.

- To zostań! - Arnul stanowczo wsparł pięści na biodrze. - Nie w swojej sprawie tu drałuję, ale w waszej, psiamać! Jak chcecie, to odpoczywajcie. Ja idę!

Vidar spojrzął z bezsilnością na Sveina, a potem na pozostałych trzech towarzyszy, którzy stali za jego plecami. Steinni, Sigurd i Vali byli nieco zdyszani i zarumienieni na policzkach, ale żaden z nich bynajmniej nie wyglądał na wyczerpanego.

Przekłeta rana, pomyślał, dotykając opatrunku założonego przez Ingolfa. Boże, dodaj nam sił.

Kilka godzin później wyczerpani wędrowcy stanęli na wysokiej przełęczy, u stóp której ciągnęły się stalowoszare, zmarszczone wiatrem wody jeziora Laugarvatn. Ten sam wiatr porывwał białe snopy dymów, unoszące się z pobliskich gorących źródeł, i formował z nich fantazyjne kształty oraz przeganiał chmury, zasłaniające Hekłę przed oczyma wędrowców. Blask bijący od coraz obfitszej lawy, torującej sobie drogę w dół zbocza, nadawał im niepokojącej, różowej barwy. Arnul wspiął się na omszałą skałę i przez moment wpatrywał się w skryty wulkan, po czym ledwie dostrzegalnie skinął głową i zeskoczył na dół.

- Tu staniemy na godzinę - oznajmił ludziom, którzy tymczasem porozsiadali się na ziemi.

Svein oparł głowę o skałę i przyknął oczy, jakby drzemał.

- Arnul. - Vidar podniósł się z trudem i podszedł do przyjaciela. - Chyba czas, byś nam o wszystkim opowiedział.

- O czym? - Karzeł zmierzył go obojętnym wzrokiem. - Chcesz wiedzieć, co tu robię? Czy może jak się tu zjawiłem?

- I jedno, i drugie. Wiesz, ja...

- Chodź ze mną.

Obaj wspięli się wysoko na zbocze góry wznoszącej się nad przełęczą i zasiedli na zrębie skały. Dodatkowy wysiłek całkiem wyczerpał Vidara i minęła dłuższa chwila, nim doszedł do siebie i zauważył, że karzeł nie odrywa

wzroku od różowej emanacji Hekli.

- Nie powiem ci, jak tu dotarłem - odezwał się wreszcie cicho, cedząc słowa. - To sekret mojego ludu, zresztą trudno byłoby mi to opisać. Wiedz tylko tyle, że plemiona karłów potrafią dobrze wykorzystać moc ziemi. Gdy najdzie nas potrzeba, umiemy nią wstrząsnąć, co zresztą wykorzystali moi bracia w Norveghrze. Zeszli głębiej, do krainy nieosiągalnej dla człowieka. Do Svartalfheimu.

Vidar zadrżał.

- Dlaczego? - spytał.

- Bo życie z ludźmi okazało się dla nas zbyt trudne - odparł wprost karzeł. - Nigdy nie darzyliście nas miłością, a gdy na Północ dotarł wasz Bóg na Krzyżu, niechęć przerodziła się w nienawiść. Przez ostatnie dwadzieścia lat próbowaliśmy jakoś się z wami pogodzić, ale nie wyszło. Ani nam, ani wam. Nie tak dawno ojciec Sveina zajechał z orszakiem przed Karle Wzgórza, by nam bruździć i wygrażać. Nie wiedział, że Karle Wzgórza są już opustoszałe. Chyba wybraliśmy najwłaściwszy moment, tuż nim ktoś wmieszałby nas w kolejną nie naszą wojnę.

- Odeszliście - westchnął ze smutkiem skald. - Trudno mi będzie wyobrazić sobie świat bez karłów.

- Wątpię. Tak na dobrą sprawę, Vidarze, to nikt nigdy nas nie potrzebował. Najpierw bogom, a potem ludziom zależało głównie na naszych magicznych przedmiotach. Wiesz, mam to gdzieś - prychnął Arnul i rzucił kamykiem, który ze stukotem potoczył się w dół. - Sami sobie róbcie magiczną broń.

Chmura zeszła niżej i po chwili ogarnęły ich szare kłęby, całkowicie odcinając widoczność. Arnul milczał jakiś czas, a potem podjął:

- Popelniliśmy błąd, pozostając w Midgardzie. Nasz król Vindalf sądził, że to dobre rozwiązanie, bo przecież wszyscy i tak o nas zapomnieli. Ani bogowie, ani olbrzymy nie wezwali nas przecież, byśmy stanęli u ich boku w Ragnarokku. Nawet nie zauważyliśmy dnia ostatecznej bitwy. Ninie jednak wszystkim zaczęliśmy przeszkadzać - ludziom, świętkom Boga na Krzyżu... Nie, Vidarze. Nic nas tu nie trzyma

- A ciebie? Ciebie też nic tu nie trzyma?

- A ja jestem inny. Życie wśród ludzi wiele mnie nauczyło. Moi bracia sądzą, że trza wami gardzić i was nienawidzić, ja zaś twierdzę, że można was również kochać. I dlatego właśnie nim odejdę wraz z rodakami, chciałem pomóc wam po raz ostatni. Wiem, że znów nadchodzą dla was czarne dni, pomogę wam tedy jakoś przez nie przebrnąć. Jeno śpieszyć nam się trzeba.

- Jak bardzo?

- Mój czas się skończy, gdy lawa na Hekli zacznie stygnąć. Pora chyba zbudzić twoich słabowitych, znużonych towarzyszy.

- *Biddu* - powiedział nagle Vidar. - Powiedziałeś, że potraficie wykorzystywać moc ziemi. Czy ten wulkan...? Czy to wy wywołaliście ten wybuch, byś mógł tu dotrzeć?

- Trudno to wyjaśnić. - Arnul uśmiechnął się. - Dla ułatwienia przyjmijmy, że tak.

\* \* \*

Trygve Ivarson ujął drżącą dłonią dzban, naplnił drewniany kubek piwem i wychylił go jednym duszkiem.

- To chyba wszystko - wyszeptał chrapliwym głosem, ocierając wąsy. - Nie mogę uczynić nic więcej. Na wszystkich bogów, nic więcej...

Długie życie, wypełnione intrygami i pochodami wojennymi, nauczyło go wszędzie wietrzyć podstęp i zawsze spodziewać się najgorszego. Dwadzieścia lat na tronie Norveghru zaś tylko wzmocniło ów instynkt, dzięki któremu wychodził obronną ręką z nawet najgorszych sytuacji. Przed niespełna miesiącem gratulował sobie w duchu decyzji o wysłaniu na Islandię wyprawy, która miała wyeliminować ostatnich groźnych przeciwników i zapewnić Sveinowi lata spokojnych rządów. Tymczasem okazało się, że przeznaczenie zgotowało dla niego pułapkę bez wyjścia -

podczas gdy on planował i układał daleką wyprawę wojenną, wokół Norveghru zacieśniała się sieć, zarzucona przez tajemniczych, nieznanym mu jeszcze wrogów.

Trygve nie wierzył bowiem w zbiegi okoliczności. Z meldunków zgonionych, wycieńczonych posłańców wynikało, że granice Norveghru przekroczyły jednocześnie dwie zbrojne kupy, z których jedna skierowała się na Bjørgvin, a druga poszła prosto na Nidaros. W tym samym czasie za broń chwyciły niektóre poddane mu rody - kilku z nich sędziwy Trygve nigdy do końca nie zaufał, ale bunt innych był dla niego całkowitym zaskoczeniem. Część buntowników dołączała do płądrujących swiońskich hufców, inni zniechęceni napadali na strażnicze gródki i wycinali załogi, których zadaniem było rozpalenie ostrzegawczych ogni. Rzadko kiedy udawało się odeprzeć taki atak, przeprowadzony bądź co bądź przez sąsiadów, po których trudno się było spodziewać wrogich zamiarów. Ogromne połacie kraju wpadły więc bez przeszkód w ręce napastników.

- Ktoś doskonale wiedział, że mam zamiar pchnąć wielką wyprawę na Islandię - szepnął po raz tysięczny, wpatrując się w zatopioną w mroku powałę. - Ktoś przewidział też problemy z karłami. Zaiste najlepszy to moment, by zaatakować Norveghr.

Nie miał pojęcia, ile osad zostało w porę ostrzeżonych przez rozesłanych przez niego gońców. Nie wiedział, ilu z nich dotrze na czas, by zawiadomić grody na wybrzeżu czy podległych mu jarłów. Wrogowie mogli się przecież czaić wszędzie, na każdym szlaku, w każdym zajeździe... W niebo biją tłuste słupy dymów, po droga gna strach i panika, runo leśne chciwie ssie krew.

- Nie! - Poderwał się nagle. Zydł przewrócił się z hukiem na klepisko. - Nie mogę siedzieć tu w górach i czekać! Nie mogę, po prostu nie mogę!

Drzwi chaty uchyliły się i ciemne wnętrza załała płonąca rdza słońca, wiszącego nisko nad koronami świerków. W blasku zamajaczył kontur zbrojnej postaci.

- Czy wszystko w porządku, *herra min*? - spytał zaniepokojonym głosem woj.
- Tak, tak - wybełkotał konung. - Jeno... Jeno ja... Są nowe wieści?
- *Nei, herra min!* Od godziny nie ma żadnych gońców!
- A, niech kozły Thora szczają na gońców! Każ ludziom siodłać konie, Hastein! Ruszamy ku Nidaros!
- Ale...
- Chcesz tu siedzieć i gnuśnieć, Hastein? - warknął złowrogo starzec.

Woj najprawdopodobniej rozpoznał niebezpieczny błysk w oczach swego władcy, gdyż bez słowa skłonił się i cofnął, przykrywając drzwi. W chacie znów zapanował mrok, a na dworze rozległy się pokrzykiwania Hasteina oraz innych wojowników, siodających w pośpiechu konie.

- Tak - szepnął konung, nalewając sobie kolejny kubek piwa. Ręce znów mu drżały, lecz tym razem z napięcia i niecierpliwości. - Po cóż mam siedzieć w górach i beczynnie czekać na uśmiech losu, skoro ten może nigdy nie nadejść? Trza uchwycić przeznaczenie we własne ręce i trzymać mocno, co by się nie wyslizgnęło! Tak, tak trzeba!

Drzwi rozchyliły się na nowo i ściany na krótką chwilę znów opromienił blask zachodzącego słońca. Konung usłyszał szelest dobrze mu znanych kroków i odwrócił się z szerokim uśmiechem.

- Zastęsałam, iż chcecie wyjeżdżać, panie... - wyszeptęła Finka swym cichym, upajającym głosem, po czym miękko przymknęła drzwi.

- Och, tak! - Trygve zaśmiał się tryumfalnie. - Jak ongiś, przed laty, gdy dałem się namówić Sveinowi! Miast czekać w Hladir po próżnicy, ruszyliśmy na odsiecz Nidaros i odnieśliśmy zwycięstwo! Tak i ninie czekać nie będę!

- A czy rozsądne to, *herra min*?

- Przecie kazałem ogłosić *leidangr*! - tłumaczył z zapalem starzec. - Wieści musiały dotrzeć do niektórych osad i chłopci za broń porwali, jeno nie wiedzą, którędy na wroga ruszyć. Trza ich skrzyknąć, zebrać, kupą poprowadzić na psich synów! Wnet się z drużynami jarłów złączę, a jeśli Nidaros, Bjørgvin i Hladir dłużej wytrzymają, wydusimy

tych łajdaków jak zarazę! Wždy jest jeszcze flota strażnicza Magnusa Foczej Skóry! Są hufce najemne, są...

- Ukarz mnie, panie... - Słodycz w głosie niewolnicy oraz pokora, z jaką uklękła przed nim na polepie, osłabiły na moment entuzjazm konunga. - Ukarz mnie za śmiałość, lecz troskam się o was... Czy to dla was bezpieczne?

- Bezpieczne? - Trygve skrzywił się, lecz wyciągnął stwardniałą, wykręconą artretyzmem dłoń, by pogłodzić jej czarne włosy.

- Nie ma takiej wojny, co ją bezpieczną zwać można, jeno coś mi mówi, że bogowie i tym razem uchronią starego, zręczliwego konunga Norveghru.

- Bogowie nie żyją - szepnęła niespodziewanie niewolnica i uniosła wzrok.

Sztylet, który błyskawicznie wydobyta z fałd szaty, zalsnił niczym złudna nadzieja. I nagle wbił się w serce zaskoczonego konunga.

- Prawie rzekliście, panie mój - powiedziała, wyszarpując broń ze znieruchomiałego ciała starca i wstając z klęczek. - Nie ma bezpiecznych wojen.



To samo jaskrawe, chylące się ku zachodowi słońce, którego blask wślizgiwał się do chaty konunga Trygvego, przyglądało się obojętnie panice, jaka z wolna ogarniała Nidaros. Przez bramy grodu, rozwarłe niczym głodne paszcze, wypływały oddziały wojska, pchając przed sobą puste wozy. Do środka cisnęli się mieszkańcy rozległego podgrodzia, kupcy wraz ze służbą oraz pierwsze, objuczone skromnym dobytkiem rodziny z najbliższych osad. W tym niemożliwym zamieszaniu próbowali utrzymać porządek zachrypnięci wojowie ze straży grodowej. Podobne zamieszanie panowało na brzegu fiordu oraz przy przystani rzecznej - kupcy i podróżni ładowali w pośpiechu swe łodzie, odpędzając coraz bardziej natarczywych uciekinierów, proszących o zabranie ich z zagrożonego miasta. Oczy wszystkich bezustannie były zwrócone w stronę zalesionych gór na wschodzie i niknących między nimi traktów, które cały czas wypływały strumienie kolejnych uciekinierów. Przynoszone przez nich sprzeczne, wykrzykiwane przerażonymi głosami wieści jeszcze bardziej podsycaly szalejący chaos.

Biskup Helmgarth zacisnął powieki, próbując skupić się na modlitwie, ale rzenie przestraszonych cizbą koni, krzyki wojów ze straży grodowej oraz pokrzykiwania ludzi, próbujących się dostać do miasta lub z niego uciec, co rusz rozpędzały słowa modlitwy. Westchnął cicho i spojrzał na stalowy, zawieszony na ścianie krucyfiks, opromieniony rdzawym blaskiem wpadającego do celi słońca. W jego głowie wreszcie dojrzał ostateczny plan.

Hrafn, pełniący akurat straż pod drzwiami biskupiej celi, aż podskoczył zaskoczony, gdy biskup zdecydowanym ruchem otworzył drzwi.

- Zaprowadź mnie do Gisliego - rzeki starzec łagodnym, lecz stanowczym głosem. - A potem każ siodłać konie.

Stalowy blask oczu Helmgartha zgasił u Hrafna ochotę do zadawania pytań i potężny wiking natychmiast ruszył ku murom zamkowym, na których ostatni raz słyszał tubalny głos Gisliego, sędziwego woja, pod nieobecność konunga zarządzającego zarówno grodem, jak i zamczyskiem.

Pomimo zamkniętych bram, zamieszanie ogarnęło zamek w tym samym stopniu co resztę miasta. Wszędzie na dziedzińcu piętrzyły się sterty zarekwirowanej żywności, jakiś dziesiętnik wrzaskiem strofował swych ludzi, klócących się o wyniesione ze zbrojowni kolczugi. Czterej konni wyzywali niewolnika, który zatarasował im drogę pustym wozem, ktoś usiłował odnaleźć i skrzyknąć swoich ludzi, ktoś inny przeklinał nieostrożnego służącego, który przygniół mu stopę, stawiając beczkę. Kilku strażników uchyliło bramę, by wpuścić kolejnego posłańca i natychmiast musiało przegnać paru biedaków, którzy spróbowali wykorzystać okazję i wcisnąć się na ich zdaniem bezpieczny dziedziniec. Nawet dla człowieka niezwyčajnego wojny, jak biskup Helmgarth, było jasne, że Gisli z trudem panuje nad sytuacją w zamczysku, nie mówiąc już o mieście.

Helmgarth szybko dostrzegł samego Gisliego, który stał nad zamykaną właśnie główną bramą i w skupieniu słuchał raportu kolejnego gońca. Wreszcie skinął głową i już chciał się odwrócić ku prowadzącym od gór traktem, gdy ujrzał zmierzającego ku niemu biskupa. Przez ogorzałe, zarosnięte aż po policzki oblicze sędziwego woja przemknął wyraz niechęci.

Helmgarth postanowił to zignorować.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - pozdrowił zarządcę, który odburknął coś w odpowiedzi. - Gisli, synu Thorlaka, nie chcę zamykać się w swej celi i zatapiać w modlitwie, kiedy potrzeba działać i...

- A to właśnie powinniście, *faðir*, uczynić - przerwał mu niespodziewanie Gisli.

Stojący za plecami biskupa Hrafn mruknął groźnie i położył dłoń na rękojeści miecza, ale Helmgarth dostrzegł szklisty blask zmęczenia w oczach zarządcy i postanowił, że na jego grube słowa również nie zwróci uwagi.

- Módlcie się, *faðir*, skoro się na tym znacie - ciągnął sędziwy woj. - I nie przeszkadzajcie nam w naszej robocie.

Już miał się odwrócić, lecz słowa biskupa, nadal spokojne, lecz jeszcze bardziej stanowcze, osadziły go w miejscu.

- Nie chcę ja wam przeszkadzać, ale pomóc, Gisli, synu Thorlaka. Chcę choć jedną troskę zdjąć z twoich barków, synu, przynajmniej do powrotu konunga.

- Jakąż to troskę, *faðir*? - Zarządca zmrużył oczy.

- Chodzi o katedrę.

Wychudła, lekko drżąca dłoń biskupa wskazała ogromną, wciąż niedokończoną budowlę, wyrastającą daleko poza ostatnimi zabudowaniami podgrodzia. Czerwone słońce podpaliło złotym blaskiem jej ściany i zamieniło wysokie witraże w płonące diamenty.

- O katedrę? - W głosie zarządcy pojawiła się z trudem skrywana drwina. - A co chcecie, *faðir*, uczynić z katedrą?

- Chcę uwolnić cię od obowiązku obrony jej przed najeźdźcami, synu - rzekł cicho biskup, lecz w jego głosie zadźwięczała stal. - Słyszałem ci ja wiele o nieszczęsnym losie, jaki przypadł katedrze podczas napaści Swionów wiele wiosen temu, tedy poprzysiągłem na Świętą Trójcę, że pierwiej zginę, niż pozwolę, by została raz jeszcze splugawiona. Przeto porzuć drwinę i niechęć, Gisli synu Thorlaka, i rozkoszuj się ulgą w swym sercu, albowiem to ja, biskup Helmgarth, sam ci stanę na czele obrony katedry. Rozkazuję jednakowoż, byś przydzielił mi zbrojny hufiec, bowiem moja straż jest zbyt skąpa, by podołać tak wielkiemu zadaniu.

Pod bramą zamku doszło do jakiejś przepychanki. Poniosły się wrzaski bólu i przerażenia, szczęką oręż, znów zarżały spłoszone konie, a jakiś głos domagał się natychmiastowego spotkania z zarządcą Gislim. Ten jednakże nawet nie zwrócił na to uwagi. Rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w znieruchomiałego, patrzącego mu hardo w oczy biskupa i co rusz otwierał usta ze zdumienia.

- Zbrojny hufiec? - wykrztusił w końcu. - *Faðir*, zaliście rozum postradali? Wždy Helsvinir rozbici, większość hirdu na Islandię popłynęła, a całą resztę, wraz z połową straży grodowej i duńskimi najemnikami, konung Trygve nakazał w te pędy do Aslund wysłać! Jak ja mam, na ogon Nidhogga, znaleźć wam zacyjny hufczyk do obrony tych waszych świętości, *faðir*? Jakże mam to zrobić, skoro wszystkie wojsko do obrony kraju poszło? Do obrony kraju! - powtórzył dobitnie, miażdżąc biskupa pogardliwym spojrzeniem.

- Nie knij, Gisli synu Thorlaka - wycedził biskup głosem zimnym jak wody górskiego potoku. - Nie przeklinaj, albowiem przykazanie o miłości dla bliźniego stoi w jawnej sprzeczności z prawem, które ułożył dla tego kraju konung. Nie szydź też z katedry, budzisz bowiem we mnie rozpacz, iż moje nauki poszły na marne i nie pojąłeś, jak miłe są Bogu święte miejsca, które wznosi mu człowiek. Twe grzechy wywołują gniew w moim sercu, Gisli synu Thorlaka, ale wybaczę ci je, jeśli mi pomożesz. Wystarczy mi stu chłopa, zaprawionych do łuku i miecza, by...

- Stu chłop! - wrzasnął zarządca, chwytając się za siwe, rzadniejące kędziory. - Stu chłop! *Faðir*, powiem wam prawdę! Powiem, choćby konung mieli mnie za to jak psa oćwiczyc!

Jego twarz nagle nabrzmiała siną czerwienią, oczy zaszyły łzami i wsparł się ciężko o kamienną blankę. W tym samym momencie jego rękawa uczepił się młody chłopak z rozczochranymi, jasnym włosami i koszulą przybrudzoną od błota.

- *Herra min!* - wydyszał. - Wieści od konunga Trygvego! Konung strasznie rozeźlon! Każe, by drużyny, co do Aslund idą, rankiem na miejscu stanęły! Chce się zasadzić na Swionów, jeno wciąż sił mu brakuje! Strasznie rozeźlon!

Gisli wciągnął ze świstem powietrze i zaniósł się długim, suchym kaszlem. Gdy uniósł wreszcie głowę, jego załzawione oczy lśniły szyderstwem i pogardą. Zacisnął żyłastą dłoń na ramieniu posłańca i wraz z nim, nie przestając pokastywać, zszedł na dziedziniec.

Biskup Helmgarth został sam, z nieodłącznym, milczącym Hrafnem. Słońce nadal toczyło się ospale na wieczornym niebie i syciło swym rdzawym blaskiem spokojne wody fiordu, po których sunęło już kilka uciekających statków.

- Co każecie, *faðir*? - spytał w końcu Hrafn.

Biskup westchnął cicho i zwrócił się w stronę gór. Ogromny cień katedry pochłaniał właśnie maszerujący w pobliżu oddział.

- Co to za hufiec? - odezwał się.

- Zda mi się, że to najemnicy. Danowie. Thovald Ułomek nimi dowodzi, dzielny chłop.

- Ochrczony?

- Jak my wszyscy, *faðir*.

- Dobrze więc. Siodłajcie konie, a potem w te pędy za nimi. Zatrzymaj ich, Hrafn, póki do was nie dotrę.

- Ale...

- Nie sprzeciwiaj mi się, Hrafn. Nie dzisiaj.

\* \* \*

Chmury ściągały zewsząd, jakby chciały nasycić się mocą bijącą z trzewi Hekli. Wchłaniały buchające z niej dymy, aż ciężkie od trucizn pozwalały się odepchnąć wicherowi, który tracił wszelkie siły w obliczu tak straszliwej manifestacji potęgi. Hekla drżała, ryczała i co chwila ciskała w niebo ładunkiem swej wściekłości.

Mała grupka ludzi i karłów, która skryła się w szerokiej szczelinie, zięjącej niczym blizna w zboczu straszliwej góry, już dawno przestała zwracać uwagę na jej gniew. Nie wzdrygali się, gdy niedaleko nich spadały ciężkie bomby wulkaniczne, nie zważali na kolejne wstrząsy, dawno też przestali przecierać brudne od popiołu twarze. Od czasu do czasu któryś z nich wychylał się na zewnątrz, by sprawdzić, czy nie pełźnie ku nim kolejny jęzor mieniącej się jaskrawo, zwodniczo pięknej lawy, lecz jak dotychczas byli bezpieczni. Vidar kilka razy zastanawiał się już, czy i tego nie zawdzięczali magii karłów, lecz błyskawicznie jego myśli rozpędzały szybkie, dźwięczne uderzenia młotów.

W szczelinie w zboczu Hekli czekała na nich zaimprovizowana kuźnia z dwoma kowadłami, korytem ciepłej wody i pokaźną kolekcją młotów oraz innych narzędzi kowalskich. Kuźni pilnowało kilku karłów, którzy powitali Arnula niecierpliwymi mruknięciami i od razu przydzielili ludziom zadania, nie pozwoliwszy im ani na chwilę wytchnienia. Nie zważali na to, że Vidar i Svein nie odzyskali jeszcze pełni sił, nie dbali o zmęczenie reszty ludzi, nie tracili czasu nawet na wyjaśnienia. Wszyscy pogrążyli się w szaleńczej, monotonnej pracy, która nie miała końca.

Vidar nie umiał powiedzieć, od jak dawna pracowali, gdyż tłuste, nakarmione dymami chmury nie pozwalały im



na odróżnienie dnia od nocy. Nie wiedział też, czy cokolwiek przez ten czas jadł, a pewien był tylko tego, że ani razu nie zmrużył oka. Nikt z nich nie miał nawet chwili na odpoczynek, z wyjątkiem młodziutkiego Sigurda, który podczas pracy stracił przytomność i upadł na ziemię, upuszczając nurzane w wodzie ostrze. Pozostali, otępiali od gorąca, huku, braku snu i trującego, cuchnącego siarką powietrza, nieprzerwanie wypełniali polecenia, wywarkiwane przez śpieszące się karły. Jak pogrążeni w transie, donosili wodę z płynącej u podnóża gór rzeki, kuli rozżarzony metal, studzili wykuwane ostrza, szlifowali je i wykańczali rękojeści. Żaden nie zadawał już pytań, żaden nie prosił o przerwę, po prostu dobywali resztek sił i pracowali niczym żywe, bezwolne trupy, modląc się rozpaczliwie o jak najszybszy koniec harówki.

Od czasu do czasu któryś podnosił wzrok i przez moment przyglądał się karłom. Ich spotniałe czoła, poprzypalane brody i zmętniałe ze znużenia oczy były najlepszym dowodem, iż one również dawały z siebie wszystko, lecz żaden z ludzi nie potrafił nazwać tego, czym się zajmowały. Z początku same wykuwały ostrza, ale gdy tylko ludzie zaczęli sobie z tym radzić, zostawiły przy nich jednego ze swych pobratymców, by nadzorował ich i pomagał im, a same skupiły się w kącie pieczary na rytuałach. Karły siadały w kręgu, chwyciły się za ręce i chrapliwymi głosami nuciły jakąś niepokojącą, mroczną pieśń, od której słuchającym mimo gorąca aż cierpła skóra. W tym czasie jeden z nich brał dłuto i rył w kłindze trzymanego miecza jakieś znaki, czemu towarzyszyły oślepiające niebieskie błyski.

Przeżeraeni ludzie odwracali spojrzenia, tylko Vidar się uśmiechał, widząc rosnącą stertę poznaczonych w ten sposób ostrzy. Rozpoznawał bowiem owe znaki - podobne mieniły się na kłindze jego miecza.

## ROZDZIAŁ 16

Nidaros czekało na swe przeznaczenie.

Na rozkaz starego Gislego syna Thorlaka, dzień i noc na wałach miejskich płonęły ognie, które chroniły stolicę Norweghru zarówno przed złowrogim półmrokiem jesiennej nocy, jak i zimnem mgieł dnia. Nic jednak, nawet owe ognie, nie było w stanie uchronić ludzkich serc przed zwątpieniem i strachem. Mijał dzień za dniem, a do miasta wciąż docierali zgonieni przybysze, przynosząc alarmujące wieści. W przygotowanym na najgorsze grodzie nowiny o płonących osadach, o oblężonym Bjørgvin i o bandach karłów wyrzynających całe wsie nie budziły już większego poruszenia, zgrozę wywołała dopiero wieść o losie drużyn, wysłanych z Nidaros do Aslund. Wezwanie do odsieczy okazało się podstępem wroga - wojownicy wpadli w zasadzkę i zostali wygubieni przez dwie bandy, z których jedną tworzyli swiońscy najemnicy z Lund i Uppsali, a drugą karły pod wodzą śmiejącego się głośno szaleńca. Ku zachmurzonemu niebu pomknęły przekleństwa, okrzyki przerażenia i głośny płacz. Zdumieni, zatrwożeni mieszkańcy Nidaros, przemieszani z tymi, którzy szukali w nim schronienia, pytali się nawzajem, cóż za siła sprzysięgła się przeciwko Norweghrowi, lecz nikt nie znał odpowiedzi.

Pewnych rzeczy domyślał się jedynie rosły woj, który w asyście garstki zbrojnych zajechał pod bramy grodu po zachodzie słońca czwartego dnia po wysłaniu drużyny do Aslund.

- Otwierać! - ryknął głośno, odrzucając kaptur. Jego wycieńczony, chrapliwie sapiący rumak zwiesił nisko łeb, otoczony kłębami pary. - Otwierać, oczajdusze! Wieści od konunga dla grodogodzierczy!

- To Hastein! Hastein! - poniosły się pokrzykiwania zdumionych, ale i uradowanych wartowników, którzy w te pędy pośpieszyli do otwierania bramy.

Hastein bez litości uderzył piętami boki swego konia i wjechał do grodu, mijając szeregi zaniepokojonych, bladych twarzy, opromienionych blaskiem licznych ogni.

- Mówcie, Hasteinie! - zakrzyknęli najbliżsi, rozpoznając w nim przybocznego konunga. - Opowiadajcie, jak

konung się miewa! Zbiera siłę? Gromi Swionów? Wróci rychło do nas?

Hastein, z ponurą, mroczną twarzą, nie wyrzekł jednak ani słowa i skierował swego konia prosto ku zamczysku, a za nim pomknęli jego towarzysze. Rozczarowani, spragnieni świeżych wieści ludzie zareagowali pomrukami niechęci i znów podjęli ciche, niespokojne rozmowy. Mało kto zwrócił uwagę na smukłą, skrępowaną postać z zasłoniętą głową, którą przybysze wieźli na luzaku.

\* \* \*

Fińska niewolnica uniosła głowę znad polepy i szybkim, drapieżnym gestem odrzuciła skudlone włosy. Jej twarz była brudna, z kącików ust ciekła czarna krew, a jedno oko nikło pod opuchlizną, lecz drugie lśniło niezgłębioną nienawiścią. Gisli syn Thorlaka nawet tego nie zauważył. Ciężko oddychając, podszedł do dziewczyny i z całej siły jeszcze raz kopnął ją w bok. Finka przestała się ruszać.

- Ty ścierwo... - wysapał i oparł się ciężko o ścianę. - Ty suko... Kto o tym wie?

- Jeno ci, z którymi wróciłem - rzekł ponuro przyboczny konunga. - To zaufani ludzie, poprzysięgli milczenie.

- Milczenie... - prychnął stary grododzierzca. - Wierzycie w to, Hasteinie, że milczeć będą? Że będą trzymać język za zębami, gdy popiją sobie ździebko lub gdy ludziska wypytywać ich zaczną? Ba, nawet milcząc, wiele zdradzić mogą. W grodzie aż wrze, Hasteinie. Widząc ponure gęby przybocznych konunga, szybko dojdą, co się stało w górach. Ech, ścierwo ty...

Splunął raz jeszcze na znieruchomiałą niewolnicę i usiadł ciężko na zydlu. Ogromny rozedrgany cień starca, rzucany przez samotny kaganek, jedyne źródło światła w komnacie, wreszcie zamarł.

- Trza ich gdzieś wysłać - powiedział po dłuższej chwili. - I to skoro świt, jak tylko odpoczną.

- Gdzie?

- Właściwie to nie ma większego znaczenia. Prędzej czy później i tak trafimy do Walhalli. - Starzec zaśmiał się ponuro i zakasłał. - Jedna kupa Swionów obiegała Björgvin, druga idzie ku nam, po drodze dołączają do niej ci, co dawne prawa miłują, a po lasach hasają karły. Konung nie żyje, jego syn na Islandii wojuje, a przeklęty świętek Helmgarth zaszył się w katedrze z oddziałem najemnych Danów. Po coś to uczyniła, dziwko? - spytał półprzymotnej, pojękującej cicho niewolnicy.

- Na nic to. - Machnął ręką Hastein. - Milczy jak zaklęta, nawet raz ogniem próbowaliśmy...

- Kazano mi - odezwała się niewolnica, unosząc głowę i ocierając usta rąbkiem brudnej koszuli.

Rozmazana na całej twarzy krew nadała jej wygląd demonicznej istoty, która wypelza z czeluści ciemnych kątów domostwa, by zesłać nieszczęście na domowników.

Obaj wojowie poderwali się w jednej chwili.

- Kto ci kazał?! - wykrzyknął Gisli. - Mów, dziewczko, i to szybko, bo...

- Bo co? - Finka uśmiechnęła się złowrogo, ukazując zakrwawioną szczerbę po dwóch wybitych zębach. - Bo mnie zmusisz? Nie, nie byłbyś w stanie, starcze. Ani ty, jurny byczku. Jeśli cokolwiek ode mnie usłyszycie, powiem to z własnej woli. Tylko i wyłącznie z własnej woli.

- Mów tedy - sapnął grododzierzca i opadł na zydel.

Oparty o ławę, przygarbiony Hastein nie przestawał wbijać w dziewczynę wściekłego, pałającego spojrzenia.

- Ten, który kazał mi zabić waszego konunga, jest jedynie sługą ostatniego prawdziwego wikinga Midgardu. - Dziewczyna zmrużyła oko, jakby się upajała wspomnieniem. - Imię owego męża niech pozostanie tajemnicą, wystarczy wam wiedzieć, że zadanie zabicia tego starucha było ostatnim i najmniej ważnym. Mego pana znacznie bardziej interesowały plany starucha. A trza przyznać, że lubił on gadać do siebie.

- Szpiegowałaś! - Gisli poczerwieniał i zaniósł się długim atakiem kaszlu, który niewolnica przeczekwała z szyderczą cierpliwością.

- Tak, szpiegowałam - potwierdziła z kpina, gdy starzec wyprostował się i otarł zaślinione wargi. - To było łatwe zadanie, bo mój pan ani na moment nie opuścił Norveghru. On jest tutaj, grododzierzco. Zaszył się pod twoim bokiem i tylko czeka na chwilę, by wbić sztylet pod serce każdemu, kto...

- Przestań! - ryknął Hastein. - Stul gębę!

Odepchnięta gwałtownie ława uderzyła o ścianę, gdy przyboczny królewski poderwał się i wyszarpnął miecz z pochwy. Zdumiony Gisli powiódł za nim spojrzeniem, ale wtedy i on uświadomił sobie, że atmosfera w komnacie stężała, a on sam z trudem jest w stanie poruszyć ręką. W oku Finki zaś pojawił się obcy, złowroźny blask, naraz zgaszony błyskiem opadającej klingi Hasteina. Bezwładne ciało Finki osunęło się na polepę.

- Czary! - Przyboczny konunga splunął z wściekłością i wytarł ostrze w brudną koszulę niewolnicy. - Próbowała nas zaczarować, obłąkana suka! Powiniennem rzucić ją moim ludziom, by...

- Z tego, co widzę, dobrze, że tego nie zrobiliście - sapnął grododzierzca i otarł spotniałe czoło. - Słyszeliście jej słowa? Ostatni prawdziwy wiking Midgardu? Mówią, że Swionom przewodzi Ragnar Niszczyciel Drakkarów... Może być, że to o niego się rozchodzi?

- Wątpię. Ragnar to chrobry høvding, ale gdzie jemu szpiegów wysłać? - prychnął Hastein. - Grody palić, miasta łupić, owszem, ale na całe kraje się rzucac? Intrygować? No i zapomnieliście, że jego imię jest znane. Po cóż miałyby je ukrywać?

Z tymi słowami skinął z pogardą ku nieruchomemu ciału fińskiej niewolnicy. Gisli pokiwał głową.

- Ostatni wiking Midgardu... - wyszeptał i potarł skronie. - Na ścierwo wielkiego Fenrisa, nie lada bieda nastąpiła... Ech tam, zostawmy myślenie mądrzejszym od siebie. Mnie trza gród do obrony przygotować i do powrotu Sveina Trygvesona jakoś wytrwać. Wy zaś zbierajcie się do odjazdu, Hasteinie. Udacie się do Grima z Austfjordu. On jeden w pobliżu nadal siły zbiera i do obrony swych ziem się szykuje. Wesprzyjcie jego hird i sprawcie, by nie zapomniał o Nidaros, ani o tym, że wszystko, co ma, zawdzięcza konungowi Trygvemu.

\* \* \*

Stary Gisli syn Thorlaka nie zmrzął tej nocy oka, podobnie zresztą jak poprzedniej. Nigdy nie lubił długo spać, a im był starszy, tym sen miał dla niego mniejsze znaczenie, zupełnie jakby w obliczu nadciągającej starości chciał bez reszty wykorzystać pozostały mu czas. Teraz jednakże znużenie znikło w obliczu lęku i niepewności. Wbrew swoim niefrasobliwym słowom, grododzierzca nie przestawał myśleć o tajemniczych słowach morderczyny konunga. Stał w oknie swej niewielkiej komnaty, nieświadom tego, że kaganek dawno już zagaśł, a trup niewolnicy leży na podłodze. Niewidzącym wzrokiem patrzył na rozwierającą się bramę oraz rozhukany orszak Hasteina, znikający wśród mgieł nad rzeką Nid. Patrzył na szarość, która rodziła się na wschodzie, daleko za górami, i z wolna rozlewała po całym nieboskłonie, a w jego sercu narastała niechęć. Nie chciał wychodzić z tej komnaty, wołać ludzi, by wynieśli trupa, tłumaczyć się z nagłego zniknięcia Hasteina i kłamać w sprawie konunga Trygvego. Wolałby zostać w niej do końca, mimo że całonocne przemyślenia nie przyniosły żadnego rezultatu.

Nie miał pojęcia, kim może być ów ostatni prawdziwy wiking Midgardu. Nie wiedział też, ile mógł się dowiedzieć dzięki swemu szpiegowi, lecz jasne dla niego było, że dzięki posiadanym informacjom zaatakował w chwili, gdy Norveghr został pozbawiony większości swych wojsk oraz następcy tronu. Co więcej, doprowadził do wyeliminowania konunga, przeciągnął na swą stronę karły, a najprawdopodobniej również rody żywiące urazę do władcy. Nie, rozmiary intrygi wymierzonej przeciw Norveghrowi zaczynały go przerastać. Stary grododzierzca uświadamiał sobie z wolna, że tajemniczy przeciwnik musiał planować swe uderzenie całymi latami.

Kimże on jest? - zapytywał się w myślach. Dlaczego zdecydował się zaatakować akurat Norveghr? I czy wyczerpał już zapas swych sztuczek? Na wszystkich bogów, oby tylko udało nam się wytrwać do powrotu Sveina Trygvesona...

Sytuacja grodu nie była tragiczna. Mimo odesłania reszty hirdy oraz połowy straży grodowej do Aslund oraz utraty oddziału najemników na rzecz biskupa Helmgartha, Gisli wciąż miał do dyspozycji całkiem liczną załogę. Na wieść o nadciągających Swionach, w Nidaros schroniły się bowiem całe rzesze kmieci z rodzinami i niewolnikami, a także rybacy, Smolarze, myśliwi, handlarze, rzemieślnicy i inni ludzie wolni. Wielu znalazło się na wojaczce i nie zapomniało o kolczudze, szłomie czy zacnym toporzysku. Tych podzielił na równe oddziały i oddał pod dowództwo swych przybocznych ze straży grodowej. Zdecydował się również rozdać między ludzi wszystkie luki, włócznie i topory ze zbrojowni konunga, dzięki czemu w razie ataku mógł liczyć na dwustu dobrze uzbrojonych wojów i drugie tyle lekkobrojennej hołoty.

Więszym zmartwieniem były dlań zapasy żywności, które przy takiej liczbie gęb do wyżywienia z pewnością szybko się skończą. Szacował, że wystarczą na jakiś tydzień, a przy racjonowaniu żywności może nawet dziesięć dni, lecz nie przestawał się ludzić, że Svein dotrze do tego czasu z Islandii. Posłał tam przecież szybką snekkję z Magnešem Foczą Skórą i kilkoma dobrymi żeglarzami już tydzień temu, gdy tylko pojawiły się pierwsze wieści o napaści. O ile nie przydarzyło się jakieś nieszczęście, okręt powinien był już dawno dotrzeć na miejsce...

No i co z tego? - zapytał szyderczy głos w głębi jego duszy. Co z tego, że zdołasz w porę ściągnąć Sveina? Gdy wyruszał na Islandię, miał jeno pięć setek wojów pod sobą, a musi, że jego hufiec został przetrzebiony. Cóż ci pomoże Svein i jego garstka ludzi przeciwko tej ćmie?

A jeśli rzeczywiście do grodu dostali się wrogowie? - tknęła go nowa myśl. Jeśli rzeczywiście gdzieś czyha zbrojna zgraja przebierańców, gotowych chlasnąć mnie toporem przez plecy?

Stary grodozierzca odetchnął głęboko, powoli, z rżącym świstem.

Tak, obiecał sobie. Poszukam tych hultajów. Choćbym miał całe Nidaros do góry nogami przewrócić, choćbym miał każdego uciekiniera dziesięć razy obszukać i wypytać, zrobię to.

Podjąwszy decyzję, odwrócił się od okna i sięgnął po swój miecz, razem z pasem złożony na ławie. Niespodziewanie dostrzegł coś kątem oka, coś obcego, niepasującego do widoku, w który wpatrywał się tak długo. Szarość na dobre zagościła na niebie, tu i ówdzie przenikana coraz jaśniejszymi plamami światła, a wody fiordu, dotychczas atramentowo czarne, zaczęły połyskiwać stalą. Starzec wyteżył wzrok, wciąż doskonały mimo wielu wiosen na karku.

- Nie może być... - szepnął zdumiony, a w jego głosie zabrzmiało niedowierzanie połączone ze zdumieniem. - Żagle... Na płomienie Surta, żagle!

I wybiegł z komnaty, zapomniawszy o mieczu i swojej nowej decyzji.

Nie był pierwszym człowiekiem w Nidaros, który dokonał tego odkrycia. Gdy zdyszany wbiegł na najwyższą wieżę zamczyska i zwrócił twarz w stronę fiordu, na ulicach grodu już dawno podniesiono tryumfalne krzyki. Rozbudzeni, nieprzytomni od snu ludzie wybiegali z chat i natychmiast dołączali do wiwatujących towarzyszy. Wojowie na murach machali pochodniami, przez co wały wyglądały, jakby oblepił je mur rozedrganych, roztańczonych robaczków świętojańskich.

Wysilek sprawił, że w klatce piersiowej Gisliego odezwał się ostry ból, i minęła dłuższa chwila, nim zdołał unieść głowę i na nowo przyjrzeć się żaglom. Porywisty wiatr od morza wycisnął mu łzy z oczu, starzec otarł je niecierpliwym ruchem dłoni i spróbował przeliczyć okręty.

- Sześć, siedem, osiem chyba - mrucał, usiłując się skupić na niewyraźnym widoku. - Svein w dziesięć wypłynął, lecz pewnikiem się jakieś po drodze zagubiły... Na odrąbane ramię Tyra, w poręś przybył, chłopcze...

Znów czuł, iż mógłby tak stać bez końca, smakując wilgotny wiatr, słuchając pokrzykiwania ptaków morskich i napawając się wytęsknionym widokiem. Oczarowany patrzył na coraz bliższe żagle, teraz już wyraźnie czerwone, wydawało mu się nawet, iż widzi zdejmowane smocze łby i wojów uwijających się na pokładach.

Jego zadumę przerwało dopiero pojawienie się Halbjørna.

- A, tu jesteście, panie! - wysapał przybysz. - Wszędy was szukam. Znacie już dobre wieści?
- Znam - westchnął Gisli i odwrócił się do Halbjørna.

Stary, siwy woj, ongiś piastun Viglunda Vidarsona, był jednym z najbardziej doświadczonych mężów w Nidaros, więc Gisli bez wahania powierzył mu pieczę nad drużyną strzegącą głównej bramy od strony przystani. Z cichą radością powitał fakt, iż w bladoniebieskich oczach Halbjørna, matowych i wyblakłych od chwili zniknięcia Viglunda, na nowo pojawił się promyk nadziei.

Może ma nadzieję, że ten narwaniec wraca na jednym z okrętów, pomyślał.

- Ludzie pytają, czy wolno im wybiec do przystani i powitać powracających - rzekł stary piastun.
- A niech tam. Wolno.

\* \* \*

Wielka brama Nidaros rozwarła się powoli i wypuściła dziki tłum rozradowanych ludzi. Plusk fal i świst wiatru zagłuszyły ich krzyki, ale Viglund wiedział, że z tryumfem i radością witają powrót jednego z najdzielniejszych wojów Norveghru. Z ulgą witają powrót nadziei. Zagryzł wargę i odwrócił wzrok, udając, że podziwia dobrze sobie znane widoki nadbrzeżnych skał.

- Machajcie! - krzyknął donośnie Thorkil, stojący na dziobie płynącego na końcu „Midgardsorma”. - Machajcie z uciechą! Przywitajcie się ze swoim nowym bogactwem!

Islandczycy ryknęli drapieżnym śmiechem i jak jeden zaczęli wymachiwać ku biegnącym ku brzegom tłumom, niektórzy nawet zadęli w rogi. Ponad świstem wiatru odpowiedziała im dostojna pieśń dzwonów katedralnych, co wzbudziło jeszcze większą radość załóg.

Po wydarzeniach na równinach Tingvellir jarl Thorkil nie miał najmniejszych problemów ze skrzyknięciem hufca wojów, którzy chcieli za jednym zamachem wyrzucić zemstę na chrześcijanach i zdobyć znaczne łupy. Sława walecznego, sławnego Jomsborczyka, hojną ręką rozdającego złoto zrabowane w Jumme, szybko obiegła wyspę i zewsząd napływali ochotnicy, gotowi wstąpić do jego hirdu. Głowy najważniejszych rodów islandzkich próbowały go co prawda nakłonić, by miast wyruszać na daleki Norveghr, zechciał wprzód rozprawić się z chrześcijanami na wyspie, ze starym Ingolfem z Reykholt na czele, ale Thorkil nie dał się przekonać.

- Wždy wiecie z opowieści, moźni panowie - prawił ze swadą - że nie da rady ubić smoka inaczej, jak tylko łeb mu odrąbując. Łeb owego smoka leży zaś daleko stąd w Norveghrze. Gdy przepędzę już świątków, a katedra legnie w gruzach, smoczysko samo zdechnie, zobaczycie.

Islandczycy kiwali z powagą głowami, a niektórzy, oczarowani postawą Thorkila i zwabieni jego pozornie nieprzebrany bogactwem, oferowali mu nawet sprzedaż swych okrętów, które na pozbawionej wysokich drzew Islandii stanowiły prawdziwy skarb. Nie minęło kilka dni, a jomsborski jarl stał się høvdingiem flotyli trzech knorrów, dwóch langskipów i dwóch snekkji, nie licząc własnego, potężnego „Midgardsorma”, a zebrany przez niego hufiec liczył trzystu wojów.

W innych okolicznościach w trzystu chłopca nie dałby rady zdobyć Nidaros, pomyślał gorzko Viglund, patrząc na wysokie wały grodu. Lecz teraz... Na nici Norm, jeśli nie zdarzy się jakiś cud, zaraz dojdzie tu do rzezi większej niż w Jumme!

Rozradowane tłumy na brzegu nie przestawały wiwatować, a przez rozwartą bramę wciąż napływały nowe grupki, nieuzbrojone, szczęśliwe z rychłego ocalenia. Islandczycy nadal wymachiwali i krzyczeli radośnie, a między sobą wymieniali dzikie, drapieżne uśmiechy. Niektórzy już ważyli w dłoniach topory, inni starannie, z flegmą dobierali strzały. Świt rozlewał się coraz pełniej, zupełnie jakby słońcu śpieszyło się ujrzeć nadsciągającą masakrę. Viglund zacisnął mocno powieki i znów ujrzał obraz Thyry z dziecięciem na ręku, poważnej i skupionej, obraz równie wyraźny jak przed kilkoma dniami na Islandii. Znów wołała, lecz jej słowa były niesłyszalne.

A jeśli ona tam jest? - pomyślał z nagłym, niezwykłym u niego strachem. Jeśli ona też biegnie, by powitać flotyllę?

Do momentu przybycia na Islandię Viglund usiłował sobie wmówić, że dokładnie wie, co czyni, ale chwila, gdy poznał ogrom planów jarla Thorkila, a potem zajścia na polach Tingvellir oraz powtarzający się sen z Thyry całkowicie zrujnowały jego pewność siebie. Wspomnienie byłej nałożnicy budziło dziwne, nieznanne uczucie w sercu chłopaka, a pod jego wpływem jad wobec ojca, najstarszy, najwierniejszy i najbardziej niezawodny druh, zaczął tracić moc. Co więcej, Viglund odkrył w sobie bezbrzezną nienawiść wobec roli, jaką przyniosło mu przeznaczenie. Nienawidził Thorkila, Koskeli i Islandczyków z potęgującą się pasją, która jednakże wywoływała w nim jedynie bezsilność.

Tłum w przystani gęstniał, było słycać już nie tylko donośne bicie dzwonów, ale i chóralnie wykrzykiwane imię następcy tronu. Viglund jeszcze niedawno skrzywiłby się z lekceważeniem na myśl o krainie, w której przyszedł na świat, i o ludziach, wśród których się wychowywał, lecz teraz świadomość, że zaraz wszyscy oni, bezbronni, padną ofiarą szalonego Jomsborczyka, obudziła w nim rozpacz. Naraz przyszedł mu do głowy szalony pomysł, by zaatakować Thorkila, by przebiec na rufę langskipa i cisnąć w niego nożem, strzelić doń z łuku, cokolwiek, byle tylko udaremnić jego zamysły. Dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza.

Nie, jęknął w myślach. Przecież ten demon nie spuszcza ze mnie oczu! Przecież padłbym trupem, zanim dobiegłbym do rufy. Nie, to nie pora i miejsce... Teraz tylko cud może uratować tych nieszczęśników...

Cud nie nastąpił.



Nerwowe, wypełnione ciężką pracą dni i zbyt krótkie noce do cna wyczerpały siły Halbjørna i nawet radość na widok nadpływającej flotylli nie zdołała mu ich przywrócić. Stary woj patrzył z krzywym uśmiechem na przebiegających obok niego ludzi, co do jednego roześmianych i pokrzykujących, lecz sam nawet nie myślał, by się do nich przyłączyć.

I jeszcze czego, pomyślał z humorem, co od chwili zniknięcia Viglunda i wybicia połowy Helsvinir zdarzało mu się naprawdę rzadko. Zadeptaliby starca, huncwoty.

- Szybciej, szybciej! - zawołał do grupki wojów w kolczugach i hełmach, zmierzającej ku bramie. Niektórzy ślaniali się nogach, a pobladłe oblicza i niewyraźne miny wskazywały, że noc upłynęła im na opróżnianiu zarekwirowanej beczki piwa. - Dalej, ochlapusy! Coś szybko przystąpiliście do opijania powrotu syna konungowego, co?

- *Komdu, láttu það eiga sig, faðir* - rzucił idący przodem chudy drągał o nieurodziwej, osłoniętej kapturem twarzy. Głos miał nieprzyjemny i zgrzytliwy. - Przecie w taki dzień nie poskapi grodzierzca piwa swym dzielnym wojakom, no nie?

- Zresztą nas i tak już pokarało - jęknął inny i jak na zawołanie zgiął się wpół i wypuścił długą strugę wymiocin.

- A, poszli stąd won, psie chwosty! - warknął Halbjørn i ruszył po schodkach na górę strażnicy, by stamtąd przyjrzeć się chwili lądowania Sveina.

Pierwszy z czerwonoskrzydłych okrętów zmierzał prosto w kierunku odległego o ledwie kilkaset metrów brzegu, a jego załoga machała z przejściem do witających ją tłumów. Płynące za nią jednostki kolejno lekko skręcały i znów prostowały się na kursie, jakby ich kapitanowie planowali przybić do brzegu równocześnie, przy zachowaniu niewielkich odstępów. Zapatrzony Halbjørn znów się uśmiechnął - osiem sunących równolegle żagli przypominało krwistoczerwone kwiaty, które wykwitły na połyskliwej, szarozłotej tafli wody.

Naraz lekko zmarszczył brwi. O ile pamięć go nie myliła, okręty flotylli Sveina były w większości sporymi

langskipami, natomiast nowo przybyłe jednostki nie wyglądały aż tak imponująco. Kilka z nich z pewnością było knorrami, dostrzegł również dwa okręciki jeszcze mniejsze, najwyraźniej snekkje.

Na jednej snekkji płynie pewnie Magnus Focza Skóra, którego Gisli pchnął na Islandię, kalkulował w myślach Halbjörn. Ale skąd druga? Skąd te knorry? Czyżby Svein stracił parę okrętów i musiał zarekwirować jakieś islandzkie?

Niespodziewanie chóralne pokrzykiwania w przystani zaczęły cichnąć, niczym fala, która z hukiem wdarła się na brzeg i cofa się upokorzona. Tknięty dziwnym przecuciem Halbjörn wychylił się i wyteżył wzrok. W nagłej ciszy wyraźnie usłyszał zgrzytliwy głos woja, z którym rozmawiał przed chwilą:

- Cóż to, ojciec? Jeszcze się nie napatrzyli?

Pytanie aż ociekało drwiną. Halbjörn wychylił się jeszcze bardziej i naraz ujrzał, że wojowie, których przed momentem zganił za pijaństwo, stoją przed bramą i bynajmniej nie wyglądają już na takich, których dręczy ciężki kac. W ich dłoniach pojawiły się łuki i miecze.

Stary piastun oblizał wyschnięte wargi. Gdzie on już słyszał ten głos?

- Poszli stąd won, psie chwosty, bo.. - zaczął niepewnie, ale nie skończył.

Naraz bowiem przed oczyma stanęło mu wspomnienie ostatniej wyprawy Helsvinir oraz jeńca schwytanego przy halli renegata Sigvalda, jeńca, z którym Viglund odbył tak długą rozmowę...

- Bjørgun Bywały! - jęknął. - Wiedziałem, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz!

- Ścierwo tam wiesz - mruknął skald i machnął ręką.

Stary piastun otworzył usta, by zawołać o pomoc, ale nie zdążył. Człowiek stojący obok Bjørguna ruchem szybkim jak myśl uniósł łuk i napiął cięciwę. Nie chybił.

Ostatnim, co Halbjörn usłyszał przed nadejściem zbawczych, wolnych od bólu ciemności, był ryk przerażenia, niosący się z przystani.

\* \* \*

Widok z wieży katedralnej był dobry. Właściwie aż za dobry.

Przerażony, drżący biskup Helmgarth zamknął oczy i ze wszystkich sił zacisnął powieki, lecz straszliwe sceny, jakich przed momentem był świadkiem, na dobre wdarły się w jego świadomość. Wciąż widział, jak chmury strzał z nadpływających okrętów masakrują ciżbę w przystani, wciąż widział, jak ogarnięci paniką, zakrwawieni ludzie, miażdżąc się i tratując nawzajem, rzucają się do ucieczki ku zbawczym bramom Nidaros, a te zamykają się na głucho przed pierwszymi z nadbiegających. Tłum kołysał się niczym fala uderzająca o ostrą skałę, ku niebu buchnął jęk przerażenia, a chwilę później na kotłujących się pod bramą ludzi spadła zbrojna drużyna, która tymczasem wyskoczyła z wyciągniętych na brzeg okrętów. Stratowane, mokre od rosy łąki pod Nidaros spływały krwią. Niebo zaćmiły chmury morskiego ptactwa.

- Jezusie Nazareński... - szeptał biskup Helmgarth zbielełymi wargami. - Jezusie Nazareński...

Był twardym, zahartowanym przez trudy życia człowiekiem, lecz nigdy dotąd nie był świadkiem tak przerażających scen. Masakra wstrząsnęła nim do głębi, zapomniał o modlitwach i, złożywszy dłonie, kołysał się jedynie w przód i w tył. Nie słyszał też ciężkich kroków Hrafna do momentu, gdy były *Náttfarinn* stanął tuż za nim i odezwał się tubalnym głosem:

- Dosyć tych pacierzy, *faðir*. Czas nam zbierać się w drogę.

- Co? - Biskup spojrzał nań półprzyciemnie. - Co takiego?

- Zbierać nam się trza - burknął przyboczny. - I to szybko. W grodzie wkrótce już opór wszelki zdławią. *Hvað heldur þú, faðir?* Gdzie ta zgraja najpierwej pobieży?

- Opór?

- Swoich ludzi w grodzie mieli, focze syny - rozległ się inny głos, chrapliwy, z obcym akcentem. Biskup dopiero po chwili skojarzył go z osobą Thorvalda Ułomka, høvdinga duńskich najemników. - Ci bramę opanowali i najpierw zatrzasnęli ją przed nosem uciekinierów z przystani, a potem otworzyli, by swojaków do środka wpuścić. Nie wieada jak zamczysko, ale gród przepadł, *faðir*. Czas na nas. Moi ludzie się niecierpliwią.

- Uciekać? - Biskup potrząsnął głową. - Dlaczego chcecie uciekać?

- Dlaczego? - Dan zmarszczył z niedowierzaniem brwi. - Bo wraz z ludźmi Hrafna jest nas jeno siedem dziesiątek, a tamtych mrowie, *faðir*. Co więcej, ta wasza katedra...

- Ani ważcie się rzec choćby słowo złe o katedrze, Thorvaldzie - syknął biskup, niespodziewanie odzyskując rezon. - Konung w górach boje toczą, syn jego Svein wciąż na Islandii, grodzodzierzca poległ lub w zamczysku otoczony, a to oznacza, że ja ninie władzę sprawuję. Ja, najemniku, i ja rozkazy wydawać wam będę. A rozkaz mój brzmi: będziecie wraz ze mną strzec katedry, choćby po kres waszych dni!

Dan poczerwieniał i sapnął wściekle, ściskając rękojeść miecza. Przez moment było słycać tylko krzyki morskich ptaków, zagłuszające odgłosy rzezi.

- Nie dam wygubić moich ludzi w bezcelowej walce! - warknął w końcu.

- Nie, høvdingu. - Biskup patrzył Danowi prosto w oczy, twardo, nieugięcie. Jego powieki nawet nie drgnęły, zdać by się mogło, że przed oboma wojami stoi zupełnie inny człowiek niż ten, który przed momentem klęczał i się kołysał, półprzytomny ze strachu. - To ja nie pozwolę ci wygubić ludzi w bezcelowej walce. Zaiste, wasza walka musi mieć cel i ja wam go dam, Thorvaldzie. Zostaniecie tutaj i wraz ze mną będziecie bronić świętego miejsca.

- Zwiecie to celem? - Duński woj zacisnął zęby, było widać, że ledwie trzyma nerwy na wodzy. - Mamy zatrzasnąć się na głucho w kamiennej stodole najeżonej krzyżami i dać się wyróżnić tej hołocie? Postradaliście zmysły, *faðir*? Ujmę to tak...

- Bóg ci wybaczy twe zuchwalstwo, najemniku, i ja również, bom jego przykazaniom posłuszny, ale konung, gdy tylko z gór zejdzie, karze was oćwiczyć jak parobka i na nic się zdadzą me prośby o litość...

- Prędeż sam poprosiłbym go o sto batów, niżli wysłuchał waszych próśb o litość, świątku! - Najemnik zaśmiał się pogardliwie. - Nie straszcie mnie konungiem. Srogi to człek, ale bitny i rozumny. Wie, kiedy się wycofać, wie też, jak nazwać tych, którzy wycofać się nie umieją. Dość tego mielenia jęczorem. Ruszamy, *faðir*!

- Thorvaldzie! - zakrzyknął straszliwym głosem biskup. Jego obwisłe, pomarszczone policzki czerwieniły się teraz jaskrawo, a załzawione oczy ciskały skry. - Zali sumienia w was nie starcza? Zali byście nie zostali ochrzczeni w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego?

- A jużci, zostałem. - Thorvald uśmiechnął się ponuro. - Tak jak oni wszyscy.

Przy tych słowach machnął dłonią w kierunku Nidaros, znad którego unosiły się cienkie słupy dymów, wgrzyzające się w niewinne, jasnoniebieskie niebo świtu. I znieruchomiał.

Jeden z wyciągniętych na plażę langskipów, którymi przybyli napastnicy, został nagle pchnięty z ogromną siłą w bok, tak że uderzył w burtę okrętu leżącego nieopodal. Choć przystań znajdowała się w sporej odległości od katedry, a na dodatek przesłaniały ją niesione wiatrem kłęby dymu, wojownik wyraźnie ujrzał burtę, wgniecioną gwałtownym uderzeniem stewy pchniętego langskipu.

Dwa uderzenia serca później w powstałej luce pojawił się wielki, smukły łeb na długiej szyi.

- Na wylupione ślepie Odyna! - jęknął z niedowierzaniem Dan i cofnął się o krok.

Wstrząśnięty ostrą wymianą słów biskup nabierał tchu do kolejnej tyrady, lecz na widok pobladłego oblicza Thorvalda natychmiast porzucił swój zamysł. Ze żwawością zaskakującą u człowieka w tak podeszłym wieku doskoczył do Dana i złapał go za łokieć, lecz ten odtrącił go gwałtownie i omiół spojrzeniem, w którym mieszała się pogarda z niedowierzaniem.

- Zobaczcie, co na nas lezie, *faðir* - prychnął. - Trza rzec, że boją się Swioni twego Boga. Posyłają nań



najstraszliwszego ze swoich.

Teraz i biskup dostrzegł lśniącego od morskiej wody potwora, który wolno pełził w stronę katedry, całkowicie ignorując grupki ludzi, w większości niedobitków z masakry, rozpierchające się na jego widok. Smukły łeb na długiej szyi kołysał się w rytm ciężkich kroków, a masywne pazury wbijały głęboko w ziemię, za każdym uniesieniem wrywając i wyrzucając w powietrze ogromne grudy ziemi. Ogon wił się dziko, druzgocząc mijane chaty podgrodzia i miażdżąc ciała nieszczęśników, którzy pchani paniką znaleźli się za blisko. W pewnym momencie smok zadarł wysoko łeb i zaryczał.

Pierwszy ocknął się Hrafn.

- Dość! - krzyknął zaskakująco wysokim głosem i nie zastanawiając się nad konsekwencjami szarpnął biskupa za ramię. - Dość, *faðir! Hlaubið!* Uciekajmy stąd, dopóki jeszcze możemy!

Helmgarth spojrział na niego półprzutomnie.

- Zabraniam, Hrafn! - wychrypiął, lecz nagle ugięły się pod nim kolana, w ostatniej chwili wsparł się na ramieniu Thorvalda. - W imię Boga Najwyższego i archanioła Michała, wodza świętych zastępów, zabraniam! To stworzenie z piekła rodem i nie zniesie wody święconej ani bicia w dzwony... Nie zniesie... Nie lza nam uchodzić, gdy sam szatan rzuca wezwanie!

Dowódca straży biskupiej popatrzył w oczy duńskiemu høvdingowi, a ten odwzajemnił spojrzenie. Obaj wojowie porozumieli się bez słowa. Thorvald pobiegł na dół, by wydać rozkaz siodłania koni, a Hrafn pochwycił mamrocącego i zawodzącego biskupa, dźwignął go jak piórko, zarzucił sobie na ramię i ruszył w ślad za Danem. Chwilę później oddział najemników, wzmocniony wojami straży biskupiej, pogalopował w stronę traktu, ku góróm, tratując soczyste, kryte rosą trawy, odprowadzany rykiem potwora i krzykiem spłoszonych morskich ptaków. Mało który z wojowników znalazł w sobie tyle odwagi, by się odwrócić i choć przez moment przyjrzeć smokowi, który owdądnięty niepojętą, monstualną furią niszczył katedrę kamień po kamieniu.



Pierwszą rzeczą, którą Thyra uświadomiła sobie po przebudzeniu, była głęboka cisza, otaczająca Stenskógurinn szczelnym kokonem. Zaniepokojona dziewczyna powoli, ostrożnie wyszła z pieczary, nowo wyuczonym odruchem przyciskając dłoń do łona, i naraz zamarała. Między drzewami nie było żywego ducha.

Przetarła zaspane oczy. Kora świerków lśniła poranną wilgocią, mgły cofały się w głąb borów, przegnane coraz silniejszym światłem, a z porzuconych ognisk wciąż unosiły się wątle słupy dymów. Jediną pamiątką po zastępie tajemniczych, rozmawiających cicho wojowników był mokry pled, leżący przy omszałym głązie.

- Gdzie oni są? - wyjąkała z niedowierzaniem Thyra. - Dokąd poszli?

- Poszli za zewem przeznaczenia, małutka - powiedział nagle ktoś za jej plecami.

Słowa te, wypowiedziane cichym, chrapliwym głosem, przstraszyły ją do granic. Dziewczyna krzyknęła i odwróciła się gwałtownie, lecz ujrzany widok wstrząsnął nią do głębi. Zrobiła krok do tyłu, ale potknęła się o jakiś niewielki kamień i upadła na mokrą trawę.

- Kim... Kim jesteś? - wyjąkała, wpatrując się rozszerzonymi oczyma w przybysza. - I co tu robisz?

Wśród skał okalających jej pieczarę stała postawna, nieco przygarbiona staruszka w wełnianym płaszczu z kapturem, ocieniającym jej twarz. Słyszając pełne przestrachu pytania Thyry, zachichotała cichutko i odrzuciła kaptur, a wtedy dziewczyna ujrzała, że nieznajoma ma okrągłą, rumianą twarz i śmiejące się, ciemne oczy. Jej gęste, zaskakująco czarne włosy opadały w kędziorach na ramiona.

- Zwą mnie Unna - powiedziała. - A przybyłam tu na wezwanie tego, który powrócił, by się tobą zająć aż do końca tej zawieruchy. Nie mógł przecież pozwolić sobie na to, by pewna gwałtowna, nader ciekawska dziewczyna przeszkadzała mu w odnalezieniu reszty przeznaczenia.

W słowach Unny zabrzmiała wesola nutka i Thyra uświadomiła sobie z ulgą, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Wciąż jednak nie rozumiała, co się stało z Baldrem i wojownikami wezwanymi przez jej sny.

- Odkąd się tutaj znalazłam, ciągiem słyszę o przeznaczeniu - rzekła ze zniecierpliwieniem. - Nie umiesz powiedzieć wprost, Unno? Dokąd udał się Baldr ze swoim zastępem?

- Nie wiem - odpowiedziała ze smutkiem staruszka i pokręciła głową. - Wiem tylko tyle, że wyruszyli nagle, w środku nocy, i skierowali się na zachód, ku fiordom. Na odchodnym ten, którego nazywasz Baldrem, przekazał mi jednak kilka słów dla ciebie.

- Co takiego? - spytała dziewczyna, czując, jak jej serce zalewa fala smutku.

- Kazał ci powiedzieć, iż wreszcie zrozumiał, po co wrócił do Midgardu. I poprosił cię, byś nie przedstawiała snić o swoim mężczyźnie. - Unna uśmiechnęła się ciepło. - On ninie bardzo tego potrzebuje.

- Viglund... - szepnęła dziewczyna.

- Piękne imię. A dziecko jak nazwiecie?

- My? - Thyra skrzywiła się.

W jej oczach natychmiast pojawiła się niechęć i już oblizła wargi, by zbesztać Unnę za niebaczne słowa, gdy nagle zwróciła uwagę na szczegóły, z których nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Naraz dostrzegła, że ciemne oczy staruszki są niemalże okrągłe, a gdy ta odwróciła głowę, Thyra zauważyła, że kobieta ma bardzo długi nos z cienkimi, wąskimi nozdrzami. Jej ramiona również wydawały się dłuższe od ludzkich, a po chwili dziewczyna nabrała pewności, że Unna jest potężniej zbudowana od wszystkich znanych jej kobiet.

- Unno, czy ty...

- Chcesz wiedzieć, czy w moich żyłach płynie krew ludzi? - zapytała wesoło staruszka. - Tak, bez wątpienia. Ale raczej nie ma jej tyle co krwi trolli.

## ROZDZIAŁ 17

Arnul znikł bez słowa.

Poprzedniego dnia zmęczenie sięgnęło zenitu. Podtruwani toksycznymi oparami, na poły ogluszeni łoskotem Hekli i waleniem w kowadła, otepiali ze zmęczenia i braku snu ludzie mdleli, legnąc na ziemi, a gdy odzyskiwali przytomność, natychmiast na nowo chwyтали za narzędzia, podsuwane im przez niezmordowane karły. Nie ominęło to również Vidara - w pewnym momencie stary skald ujął szczypcami rozżarzony pręt i postąpił krok ku cebrowi z letnią, przybrudzoną wodą, gdy nagle świat wokół niego rozkołysał się, a kolana zdradziecko zmiękły. Ostatnim, co zarejestrował przed nadciągnięciem ciemności, był widok zaczerwienionego pręta, toczącego się po chropowatej skale. Do przytomności przywrócił go ostry ból żeber, a gdy uniósł zamglony jeszcze wzrok, ujrzał jednego z towarzyszy Arnula, wściekłego jak osa, który zamierzał się do kolejnego kopnięcia. Widząc, iż skald przytomnieje, karzeł cisnął jeszcze kąśliwą obelgę i wrócił do pracy.

Vidar nienawidził go z całego serca. Nienawidził ich wszystkich z Arnulem włącznie, nienawidził niekończącej się harówki, nienawidził przeklętej, trującej wyspy. Tego ranka jednakże, gdy po raz pierwszy od wielu dni obudziła go osobliwa, kłująca w uszy cisza, poczuł najpierw niepokój. Gdy rozejrzał się dookoła i nie dostrzegł żadnego z karłów, niepokój znikł, wyparty przez głęboki żal.

Powłócząc nogami, skald wyszedł z pieczary i zadarł głowę. Zimny wiatr znad południowych brzegów cierpliwie gładził szeroko rozlane, wciąż gorące plastry lawy, przez co dolinę spowijały kłęby dymu i pary. Złośliwy wulkan oznajmiał w ten sposób, że jego gniew dobiegł końca. A wraz z nim pewna epoka.

Vidar zagryzł wargi, wciąż pokryte gorzkim popiołem, i mocno zacisnął powieki.

- Gdzie są karły? - dobiegł go nagle zachrypnięty głos Sveina.
- Tam gdzie ich miejsce - odparł głucho, z niechęcią. - Wśród opowieści.

Był przekonany, że Svein zacznie zadawać pytania, okaże zdumienie, albo nawet da upust swej długo skrywanej niechęci do pobratymców Armila, lecz ku jego zaskoczeniu syn konunga nie odezwał się ani słowem. Vidar otworzył oczy, zażawione i piekące od siarki, i ujrzał swego towarzysza, siedzącego na kowadle z brodą wspartą na pięściach. Na jego wychudłej, brudnej twarzy zastygł wyraz skrajnego znużenia. Svein w niczym nie przypominał już wielkiego wojownika, który nie miał sobie równych w całym Norweghrze.

- I co my ninie poczniemy? - spytał po chwili milczenia, gładząc nieświadomym gestem popaloną brodę.
- Co poczniemy? - Skald uśmiechnął się krzywo. - Ty mnie pytasz, Sveinie? Przecie to ty jesteś synem konunga i słynnym høvdingiem, nie ja. To ja powinienem ciebie pytać.
- Jeno to twój kraj. - W zmatowiałych oczach Sveina błysnęła naraz iskierka gniewu. - Ty go znasz i pojmujesz. Jam tu gościem, Vidarze, i... I naprawdę nie wiem, co czynić.

Vidar skrzywił się lekko.

Gościem? - zastanowił się z goryczą. Czy te same problemy dręczyły cię, gdy płynąłeś na Islandię na czele flotyli okrętów wojennych swego ojca?

- Ja też nie wiem - burknął szorstko. - Mnie też to wszystko przerasta, Svein. Wojna między chrześcijanami i poganami, Jomsborczycy, plany twego ojca... Nie tak wyglądała Islandia, gdy ją opuszczała jako młody człek, żądny sławy i przygód. Tamtą Islandię kochałem i pojmowałem, ta zaś jest dla mnie równie obca jak dla ciebie. Nie proś mnie o radę. Nie mnie.

- A kogo? - spytał ponuro Svein. - Wybacz, Vidarze, lecz ja jestem tylko wojownikiem. Nie potrafię snuć wielkich planów i wolę milczeć, gdy trza rzec coś mądrego. Jestem jeno narzędziem w rękach mego ojca. Ja nie potrafię...

- To się naucz - warknął Vidar, obrzucając go nieprzychylnym spojrzeniem i nagle ukąsiła go złośliwa myśl: może tak powinieneś rozmawiać z Viglundem, kiedy był dzieckiem. Może wtedy zaczęłby cię szanować. - To się naucz, Sveinie - powtórzył głośnie. - Twój ojciec kiedyś odejdzie i zostawi tobie Norweghr. Co wtedy poczniesz? Będziesz rozglądał się wokół w poszukiwaniu mędrca, który powie ci, co czynić?

- Przestań ze mnie szydzić! - krzyknął syn konunga i poderwał się z gniewną miną. - Jestem uwięziony na odległej, ogarniętej szaleństwem wyspie, bez zbrojnego hufca ani nawet okrętu, a mój ojciec toczy bój z podstępny Jomsborczykiem, który ma smoka na swe usługi! Nie wiem, co czynić!

- Nie wiesz? - Wzrok skalda padł nagle na stertę mieczy zrzuconych niedbale w kącie pieczary. Mimo że niebo zasłonił szczelny dywan gniewnych, nastroszonych chmur, klingi leżące na wierzchu lśniły, jakby pieścił je delikatny blask słońca. - To dziwne. Przed chwilą powiedziałeś, że jesteś wojownikiem. Wojownik się nie waha, Sveinie synu Trygvego.

Tknięty nagłym impulsem Vidar podszedł do nich i ujął jeden z mieczy. Leżał w dłoni zaskakująco dobrze, jakby tajemnicza magia karłów nakazała mu dopasować się do prawicy pana.

- Nie wiem, kim jest ten Jomsborczyk Thorkil - powiedział już mocniejszym głosem. - Wiem, że jest poganinem i wichrzycielem. Wiem też, że źle życzy twemu ojcu, zniszczył jego okręty, a potem pchnął na niego własne. Czy wojownik potrzebuje wiedzieć więcej?

Syn Trygvego wpatrywał się w skalda, a w jego oczach pojawił się nowy błysk. Naraz podniósł się z trudem, pochwycił inny miecz i wykonał nim kilka powolnych cięć w powietrzu. Runy na kłindze rozbłysły.

- Dlaczego one... te karły zostawiły nam tak zacną broń? - zapytał cicho, jakby nie dosłyszał słów Vidara. - Dlaczego chciały, byśmy ją zatrzymali?

Niespodzianie wykonał szybsze cięcie. Miecz aż zawył, rozcinając powietrze, a blask run rozciągnął się w

widoczną przez mgnienie oka smugę. Ośmielony mocą magicznego oręża, Svein zakręcił nim nad głową i z całej siły spuścił go na kowadło, na którym siedział przed momentem. Z głuchym brzęknięciem runiczna klinga wgryzła się głęboko w metal.

- Jak sądzisz, skaldzie? - spytał nagle głośno. - Skórę smoka też rozrąbie?

\* \* \*

Za czasów Eryka Białego Jastrzębia wioska Eikby składała się zaledwie z kilku chatynek, przycupniętych w cieniu olbrzymich, rozłożystych dębów. Gdy rządy nad Norweghrem objął konung Trygve, niedaleko wsi wytyczono szlak do Arnulheim i Dvergufjall, a do cichego życia jej mieszkańców wdarł się nowy rozgardiasz. Wkrótce pojawiły się kolejne chaty, tym razem większe i mocniejsze, wyrosła też wielka gospoda ze stajnią, a potem kuźnia i mała drewniana kapliczka Boga na Krzyżu. Prastare dęby szumiały dostojnie, jakby nie mogąc się nadziwić rzeniu koni i wesołym pokrzykiwaniom wędrowców.

Dziś jednak milczały, wstrząśnięte, bowiem radosne krzyki zastąpiły wrzaski bólu i przerażenia.

Swioni nadciągnęli późnym popołudniem, gdy niebo zaczynało ciemnieć, a poletka zasnuła srebrzysta mgła wieczoru. Wtargnęli między zabudowania z dzikim rykiem, kładąc trupem każdego, kto tylko zdążył pochwycić za broń. Paru wieśniaków zdołało uciec do karczmy i zatrzasnąć za sobą drzwi, lecz dowodzący Swionami młody wojownik o jasnej, rzadkiej brodzie nakazał natychmiast budynek spalić. Kilka chwil później gęsty, czarny dym, podsycony wrzaskami płonących żywcem ludzi, buchnął ku obsypanym jesiennymi liśćmi konarom dębu. Rozochoceni łatwym zwycięstwem rabusie zagnali w jedno miejsce wszystkich schwytanych wieśniaków. Młody wojownik, zachrypnięty od wydawania rozkazów, jął wskazywać co starszych, których natychmiast odprowadzano na bok i powalano ciosami toporów. Następnie wybrał kilka kobiet i pchnął je ku swym ludziom, którzy powitali jego decyzję tryumfalnymi, chrapliwymi okrzykami.

Nikt nawet nie spojrział na wzgórze, z którego zbiegał trakt ku Nidaros.

- Prawcie, co widzicie... - szepnęła drżącym głosem biskup Helmgarth. - Oczy wasze młode...

- Do chramu je wleka, *faðir* - rzekł głucho Hrafn, kładąc dłoń na rękojeści miecza. - Hańbić je będą...

- Zmiłuj się, Panie nasz... - Z twarzy biskupa odpłynęła wszelka krew. - W Domu Bożym niewiasty będą hańbić. Thorvaldzie...

Duński høvding zagryzł wargi. W jego szeroko otwartych, niebieskich oczach odbijał się blask płonącej gospody, opromieniający pozostałe zabudowania oraz pnie dębów rozdygotaną, krwistoczerwoną poświatą.

- Thorvaldzie, zaklinam was - szepnęła Helmgarth i opuszczył głowę. - Ocalcie te nieszczęsne dusze... Ocalcie kościółek...

- Trwa wojna, *faðir* - odparł Dan zimnym głosem. - Nie wzbraniajcie im uciechy, bo to ich wojenne prawo. Nas też byś powstrzymywał, świątku?

- Høvdingu, wzdry się ich ledwie tyle co naszych! Zabawą rozochoceni, nie zauważają... Uderzcie na nich, zaklinam was! Odnajdźcie drogę do Królestwa Bożego!

Rozległ się cichy zgrzyt, gdy Thorvald Ułomek wyciągnął z pochwy miecz. Wśród zgromadzonych za nimi wojów poniósł się pełen podniecenia szmer, ten i ów zaklął z cicha lub popluł w garście.

- Uderzę - powiedział powoli Dan. - Lecz nie dla tego waszego Królestwa Bożego, świątku. Ta banda zagradza nam drogę do konunga Trygvego, który czeka na naszą pomoc wysoko w górach. Gotuj się!

I naraz ziemia zadrżała pod kopytami rozpędzonych koni, a ostrza włóczyń pochyliły się ku płonącej wsi, otoczonej przez nieruchome, zwaliste dęby.

Duńscy najemnicy nie byli wprawnymi jeźdźcami, rzadko też ćwiczyli ataki w siodle, lecz mieli po swej stronie całkowite zaskoczenie. Runęli na płądrujących chaty Swionów niczym wiatr rozrzucający stertę zeschniętych liści.

Mało który Swion zdołał się odwrócić, nie mówiąc już o chwyceniu za broń. Zaskoczeni, umierali od pchnięcia włóczni czy ciosu miecza, ginęli tratowani końskimi kopytami bądź wpadali w płomienie, trąceni butem jeźdźca. Zaalarmowany krzykami rannych i umierających, jasnowłosy swioński høvding odwrócił się i wykrzyknął rozkaz, łapiąc jednocześnie za swą okrągłą tarczę. W ostatniej chwili osłonił się przed ciosem jednego z nacierających, lecz wtedy powaliło go potężne uderzenie Hrafna. W okamgnieniu czaszka Swiona pękła pod naporem kopyta.

- Nadszedł czas zapłaty za grzechy! - krzyczał przeraźliwie biskup Helmgarth, wyrzucając w powietrze chude ręce.

Na jego trupio bladej pomarszczonej twarzy, oświetlonej luną pożaru, malowało się święte uniesienie. Modlił się żarliwie z zamkniętymi oczyma, czyniąc w powietrzu znak krzyża. Nie widział, jak najemnicy Thorvalda, w większości już spieszni, sprawnie rozbijają słaby opór swiońskich bandytów i krótkimi, oszczędnymi cięciami dorzynają rannych. Nie widział, jak wieśniacy wraz z półmagami, odartymi z odzienia kobietami uciekają ku zbawczym cieniom kładącym się pośród drzew. Otworzył oczy dopiero, gdy usłyszał za sobą chrapliwy głos rozochoczonego Thorvalda:

- No, tośmy im przetrzepali skórę. Chyba jednak warto z wami podróżować, *faðir*. Zawdy się jaka dobra bitka trafi.

Roztrzęsiony biskup dokończył w myślach dziękczynną modlitwę, odwrócił się ku najemnikowi i aż wstrzymał oddech z przestachu. Dan stał na szeroko rozstawionych nogach, trzymając niespokojnego, parskającego konia za uzdę, i uśmiechał się dziko. Jego kolczuga, broda i oba policzki były pokryte lepką krwią, a w oczach dogasała żądza mordu. Zerkając nad jego szerokim ramieniem, biskup dojrzał bezwładnie leżące zwłoki Swionów oraz najemników Thorvalda, obszukujących trupy i podnoszących co lepszą broń. W blasku płomieni pożerających karcznię przypominali ciemne, przykurczone gnomy, pożywijające się ciałami poległych.

- A owe niewiasty? - spytał słabym głosem.

- Niestety, nie zaznali biedacy rozkoszy przed śmiercią! - Dan roześmiał się wesoło. - Widziałem, jak pomykały do lasu, nie do końca nawet rozebrane. Bezpieczne *sq, faðir*, podobnie jak ta wasza obórka.

Końcem okrwawionego miecza wskazał kościółek.

- Wyście biskup Helmgarth? - rozległ się nagle czyjś nieśmiały głos.

Obaj odwrócili się błyskawicznie - stary kapłan z bojaźnią, a woj z cichym, ostrzegawczym warknięciem. Ujrzeni krzepkiego chłopa z umorusaną od sadzy twarzą i popaloną tuniką, który uklonił się nisko.

- Jam ci - odparł biskup, w jednej chwili odzyskując część swego dawnego autorytetu srogiego sługi Bożego.

- Przybywacie, *faðir*, od Sveina Trygvesona? - zapytał chłop.

- Svein ciągiem na Islandii wojuje - odezwał się duński najemnik. - Z Nidaros przybywamy, przed oblężeniem uciekając. Do konunga chcemy się przebić, a ten tu świętek...

- Próżne wasze wysiłki, *herra min*. - Chłop machnął brudną od popiołu dłonią i przymknął oczy, a gdy znów je otworzył, nie było w nich ani isierki nadziei. - Konung nieżyw od wielu dni.

- Jak to?! - zawołali naraz biskup i høvding, obaj wstrząśnięci i zaskoczeni.

- Mówią, że z ręki zdrajcy padł - wyjaśnił chłop, kiwając głową. - Nałożnicy swej pono. Cóż, bywajcie tedy, możni panowie. Skoro nie stało starego Trygvego i dzielnego Sveina, przyjdzie nam wszystkim w głąb borów uchodzić.

Znużony chłop znów machnął dłonią, tym razem ze zniechęceniem i odszedł wolno ku masywnym pniom dębu. Zapadła cisza, przerywana jedynie trzaskiem dogasającego pożaru oraz szczękiem oręza zbierających się wolno najemników. Helmgarth i Dan milczeli, każdy pograżony we własnych rozmyślaniach.

- Trzeba nam... - odezwał się w końcu biskup, ale Thorvald nie dał mu dojść do głosu.

- Nam? - prychnął. - Mój pan nie żyje, *faðir*, a zatem umowa została rozwiązana. Łapcie konie! - wykrzyknął

ku swoim ludziom. - Czas nam w drogę.

- Zostań, Thorvaldzie - poprosił go biskup. - Ninie walka toczy się zaiste o wielką sprawę.

- Nie moja to sprawa. I nie zostanę, bo jestem najemnikiem. Walczę za pieniądze, tak jak moi ludzie. Skoro zabrakło tego, który miał je nam wypłacić, nic tu po nas. Odbierzemy jeno swą należność, a potem nie usłyszysz już o hufcu Thorvalda Ułomka.

- Zapłacę ci!

- Czym? - Dan skrzywił się. - Obietnicami wprowadzenia nas wszystkich do Królestwa Bożego?

I znów wyniosłe dęby, których konary nikły już w mrokach nocy, pochyliły się na wietrze, jakby chcąc lepiej usłyszeć szepty odjeżdżających najemników. Jadący dwójkami Danowie znikali na trakcie wiodącym na południe i żaden nawet się nie obejrzał na dwie samotne postacie, opromienione gasnącym żarem ze szerniałych, dymiących belek karczmy.

- Ja was, *faðir*, nie opuszczę - mruknął wielki Hrafn i skrzyżował ramiona na piersi.

- Wiem - westchnął biskup i otarł łzę. - Zbierz swych ludzi, pójdziemy do świątyni. Kto wie, może podczas modlitwy przyjdzie mi coś mądrego do głowy.

Garstka zgarbionych, zgnębionych postaci ruszyła wolno ku wrotom kościółka. Nad ich głowami przeleciał kruk, który natychmiast skręcił na północ, ku Nidaros.

\* \* \*

Zgnębione, zwyciężone Nidaros milczało.

Z zapadnięciem ciemności od borów napłynęły kłęby srebrzystej mgły, które zakryły rozległe obozowiska najeźdźców i niczym fale eterycznego morza uderzyły o wały grodu, bezsilne i pokonane. Mgła nie była jednak w stanie stłumić drżącego, niespokojnego blasku wielu ognisk ani zdusić tryumfalnych wrzasków Swionów, Islandczyków i Jomsborczyków. Hordy zebrane przez Thorkila Smocze Nasienie fetowały swe wielkie zwycięstwo, opijały pognębienie największego mocarstwa Północy.

A Nidaros milczało.

Skryci w najgłębszych kątach swych chat, przytuleni do siebie mieszkańcy grodu drżeli ze strachu. Co rusz ktoś podchodził i sprawdzał zasuwę w drzwiach, na próżno łudząc się, że kawał drewna mógłby uchronić go wraz z rodziną przed gniewem tego, który rzucił Norveghr na kolana. Co rusz w ciemnościach rozlegały się słowa pocieszenia, równie puste jak nadzieje, że wydarzenia ostatnich dni okażą się złym snem. Co rusz próbowano się modlić, lecz nawet błagania skierowane do bogów nie przynosiły żadnej ulgi.

Bo nie było mocy, która mogłaby załagodzić lęk. Nie po tym, co mieszkańcy Nidaros ujrzeli.

Dobrze pamiętali straszliwego potwora, który wypełził z morza i zdruzgotał katedrę, a potem rozłożył się wśród jej strzaskanych ścian. Wciąż mieli przed oczyma błysk islandzkich mieczy, niosących śmierć ich krewnym i przyjaciółom, z rozpaczą bijącym pięściami o bramy zatrzęsnięte przez zdrajców. Nie mogli zapomnieć bohaterskiej śmierci grododzierzcy Gisliego syna Thorlaka, który na czele garści wojów rzucił się, by odbić bramę, i zginął przeszyty strzałą z łuku. Nadal słyszeli dudniącą pieśń rogów, oznaczającą przybycie hufca Ragnara Niszczyciela Drakkarów, który zdobył Bjørgvin i zabił broniącego go do końca mężnego Bjørnsteina Myszołowa. Nadal powtarzali sobie chępliwe opowieści zwycięzców o marnym końcu Sveina Trygvesona i biskupa Helmgartha, lecz resztę nadziei odebrał im dopiero widok odrąbanej głowy konunga Trygvego, którą Jomsborczycy wśród kpin i dzikich śmiechów zawiesili na bramie zamczyska.

Przepelniona bezbrzeżną rozpaczą cisza biła tej nocy ze wszystkich miejsc ongiś dumnego grodu. Strzępy mglistego całunu wędrowały ulicami, oplatając długie chaty i wspinając się po murach zamczyska, lecz tam cofały się w popłochu przed jasnością bijącą z wąskich okien sali biesiadnej.

Ojciec opowiadał, że na uczcie, którą Biały Jastrząb wydał po pokonaniu pogan, również niezbyt się uśmieł, pomyślał Viglund, ujmując kubek ze słodkim winem z mórz południowych.

Ognie w palenisku huczały i strzelały wysoko, omiatając zarumieniony, przysmażony bok wołu, lecz atmosfera przy długiej ławie daleka była od wesołości. Jedyne Ragnar Niszczyciel Drakkarów co chwila wybuchał głośnym rechotem i chępił się tryumfalnym zdobyciem Bjørgvin, lecz pozostali biesiadnicy odpowiadali tylko nerwowymi uśmiechami i z niepokojem zerkali ku jarłowi Thorkilowi, niedbale rozpartemu na stolcu konunga. Na polu bitwy odważni do szaleństwa, w towarzystwie swego przywódcy wszyscy tracili pewność siebie.

Trudno się zresztą dziwić, pomyślał chłopak i wychylił kubek do dna. Może krótko chodzę po tym świecie, ale tak mi się widzi, że po każdym zwycięstwie, a zwłaszcza tak wielkim jak to, wódz powinien radować się wespół ze swymi kamratami.

Na bladej, wychudłej twarzy Thorkila próżno by szukać wesołości czy jakichkolwiek innych uczuć. Jomsborski jarl wpatrywał się w płomienie, głuchy na toasty swych drużynników, ale twarz miał zaciętą, a nerwowy stukot palców w drewniane oparcie stolca świadczył o gwałtownych przemyśleniach. W kątach sali biesiadnej panował mrok i Viglund nie wiedział, czy nie ulega jedynie złudzeniom, ale raz na jakiś czas odnosił przemożne wrażenie, że oczy jarła stają się całe czarne, bez śladu białek.

Nie potrafisz się radować? - pomyślał z drwiną były høvding Helsvinir. Ciężem knujesz, Jomsborczyku? Knuj tedy, knuj. Ktoś u twego boku też już knuje, wiesz?

Przed oczyma znów stanął mu widok masakry u wrót Nidaros. Znów czuł siarczasty policzek jarła, ponownie słyszał jego dumne, obraźliwe słowa. Zaciśnął pięści aż do bólu i rozpaczliwie zapragnął ujrzeć tajemniczy obraz Thyry z dziecięciem na ręku, tak mu obcy, a mimo to przynoszący ukojenie. Upragniona wizja nie pojawiała się jednak od chwili, gdy islandzka flotylla wyruszyła ku skrytemu za mglistym horyzontem brzegowi Norveghru. Miast tego Viglund usłyszał zgrzytliwy, zniechęcony głos skalda Snorriego.

To ty mnie w to wciągnąłeś! - zawył w myślach. To ty potem zatrzaskałeś bramy przed ludem tego miasta, tyś winien tej rzezi!

Opanowanie nabrzmiewającej wściekłości stanowiło dla niego niemalże nadludzki wysiłek, lecz w końcu udało mu się rozluźnić zaciśnięte kurczowo szczęki, a nawet zmusić się do zaciekawionego półuśmiechu.

- Nikt z nas nie pomni już twierdzy naszej, nikt z nas nie dba o wilgotne zgliszcza - ciągnął z patosem Snorri, unosząc róg miodu. - Wyście naszą twierdzą, jarlu! Wyście najpierwszym z wikingów Midgardu! Wielem widział, jarlu, i wielem słyszał. Znam opowieści o dawnych bohaterach, znam i te o bogach, jeno nie ma wśród nich takiej, co by waleczniejsze czyny opisywała. Nie masz ci męża, który splądrowałby najludniejsze miasto świata! Nie masz ci takiego, co poderwałby całe ludy do walki, co starłby bogów mu nieprzychylnych, co smoczysko by okiełznał, a na koniec królestwo dla siebie zdobył! Jaki kolejny zamiysł wasz, jarlu? Każecie nam na Uppsalę ruszyć? England za pysk uchwycić? Rzekami na Miklagard popłynąć?

Oczy skalda błyszczwały niczym gwiazdy, a na blade policzki wypłynął rumieniec. W jego słowach kryła się tak wielka magia, że Viglund przez moment miał ochotę poderwać się jak inni i wraz z nimi wykrzykiwać imię jarła. W ostatniej chwili pochwyił jednak spojrzenie Einara Odmieńca, zimne i szalone, i natychmiast oprzytomniał. Uniósł napelniony na nowo kubek z winem w pełnym szacunku geście, lecz zaraz go odstawił, nie upijając ani kropli.

- Sława wam! - huczał Ragnar.

- Sława! - pokrzykiwali rozochoceni wodzowie swiońscy i islandzcy, dając się ponieść pierwszemu spontanicznemu wybuchowi radości. Wystarczyło jednak, by Thorkil uniósł dłoń, a entuzjazm natychmiast ucichł.

- Droga do zwycięstwa daleka - syknął, nadal zapatrzony w płomienie. - Cóż z tego, że Nidaros i Bjørgvin nasze? Cóż z tego, że porachowaliśmy gnaty staremu konungowi i przepędziliśmy biskupią zgrają? Nie spoczne, dopóki w tym kraju ostanie się choćby jeden człowiek spragniony mojej krwi!

- A jestli kto taki? - zapytał stary Gunnulf, jomsborski kapłan.

- Jest choćby Grim z Austfjordu, najzacniejszy wasal konunga, który z hirdem w góry Nordlandu uciekł - oznajmił jarl, wciąż nie odwracając spojrzenia. - Jest biskup Helmgarth, który z oddziałkiem najemników oblężenie przerwał i w puszczech się kryje...

- Toż to piernik stary a nieużyty! - wykrzyknął Eythor, młody islandzki høvding, który jako pierwszy postanowił przyłączyć się do Jomsborczyków. - Gadają, że pyszny był i surowy, a zwykłych ludzi nigdy zrozumieć nie chciał. Dumacie tedy, panie, że kto tęsknić za nim będzie?

- Tak właśnie dumam! - syknął Thorkil i obrócił się gwałtownie ku pobladłemu nagle Islandczykowi. Viglund miał przemożne wrażenie, że płomienie w palenisku przygasły na moment, a ciemności wypełzły śmieiej z kątów. - Bo ów stary piernik przypomina stare czasy! Przypomina rządy konunga Trygvego i wielu z tych, którzy powolni konungowi byli, może ninie za biskupem stanąć i imię Boga na Krzyżu głośniej wołać zacząć!

- *Ég skil ekki.* - Ragnar Niszczyciel Drakkarów zmarszczył krzaczaste brwi. - Wszak to świętek jeno, człek pyszny i zdecydowany, lecz przecie wojaczki niezwyčajny, oparcia wśród moźnych niemający! Wierzyć mi się nie chce, by prawdziwie mógł waszym planom zaszkodzić. Wiele słyśzałem o świętkach i wiem, że szaleni oni a zapalczywi, jednak żaden z nich do stolca się nie pcha.

- Lecz innych popchnąć może - rzekł skald Snorri z krzywym uśmiejchem.

- A kogóż to, *herra min?* - westchnął ciężko Ragnar i z niedowierzaniem pokręcił głową. - Svein Trygveson w niewoli na dalekiej Islandii jęczy...

- Takiś mądry, Ragnarze? - prychnął złowrogo jarl Thorkil i niespodziewanie przeszył wzrokiem Viglunda, który aż zmartwiał.

Oczy jomsborskiego wodza ziały nieziemskim chłodem, a ich kpiący blask jakby dawał do zrozumienia: „Wiem o wszystkim! Wiem, że go uwolnięś, parszywy zdrajco”. Wstrząśnięty Viglund odwrócił wzrok i dopiero po chwili zdołał się opanować.

- Sam dobrze wiesz, że nie wolno nam lekceważyć żadnego z naszych nowych wrogów. Najpotężniejsi z nich śpią zaś pod naszym bokiem - mówił jarl.

Odpowiedziała mu głucha cisza, przerywana jedynie trzaskiem płonących szczap i echem odległych pokrzykiwań. Einar Odmieniec roześmiał się przenikliwie, ale biesiadnicy nie zwrócili na niego uwagi, nawykli do dziwnych zachowań opętanego przez elfy woja. Wszyscy wpatrywali się z napięciem w jarla, ukradkiem wymieniając zdumione spojrzenia.

- Mówię o mieszkańcach tego nieszczęsnego grodu i ich braciach i siostrach w całym Norvegrze - ciągnął Thorkil, naraz osobliwie zamyślony. - Jeśli ktokolwiek ma kiedyś podnieść na nas zbrojne ramię, nie będzie to Grim z Austfjordu, nie będzie to Svein Trygveson ani nawet biskup Helmgarth. Będą to właśnie oni, zwykli chłopi, którym rozpacz każe porwać za broń. Nie wolno dopuścić, by znaleźli powód, bracia, nie wolno... To dlatego zakazałem waszym wojom plądrowania podgrodzia i używania z miejscowymi kobietami. To dlatego wkrótce stawię się na Frostatingu i zaprzysięgnę wierność tutejszym godim, a potem rozpuszczę większość tej swiońskiej hałastry. To właśnie dlatego bez wahania zgładzę każdego, kto ośmieli się burzyć lud choćby nawet swoim pojawieniem się.

- Co każecie nam czynić? - spytał fiński czarodziej Koskela, podobnie jak reszta biesiadników porwany czarem słów jarla.

- Jutro skoro świt roześlę gońców, by ogłosili zwołanie tingu. Za dwa dni zaś ruszymy do Frosta, ja, Gunnulf, Ragnar i Koskela wraz ze zbrojnym orszakiem. Ty zaś, Eythorze, weźmiesz oddziałek konnych i podążysz w ślad za biskupem Helmgarthem. Twe zadanie będzie proste: masz usiec tego nieużytego piernika i każdego, kto stanie po jego stronie.

- *Skal gert, herra min!* - wyjąkał oszołomiony Islandczyk. - Lecz przecie obcy jestem, kraju nie znam...



- Biskup kryje się niedaleko stąd, w wiosce zwanej Eikby - oznajmił jarl, a jego oczy na jedno uderzenie serca znów zasnuła całkowita ciemność. - Dotrzesz tam przed świtem, Eythor. A my zaczniemy się przygotowywać do rozprawy z Grimem.

- Z ochotą, jarlu! - krzyknął rozradowany Ragnar, a po nim tryumfalny okrzyk podjęli pozostali biesiadnicy.
- Sława Jomsborgowi! - huknął z udawanym entuzjazmem Viglund, unosząc kolejny kubek wina.

Niegodnym, by ci towarzyszyć na tingu, tak? - pomyślał mściwie. Cóż, nie czuję do ciebie urazy, jarlu. Mam przecie swe własne plany.



Nim księżyc przemierzył połowę swej drogi na nocnym niebie, brama grodu, ta sama, która jeszcze niedawno spłynęła krwią mordowanych mieszkańców, otworzyła się szeroko, by wypuścić rozhukany konny orszak. Na czele jechał Islandczyk Eythor z hardą miną i ściągniętymi gniewnie brwiami, co chwila poprawiając hełm posrebrzany księżycowym blaskiem, a za nim gnali uzbrojeni po zęby wojowie, rozpromienieni i podekscytowani perspektywą rychłej rozprawy. Rozwiane włosy i uniesione pędem poły płaszczy czyniły ich podobnymi do drapieżnych ptaków wyprawiających się na nocny łów.

Wkrótce srebrzysty całun mgły na uliczkach Nidaros roztrąciły kopyta jeszcze jednego konia. Samotny jeździec zatrzymał się przed bramą, ostrym krzykiem zmusił zaspanych strażników do otwarcia wrót i pomknął w ślad za islandzkim hufcem.

## ROZDZIAŁ 18

Biskup Helmgarth westchnął ciężko.

Nie żałował już, że nie udało mu się przyciągnąć mieszkańców tej dzikiej krainy do kościołów, które wraz z konungiem wznosili w każdej większej osadzie. Nie żałował, że nie zdołał wykorzystać zabobonów z ich serc ani nawet tego, że nie stanął mężnie w obronie katedry, największego symbolu wiary w Świętą Trójcę na całej Północy. W tym momencie żał mu było jedynie tego, że nie zdołał się pogodzić z Bogiem i przeprosić Go za swe grzechy.

Przez całą noc klęczał w kościółku Eikby przed niewielkim, srebrnym krzyżykiem zawieszonym przed ołtarzem. Pograżony w gorącej modlitwie, nie zważał ani na dreszcze zimna, przeszywające jego wątłe ciało, ani na ciche chrapanie wojów ze straży przybocznej, którzy porozkładali się na ławkach i spali twardo. Niewykluczone, że sam również zapadł w sen - rozmowa z Bogiem pochłonęła go do tego stopnia, że mógł brać majaki senne za kolejne etapy swych pobożnych rozważań. W swojej pysze zapomniał jednak ukorzyć się przed Jego majestatem, nie pamiętał o słowach pokory i dziękczynienia. Z gniewem wyrzekał na pogańskich najeźdźców, z wyrzutem ganił w modlitwie tchórzliwych sojuszników, a prosił Pana jedynie o siłę i wsparcie w swej beznadziejnej walce. Ani myślał bowiem się poddawać. Pomimo śmierci konunga, zniszczenia katedry i upadku Nidaros wciąż wierzył, że z Boską pomocą uda mu się ocalić Kościół w Norveghrze.

Jego nadzieje jednak rozwiało bladym świtem parskanie koni, a potem szczęk oręża. Zrozumiał, iż nie będzie mu dane kontynuowanie świętej wojny. Zrozumiał, że Bóg nie dba o dziki kraj mgieł i fiordów.

Wstał wówczas i wolnym krokiem wyszedł na dwór, ku milczącym, uzbrojonym po zęby jeźdźcom, którzy otoczyli kościółek. Hrafn natychmiast poderwał swych ludzi i nakazał im zasłonić biskupa, lecz sędziwy kapłan uśmiechnął się jedynie ze smutkiem i polecił opuścić broń.

- Wyście Helmgarth, biskup Nidaros? - spytał przywódca nowo przybyłych, młody jasnowłosy woj w pysznej kolczudze i hełmie z nosalem.

- Jam ci - powiedział Helmgarth cichym, łagodnym głosem.

Niewiele weń zostało z surowego kapłana, który chciał biciem w dzwony bronić katedry przed smokiem. Stał skruszony, pogodzony z losem, i niespiesznie rozglądał się dookoła. Pierwsze promienie słoneczne z wolna przebijały się przez skłębione chmury i rozświetlały tumany mgły, czające się nisko przy ziemi. Ogromne, poszarzałe dotychczas dęby zapłonęły złotem liści. Powietrze było zimne, rześkie, wokół pysków koni unosiły się obłoczki pary.

Szkoda, że Bóg postanowił mnie wziąć do siebie w tak piękny dzień, pomyślał i westchnął raz jeszcze.

- Przybywamy z rozkazu jarla Thorkila, zdobywcy tych ziem - rzekł wojownik.

W jego mowie pobrzmiwały odcienie obcego akcentu. Islandczyk, uświadomił sobie biskup.

- Mam rozkaz zabrać was do Nidaros - ciągnął przybysz. - Złóżcie broń.

- Nie po to noszę tę broń, by składać ją przed byle chłystkiem, któremu zastęp przydzielono - warknął niespodziewanie Hrafn i wysunąć się przed biskupa. W jego dłoni zamigotał miecz.

Islandczyk popatrzył nań chłodno, lecz w jego spojrzeniu błysnęło uznanie.

- Życie ci niemiłe? - spytał. - Twój wybór.

Z tymi słowy podniósł dłoń. Okalający kościółek wojowie mocniej ujęli miecze i topory, ten i ów ściągnął już wodze, lecz wtedy wszyscy usłyszeli głos biskupa, wyraźny i czysty w powietrzu poranka.

- Nie, Hrafn, dość tego. Wojna o ten nieszczęsny kraj zabrała już zbyt wiele ludzkich żywotów. Skoro Bóg upodobał sobie, by przypaść on w końcu poganom, chciałbym, żeby moja śmierć była ostatnia.

- Nie po to służę wam tyle lat, *faðir*, by teraz... - Stary woj zgrzytnął zębami i uniósł wyżej tarczę.

- Dość, rzekłem. Prowadźcie mnie do waszego pana - powiedział biskup i ruszył ku przybyszom, wyciągnąwszy ręce przed siebie. Zeschnięte liście zaszeleściły pod jego stopami.

I wtedy nieśmiałą, spłoszoną ciszę świtu przerwał przenikliwy wrzask bólu.

Jeden z koni poderwał się do galopu w stronę dębów, unosząc wrzeszczącego przeraźliwie jeźdźca, usiłującego zatamować krwotok z ranionej dłoni. Oszalały z bólu wojownik za późno się zorientował, że ześlizguje się z siodła i nim okrwawioną dłonią złapał za łęk siodła, uderzył czołem w mijany pień i zsunął się na ziemię. Nikt jednakowoż nie zainteresował się jego losem, w tej samej bowiem chwili panika ogarnęła pozostałe wierzchowce. Krąg jeźdźców wokół kościółka załamał się, konie się miotały i stawały dęba, a wojownicy walczyli ze wszystkich sił, by się utrzymać w siodłach. Do rżenia dołączył ryk kolejnego rannego, a potem następnego. Czyjeś ciało z łoskotem osunęło się na zasłaną złotymi liśćmi ziemię.

- Tam jest! - wrzasnął nagle pobladły Islandczyk i wskazał coś ostrzem włóczni.

Kilku z jego wojów udało się już opanować rozszalałe konie i naraz wszyscy dojrzeli poruszającą się błyskawicznie, zbrojną w okrwawiony miecz bestię. Oczy Islandczyków rozwarły się szeroko.

- Berserk! - szepnął któryś, lecz jego słowa zginęły wśród wrzasku rannych.

Miecz tajemniczego napastnika zatoczył szeroki łuk i ugrzązł głęboko w biodrze kolejnego jeźdźca, wyszarpnął zeń strumień czarnej, parującej krwi, znów wystrzelił ku górze i opadł, przebijając gardło zwijającego się na ziemi rannego. Berserk miotał się niczym błyskawica na burzowym niebie, Islandczycy z rozpaczą próbowali opanować rozszalałe rumaki, a na stratowane, złociste liście spadały ciężkie, purpurowe krople.

Lecz przybyszów było wielu, zbyt wielu.

- *Komdu hingað!* - wykrzyknął przeraźliwym, łamiącym się głosem jasnowłosy høvding i spiął konia do niechętnego galopu. Błysnął miecz wznoszony ku niebu.

Berserk dostrzegł zagrożenie w ostatniej chwili, gdy islandzkie ostrze opadało już ku jego czaszce. Z dzikim warknięciem zablokował cios i już chciał ciąć wierzchowca swego przeciwnika po zadzie, gdy potknął się o drgające jeszcze zwłoki zabitego przed momentem człowieka. Zatoczył się, z najwyższym trudem łapiąc równowagę i nagle

znalazł się prosto na drodze szarzy kolejnego Islandczyka, pędzącego na niego z opuszczoną włócznią. Pochylił się, szykując do uskoczenia w bok, lecz stworzył tym samym okazję do kontrataku dla innego Islandczyka, którego wcześniej ranił w udo i ściągnął z siodła. Odurzony bólem i wściekłością wojownik uniósł złamaną włócznię i z całej siły uderzył berserka w plecy. Ten aż jęknął, gdy cios wybił mu powietrze z płuc. Zaskoczony, padł na ziemię, charcząc i dławiąc się, lecz powolny instynktowi odtoczył się na bok i poderwał na równe nogi. W jego przymrużonych, przekrwionych oczach nagle pojawiło się całkiem ludzkie oszołomienie.

- Na co czekacie, psie mordy? - wychrypiał i splunął krwią. - No, chodźcie bliżej, kurwie syny... Na kawałki was porąbię, kozie chwosty...

Całkiem ludzki gest splunięcia i słowa obelgi podziały na Islandczyków otrzeźwiająco. Naraz, miast szalonej, śmiertelnie niebezpiecznej bestii ze świata mrocznych legend ujrzeli młodego, zdyszanego woja o szpetnej twarzy i pozlepianych od potu włosach.

- Z dwóch stron brać, świniopasa! - rozkazał wzbudzony høvding i spiął konia do kolejnej szarzy.

- Do broni, chłopcy! - krzyknął z rozpaczą Hrafn i uniósł miecz, lecz najbliżsi Islandczycy w okamgnieniu ruszyli ku niemu.

Bliższy uderzył go krawędzią tarczy w twarz, a drugi doskoczył doń i powalił na ziemię kopniakiem w brzuch. Pozostali wojowie ze straży przybocznej biskupa zamarli, zdjęci przerażeniem i podziwem dla walczącego samotnie berserka.

- Niech ci Bóg błogosławi, mój synu - szeptał wzruszony Helmgarth, co rusz kreśląc znak krzyża na piersi.

Przybysz bowiem nie tylko nie uląkł się przewagi zaatakowanych przez siebie wojowników, ale jeszcze rzucił się do szaleńczego, zdałoby się samobójczego natarcia. Doskoczył do najbliższego z jeźdźców i błyskawicznym, nieoczekiwanym ciosem smagnął konia po pęcinach. Zwierzę zarżało przenikliwie i zważyło się na ziemię, przygniatając sobą jeźdźca, lecz nim to nastąpiło, młody wojownik zdążył już przypaść do kolejnego z konnych, szybkim machnięciem miecza odtrącić jego włócznię i wrazić mu ostrze w trzewia. Islandczycy napierali po kilku naraz, lecz przez dłuższą chwilę wydawali się całkowicie bezradni, nawet mimo pozornej przewagi, jaką dawały im konie. Ich tajemniczy przeciwnik zaskakiwał ich szybkością ataków - lekko, niemal od niechcenia unikał ciosów, uskakiwał przed szarżującymi Islandczykami, kilka razy przemknął nawet pod końskim brzuchem. Przez cały czas nie zapominał jednakże o kąsaniu przeciwników. Rąbał jeźdźców po nogach, wbijał miecz głęboko w ich uda, ranił konie i zmuszał do szaleńczej ucieczki w las, a raz nawet pochwycił drzewce włóczni i ściągnął zaskoczonego woja na ziemię, gdzie błyskawicznie przebił mu gardło skramasaksem. Zaskoczeni i przerażeni zaciekłym oporem Islandczycy cofnęli się, zostawiając siedmiu rannych bądź zabitych.

- *Ég hef fengið nóg!* - wykrzyknął wzbudzony høvding. - *Bogamenn!*

Zdyszany, zakrwawiony młodzieniec, stojący w kręgu pokonanych przez siebie przeciwników, również usłyszał jego słowa.

Uniósł głowę, a w jego oczach błysnęła obawa.

- Przecie ja go znam! - szepnął struchlały biskup. - To młody Vidarson...

- Naspikujcie kurwiego syna jak jeża! - wrzasnął Islandczyk. - Żaden...

Strzała, która wyleciała z zalanego plamami światła lasu, wbiła mu się prosto w szeroko rozwarte usta. Høvding zacharczał i runął na ziemię, na próżno próbując wyrwać grot z gardła.

Islandczycy zamarli w bezruchu, z oszołomieniem przyglądając się swemu śmiertelnie rannemu przywódcy. Kilku najbystrzejszych uniosło głowy i spojrzało na rozświetlony porannym słońcem las, lecz było już za późno. Gdzieś brzęknęła cięciwa, zwalniana przez niewidocznego łucznika, a potem kolejna, i następne. Przybysze z odległej wyspy umierali.

Strzały godziły celnie - przesywały gardła, przebijały kolczugi, wgryzały się w oczodoły. Mało który z

islandzkich wojów zdołał choćby wydać okrzyk bólu bądź chwycić za drzewce sterczące z jego ciała, większość w ciszy osunęła się z siodła i zmarła, nim legła wśród liści. Straszliwej śmierci uniknęła jedynie garstka wojów pilnujących biskupa oraz jego straż. Widząc swych towarzyszy dziesiątkowanych przez niewidocznych łuczników, spięli konie i runęli do panicznej ucieczki. Strzały bzyknęły nad ich głowami i z głuchym młaśnięciem wbiły się w drewniane ściany kościołka.

Po chwili na polanie u stóp odwiecznych dębów jedynymi żywymi byli drżący biskup Helmgarth, jego świta oraz ów samotny wojownik, który szedł teraz w ich stronę, oglądając się z wahaniem przez ramię.

- Boże, czym się zasłużyłem na twą łaskę? - zaszlochał klęczący biskup i złożył dłonie do modlitwy. - Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

- Bez ochyby zasłużyliście na łaskę swego boga, stary mędrze - rozległ się naraz męski głos, dźwięczny i donośny, kojący wszelkie rozterki i cierpienia. - Lecz nie jemu zawdzięczacie ninie swe ocalenie.

- Kim jesteś... - wyjąkał biskup i uniósł wzrok. - Zgiń, przepadnij...

- Nie zginę i nie przepadnę, przynajmniej jeszcze nie teraz, choć chwila, kiedy zniknę z twego świata, zbliża się szybko - odpowiedział głos. - Wkrótce na powrót stanę się panem swego przeznaczenia. Na razie jednak muszę być mu powolny.

Teraz już widzieli kontur sylwetki ludzkiej, która pojawiła się między pniami dębów, lecz oświetlając ją, padające ukośnie promienie słoneczne rozmazały zarówno rysy twarzy, jak i cechy ubioru. Biskup dostrzegł jedynie, że jest to mężczyzna wysoki, barczysty i najwyraźniej stosunkowo młody, nie mógł też się oprzeć wrażeniu, że bije od niego wielki, wprost przytłaczający majestat. Obronnym gestem pochwycił swój krucyfiks.

- Nie kuś mnie, demonie! - wykrzyknął łamiącym się głosem. - Nie próbuj mnie omamić swymi gładkimi słowami! Nie pozwolę ci opleść mnie siecią zła!

- Nie taki mój zamiar, stary mędrze. - Głos przybysza przybrał na sile. - Za dawnych czasów, gdy me imię pojawiało się w modlitwach tego ludu, również strzegłem pokoju, dobra i sprawiedliwości, podobnie jak wasz Jezus Chrystus. Nie żywię ja do was urazy i na duszę waszą nie dybię. Pragnę jedynie pokonać wroga, który zagraża zarówno mnie, jak i tobie, wroga, który pohańbił twą wiarę i zniszczył twą świątynię.

Biskup nie odpowiedział.

- Zbierz swych towarzyszy i rusz w góry Nordlandu, stary mędrze - ciągnął przybysz. - Wszędzie rozprowadzając o konieczności stawienia czoła najeźdźcom zza morza. Przygarniaj zagubionych i pokrzywdzonych, a gdy dotrzesz w góry, odnajdź zastępy Grima z Austfjordu i syna konungowego Sveina. Tak, Viglundzie, Svein dotarł do Norveghru.

Młody wojownik rozdziawił szeroko usta i wypuścił miecz z bezsilnej dłoni.

- Za twoją to sprawą. - Głos nieznanego stał się nieco cieplejszy, jakby jego właściciel się uśmiechał. - Po tym, co zrobiłeś na Islandii i tutaj, nie możesz chyba wrócić do jarla Thorkila?

- Nie mam zamiaru - wymamrotał Viglund i skrzywił się z pogardą.

- Nie opuszczaj tedy boku biskupa i walcz po słusznej stronie, a odnajdziesz swoje miejsce na tym świecie. Przysięgam, Viglundzie zwany Wilczym Pyskiem. Aha, i jeszcze jedno. Miejcie baczenie na kruki.

\* \* \*

Vidar uniósł garniec cierpkiego piwa do ust i wychylił resztę zawartości. Na jego twarzy zagościł rzadko widywany uśmiech.

- Na Boga, gdybym wiedział, że podejmiecie nas tak zacnym trunkiem, Grimie, popędziłbym załogę do jeszcze szybszego rejsu! - oznajmił.

Grim syn Grimulva, władca Austfjordu i jeden z najmłodszych lenników konunga Trygvego, rozsiadł się

wygodniej na zydlu i bez słowa skinął na niewolnika. Wysoki, blade młodzieniec z grzywą rudych włosów, ani chybi Irlandczyk, posłusznie dołał piwa każdemu z zebranych i cofnął się do ciemnego kąta. Grim uniósł naczynie i powiedział:

- Żałuję, że zacniej podjąć was nie mogę, Vidarze synu Gustava. Nie tak powinno się podejmować tych, którzy przywożą dar najcenniejszy - nadzieję.

Wskazał przy tym niskie ściany chaty, okopconą powalę i węgle żarzące się w niewielkim palenisku. Migotliwy blask zamieniał twarze siedzących wokół ławy w plamy cieni, ale Vidar i tak wiedział, jakie emocje wyczytałby na każdej z nich. Pucułowate, wiecznie lśniące potem oblicze Grima jaśniało wzruszeniem, siedzący obok niego przyboczny konunga, Hastein, nadal był ponury i zniechęcony, ale w jego oczach od czasu do czasu pojawiał się błysk ożywienia i nadziei. Magnus Focza Skóra wciąż nie doszedł do siebie po burzliwej przeprawie przez morze, dlatego też jego oblicze wyrażało tylko i wyłącznie znużenie, natomiast Svein...

Na Sveina Vidar wolał nie patrzeć.

Syn konunga odzyskał pełnię wiary w siebie, jeszcze nim objuczeni ciężkimi mieczami zeszedli ze zbocza Hekli i dotarli do pierwszych osad. Wkrótce ich niewielki orszak, składający się dotychczas jedynie ze Steiniego, Kormaka, Valiego i młodziutkiego Sigurda, powiększył się o kilku innych chrześcijańskich wojów, którzy utracili dom i bliskich w walce z poganami. Przestali się tym samym bać napaści ze strony pogańskich band, które zresztą po wyjeździe Thorkila zaczęły tracić zainteresowanie prześladowaniami chrześcijan. Łut szczęścia sprawił również, iż natknęli się na ludzi Magnusa Foczej Skóry, wysłanego na Islandię przez grodozierzcę Gislego. Jeszcze tego samego dnia podnieśli żagle i popłynęli ku wybrzeżom Norweghru, a Svein uznał, że fortuna na nowo zaczęła mu sprzyjać.

Przekonanie to nie opuściło go ani na moment, nawet gdy niedaleko wysp hjaltdlandzkich pochwycił ich straszliwy sztorm. Z nieposkromioną energią pomagał marynarzom Magnusa w prowadzeniu niedużego, kruche go knorra, czuwał nawet wtedy, gdy wycieńczona załoga całkiem opadła z sił. Dotarcie do brzegów Norweghru również uznał za dowód na swe szczęście. Nie przejął się nawet wieściami o upadku Nidaros i natychmiast popędził swój mały oddział do szybszego marszu ku góróm, gdzie rzekomo krył się Grim.

Energię do dalszej walki odebrały mu dopiero wieści o śmierci ojca.

Vidar z początku miał nadzieję, że Svein mężnie pogodzi się ze stratą, i już o świcie następnego dnia zagadał doń przyjaźnie, chcąc poznać jego kolejne plany i zamysły. Wojownik wzruszył jednakże ramionami, a w jego oczach skald dostrzegł skrajną rozpacz. Przez cały następny dzień Svein leżał w namiocie, odmawiając jedzenia i picia, lub snuł się po obozowisku z osowiałą miną, nie odpowiadając na żadne pytania. Skald czuł, że zaczyna mieć dosyć wahań nastrojów swego towarzysza, tak więc unikał go. Wiedział bowiem, że gdyby doszło między nimi do rozmowy, eksplodowałby straszliwym gniewem, a to nie podziałałoby dobrze na morale nielicznej drużyny Grima.

Wkrótce jednak jarl wezwał ich wszystkich na naradę i Vidar nie mógł już dłużej unikać Sveina.

Otyły Grim z Austfjordu wychylił garniec piwa do dna, beknął donośnie, otarł usta rękawem i zagał:

- No, a tedy, skoro bogowie... Znaczą się, skoro Bóg nasz dobry doprowadził do naszego szczęśliwego spotkania, przyjdzie nam radzić, co począć dalej.

W niewielkiej izdebce zapadła cisza. Irlandzki niewolnik przykucnął przy palenisku i dorzucił świeżych szczap. Płomienie skoczyły wyżej, opromieniając na chwilę twarze wszystkich zgromadzonych i Vidar dostrzegł, że na obliczu Sveina - tego, który jako pierwszy powinien odpowiedzieć na postawione przez Grima pytanie - nadal maluje się tępa obojętność. Zaciął zęby, tłumiąc narastającą wściekłość, po czym odezwał się sam:

- Rzeknijcie wprzód, panie, co wiadomo o siłach onego Thorkila?

- Ludzie sporo gadają, ale przecie strach ma wielkie oczy - zachnął się Grim. - Po mojemu to nie ma ten przybłęda więcej niż parę tysięcy wojów. Swiońskich najemnych będzie ze trzy, może trzy i pół tysiąca, z pół tysiąca

Islandczyków i około setki zbójów z Jomsborga. Nie wiem ino, ilu naszych do niego przystało, ale musi, że siła ich. Sporą załogę trzyma w Nidaros, niemałą w Bjørgvin i nieco mniejszą w Hladir. W moim Grimstadir coś koło setki zbrojnych zostawił, psi syn. - Grim zgrzytnął zębami. - Gródki co większe pewnie też obsadził, jeno o tym nie wiem nic.

- A wy, Grimie? Jak liczny wasz zastęp?

- Coś koło trzech setek, nie licząc waszych chwatów, Vidarze. Jeno tęgich rębajłów w nim wielu się nie ostało, najdzielniejsi podczas ucieczki z Grimstadir gardło dali. Cholerny los - stwierdził z zalem gruby jarl i skinął na niewolnika, pokazując mu pusty garniec. - Sporo w mym hufcu rannych ninie, a większość nawet broni zaczej nie ma. Jak tu wojować? Jak tu ojcowiznę odbijać?

No właśnie, pomyślał szyderczo Vidar, przyglądając się nieruchomemu, porażonemu rozpaczą Sveinowi. Jak tu wojować?

- Na Hladir trza uderzyć - odezwał się nieoczekiwanie Svein.

Siedzący na ławie mężowie spojrzeli na syna konunga ze skrajnym zdziwieniem.

- A dlaczego akurat na Hladir, Sveinie? - spytał Vidar, nieudolnie maskując złośliwy ton. - Czyżby pamięć waszego ojca była wam tak droga, że wolicie wprzód ojcowiznę odzyskać? Czyżbyście woleli sercem się kierować w chwili, gdy rozum potrzebny i rozważna...

- Z tak szczupłymi siłami nie możemy wydać Jomsborczykowi otwartej wojny - rzekł Svein pozornie opanowanym głosem, lecz w jego spojrzeniu pojawił się chłód. - Nie możemy też czekać. Ten cały Thorkil nie raz już pokazał, że nie jest głupcem. Jestem przekonany, że niebawem stanie przed starszymi na Frostatingu i zażąda, by uznali go królem, a następnie zmusi do posłuszeństwa cały Norveggr. Staniemy się wówczas jedynie zgrają banitów, a on będzie mógł posłać przeciwko nam wielką armię.

- Ale dlaczego akurat Hladir? - zapytał Grim, drapiąc się z wahaniem po łysiejącej czaszce. - Przecie Grimstadir bliżej, i bronione słabiej.

- Grimstadir jest niedużym gródkiem, Grimie, i jego odbicie na razie nic nam nie da. - Svein skrzywił się. - Wolę uderzyć na Hladir, które leży tuż pod Nidaros. Chcę, by wszyscy o tym ataku usłyszeli, chcę, by cały Norveggr wiedział, że ród jarłów z Hladir nie skończył się ze śmiercią konunga Trygvego. Chcę, by wszyscy mówili, że Svein syn Trygvego wciąż walczy!

W oczach wojownika pojawił się nowy blask; Hastein i Magnus wpatrywali się weń jak urzeczeni. Vidar poczuł, jak jego serce przepelnia wielka, bezbrzeżna wprost ulga. Pochylił głowę, by ukryć uśmiech, lecz wtedy usłyszał znów głos Grima, a w nim lekko kpiącą nutę.

- A co dalej, Sveinie? Jak chcecie utrzymać Hladir przeciwko hufcom Thorkila?

- Nie chcę. - Jarl wzruszył ramionami. - Pragnę jeno zdobyć gród, wyrznąć jego załogę i wycofać się zeń, by zebrać siły do kolejnego ataku.

- Aha - rzekł z udawaną powagą Grim. - A już myślałem, że macie jakieś dalsze plany co do mojego hufca. Na przykład rzucić go na Nidaros, coby więcej ludzi usłyszało, że Svein Trygveson toczy swe boje.

Kpiąca nuta oraz wyraźny akcent na słowach „mojego” oraz „swe” były aż nadto słyszalne i zaniepokojony Vidar uniósł wzrok.

Grim prowokował Sveina, dawał mu do zrozumienia, że jakikolwiek krok w kierunku restauracji rządów jarłów z Hladir będzie możliwy tylko dzięki jego ludziom.

- Na Nidaros pojedziemy razem, jarlu Grimie - powiedział uroczyście Svein. - Jako równi, jako bracia we krwi. A kiedy już odniesiemy zwycięstwo, poproszę was o oddanie mi Ingibjorgi, waszej córki, za żonę, coby waszą pomoc wynagrodzić i imię wasze wynieść.

Vidar skrył kolejny uśmiech, tym razem szerszy.

## ROZDZIAŁ 19

Tej nocy wiatry natarły na uśpiony Norveghr z ogromną, rzadko spotykaną siłą. Bez litości gięły do ziemi wiekowe świerki i spędzały fale wielkich rzek ku morzu, w swoim zuchwalstwie próbowały wstrząsnąć nawet prastarymi górami. Nie oszczędziły przy tym umysłów śpiących ludzi i wtłaczały im do głów przerażające, niespotykane dotąd koszmary. Wielu przeleżało całą noc bezsenne, wsłuchując się w posępne wycie władców nieba, inni budzili się co chwila spotniali i pytali, czy nastał już kres świata, jeszcze inni bezwolnie poddawali się torturze nocnych mar. Wreszcie nadszedł świt i moc wichrów nieco osłabła, lecz ludzie budzili się osowiali i rozdrażnieni, przeświadczeni, że nie czeka ich nic dobrego.

\* \* \*

Jarl Thorkil nie zmrzął tej nocy oka. Zdołał się już do tego przyzwycząić, sypiał źle od swego powrotu do Jomsborga i rozpoczęcia walki o Norveghr, lecz ten poranek powitał go huczącym bólem głowy. W miarę upływu czasu ból się potęgował i w momencie przybycia na Frostating sięgnął punktu kulminacyjnego, budząc w sercu jarla trudną do okiełznanania wściekłość. Pieśń rogów, którą Ragnar i Koskela powitali najzacieńszych godich Norveghru, rozsadzała mu czaszkę i z najwyższym wysiłkiem powstrzymał chęć sypnięcia przekleństwami. Zacisnął mocno zęby i wyprostował się w siodle, ze wszystkich sił próbując wyglądać godnie i dostojnie.

- Jesteśmy na miejscu, *herra min* - wyszeptał stary Gunnulf, który złapał jego konia za uzdę i zatrzymał go w miejscu. - Ninie zejść wam trza i stanąć przed starszymi. I powtórzyć słowa przysięgi.

Ból głowy był tak dotkliwy, że Thorkil nie mógł nawet skupić wzroku. Postać starego jomsborskiego kapłana rozmywała mu się przed oczyma, nie widział wyrazu jego twarzy, lecz w głosie dosłyszał wzruszenie.

Jasne, pomyślał, zeskakując na wilgotną trawę. Stary cap raduje się, że jego jarl stanie się konungiem jak tradycja nakazuje. Nie pojmuję, że ja już jestem konungiem tych ziem, nie wie, że nie tradycja mi w głowie, a jeno przychylność ludu zaskarbić sobie chęć.

- *Fylgið mér!* - warknął, być może nieco za ostro.

Przenikliwy wiatr wyciskał łzy z oczu, jarl przetarł je szybkim, nerwowym gestem i naraz wyraźniej ujrzał łagodne wzgórze zwane Frosta, na którym od wieków odbywały się tingi okolicznej ludności, później rozkazem konunga Trygvego wyniesione do rangi najważniejszych tingów w Norveghrze. Nie miał pojęcia, co zadecydowało o wyborze tego miejsca, lecz przypuszczał, iż być może wzgórze jest kurhanem jakiegoś wielkiego, dawno zapomnianego wodza. Było mu to zresztą obojętne, bardziej przejmował się teraz kilkoma dostojnymi starcami, oczekującymi na niego na szczycie wzgórza.

Przejmował się?

Ból naraz uderzył z ogromną siłą. Jarl z najwyższym trudem powstrzymał się od przyciśnięcia dłoni do skroni. Jednocześnie obudziła się w nim wściekłość. On, Thorkil Smocze Nasienie, miałby się przejmować tą garstką dygoczących ze strachu staruchów? On, który był świadkiem zdarzeń dzielących dwie epoki? On, który poderwał cały Midgard do walki w swej sprawie?

Zatrzymał się i zmierzył godich nienawistnym spojrzeniem. Po śmieci Bjørnsteina jarla Björgvin i Einara Myszołowa nie było już w Norveghrze mężów, których pozdrowiłby z szacunkiem, przekraczając wyznaczoną leszczynowymi gałązkami granicę tingu. Kilku innych godich zginęło w walkach, paru schroniło się w lasach bądź uciekło do krewnych, jedynie garstka zdecydowała się jak dotąd poprzeć Thorkila. Wiedział, że jeśli chce umocnić swe rządy, powinien zdobyć przychylność wszystkich co bardziej znaczących ludzi w Norveghrze, a jeśli w ogóle chciał o tym marzyć, powinien wprzód pokłonić się wszystkim, którzy zdołali dotrzeć na ting. Wiedział

jednakowoż, że przybyli tu jedynie ci, dla których stare prawa były ważniejsze od tego, kto zasiada na stolcu konunga, lub ci, których przywiódło tchórzostwo czy chęć przypochlebiania się nowemu panu. Gardził i jednymi, i drugimi.

- Gardzę wami - wyszeptał, a wiatr porwał jego słowa. - Kiedy tylko ucichną odgłosy walk, kiedy tylko mocno uchwycę ster rządów, każę rozwłóczyć wasze flaki po polu, wy obdartusy...

Sędziwi godi nadal stali niewzruszeni, a wiatr targał ich siwymi brodami. Pokrzykiwania hufca, z którym przybył do Frosta, mieszały się z wołaniem nielicznych gapiów, którzy pomimo niebezpiecznych czasów zdecydowali się przyjechać. Po niebie toczyły się stalowoszare, poszarpane chmurzyska. Jarl Thorkil nagle się zachwiał.

Światło, które zalało zbocza wzgórz, było wielokrotnie jaskrawsze i potężniejsze od blasku słońca w upalne południe. Porażony jego mocą Jomsborczyk z trudem odzyskał równowagę i odruchowo zasłonił przedramieniem oczy. Zniенаcka wyparował przenikliwy ból głowy, gdzieś znikła buzująca w nim wściekłość, zapomniał też o godich, którzy jeszcze chwilę temu budzili w nim żądzę krwi. Blask był tak wszechobecny i przenikliwy, że mimo zasłoniętych oczu jarl miał wrażenie, iż przenika do jego umysłu i wypala wszystkie myśli. Nic dziwnego, że najpierw uświadomił sobie, a dopiero potem ujrzał postać, której niewyraźne kontury zaczęły rysować się wśród strumieni światła.

Opuścił ramię i zmrużył oczy, chcąc wypatrzeć jakieś szczegóły, lecz zalew światła zazdrośnie je ukrywał. Niespodziewanie odczuł, że w jego sercu zaczyna kielkować osobliwy niepokój.

- *Heill sé yður*, Thorkil Nidhoggson - rozległ się czysty i melodyjny głos.

- Kim jesteś, na ruiny Bifrostu? - warknął Thorkil, nadal próbując przeniknąć wzrokiem aurę złocistego światła. - Kim jesteś i skąd znasz me imię?

- Kim jestem? Zalibyś nie wiedział, jomsborski szaleńcze? Jestem tym, którego przeznaczenie skazało na powrót do Midgardu po ostatniej bitwie. Jestem ostatnim z rodu Asów, Thorkilu, a samo to sprawia, że wiem wiele.

- I po co ci ta wiedza? - Jomsborczyk opuścił głowę niczym wilk szykujący się do walki. - Po co stajesz przede mną w świetlistej koronie, zapomniany bożku? Dumasz, że na kolana przed tobą padnę i czcić cię będę? Nic z tego! Świat dawnych bogów został zniszczony, a ich ciała rozwłóczyły olbrzymy podczas Ragnarokku! Oni odeszli, a ty wraz z nimi! Na nic twe tryumfalne manifestacje, na nic...

- *Þegiðu!* - W głosie świetlistego przybysza pojawił się rozkazujący ton. - Rację masz ino w jednym, Thorkilu. Mój czas już się skończył i dobrze o tym wiem. Nie mam więc zamiaru zmuszać nikogo, by klęknął przed mym majestatem.

- Czego więc tutaj szukasz, przybłądo? - Jomsborczyk zaśmiał się pogardliwie. - Dlaczego nie...?

- Kazałem ci milczeć! - Głos huknął z taką siłą, że Thorkil zatoczył się i złapał za uszy. - Długo dumałem, dlaczego przeznaczenie zmusiło mnie do zejścia między ludzi w czasach, gdy ci zwrócili się już ku innym bogom. Ninie wiem wszystko, jomsborski zbroju. Pojawiłem się tutaj, by powstrzymać ciebie.

- Czuję się zaszczycony! - prychnął Thorkil pomimo nawrotu pulsującego bólu. - Rad jestem, że bogowie uznali mnie za tak wielkie zagrożenie, że wysłali jednego ze swoich, by mnie powstrzymał. Płonne jednak twe nadzieje, nie lękam się...

- Nie obchodzi mnie, czy się lękasz, czy nie. - W głosie przybysza pojawił się znów spokój. - Wiedz tylko, że nie bogowie mnie wysłali, ale przeznaczenie. To przeznaczenie chce, by ostatni wyrzutek ze świata martwych bóstw został pokonany i zniszczony przez swego rodaka. Zastanów się więc dobrze, czy strach nie jest aby dobrym rozwiązaniem.

- Miałbym się bać? A czego, Baldrze? Twoich słów? Tego światła? Przecie to nie twój świat, nie masz tu armii, nie masz sojuszników ni żadnych wyznawców. Jesteś jeno wspomnieniem, dawną opowieścią!

- Mam sojuszników, Thorkilu synu Nidhogga. Potężniejszych, aniżeli ci się wydaje. Nie przez przypadek



przeznaczenie zesłało tu mnie, boga tak podobnego do tego, który objął rządy nad Midgardem zaraz po nas. Twoje dni są policzone, jomsborski szaleńcze. Twój czas minął. Oddaj Norveghr tym, którym się należy.

Głos ucichł, a blask znikł równie nagle jak się pojawił. Thorkil zamrugał i niespodziewanie ujrzał zaniepokojone twarze otaczających go towarzyszy. Po trawiastym zboczu wzgórza schodzili pośpiesznie godi, niektórzy wspierając się na laskach.

- Nic się wam nie stało, panie? - dopytywał się zatroskany Gunnulf.

Thorkil uświadomił sobie, że starzec trzyma go pod ramię i gładzi po włosach. Wyrwał się z dzikim szarpnięciem i obrzucił zaskoczonego kapłana nienawistnym spojrzeniem.

- Zakończmy tę zabawę - rzekł głucho, dźwigając się na nogi. - Ragnar, popędź tych starych przyków. Mus nam w te pędy do Nidaros wracać i ludzi skrzykiwać. Koskela, roześlij kruki. Niech się upewnią, czy ten dureń Eythor aby na pewno dopadł naszego biskupa.

Swioński høvding uniósł krzaczaste brwi, a w jego oczach koloru kryształków lodu pojawiło się pytanie. W tej samej chwili dostrzegł jednak na twarzy jarla wyraz tłumionej z trudem furii i ugryzł się w język.

- *Skal gert, herra min.*

- Odnajdę tych twoich sojuszników, Baldrze - szepnął Thorkil, wpatrzony w wyraźnie widoczne już wzgórze, na którym objawił się zapomniany bóg. - Odnajdę ich i wyrznię do nogi, choćbym miał przy tym przeorać cały ten chędożony kraj.

\* \* \*

Viglund Vidarson nie zdawał sobie sprawy, że najprawdopodobniej jest jedynym człowiekiem w Norveghrze, który dobrze spał tej nocy. Obudził się na krótko przed świtem, rozpałił ogień i zabrał do przygotowywania koni. Kilku towarzyszy, którzy odrzucili mokre od wilgoci derki chwilę po nim, ze zdumieniem dostrzegło, że usta młodego berserka są rozciągnięte w delikatnym uśmiechu.

Godzinę później, gdy między oblepione rudymi liśćmi gałęzie lasu bukowego wślizgnęły się pierwsze promienie słońca, a orszak biskupi ruszał w drogę, Viglund nadal nie przestawał się uśmiechać. Wkrótce towarzysze biskupa Helmgartha nabrali przekonania, że przez noc w sercu młodzieńca zaszła jakaś tajemnicza odmiana. Nie był już tym samym ponurym samotnikiem, który od kilku dni wspólnej wędrówki psuł wszystkim nastroje nieprzychylnymi spojrzeniami i złośliwymi obelgami. Nie był tym samym gburem, który w niewybrednych słowach poganiał jadących najwolniej i odnosił się z niechęcią nawet do samego biskupa. Tego dnia Viglund jakby zapomniał o całym świecie. Nie oglądając się na nikogo, wysforował się na czoło zastępu i bez słowa dostosował swą prędkość do pozostałych, a jadący tuż za nim przysięgali, iż przez cały czas fałszywie pogwizdywał jakąś wesołą melodię.

Jego radość, choć cicha i skrywana, okazała się zaraźliwa. Nikt z drużynników biskupa Helmgartha nie spał tej nocy dobrze i przebudzeni towarzyszyli wiązanki przekleństw i narzekań, lecz teraz, gdy słońce rozproszyło już mgły i wzniosło się na wysokość gałęzi drzew, pojawiły się żarty i przekomarzenia. Tuż przed pierwszym popasem stary Hrafn, który przez całą drogę drzemał w siodle, z łoskotem zsunął się na ziemię. Widok jego zaskoczonej, rozspanej twarzy wywołał salwy śmiechu wśród wojaków i ponura atmosfera wreszcie prysła na dobre.

Pierwsze dni wspólnej wędrówki nie były bowiem przyjemnym doświadczeniem dla biskupa oraz jego towarzyszy. Początkowy entuzjazm, wywołany zwycięstwem nad ludźmi jarla Thorkila, szybko zgasł, gdy Viglund zaczął dawać do zrozumienia, że za nic ma wielką misję biskupa, a przystał do niego tylko z nienawiści do ich wspólnego wroga. Zarzucił również tchórzostwo Hrafnowi i jego ludziom, co nieomal doprowadziło do burdy. Biskupowi z największym trudem udało się pogodzić zwaśnionych, lecz od tej pory ich wędrówce towarzyszyła atmosfera napięcia i wzajemnej wrogości. Poza tym, w mijanych osadach przyjmowano ich najczęściej chłodno lub co najwyżej z obojętnością. Miejscowy lud sprzyjał konungowi Trygvemu, lecz przede wszystkim cenił sobie spokój

i ciszę, dlatego też z obojętnością powitał zmianę na stolcu w Nidaros. Widok zbrojnej eskorty biskupa mitygował chłopów, tak więc przychodzili posłuchać jego płomiennych kazań, lecz na tym się kończyło. Nikt nie chciał stawać po stronie wciąż niepopularnego Boga na Krzyżu i narażać się tym samym na gniew nowego pana Norveghru, który otwarcie świątków gnębił i ponoć katedrę nawet zniszczył. Kilku słuchaczy zdecydowało się przyłączyć do orszaku, mając na uwadze wierność wobec swego dawnego konunga, miłość do Boga lub strach przed Jomsborczykami, lecz było ich o wiele mniej, niż zakładał biskup, z dnia na dzień coraz bardziej ponury.

Tymczasem, choć od gór Nordlandu, gdzie ponoć kryli się Svein Trygveson i Grim z Austfjordu wraz z posłusznymi im hufcami, dzieliło ich jeszcze kilka dni drogi, a liczebność biskupiej świty wcale nie zwiększyła się wielce, wśród jego ludzi zapanowały lepsze nastroje. Wojowie rozmawiali ze sobą wesoło i śmiali się podczas popasu, a do pierwszej osady tego dnia, niewielkiego sioła myśliwych i Smolarzy, wjechali z dumnymi, hardymi minami. Viglund zaś, który tradycyjnie trzymał się na uboczu, nie przestawał się uśmiechać do własnych myśli.

Tego dnia do biskupiego zastępu przyłączyło się aż piętnastu zbrojnych, głównie niedobitków z hufców wysłanych pod Aslund, rozbitych z zaskoczenia przez siły buntowników. Wraz ze zwiększeniem się liczebności orszaku zmieniło się również nastawienie odwiedzanych osad. Starsi ostatniej z nich nie zaproponowali co prawda biskupowi gościny, ale na odchodnym wręczyli mu kilkanaście bochnów chleba, sporo wędzonego mięsiva oraz beczułkę zacnego piwa. Tego wieczoru znad rozpalonych ognisk pomknęły ku ciemniejącemu niebu smakowite zapachy oraz salwy śmiechu, a biskup, którego wieczerza składała się z dwóch kromek chleba oraz kubka wody, postanowił odnaleźć Viglunda.

Młody berserk siedział na uboczu, wtulony w korzenie starego buku, i zagryzał pęto suchej kielbasy. Widok biskupa całkiem go zaskoczył - zamrugał z niedowierzaniem, po czym odrzucił kielbasę i poderwał się na równe nogi, posłuszny nawykowi zaszczepionemu mu jeszcze przez ojca.

- Siedźcie. - Helmgarth chrząknął i machnął sękatą dłonią, również próbując zatuszować zaskoczenie. Nigdy nie spodziewałby się takiej reakcji po tym, jak młody Vidarson traktował go wcześniej. - Razem pielgrzymujemy, synu, razem niedolę cierpimy, tedy zaniechajmy zbytniej czołobitności.

- Prawie rzeczenie - burknął Vilgund i usiadł. Sprawiał wrażenie, jakby żałował już odruchu oddania czci staremu kapłanowi.

- Co was tu sprowadza?

- Podziękować wam chciałem.

- Już mówiłem, *fadir*, żem nie z miłości do was to uczynił. Thorkilowi przeciwny jestem, tedy jego wroga postanowiłem ocalić. I wcale nie wiem, czy dobrze uczyniłem.

Wypowiedział jednakże te słowa bez typowej dla siebie zjadliwości i sędziwy biskup uśmiechnął się lekko.

- Dobrzeście uczynili i w swym czasie Bóg wam to wynagrodzi, synu. Nie za to jednak dziękować wam chciałem.

- A za co? - zapytał chłopak, krzywiąc usta.

- Całkiem tego nie pojmuję, Viglundzie, ale wydajecie się najważniejszą osobą w tym orszaku. Najpierw wybawiliście mnie i Hrafna od śmierci niechybnej, a ninie wasz uśmiech pokrzepia wszystkich, na duchu podnosi i naszemu szczęściu dopomaga. Wielcem ci wdzięczny, synu.

Mrok był coraz głębszy, a na granatowym niebie nad ich głowami migotały już pierwsze gwiazdy, lecz mimo to na bladej, opromienionej blaskiem nieodległych ogni twarzy Viglunda biskup dostrzegł kolejny uśmiech. Zachęcony, wciągnął głęboko w nozdrza zapach bukowego lasu przemieszany z mocną wonią dymu i mówił dalej:

- Wątpiłem, przyznam szczerze. Czuję się całkiem bezwolny, gdy Thorvald i Hrafn wywlekali mnie z katedry. Czuję przerażenie, widząc islandzkich wojów w Eikby, a obojętność ludzi w mijanych przez nas wioskach odebrała mi resztki nadziei. Dzisiaj jednak oddaliście mi cząstkę wiary w siebie i w powodzenie naszej misji. Jakże

to się dzieje, Viglundzie? Jaki cud to sprawił?

- Może zaiste był to cud? - wyszeptał młodzieniec, wpatrując się w ogniska.

Jeden z wojów, który przyłączył dziś do hufca biskupiego, opowiedział właśnie jakąś historię, na którą reszta zareagowała głośnym rechotem.

- Jedno tylko nie daje mi spokoju - ciągnął biskup, jak gdyby nie dosłyszał słów Viglunda. - Ciężmiem myślę o objawieniu owym, któregośmy doznali w Eikby... Hrafn twierdzi, że to Baldr był, syn Odynowy. Niby ochrzczony, a mimo to nie boi się ust kalać imieniem pogańskiego bożka. Lękam się jednak, że rację ma mój stary przyboczny, a to znaczy, że grzech najcięższy popełniamy. Nie lza przecie nikomu, kto w Bogu naszym szczerze wiarę pokłada, ufać słowom bożka! Jeśli wypełnimy wolę tego diabła, czekają nas setki lat smażenia się w ogniu piekielnym! Tak być nie może, uwierzcie mi... Nie powinniśmy dalej iść ku górcom Nordlandu, trza nam zawrócić, sprzymierzeńców wiary naszej poszukać...

- Jakich sprzymierzeńców? - W spojrzeniu Viglunda na nowo pojawiła się stal.

- Nie wiem - zawahał się biskup. - Synu, przecie wy również ochrzczeni i boskim przykazaniem wierni. Naprawdę zawierzyliście słowom tego bożka?

- Nie wydaje mi się, by próbował nas oszukać. - Viglund przygryzł wargę. - Grim z Austfjordu mógł się wycofać tylko w góry Nordlandu, bo leżą niemalże na granicy jego ziem. Co zaś do powrotu Sveina... *Já, ég trúi, faðir*. Wierzę, że mąż taki jak Svein Trygveson nie poddał się losowi i wrócił do Norveghru. Wierzę i basta.

- Mówicie tak, bo wam ów bożek coś obiecał! - Helmgarth wstał, wzburzony. - Omamił was! Zawszeście byli Bogu przeciwni, zawsze złym okiem na mnie pozieraliście! A ninie przekupił was diabeł czczymi słowy! Wiem ci ja już, skąd ta wasza nagła radość!

Viglund również się poderwał, szybko niczym myśl. Jego dłoń płynnie wyrwała zatknięty za pas sztylet, palce pochwyliły za ostrze i uniosły go do rzutu. Przerażony biskup wykrzyknął i cofnął się o krok, lecz srebrny pocisk przemknął tuż nad jego ramieniem. Jedno uderzenie serca później rozległ się przeraźliwy skrzek i z niskiego konara rozłożystego buku spadł ciemny, skrzydlaty kształt.

- *Hrafn!* - krzyknął któryś z wojów.

Wokół ognisk zapadła całkowita cisza, w której nagle rozległo się wyraźne, oddalające się krakanie.

- Był jeszcze jeden - rzekł wzburzony Viglund. - Dość tego mielenia językiem, *faðir*. Dość ognisk i popasów. Zbierajcie drużynę. Czas nam w drogę. Ku górcom Nordlandu.

\* \* \*

- Myślisz, że spodobał mu się sen, który wysłałam doń tej nocy? - zapytała zadumana Thyra.

Unna na moment przestała mieszać w zawieszonym nad ogniem kociołku i spojrzała z krzywym uśmiechem na dziewczynę.

- Takie sny nie mogą się podobać lub nie podobać, malutka - mruknęła. - Nie od tego są. Takie sny służą jedynie temu, by namieszać komuś we łbie.

- Drocysz się ze mną. - Dziewczyna nadąsała się i podciągnęła kolana pod brodę.

- Nie, wcale nie - zaprzeczyła trollica. - Po coś słała ten sen?

Thyra zapatrzyła się w żółtawe promyki, liżące dno okopconego garnka. Śniła wiele obrazów tej nocy. Była wśród nich wizja jej samej, siedzącej na ławeczce przed chatką z zawiniętym w chusty niemowlęciem, mrużącym oczka w blasku słońca. W innym śnie pojawił się sam Viglund, nachylony nad kołyską, ostrożnie dotykający rączek maleństwa. Byli tam również oboje, siedzący przy wieczornym ogniu, milczący, lecz uśmiechnięci. Tak, utkała swe wizje z najpiękniejszych marzeń, lecz po co je wysłała? Po co chciała, by je poznał?

- Wiesz, wydaje mi się, że to będzie chłopiec - powiedziała niespodziewanie, dotykając dołu brzucha. -

Chciałabym, żeby to był chłopiec. On też by chciał.

- Każdy mąż marzy o chłopcu - przytaknęła trollica, która zdążyła już poznać całą historię życia Thyry. - Gdybyś urodziła chłopca, łatwiej by ci przyszło usidlić jego ojca, to pewne.

- Usidlić. - Thyra uśmiechnęła się smutno. - Na wszystkich bogów, Unno... Snuję piękne marzenia i wtłaczam mu je do głowy, a przecie nie pomnę już, że mnie z chaty wyciepnął, że mnie sponiewierał i znieważał, a ninie służy obcemu jarlowi. Głupia gęś ze mnie i tyle... Wdzięczna ci jestem, że mi o tym przypominasz.

- Nie jesteś głupia, Thyro - rzekła cierpliwie trollica, odłożywszy chochlę. - Na pewno nie. Odnalezienie w sobie miłości do tego, którego zdążyłaś nienawidzić, jest wielkim cudem i zarówno Baldr, jak i ów nowy bóg, który przybył zza morza, pewnością pobłogosławiłby cię za to. Nie dziwię się, że tracisz czasami nadzieję, ale w takich chwilach pomnij słowa Baldra. Masz śnić o swym Viglundzie, bo on cię potrzebuje. Skoro zaś cię potrzebuje, tedy pojmie pewnikiem, żeś mu pisana.

- Potrzebuje mnie - prychnęła dziewczyna i pokręciła z niedowierzaniem głową.

Trollica nuciła jakąś pieśń po lapońsku i cierpliwie mieszała w kociołku, próbując co jakiś czas wywaru. Thyra zaś siedziała nieruchomo i wpatrywała się w postrzępione chmury, widoczne w wejściu do pieczary. Na jej twarzy było znać ślady wielkiego napięcia.

- No, już gotowe - oceniła trollica i podała jej chochlę. - Wypij, to cię wzmocni.

- Potrzebuje mnie - powtórzyła dobitnie Thyra, nadal zapatrzona w sunące powoli chmury. Nawet nie zauważyła łyżki. - Spróbuję mu tedy pomóc, ale nie snami. Unno, ruszamy w drogę.



Vidar również nie zmrużył tej nocy oka, lecz winę za to ponosił tylko i wyłącznie nieubłagany Svein Trygveson.

Następca tronu Norweghru, przyczajony za wielkim, omszałym głazem nieopodał, w niczym nie przypominał już milczącego, pogrążonego w rozpacz człowieka, który zasiadł do walnej narady z Grimem. Metamorfoza w zdecydowanego, tryskającego energią przywódcę wojennego nastąpiła błyskawicznie. Ledwie narada dobiegła końca, a już Svein domagał się zebrania wszystkich ludzi Grima. Nim nastąpiła noc, zdążył wybrać stu najlepiej uzbrojonych wojów, podzielić ich na mniejsze drużyny, przydzielić im konie oraz wybrać możliwie najlepszy oręż. Jarl z Austfjordu za późno się zorientował, że całkiem utracił inicjatywę, i ze wszelkich sił próbował ją odzyskać, lecz Svein nie zwracał już na niego zbytnej uwagi, podobnie zresztą jak jarlowi wojowie, którzy również chętnie słuchali rozkazów energicznego następcy tronu.

- Czemu nie każecie mym ludziom ninie w drogę ruszać?! - pokrzykiwał wzburzony Grim, usiłując nadążyć za stawiającym długie kroki Trygvesonem. - Noc już idzie!

- Doprawdy? - Tamten przystanął gwałtownie. - Juźci, prawie rzeczecie, ciemno się robi. Ostaniemy tedy pewnie, przecie żaden zbój ani się waży po nocy wojować!

Odpowiedź wzbudziła salwy śmiechu zbrojących się wojów, na co pocerwieniwały Grim odwrócił się na pięcie i odszedł. Chwilę później Svein poderwał cały hufiec do forsownego marszu ku Hladir. Jarl z Austfjordu jechał na czele, mężnie ignorując skrajne znużenie, lecz nie odezwał się do Sveina ani słowem. Vidar przeczuwał jednak, że nie przestaje rozpamiętywać doznanego upokorzenia.

Jeśli syn konungowy rychło go nie udobrucha, pomyślał, szybko doczeka się wroga w osobie swego jedynego sojusznika.

Wychylił się nieco i dojrzał zarys ogromnej postaci jarla z Austfjordu, który klęczał przy omszałej, wilgotnej od rosy brzozie i słuchał szepczącego mu coś do ucha Hasteinie. Twarz rubasznego, otyłego woja była teraz jak wykuta z kamienia, a jego oczy błyszczały wśród rzadniejących ciemności.

Nadal jest wściekły, uświadomił sobie skald. Wściekły jak osa.

Szybko dopasowałeś się do nowej sytuacji, Vidarze, szepnął dobrze mu znany głos w głębi duszy. Bez sprzeciwu uznałeś ją za swoją. Walczysz o kraj, który opuściłeś, przeciwko wrogom, którzy są ci obojętni...

Nie są mi obojętni, zaprotestował w myślach. Oni zabrali Viglunda... Boże ukochany, jak bardzo wierzę w to, że to on ocalił mi życie na Tingvellir. Jak bardzo wierzę w to, że odstąpił od tych, którzy wyczuli jego słabości. Boże litościwy, nie daj nam się spotkać na placu boju.

Myśl ta otrzeźwiła go i znów wysunął głowę zza pnia, by przyjrzeć się wałom Hladir, siedziby rodowej konunga Trygvego. Czarne na tle szarzejącego już nieba, otulone rzadkim welonem mgieł, przypominały masywną, skalną fortecę, broniącą wędrowcom dostępu do brzegów fiordu. Co rusz unosiły się nad nimi chmary skrzeczącego przeraźliwie ptactwa. Zimny, poranny wiatr przynosił strzępy pokrzykiwań załogi, choć nic nie wskazywało na to, by na wałach i na strażnicy nad bramą czuwało wielu ludzi. Svein dobrze wybrał porę ataku - na godzinę przed świtem człowieka ogarnia największa sennaść i czujność obrońców spada raptownie. Uświadomiwszy sobie ów fakt, Vidar poczuł, że serce zaczyna bić mu żwawiej. Wszystko wskazywało więc na to, że zaraz ruszą do ataku.

Kątem oka dostrzegł, iż Svein nawołuje gestami swych towarzyszy. Postąpił ku niemu zgarbiony, starając się jak najostrożniej stawiać stopy pośród zeschniętego listowia, tak więc stracił pierwsze zdania.

- ...Pół godziny powinno wystarczyć, bo potem mgła zacznie się rozpraszać - rzekł tryumfalnie Svein. - Będziemy mieli ich w saku.

- Jak? - sapnął Vidar. - Mógłbyś powtórzyć?

- Syn konungowy zdradził nam właśnie, że do Hladir wie dzie tajemne przejście - oznajmił oschle Grim. - Chce tamtędy po kryjomu posłać część hufca do grodu, a samemu stawić się pod bramami i za jeńca podać.

- Ojciec miał łeb na karku. - Svein uśmiechnął się przebiegle. - Przeczuwał, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym będzie mu trza z ojcowizny uciekać, nie przewidział jednak tego, że kiedyś jego własny syn spróbuje chyłkiem się tam wdrzeć!

- Chcesz się dać skrepować i za jeńca uchodzić? - spytał ze zdumieniem Vidar. - Nie przejrzą podstępny?

- Onemu Thorkilowi wiele band swiońskich i miejscowych służy. Nikt ich wszystkich nie pamięta, a co dopiero nowy władca Hladir. Juźci, spętacie mnie i z hardymi minami podjedziecie przed bramy grodu, o wpuszczenie prosząc. Któż odmówi, widząc konungowego syna w pętach? Przecie każdy z tych psubratów nagrody łasy.

- Po co wam to? - Grim skrzywił się. - Po co to przedstawienie, Svein? Nie moglibyśmy wszyscy owym tajnym tunelem wleźć?

- Jeno on wąski, ledwie jeden mąż się przecisnie. Gdyby Thorkilowi ludzie za wcześniej was dostrzegli, jarlu, część hufca zostałaby uwięziona. Lepiej więc się podzielić i uwagę wroga przyciągnąć, wtedy wojowie idący tajnym przejściem większe szanse mieć będą, by niespostrzeżenie wdrzeć się do grodu i przypuścić atak od tyłu na obrońców. Szkopuł jeno w tym, że dowodzić nimi musi mąż bitny, nieulekły i szybko decyzję podejmujący, a przy tym przez ludzi szanowany. Chciałem was o to prosić, Grimie, ale...

- Ale co? - nastroszył się jarl z Austfjordu. - Męstwa mi nie brakuje!

- Tuszczyku również, jarlu. A tunel wąski jest...

Hastein zagryzł wargę, a Magnus odwrócił głowę. Vidar utrzymał powagę, lecz kąciki jego ust wygięły się niebezpiecznie, zwiastując hamowaną z trudem wesołość.

Drań, pomyślał z aprobatą. Jarl Grim zawdy lubił żarty ze swej tuszy i sam pierwszy zwykł je rzucać. Ciekawe, czy Sveinowi uda się go tym udobruchać?

W rzeczy samej, opasły woj sapnął, chrząknął i przetarł spotniałe czoło, a gdy spojrział ponownie na Sveina, w jego oczach po raz pierwszy od wielu godzin błysnęło rozbawienie.

- Jak trza będzie, zawlekę cię na dół, za łeb uchwycę i twoimi zębiskami tunel poszerzać zaczę - oznajmił. -

Coś mi je za często szczerzysz, smyku jeden! Gdzie to przejście?

- Tu. - Svein wskazał omszały głaz, za którym się kryli. - Odgarnijcie listowie po prawej stronie, a ujrzycie drewnianą klapę. Weźcie cztery dziesiątki ze sobą, mnie wystarczą dwie. Reszta niech czeka przy koniach pod wodzą Hasteina i w te pędy wjeżdża do Hladir, gdy tylko ich pieśń rogu obwoła.

- *Mjög vel.* - Jarl skinął głową. - Kiedy uderzać mamy?
- Gdy usłyszycie, że otwierają bramę.

\* \* \*

Ziemia zadrżała jakiś kwadrans później.

Niewielki orszak jeźdźców wypadł z lasu i popędził ku bramom Hladir. Wojowie krzyczeli tryumfalnie i wymachiwali bronią, a prowadzący Magnus Focza Skóra, który zamaskował twarz hełmem z nosalem, dał co chwila w róg. Rozhukane konie, którym najwyraźniej udzieliła się brawura jeźdźców, rżały przeraźliwie i targały łbami. Naokoło strzelały bryzgi błota i wody z kałuż, a chmury przerażonego ptactwa znów wzbily się ku szaremu niebu.

Było coraz jaśniej i jadący z tyłu Vidar dostrzegł, że ptaki te jeszcze przed momentem obsiadały bale szubienicy, na której wisiało kilkanaście skurczonych, najprawdopodobniej objedzonych już trupów.

Ani chybi domownicy Hladir, pomyślał ze zgrozą i odsunął na chwilę kaptur, by zerknąć na otoczonego wojami Sveina. Syn konunga jednakże, nawet jeśli zauważył ciała swych niedawnych towarzyszy, zabitych i sponiewieranых przez najeźdźców, nie dał tego po sobie poznać. Siedział wyprostowany, z mrocznym obliczem, i patrzył martwo przed siebie.

Magnus ponownie zadał w róg. Chrapliwa pieśń uderzyła w olbrzymie wały grodu, wzdłuż których poruszały się już niespokojne ogniki pochodni. Coraz bliższe drewniane wrota Hladir, które konung Trygve chciał swego czasu zastąpić stalowymi, wykutymi przez karły, pozostały jednak niewzruszone.

- *Bíðið!* - wrzasnął Magnus, unosząc dłoń.

Jeźdźcy jeden po drugim ściągali wodze i niewielki hufczyk zatrzymał się w odległości kilkunastu kroków od bramy. Zapadła cisza, przerywana jedynie sapaniem lekko zdyszanych, drobiących w miejscu koni oraz głośnymi obelgami wojów, tu i ówdzie popartymi szczękiem oręża. Magnus wyjechał przed swoich ludzi, a kopyta jego konia roztrąciły ostatnie niteczki porannej mgły.

- *Hver era ð koma?!* - krzyknął któryś z obrońców Hladir.

Ogniki pochodni skupiły się już na strażnicy broniącej wrót i na hełmie byłego høvdinga floty strażniczej Norveghru zatańczył blask płomieni.

- Otwieraj wrota, pacholku! - wrzasnął stary Islandczyk Steinni i pogroził strażnicy mieczem. - Kozy ci pasać, a nie...

Vidar uśmiechnął się, widząc błysk znajomych runów na klindze Steiniego. Wziął głęboki oddech i po raz kolejny spróbował uspokoić bijące szybko serce. Odruchowo oparł dłoń na rękojęści własnego oręża.

- Jeszcze raz pytam... - zaczął strażnik.
- Stul pysk! - ryknął straszliwym głosem Magnus, po czym zadarł głowę, zaplótł ręce na piersi i oznajmił:
- Jam Njorri Czarna Tarcza, a to mój hird! Służymy Ragnarowi Niszczycielowi Drakkarów!
- Nigdym o was nie słyszał, Njorri! - dobiegł ten sam głos ze strażnicy.
- To usłyszysz, psi synu! - huknął Magnus. - Rychło bowiem ludzie zaczną gadać: „Oto Njorri, co rozbił hird syna konungowego i jego samego w niewolę pojął!”.

- Bredzisz, przybłędo! - Strażnik zaśmiał się. - Mus, że wywiało ci resztki rozumu z pustego łba, ty...

- Dawajcie suczego syna! - warknął Magnus, odwracając się ku swym towarzyszom.

Jeden z wojów zeskoczył z siodła, pochwyił za uzdę konia, na którym siedział spętany Svein, i poprowadził go

ku bramie wśród dzikich, pogardliwych okrzyków i obelg reszty oddziału. Ktoś splunął mu prosto w twarz, ktoś inny uderzył go pięścią w ramię, a jeszcze inny naparł nań koniem, wzbudzając salwę śmiechu pozostałych. Wszystko to było ustaloną wcześniej częścią przedstawienia, które Trygvesson zamyślił odegrać na rzecz zdobywców Hladir, lecz Vidar nie był w stanie opanować narastającego zdenerwowania. Zamknął oczy i naciągnął mocniej kaptur, dziękując Bogu, że Svein wybrał do swego zastępu nie tylko najbitniejszych, ale też najbardziej opanowanych wojów. Gdy po chwili rozwarł powieki, syn konunga był już przy Magnusie, opromieniony blaskiem pochodni. Po jego policzku, poczerwieniałym od tłumionego wzburzenia, spływała wolno płwocina.

- Znam ci go! - rozległ się inny głos, z lekka sepleniący. - To syn konungowy, jakim Olve! Nieraz widziałem psubrata...

- *Pegiðu* - rozkazał pierwszy strażnik. - Słyszeliśmy, że szczenię Trygvego na Islandii wojować próbowało, dopóki go jarl nie rozbili i w niewolę nie pojmali! Jakże więc się do Norveghru dostał? Skrzydeł nie widzę, tedy pewnikiem morze przepłynął!

- *Ég veit ekki*. - Magnus uniósł dumnie głowę i szyderczo wykrzywił usta. - To już jarl Thorkil sam ustali, ty nieszczęsny szczynochleju. Bądź jednakowoż pewien, że jeśli zechce wiedzieć, dlaczego jeniec dotarł tak późno, nie zawaham się wskazać na ciebie.

- Próżne twe groźby, o wielki Njorri! - zadrwił strażnik. - Jarl na Frostating pojechali, tedy niepotrzebny twój pośpiech.

- *Ég veit* - rzekł niewytrącony z równowagi Magnus. - A któż ci powiedział, że do Nidaros zmierzam? Otwieraj wrota, żabia mordko! Konie trza nam zmienić, od dwóch dni za jarlem bierzemy!

Vidar wstrzymał oddech. Magnus był niezrównanym żeglarzem, ale słabo się znał na koniach i najwyraźniej zapomniał, że nawet mało doświadczony jeździec bez trudu rozpozna, które zwierzęta są zdrożone. Te, na których zjechali z gór Nordlandu, wcale na wielce zmęczone nie wyglądały. Uniósł lekko kaptur i z obawą zerknął ku wojom z załogi Hladir, którzy pograżyli się w cichej wymianie zdań. Świt rozjaśnił świat do tego stopnia, że już było widać ich zarośnięte, nieprzychylnie twarze.

- Otwórzcie wrota - zdecydował w końcu pierwszy ze strażników, ten sam, który okrzyknął zastęp. - Damy darmożjadom, czego chcą.

- Pies ci mordę lizał - burknął Magnus i odwrócił głowę, jakby nie chciał, by dostrzeżono ulgę na jego twarzy.

Vidar wolno wypuścił ustami powietrze i zmówił w myślach modlitwę, po czym namacał rękojeść swego starego runicznego miecza. W całym oddziale ucichły nagle obelgi, wszyscy z napięciem wpatrywali się w masywne, zbudowane z ciężkich, poczerniałych bali wrota. Niespodziewanie zerwał się wiatr, zimny, niemal zimowy. Z drwiną targnęła włosami Vidara, które na chwilę przesłoniły mu widok. Gdy je odgarnął niecierpliwym gestem, rozległo się głośne skrzypnięcie i między skrzydłami bramy pojawiła się powiększająca się ciemna szpara, rozświetlona blaskiem ostatnich pochodni.

Steinni pochylił się w siodle, siedzący dalej Kormak splunął siarczyście i wyprostował się, ktoś szepnął cicho, ktoś inny zaklął. Niemalże namacalne napięcie ogarnęło ich niczym lepki miód, wysysając ciepło z ciał i odwagę z serc. Szpara była coraz większa, już zmieściłby się w niej koń z jeźdźcem... Vidar z trudem zwalczył pokusę uderzenia piętami końskiego boku.

Jeszcze chwila, napomniał się w myślach. Jeszcze trochę...

Niespodziewanie z grodu dobiegły dzikie wrzaski, a potem rozległ się szczęk oręża, do którego dołączył okrzyk bólu. Szpara naraz przestała się powiększać, a głowy wojów na strażnicy odwróciły się od przybyszów.

- Zdrada! - ryknął dowódca straży. - Zamykać bramę!

Głowy obrońców znikły, a w ich miejsce wyrosły długie drzewca napinanych pośpiesznie łuków. Ku hufczykowi pomknęły pierwsze strzały, wznecając jęki boleści. Szpara między wrotami zaczęła się zmniejszać, lecz Svein

strząsnął już prowizoryczne pęta i rzucił się ku bramie z twarzą wykrzywioną nienawiścią.

- Grim, rozszarpie cię, ty beczko smalcu! - ryczał, sięgając po miecz, który zawczasu przytroczył do pleców i przykrył brudną derką. Błysnęły srebrne karle runy, opromieniając kurczącą się szparę. - Za Trygvego! Za konunga!

- Za konunga! - wrzasnął pobladły Magnus, próbując wyszarpnąć strzałę z piersi.

- Za konunga! - zawyli pozostali wojowie.

Jeden po drugim dobywali broni i ruszali w ślad za swym przywódcą, który wślizgnął się między zatraskujące się wrota. Po belkach bram i masywnym cielsku wałów rozbiegł się blask wznoszonych runicznych mieczy, ostatnich karlich mieczy w Midgardzie, wykutych na stokach plującej ogniem Hekli. Ich nieziemskie lśnienie poraziło obrońców, którzy opuścili luki i zasłonili oczy, a wtedy nadbiegający wojownicy z całej mocy natarli na bramę. Wciąż nieodknięte wrota stawiały przez chwilę opór, lecz Svein nie próżnował. Choć walczył osamotniony, dzika furia dodała mu sił. Ciemna szpara rozbłysła raz i drugi srebrnymi runami, a każdemu błysnięciu odpowiadał wrzask kolejnego powalonego przeciwnika. Niespodziewanie wrota ustąpiły i oczom pracujących naprzód wojów ukazał się dziedziniec Hladir oraz sam Svein, stojący z uniesionym, świetlistym mieczem w kręgu zabitych wrogów. Zewsząd biegli ku niemu zaskoczeni, lecz pokrzykujący gniewnie obrońcy.

- Śmierć i chwała! - ryknęli rozjuszeni przybocznicy i ruszyli na odsiecz swemu høvdingowi.

Ponad krzykami walczących i szczękiem oręża poniosła się pieśń rogu, przyzywająca posiłki z lasu. Odpowiedziały jej tryumfalne, coraz bliższe wrzaski wojów Grima.

Chciałbym, żebyś tu ze mną był, Viglundzie, pomyślał Vidar, po czym uniósł miecz i rzucił się do walki.

## ROZDZIAŁ 20

Smagany strugami ulewnego deszczu ogień syczał z gniewem, lecz piał się uparcie, obejmując kolejne fragmenty ścian ogromnej halli. Znad tylnych partii budowli, gdzie go zaproszono najwcześniej, unosiło się już wielkie ogniste skrzydło, targane porywistym wiatrem znad nieodległego morza. Blask pożaru odbijał się w szeroko otwartych, przerażonych oczach jeńców klęczących w błocie.

Vidar przygryzł wargę. Wiedział, co za moment nastąpi.

- Vane Sigurdsonie! - odezwał się chrapliwym głosem Svein, ściągając hełm. Jego jasne włosy rozsypały się na wietrze. - Słyszycie mnie, Vane?

- Słyszę. - Jeden z jeńców uniósł z rezygnacją głowę.

Był to stary mąż z siwiuteńką, przemoczoną do cna brodą i jasnyniebieskimi oczyma. Pod jednym wykwitł ogromny, krwawy siniak.

- A poznajecie mnie?

- Wyście Svein syn Trygvego, prawowity dziedzic tych ziem - wycodził powoli, ze znużeniem starzec. - Mówiono, żeście na Islandii sześli.

- Jużci, tedyście w te pędy do wroga przystali, tak? - zadrwił Svein. - Niemłody z was człek, jeno żeby tak szybko zapomnieć o przysiędze, jaką konungowi składaliście? Żeby tak szybko zapomnieć o wierze w Białego Chrystusa, którą dobrowolnie przyjęliście i wyznawać przysięgaliście? Żeby bez wahania siły wściekłego Jomsborczyka swoją czeladźką wesprzeć? Żeby synów własnych mu wysłać?

Vidar odwrócił się i ruszył przed siebie. Szedł pod wiatr, by nie słyszeć grzmiących słów Sveina i nieuniknionych krzyków rozpaczki. Miał już dosyć widoku toczących się głów i sikających krwią tułowi, osuwających się w błoto. Jego serce na nowo przepelniło obrzydzenie.

Nie po to Arnul wykuwał dla nas te miecze, pomyślał gorzko. Nie po to, by mordować ludzi, którzy przystąpili



do hufców Thorkila.

Po raz pierwszy zniechęcenie ogarnęło go po straszliwej kłótni, którą stoczył ze Sveinem tuż po tryumfalnym zdobyciu Hladir. Syn konunga bowiem bez namysłu nakazał zebrać wszystkich jeńców na dziedzińcu dworu, po czym oznajmił swoje przybycie, wyzwał ich od zdrajców i podłych najeźdźców, i własnoręcznie ścinał każdego z nich. Vidar, który na czele kilku konnych ścigał grupkę uciekinierów, przybył dopiero na koniec egzekucji, gdy Svein uniósł swój runiczny miecz po raz ostatni. Wstrząśnięty do głębi, przez moment patrzył w milczeniu na zalany krwią dziedziniec, a potem chwycił Trygvesona za rękaw i zawłókł go do izby, by tam wyładować na nim wściekłość.

- Potrzebne ci to było?! - wrzeszczał. - Po co zabiłeś tych nieszczęśników?! Mało ci przedstawień, rzeźniku?!

- Nieszczęśników?! - ryknął Svein. W jego oczach zatańczyły płomienie. - Oni zagarnęli moją ojcowiznę! Wybili moich domowników! Targnęli się na kraj, który mi się należy!

- Tedy zabić ich postanowiłeś?! Bezbronnych i powiązanych?

- Mniemasz, że dali moim domownikom broń do ręki, nim ich usieklis? Na Boga, Vidar, przecie sam widziałeś! Wywiedli ich co do jednego, przerażonych, zagubionych! Te psubraty - wskazał ostrzem miecza trupy na dziedzińcu - przynajmniej wiedziały, za co giną! Dranie dowiedzieli się, że to jest kara za ich czyny. Boże...

- Nie waż się Boga przyzywać, kacie! - warknął Vidar. - Przeciwny on zabijaniu niewinnych, a zatem przeciwny i tobie! Nie mogłeś ich uwięzić? Nie mogłeś wcielić do swego hufca?

- Uwięzić? Vidarze, przecie ja nie chcę bronić Hladir po wsze czasy! Jak Thorkil na nas pociągnie, trza nam będzie grodziszcze w te pędy opuszczać i w góry uciekać! Co wtedy zrobisz z bandą jeńców?

- Broń im dasz do ręki, przysięgę na święty pierścień złożyć każesz i do walki w swym imieniu zmusisz!

- We łbie ci się od rymów pomieszało, skaldzie! - Syn konunga wybuchnął śmiechem. - Naprawdę wierzysz w to, że na widok émy Thorkilowych wojów którykolwiek z tych zbójów pamiętałby o przysiędze? Vidarze, przecie starszy ode mnie jesteś, a mądrości trzykroć tyleś w życiu nabył co ja. Skąd więc te pomysły szalone?

- Dość się już naoglądałem mordowania niewinnych, Sveinie! - wrzasnął wzburzony Vidar. - Dość! Dobrze wiesz, kiedy po raz pierwszy zwątpiłem w Białego Jastrzębia! Dobrze wiesz, co się stało ongiś pod Bjørgvin!

- Jeśli chcesz, skaldzie, to droga wolna! - prychnął Svein. - Wdzięczny ci jestem za to, żeś mi pomógł na nogi stanąć, ale jeśli ci me rządy nie odpowiadają, tedy zatrzymywać cię nie będę! Ba, konia dam najlepszego i paru wojów do towarzystwa! Będziesz mógł w spokoju odjechać na poszukiwania krainy, gdzie ludzie wiernie dziesięciu przykazań przestrzegają i w miłości do siebie żyją. Ja bowiem zostanę tu, w Norveghrze.

I wyszedł, młąc przekleństwa pod nosem, by zająć się obsadzeniem grodu i wydzielaniem drużyn do przetrząśnięcia okolicy. Vidar zaś pokręcił głową i powłócząc nogami, udał się na poszukiwanie kąta, chcąc zaznać choć odrobinę snu. W głębi duszy wiedział jednak, że pomimo wielkiego znużenia nie zmrzy oka. Jego świat bowiem znów wywrócił się do góry nogami.

Svein go przerażał. Przerazała go potworna przemiana, jaka zaszła w Trygvesonie przez ostatnie kilka dni i nie mógł wprost uwierzyć w to, jak słabo dotychczas go znał. Jeszcze podczas podróży morskiej z Islandii syn konunga wydawał mu się człowiekiem chwiejnym, przepełnionym nieszczerym entuzjazmem. Atak rozpacz i obojętności na wieść o śmierci ojca potwierdzał domysły Vidara i dlatego szczerze się ucieszył, gdy Svein wreszcie zaczął okazywać zdecydowanie. Nigdy by się jednak nie spodziewał, że w jego zachowaniu kiedykolwiek pojawi się cynizm i wyrachowanie, a całkowitym szokiem było to, że obie te cechy wystąpiły tak szybko.

Najgorsze jednakże było to, że Vidar podświadomie czuł, iż Svein ma rację. Długie lata u boku konunga Trygvego nauczyły skalda, że w rządzeniu krajem często skutkują jedynie najsurowsze metody. Jako człowiek łagodnego serca i żarliwy chrześcijanin nigdy nie nauczył się ich aprobować, lecz rozumiał sens ich stosowania. Dobrze poznał potęgę bólu oraz strachu i wiedział, że w polityce są to niezastąpione narzędzia.

Wieść o egzekucjach rychło poniesie się po kraju, pomyślał gorzko. Ludzie pojmą, że wrócił syn konungowy, który nie będzie folgował wrogom ni zdrajcom. Wieści o jego okrutnych karach obudzą strach w ludzkich sercach. Wojowie Thorkila stracą nieco ze swego zapału, dawni podwładni Trygvego łacniej za oręż chwycą, prawowitego dziedzica w walce wesprą... Jenó życia szkoda, ot co.

Vidar znów przygryzł wargę i zmrużył oczy, próbując zatrzymać łzę, wydartą mu przez porywisty wiatr. Otarł mokre od deszczu czoło, bezwiednie wykonał znak krzyża i po raz pierwszy od wielu, wielu dni zaczął się cicho modlić:

- Dobry Panie w niebiesiech, racz przyjąć na swe łono wszystkich, którzy życie dziś postradali. Błagam Cię, Ojczy Przenajświętszy, okaż im łaskę, nawet jeśli ich serca zaiste czarne od zła były, a dusze nie pojęły jeszcze ogromu Twej miłości. Okaż łaskę także tym, którzy błądzą po bezdrożach tego padolu. Spraw, by Svein syn Trygvego nie zatracił się w swoim szaleństwie, by w jego sercu pojawiło się dobro oraz sprawiedliwość. Spraw też, Panie...

Zawahał się przy tych słowach, lecz odetchnął głębiej i kontynuował ledwie słyszalnym głosem:

- Spójrz również łaskawym okiem na syna mego, Viglunda, Panie Wszchemocny, i spraw, by bezpiecznie dotarł do kresu swej wędrówki. Niczego tak bardzo nie pragnę, jak ujrzeć go jak najszybciej. Wierzę, Panie, że w jego sercu obudziła się miłość i chyba tylko to wciąż pozwala mi iść naprzód.

Zamknął oczy i raz jeszcze ujrzał ciemne pola Tingvellir i niebo przeszywane blaskiem rozszalałej Hekli. Raz jeszcze stanął na wysepce pośrodku nurtu Öxary, raz jeszcze zatapiał miecz w ciele poganina Skallego i raz jeszcze mierzył się ze straszliwym Jomsborczykiem. Potarł zagojoną już ranę od ciosu oszczepem. Czy to naprawdę Viglund powalił wówczas tego, który nim cisnął?

- Vidar! - krzyknął ktoś w oddali.

Skald odwrócił się i ujrzał wojów Sveina, którzy wskakiwali na siodła i zawracali ku traktowi, niknącemu wśród karłowatych, poskręcanych od wiatru brzózek. Ciemne, smagane deszczem kłęby dymu zakryły na moment postać wołającego, ale Vidar dostrzegł, że to był sam Svein. Syn konunga uniósł dłoń i pomachał ku niemu, drugą zaś przytrzymał dwa konie za uzdy.

- *Komdu hingað*, skaldzie!

Vidar podniósł się ciężko i nagle uświadomił sobie, że ostatni wojowie znikają już wśród brzózek. Przyspieszył kroku i niemalże podbiegł do Sveina, lecz wtedy dostrzegł, że na obliczu Trygvesona widnieje szeroki uśmiech.

- Odesłałem oddział pod dowództwem Hasteina - rzucił syn konunga i podał wodze Vidarowi. - Ja mam inne zadanie do wykonania.

- Jakie? - zdumiał się skald. - Całkiem oszalałeś? Co ci tym razem do łba strzeliło?

- Hastein i Grim otrzymali rozkaz opuścić Hladir za dwa dni o świcie - oznajmił Svein, już z siodła. - Mam nadzieję, że do tego czasu uda mi się wbić wściekłemu Jomsborczykowi sztylet w plecy i wrócić. Jeśli chcesz, to jedź ze mną. Zapewniam cię, skaldzie, że tym razem będzie to zadanie godne bohaterów bez skazy. Nie poleje się ani kropla niewinnej krwi.

- Czy ty... - Vidar potrząsnął z niedowierzaniem głową. - Czy ty resztki rozumu postradałeś?

Svein nadal się uśmiechał, ale jego oczy pozostały poważne.

Śmiertelnie poważne.

- Obiecałem to sobie jeszcze na Islandii, pamiętasz zresztą - rzekł krótko. - To co? Jedziesz?

Wiatr zaczął skręcać ku wschodowi.

\* \* \*

Z zapadnięciem zmroku wichry nabierały śmiałości. Miast przemykać nad wałami upokorzonego Nidaros,

bezczelnie wdzierały się w jego wąskie uliczki, ze świstem przeganiając nielicznych przechodniów. Złośliwie gasiły rozpalane z trudem pochodnie i usiłowały rozrzucić płonące ogniska, nie darowały też licznym namiotom, rozstawionym na łąkach wzdłuż rzeki Nid. Co rusz swińscy wojowie musieli się zmagać z zerwanymi, łopoczącymi na wietrze płachtami, a wtedy uradowane wichry unosiły ze sobą wiązki okropnych przekleństw i zawracały, by cisnąć w upartych ludzi rojami kąśliwych kropel deszczu.

Ci jednak nie poddawali się ani deszczom, ani wiatrom. Posłuszni woli jarla Thorkila czujnie patrolowali uliczki Nidaros, inni, opatuleni w grube płaszcze, strzegli wałów grodu, brzegów Nidelvy oraz traktu do Bjørgvin. Żaden ani myślał zaniedbywać swych obowiązków, zwłaszcza teraz, gdy pojawiły się niepokojące wieści o powrocie konungowego szczeniaka, a potem przybyło kilku poranionych, wyczerpanych uciekinierów ze straszhliwymi nowinami o utracie Hladir. Następnego dnia ku pochmurnemu niebu uniosły się czarne słupy dymów z palonych osad. „Svein z pomstą powrócił” - szeptali wojowie z odległych krain i zgrzytali z wściekłością zębami.

Tak, mimo przenikliwego zimna i wilgoci wytrwale stali na straży, pilnując grodu, brzegów rzeki, obozowiska namiotów oraz traktu. Nie wystawili straży jedynie na tej drodze, która prowadziła do ruin katedry. Nie było przecież potrzeby.

Ledwie księżyc wyjrzał zza rozkołysanych świerków na brzegu Nidelvy, właśnie na tej drodze pojawiło się dwóch jeźdźców o twarzach skrytych pod kapturami. Obaj zsunęli się z sodeł i przywiązali konie do konarów dawno powalonego drzewa, po czym zwrócili się w stronę ruin.

- Dobry Boże - szepnął jeden z nich, kreśląc znak krzyża na piersi.
- Zachowaj swe modlitwy na chwilę spotkania - mruknął drugi, ale i on wyglądał na poruszonego.

Trupio błądy księżyc opromienił już bowiem wschodnią ścianę wielkiej kamiennej świątyni, w której ziała nieregularna, czarna wyrwa. Podobna dziura widniała w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się wrota, brakowało również większej części dachu, a po masywnej rotundzie została jedynie sterta gruzu. Ogromne bryły kamieni i sterty strzaskanych desek znaczyły miejsce, w którym padła wieża katedralna. Pogięty mosiężny dzwon leżał nieopodal, połyskując w blasku księżyca niczym martwa ryba.

- Nie jest wcale taki wielki - odezwał się cicho drugi z mężów, starając się dodać sobie odwagi. - I porusza się ociężale. We dwóch damy mu radę. Pomniesz, Vidarze, com radził?

- Pomnę. Ty ściągasz na siebie jego uwagę, ja wbijam miecz. Potem na odwrót.
- Miejmy nadzieję, że poczwara śpi... Jeśli się zbudzi, trza nam się śpieszyć.
- Możesz mi wierzyć, że nie mam zamiaru tu nocować - prychnął jego towarzysz, wskazując gestem nieodległe rzędy szarpanych przez wiatr namiotów. - Porywamy się na szaleństwo, Svein.

- *Ég veit.* Miejmy to więc za sobą.
- Bóg z tobą.
- I z tobą.

Szli powoli, ostrożnie stawiając stopy, mimo że wilgotna trawa tłumiała wszelkie odgłosy. Spotniałe dłonie zaciskały się na rękojeściach runicznych mieczy, oczy błyskały nerwowo w półmroku kapturów; przygarbione sylwetki przywodziły na myśl przyczajonych nocnych łowców, a nie dwóch wojów-straceńców. Przez wyrwę w ścianie było już widać połyskujące od rosy ławy, rozrzucone wzdłuż naw oraz wielki srebrny krzyż na ścianie.

- Widno Boga się nie boi, skoro pod krzyżem legowisko sobie sprawił - mruknął Vidar. - Może do...
- *Þegiðu.*

Od wyrwy w ścianie katedry dzieliło ich trzydzieści kroków, dwadzieścia, piętnaście... Wysunięte do połowy z pochew miecze zamigotały słabym blaskiem, lecz nie odpowiedziało im żadne poruszenie wśród ruin potężnej budowli. Ciemność czyhała niezmacona, a serca obu wojów były coraz szybciej.

- Śpi - szepnął Vidar, niepomny już ostrych słów następcy starego konunga.

Svein machnął niecierpliwie ręką, chcąc go uciszyć, po czym wyszarpnął płynnie miecz i jednym susem przypadł do krawędzi wyrwy. W tym samym momencie zimnym, nocnym powietrzem wstrząsnęła nieodległa pieśń rogów.

Trygvesson skulił się, a jego towarzysz padł w trawę. Na ich pobladłych twarzach pojawiło się skrajne przerażenie. Minęła krótka chwila, a po niej następna i kolejne, lecz ciemności w głębi zbezczeszczonej świątyni nadal pozostawały nieporuszone. Rogi odezwały się znów, nieco bliżej, a odpowiedziały im podobne z obozowiska i samego grodu. Ogniki wśród namiotów zamigotały żywiej.

Svein zajął ukradkiem przez wyrwę, a potem jeszcze raz, już na dłużej. Niespodziewanie cisnął krótkim przekleństwem i wskoczył do środka. Blask runicznej klingi prześlizgnął się po ocalałych ścianach.

- Svein! - krzyknął Vidar, podrywając się z mokrej trawy. - *Biddu, fíflid þitt!* Poczekaj na...

- Na co? - odpowiedziało mu echo, rozbrzmiewające wśród ruin. - Ta cholerna katedra jest pusta! Wystrychnął nas na dudka, kurwi syn! Tracimy tu czas!

Skald dobiegł już do wyrwy i stanął na stercie kamieni, z chrzęstem usuwających się spod jego stóp. Srebrne promienie księżyca wciskały się do wnętrza świątyni, oświetlając rozrzucone, połamane ławy oraz sprofanowany ołtarz. Szkło popękanych witraży zamigotało ze smutkiem.

- Mówili, że tu będzie - szepnął zrezygnowany Svein. - Mówili, że napadł na katedrę, zburzył ją, a potem zamieszkał wśród ruin. Przekłete, podle smoczysko...

- Nic tu po nas - westchnął Vidar i powoli schował miecz do pochwy. Teraz, gdy wreszcie uleciało nagromadzone napięcie, czuł jedynie głęboki żal na widok sprofanowanych wnętrza, które ongiś tak bardzo pokochał. - Chodźmy, mus nam do Hladir wracać. Jak dobrze konie popędzimy, przed świtem...

- *Biddu* - przerwał mu nagle Svein.

Syn konunga wskoczył na stertę gruzu, schwycił dłoń wyciągniętą przez Vidara i w okamgnieniu znalazł się na górze.

- Niepokoją mnie te rogi - powiedział cicho, zwracając się ku Nidaros i obozowisku nad rzeką. - Zbyt wiele ich jak na zwykłe powitanie. Coś tam się dzieje...

Nie mylił się. Wkrótce ogniki odległych pochodni zatańczyły wokół rzecznej przystani. W ich migotliwym blasku widzieli, jak na prom wstępuje kilku konnych, z których jeden nie przestawał wygrywać tego samego, niepokojącego sygnału. W obozowisku wrzało niczym w rozkopanym mrowisku. Svein i Vidar spojrzeli po sobie z wahaniem.

- Może lepiej uciekajmy stąd? - zaproponował Vidar. - Może to oblawa na nas?

- Nie, to coś większego. Poczekajmy jeszcze chwilę...

Ukryci w opuszczonym legowisku potwora, wpatrywali się w drgające ognie wojny, nasłuchiwali wygrywanych na rogach sygnałów i dotykali ziemi, drżącej od uderzeń setek kopyt. Wiatr natarł raz jeszcze, z nieposkromioną wściekłością, ale w ogarniętym zamieszaniem obozowisku nikt nie zwrócił uwagi na porywane podmuchami płachty. W blasku rozdygotanych ognisk połyskiwały unoszone miecze i nakładane hełmy, obaj wojowie słyszeli też echa wznoszonych chórem okrzyków wojennych. Wokół wałów miasta znów poczęła gęstnieć nocna, zimna mgła, lecz zdążyli jeszcze ujrzeć rozwierane bramy i szeregi maszerującej załogi. Zastępy zebrane w obozowisku zgromadziły się przy przystani, gdzie spychano już na wodę wszystkie możliwe łodzie.

- Tego nie mogłem przewidzieć - wyszeptał blady jak śmierć Svein.

- Czego? - Vidar potrząsnął głową, jakby się zbudził z głębokiego, nierealnego snu.

W głowie huczało mu proroctwo Arnula: „Bacz na siebie w nocy, gdy powieje wschodni wiatr”.

- Że ten wściekły Jomsborczyk wyruszy tak szybko... Że poderwie swe siły jeszcze przed powrotem do Nidaros... Na bogów, jesteśmy zgubieni.

- Skąd wiesz, że chce pociągnąć na ciebie?

- Czy w przeciwnym razie przekraczałyby rzekę? - wycedził Svein.

Jego oczy błyszczały dziko, jakby wdarł się w nie oblęd. - Przecie na drugim brzegu Nid rozpoczyna się trakt do Hladir! Chce nas wziąć w kleszcze!

- Jeszcze jest szansa... - szepnął Vidar. - Możemy przemknąć Svartvindaskarð, skrócić na mokradła przy Grilund, a potem prosto jak strzelił brzegiem jeziora Skjaervatn...

- Jużci, możemy. - Svein pokiwał głową ze śmiertelną powagą. - Możemy i zdążymy na czas. Jeśli wkrótce przyjdzie nam szczeznąć, Vidarze, to chcę, by zasieczono mnie na czele ostatniego wolnego hufca w Norveghrze.

\* \* \*

Zimne nocne powietrze rozdarła pieśń jomsborskiego rogu i Viglund uśmiechnął się ponuro. Już wiedział, że nie dotrze do Hladir. Nie ocali biskupa Helmgartha ani wszystkich tych ludzi, którzy zaufali jego słowom.

Przetarł czoło, spotniałe pomimo chłodu, i rozejrzał się. Księżyc wspiął się wysoko, a jego srebrzysty blask nadał kształt ogromnym drzewom. Wiatr kołysał ich gałęziami, rozłożystymi, przypominającymi łapska wychudłych olbrzymów, i strącał ku ziemi roje liści, które wirowały niczym martwe nietoperze. Nad głową Viglunda przemknął bezgłośnie puszczyk, obrzucając ludzi zdumionym spojrzeniem okrągłych, żółtych ślepi. Podobne zdumienie, lecz przemieszane z lękiem, było widać w oczach maszerujących wojów.

Bokiem ścieżki ktoś biegł, co rusz potykając się i przeklinając. Viglund rozpoznał barczystą sylwetkę Hrafna.

- Biskup pytają, co to za rogi - wysapał.

To czemu się biskup sami z tym pytaniem nie pofatygują? - chciał warknąć w pierwszej chwili, ale w porę ugryzł się w język.

Nie mógł przecież winić biskupa o to, że był starym, przestraszonym człowiekiem, któremu pozycja nie pozwala zachowywać się podobnie do innych ludzi, jednakże wciąż żywił do niego urazę. Nie miał do niego pretensji nawet o sprzeczkę, w której biskup wyrzucił mu, że jego zdaniem dał się omamić słowom Baldra. Odkąd Viglund wiedział, że syn konunga Svein cudownym sposobem powrócił do Norveghru i połączył swe siły z jarlem Grimem, powodowała nim coraz większa nadzieja. W skrytości ducha cieszył się, że po raz kolejny sypnął piachem w oczy jomsborskiego jarla.

Nie był to jedyny powód do radości. Wkrótce zwiad wysłany przez Hrafna ujął półprzytomnego ze zmęczenia, przerażonego Swiona z załogi Hladir, który opowiedział o zaskakującym ataku i zdobyciu grodu przez hird Sveina. Poruszony tą wieścią Viglund przyskoczył do biskupa i jął go namawiać, by zmienili kierunek marszu i ruszyli prosto na Hladir. Starzec najwyraźniej wychwycił niecierpliwosć kryjącą się w słowach młodzieńca i zdobył się na ciepły, lekko pobłażliwy uśmiech.

- Idźmy tedy do Hladir - rzekł. - Lecz prędko, bo inaczej młody konung wespół z jarlem gotowi są sami tę wojnę wygrać.

Towarzyszący im wojowie wzniesli tryumfalny okrzyk i przepelnieni nadzieją przystąpili do zwijania obozu, a Viglund, gnany nowym dla niego zapałem, znów stanął na czele hirdu. Uniesienie owo nie wygasło przez cały dzień szybkiego, forsownego marszu i zaczęło umykać z jego serca dopiero teraz, gdy wiatr przyniósł chrapliwą, złowieszczą muzykę.

- To rogi jomsborskie, Hrafnie - powiedział głucho. - Są blisko.

- Jomsborskie? - Biskupi przyboczny zmarszczył brwi. - Pewniście?

- Słyszałem je wielekroć w samym Jomsborgu, nim splanął. Niestety, Hrafnie, nie myłę się. Jomsborska drużyna zachodzi nam drogę. Coś mi mówi, że nasz wysiłek poszedł na marne.

Hrafn splunął i spojrział nań z niechęcią, a Viglund odwrócił się i skierował wzrok na tarczę księżycą, łaskotaną rozkołysanymi konarami. Teraz żałował swej determinacji w dwójnasób, żałował, że bez litości popędzał

powiększający się zastęp biskupa, skracał przerwy na popas, a nawet zabronił rozpalać ognisk na ciepły posiłek. Położył wszystko na jednej szali, dołożył wszelkich starań, by przed świtem dotrzeć do odbitego Hladir, lecz wyglądało na to, że przeznaczenie zrządziło inaczej. Podjął ryzykowną decyzję, lecz przeliczył swe siły i popełnił błąd. Stał oto na środku leśnego traktu, na czele zgrai wycieńczonych, źle uzbrojonych mężów, mając pod swą pieczę głowę Kościoła na Północy, a przed sobą liczne, wypoczęte i skore do boju drużyny Thorkila.

- *Andskotinn* - szepnął, całkiem zrezygnowany.
- Będziemy walczyć - oznajmił głucho Hrafn.
- Jużci, żywcem się nie poddamy - ożywił się nieco Viglund. - Trzeba...

No właśnie, nie wiedział, czego trzeba. Jako *høvding* Helsvinir nigdy nie musiał przygotowywać obrony. Celował w przeprowadzaniu błyskawicznych ataków z zaskoczenia, a gdyby kiedykolwiek przyszło mu się bronić, zawsze mógł liczyć na kilkanaście tuzinów dobrze uzbrojonych, zdecydowanych i karnych wojów. Te czasy jednakże minęły. Liczba wojów, którzy dołączyli do biskupa - głównie wiernych nowej wierze kmieci oraz niedobitków hufców Trygvego - wahała się w okolicach setki, lecz Viglund wątpił, czy zdoła zapanować nad nimi podczas walki. Biskup Helmgarth, ku wyraźnemu niezadowoleniu Hrafna, oznajmiał wszystkim przybyłym, że to on, Viglund, dowodzi jego hufcem, lecz słowa duchownego mogły okazać się niewystarczające. W spojrzeniach przyłączających się wojów wyczytywał brak zaufania, a nawet obawę. Dawno już się przyzwyczaił, że ludzie odwracają się od jego szpetnego oblicza, aczkolwiek tym razem mogło chodzić o jego reputację. Kilku nowo przybyłych z pewnością słyszało opowieści o szalonym Viglundzie Vidarsonie zwanym Wilczym Pyskiem i nie omieszkało zdradzić ich reszcie. Innym mogło nie podobać się to, że na czele oddziału staje człowiek o wiele młodszy od nich, wręcz chłystek. Co więcej, nowi członkowie biskupiej eskorty byli lekko uzbrojeni - ledwie paru z nich miało na sobie porządniejsze kolczugi czy szlomy, większość przed ciosami wroga zasłaniać się mogła jedynie okrągłymi, drewnianymi tarczami.

Róg odezwał się ponownie, tym razem nieco bliżej. Viglund drgnął i zamrugał.

- Mus nam się rozdzielić - mówił Hrafn, oglądając się trwożliwie na ciemną puszcę. - Tak, to jedyne wyjście. Weźmiem biskupa między siebie, pognamy w bór...

- A wiecie, którędy jomsborscy leżą? - spytał ironicznie Viglund. - Znacieli bezpieczną drogę przez ten przeklęty las? Chowajcie tedy siły na walkę.

Z tymi słowami odwrócił się gwałtownie ku wojom.

- Mężowie z tarczami na zewnątrz! Lżej zbrojni do środka! - zawołał. - Hrafnie, dobiez paru co lepiej uzbrojonych do swej straży, nie odstępujcie biskupa ani o krok! Każdy, co szyć z łuku potrafi, również do środka! Dajże mu ten łuk, barani łbie!

Ostre rozkazy Viglunda podziały niczym kubek zimnej wody. Wojowie, którzy do tej pory stali w bezwładnej kupie, nagle drgnęli i nerwowo zaczęli szukać dla siebie miejsca w szyku. Zachrząścił oręż, pojawiły się pierwsze przepychanki, rozległy się obelgi i niecierpliwie słowa ponaglenia. Młody Vidarson biegał wśród krzepnącego powoli szeregu, szarpnięciami ustawiając niezdecydowanych mężczyzn i krótkimi warknięciami nakazując wymienić się orężem. Błyszczące od napięcia, przymrużone oczy, zaciśnięte mocno szczęki oraz długie włosy, posrebrzone blaskiem księżyca, nadawały mu wygląd bohatera z dawnych opowieści. Nawet śmiertelnie znużony, nadal siedzący na koniu biskup uniósł drżącą dłoń, by pobłogosławić go znakiem krzyża.

- *Ég hef fengið nóg* - syknął Viglund, gdy niesforny dotąd oddział przybrał wreszcie kształt rozciągniętego szeregu, krytego na zewnątrz murami tarcz. - Pierwszemu, który wyłamie się z szyku, osobiście rozwałę czaszkę. To właśnie w ten sposób nauczyłem karności Helsvinir. *Árás!*

I niewielki hufiec ruszył w stronę wciąż odległego Hladir, zbrojny w nową nadzieję i wąły mur tarcz. Viglund szedł pieszo na samym czele, trzymając obnażony miecz w dłoni, uśmiechając się ponuro za każdym razem, gdy

odezwały się jomsborskie rogi.

\* \* \*

Księżyc toczył się wolno nad roztańczonymi konarami drzew i siał swój złowrogi, srebrzysty blask, który jakby odebrał sen wszystkim żywym istotom w Norvegrze. Jego promienie zapalały na czerwono ślepią wilków, których całe watahy zastygały nieruchomo, wpatrzone w nocne niebo, i wyły potępieńczo. Odbijały się też w oczach spłoszonych puszczyków, zamartwych na chwiejących się gałęziach, w oczach łosi, chyłkiem pomykających przez bagnisko, i trwożliwie skulonych zajęcy. Puszcza czuwała, jakby świadoma, że znów się ważą losy wielu ludzi.

Dwóch jeźdźców, pędzących wąskim traktem od Svartvindaskarð, wyczuwało ów niepokój i jeszcze bardziej poganiało spotniałe, ciężko dyszące rumaki. Pochyleni nad końskimi karkami, usiłowali przebić wzrokiem przetkane srebrnymi nitkami ciemności boru, lecz ich myśli biegły dalej, ku wałom otaczającym Hladir. Z hukiem, niczym aniołowie zagłady, przemknęli wśród chat cichego Grilund - nikt nie wyszedł na ich powitanie, choć obaj przeczuwali, że żaden z wieśniaków nie jest w stanie zmrużyć oka - i gdy mijali położoną na uboczu kuźnię, doszło ich odległe echo pieśni rogu. Jadący przodem Svein ściągnął wodze i rzucił ku nadjeżdżającemu Vidarowi.

- Idą szybciej od nas! Będą pod Hladir przed świtem!
- Niech piekło pochłonie Jomsborczyka! - warknął skald. - Jedźmy, Sveinie! Bóg nie mógł o nas zapomnieć!

Twarz syna konunga ściągnęła się na moment w cynicznym uśmiechu, lecz bez słowa ponaglił konia do dalszego wysiłku. I znów gnali jak szaleni, z połami płaszczy wezbranymi wiatrem, prosto ku sercu rozszumiałej, zatrwożonej puszczy. Godzinę później okazało się, że Bóg w istocie ma dobrą pamięć.

\* \* \*

Viglund zmrużył oczy.

Roje wirujących, zeschniętych liści płynęły z wiatrem niczym stada nietoperzy, stwarzając iluzję, że ciemność między potężnymi pniami drzew nie przestaje się poruszać. Miał jednakże niejasne wrażenie, że kątem oka dostrzegł jakąś przemykającą sylwetkę, może nawet kilka. Zgarbił się bardziej, napiął mięśnie i poprawił chwyt na wilgotnej od potu rękojeści miecza.

Rozejrzał się dookoła. Droga opadała ostro w dół, wijąc się wśród olbrzymich, rozłożystych buków. Po prawej stronie zostawiali za sobą łagodne wzgórza, opromienione teraz srebrzystym blaskiem wznoszącego się nad nim księżycy, po lewej ciągnął się rzadki bór, tu i ówdzie przecięty kępą krzewów. Zdradliwe światło oraz porywisty, bezlitosny wicher zamieniły go teraz w niewyraźną plataninę cieni.

Nie przestając maszerować, zaryzykował szybkie spojrzenie za siebie. Kolumna rozciągnęła się nieco, lecz wojowie zbrojni w tarcze nadal otaczali swych lżej uzbrojonych towarzyszy oraz biskupa i jego świtę. Zmęczenie odebrało już im siły, co rusz któryś się potykał, upadał i wstawał z narastającym trudem. Biskup ślaniał się w siodle, lecz nie przestawał toczyć cichej kłótni z Hrafnem. Niespodziewanie ofuknął go ostro - przyboczny cofnął dłoń, trzymającą uzdę biskupiego konia, i starzec ruszył do przodu, na czoło kolumny.

Szlag by cię trafił, pomyślał zniecierpliwiony młodzieniec i nieco przyspieszył kroku.

- Viglundzie! - zawołał cicho biskup. - Viglundzie, poczekajcie! Prawiliście, że przed świtem w Hladir staniemy!

- Nicem takiego nie rzekł - burknął zapytany, nie zwalnając.

Szybko światek zapomniał, że jeszcze parę godzin temu uważał, że zostałem omamiony przez Baldra, pomyślał z ironią.

- A nawet jeśli, to do świtu jeszcze dobre parę godzin zostało! - dodał.

- Jużci! Ludzie z nóg padają, zlitujcie się! Nie lza tak pędzić, na popas jakiś trza...

- Najlepiej przy rzeczulce jakowejś, co by jeszcze ryb nałapać można było - zadrwił Viglund, lecz biskup Helmgarth nie zwrócił na to uwagi.

- Rad wielcem, że o bezpieczeństwo nasze dbacie, Viglundzie - ciągnął. - Jeno od północy wrogich rogów już nie słyhać. Hrafn sądzi, że czas na odpoczynek, a ja się z nim zgadzam.

Viglund już otworzył usta, by cisnąć kolejną kpiącą uwagę, lecz nagle jego przeczucie odezwało się ze zdwojoną siłą. Odwrócił się na pięcie i tym razem wyraźnie ujrzał ludzką sylwetkę, przyklękającą przy kępie leszczyny. Coś załśniło chłodnym srebrem. Nosal? Ostrze włóczni? Grot strzały?

- Zasadzka! - ryknął.

Ciemność zaświstała chmurą strzał, a zaraz potem rozległy się pierwsze jęki rannych i wrzaski przerażenia.

- Trzymać szyk! - wrzeszczał Viglund, chwytając za uzdę spłoszonego konia biskupa. Pobladły starzec złapał się lęku, w ostatniej chwili chroniąc się przed upadkiem. - Hrafn, *komdu hingað*! Trzymać szyk!

Były *Náttfarinn* wyrósł jak spod ziemi, bez ceregieli ściągnął biskupa na ziemię i zasłonił go własnym ciałem. Viglund rozejrzał się pośpiesznie - jego ludzie klęczeli jak zahipnotyzowani, chroniąc się za tarczami, z każdą chwilą coraz bardziej naszpikowanymi strzałami. Kilka ciał zległo już nieruchomo w srebrzystym pyłe drogi, jeden z rannych wył potępieńczo, próbując wyrwać strzałę z genitaliów. Mało który z lżej zbrojnych zdołał pokonać zaskoczenie i puścić strzałę w kierunku wciąż ledwie widocznych napastników.

- Do łuków! - ryknął Viglund. - Do łuków, psiekrwie, bo wypłazuję!

Znów zaświstały strzały, znów poniósł się krzyk rannych. Oczy wojów błyszczały ze strachu i podniecenia, wśród bukowych pni przemieszczały się niewyraźne postacie.

- *Ég hef fengið nóg! Fylgið mér!*

I rzucił się do szybkiego biegu, a za nim pognął Hrafn, podtrzymujący przerażonego, potykającego się biskupa Helmgartha. Zaskoczonym wojom nie trzeba było dwa razy powtarzać - ścigani przez strzały z ciemności, skoczyli za swoim *hövdingem*, a lęk dodawał im skrzydeł. Ledwie jednak przebiegli dystans dwustu kroków, gdy Viglund nagle się odwrócił. Błysnęły odrzucane włosy, załśniły dziko oczy, zamigotał wznoszony miecz.

- *Skjoldborg!* - zakrzyknął. - *Bogamenn, biðið! Skjoldborg, Þið klaufalegu ópokkar!*

Jakiś ogarnięty strachem woj przebiegł tuż obok niego. Viglund z głuchym warknięciem chwycił go za ramię i zatrzymał potężnym szarpnięciem, niemalże przewracając na ziemię.

- *Skjoldborg!* - ryknął raz jeszcze.

I posłuchali. Zdyszani, przerażeni, strzelający naokoło oczyma, wojownicy jęli stawać jeden obok drugiego i unosić naszpikowane strzałami tarcze. Mur narastał, co chwila dołączali do niego kolejni, którym udało się pokonać panikę i odważyć na powrót. Za ich plecami gromadzili się zaś łucznicy, drżącymi rękami nakładający już strzały na cięciwy. Wszyscy z oszołomieniem, ale i fascynacją śledzili wzrokiem Viglunda, który miotał się wzdłuż szeregu, całkowicie obojętny na wciąż śmigające w powietrzu strzały. Młody wojownik tryskał nieposkromioną furią i niektórzy z zapatrzonych wojów czuli, że zaczyna im się udzielać cząstka owej dzikiej, pierwotnej mocy.

- Idą! - zawołał ktoś.

Nie mylił się. Deszcz strzał, w większości już niecelnych, nagle się przerzedził, a wątry blask księżyca wydobył z mroku biegnące postacie. Tu i ówdzie błysnęły wznoszony topór, zamigotał wypolerowany hełm. Wiatr zamarł.

Viglund znów się uśmiechnął.

- Nie wiem, kim jesteście! - warknął głucho, wciąż stojąc przed szeregiem, zwrócony ku nadbiegającym. - Ale po tej nocy wielu z was nie wróci do rodzinnych siół...

I nagle odrzucił głowę do tyłu. Ku rozgwieżdżonemu, milczącemu niebu popłynęła przejmująca, wilcza pieśń.



\* \* \*

Pijący wodę koń nagle uniósł głowę i parsknął, zaniepokojony. Vidar otworzył oczy.

- Słyszałeś? - szepnął.
- *Hvað?* - ocknął się Svein, który również zaczynał ulegać znużeniu.

Syn konunga rozejrzał się dookoła, lecz las porastający brzegi cichego jeziora Skjaervatn był milczący jak przed chwilą.

- Ten zaśpiew...

Svein wytężył słuch i przez moment wydało mu się, że oprócz plusku fal i skrzypnięć gałęzi poruszanych wiatrem słyszy coś jeszcze.

- Wilcy? - spytał z niedowierzaniem. - Zda mi się, Vidarze, że mamy poważniejsze...
- To nie wilcy... - wyszeptał Vidar, wsłuchany w odgłosy puszczy. - Na litość boską, to nie wilcy...

Jego koń zarżał przeraźliwie, brutalnie poderwany do szaleńczego biegu.

- Vidar! - wrzasnął Svein, lecz ten zdążył już zawrócić i popędził leśnym traktem, poganiając wycieńczonego wierzchowca.

- Jesteś pomyłony, skaldzie - mruknął syn konunga i uderzeniem pięt ponaglił własnego konia.

\* \* \*

Tym razem, zamiast rozedrganej, purpurowej mgiełki, która zazwyczaj towarzyszyła napadom szału, pojawiły się sny. Znow widział uśmiechniętą lekko Thyrę, podającą pierś niemowlęciu, blask ognia w palenisku, kupkę wiórków po wystruganej z drewna zabawce. Znow nakrywał dzieciątko ciepłą skórą lisa i dziwował się jego maleńkim usteczkom. Viglund walczył i się uśmiechał.

Jego miecz wił się i wyskakiwał we wszystkie strony niczym rozwścieczona żmija. Pierwszy z napastników, całkiem zaskoczony, osunął się na leśne runo, próbując zatrzymać dymiące jelita, wypływające z rozciętego brzucha. Drugi zdołał wnieść miecz, lecz ten natychmiast odfrunął w ciemność wraz z nadal zaciśniętą na nim pięścią. Trzeci machnął toporem ze straszliwą siłą, lecz Viglund w porę odskoczył w bok, przrzucił miecz do drugiej ręki i ciał przeciwnika przez plecy. Powalił jeszcze dwóch mężów i przypomniał sobie o szeregu.

- Trzymać linię! - wrzasnął, gnając ku swym wojom, którzy z zapartym tchem śledzili popisy *høvdinga*. - *Bogamenn!*

Wpadł między ludzi i się odwrócił, pośpiesznie nakładając podaną mu tarczę. Tymczasem brzęknęły cięciwy - większość strzał była niecelna lub z głuchym młaśnięciem przebiła drewno tarcz, lecz wśród nadbiegających rozległy się też dzikie ryki bóleści. Paru wojów wydało okrzyk tryumfu.

- *Bogamenn, hörfið!* - krzyknął Viglund. - Nie dajcie im zająć nas z flanki!

Skupiony na nadciągających przeciwnikach, nie odwrócił się już, by sprawdzić, czy łucznicy wypełnili jego polecenie.

- *Helsvinir!* - krzyknął nagle wielkim głosem, wznosząc wysoko miecz. - *Helsvinir!* Bić psubratów!

Nie przestawał się uśmiechać, nawet gdy kilka uderzeń serca później dwa hufce zwały się z ogłuszającym trzaskiem i uświadomił sobie, że przeciwnik ma ogromną przewagę liczebną. Jego wojowie bronili się jednak nieustępliwie, blokując napór tarczami i wykorzystując każdą okazję, by zadać cios. Ścisk był niewyobrażalny, ranni osuwali się na ziemię i umierali, zadeptywani przez walczących. Brakowało miejsca do uniesienia ręki i wielu obrońców walczyło już bardziej poręcznymi skramasaksami, kilku też porwało za topory o długich trzonkach i raziło atakujących ponad ramionami stojących w pierwszym szeregu. Mimo zacieklej obrony, wróg nadal napierał z furją, chcąc zgnieść niewielki mur tarcz własnym ciężarem.

- Helsvinir! - krzyczał Viglund, a jego okrwawiony miecz błyskał złowrogo w blasku księżyca.
- Helsvinir! - podjęli ochryplymi głosami wojowie.

Naraz Viglund uświadomił sobie, że jest jedynym wojownikiem w szeregu, który nadal ma wokół siebie wystarczająco dużo miejsca, by unieść miecz. Na twarzach nacierających dostrzegł niezdecydowanie, a nawet przestrach.

To nasi, zrozumiał niespodziewanie. Zdrajcy, co przeszli na stronę Thorkila... Pamiętają, kim byli Helsvinir, bać się zaczynają...

I zawył znów, z radością i tryumfem.

Z ciemnych czeluści odpowiedziało mu podobne wycie.

Traktem pędziło dwóch jeźdźców na spotniałych, rozszalałych koniach. Unoszone wiatrem płaszcze sprawiały, że wydawali się dwakroć potężniejsi od zwykłych ludzi, a poderwane ku niebu runiczne miecze oślepiały blaskiem każdego, kto na nie spojrzał.

- Za konunga Trygvego! - zakrzyknął jeden z nich głosem, który był znany na wszystkich polach bitewnych Midgardu. Drugi zawył po raz kolejny, długo i przejmująco.

- Niech Bóg Wszechmogący natchnie wasze serca odwagą! - modlił się głośno biskup Helmgarth.

- Helsvinir!

Gdzieś nad głowami walczących zakrakały oddalające się kruki.

Księżyc, który nie przestawał przyglądać się starciu swym zimnym, srebrnym okiem, naraz zniknął za postrzępioną chmurą i wtedy stał się cud.

- Konung Svein! - wykrzyknął jeden z napastników, głośno, z przestrachem.

Kilkanaście głosów powtórzyło to imię, kilkanaście głów odwróciło się ku szarżującemu jeźdźcowi, inni zatrzymali się i zawahali, a napór na mur tarcz zauważalnie osłabł. Któryś z atakujących wyskoczył naprzeciwko i wznosił topór do ciosu, lecz Svein machnął swą runiczną klingą, rozplątał trzonek topora, jakby to był suchy patyk, po czym poderwał ostrze, rozrąbując śmiałkowi podbródek i całą twarz.

- Śmierć zdrajcom! - huknął.

Ten okrzyk poniósł się echem między drzewami i uwolnił panikę, która natychmiast ogarnęła cały wrogi hufiec. Wojowie ciskali tarcze, a niekiedy nawet i broń na ziemię, i rzucali się do panicznej, bezładnej ucieczki, z bezrozumnym przerażeniem wyrzaskując imię Sveina. Mur tarcz nagle pękł, a wówczas ludzie Viglunda zakrzyknęli z tryumfem i ze świeżym zapalem przypuścili atak na ostatnich walczących renegatów. Ci bronili się z rozpaczą, lecz nie mogli sprostać wojom z biskupiego zastępu, którzy nagle uwierzyli w zwycięstwo. Rychło nieliczni ocaleni zaczęli salwować się ucieczką, ścigani strzałami z łuków i chrapliwymi obelgami.

- *Biðid!* - krzyknął Viglund, zatrzymując kilku zapaleńców, gotowych puścić się w pogoń.

Nad leśnym duktem zapadła wreszcie cisza, przerywana jedynie cichnącymi wrzaskami. Oczy wszystkich skierowały się na Sveina Trygvesona, który zbliżał się powoli, z dostojeństwem prawdziwego króla.

Pierwszy ukląkł zakrwawiony Hrafn, ciężko wsparty na trzonku strzaskanego topora, po nim ocaleli wojowie ze straży biskupiej, a potem cała reszta. Viglund opadł na kolana wraz z nimi i spuścił nisko głowę. Odeszły gdzieś sny, pojawiła się rzeczywistość.

Ta zaś miała twarz jego ojca.

- Kto dowodzi tym zastępem? - spytał Svein z grzbietu końskiego, surowo, lecz z podziwem.

Nikt nie odpowiedział, lecz spojrzenia klęczących wojów skierowały się na Viglunda. Młodzieniec czuł ich ciężar na plecach, ale wciąż milczał, rozkoszując się ostatnimi chwilami swej anonimowości i próbując ignorować szalone bicie serca.

To ojciec, wołał jakiś głos w jego duszy. To twój ojciec przybył wraz ze Sveinem!

- Moje słowa ich zebrały, synu konungowy - odezwał się nagle drżącym głosem biskup Helmgarth. - Moje modlitwy ich ściągnęły, moje kazania ich przekonały. Lecz nie ja dowodziłem nimi w czarnej godzinie. Nie ja wiodłem ich do boju w obronie ostatniej nadziei. To młodzieniec ów przez Boga natchniony, syn wasz, Vidarze.

I naraz musiał już unieść głowę. Jego ojciec nadal siedział na koniu, pobladły i nieruchomy niczym posąg, jakby obojętny na świat i wstrząsające nim wydarzenia. Ich spojrzenia spotkały się jednak na moment i Viglund musiał zacisnąć powieki, oszołomiony natłokiem emocji, jakie wyczytał z jego oczu. Był wśród nich ból, był żal, ale przede wszystkim były gorąca tęsknota i bezbrzeżny podziw.

Tak ojcowie patrzą na odnalezionych, ukochanych synów, szepnął jakiś głos w jego głowie. Viglund zacisnął mocniej powieki, niemalże nie słyszał rozmowy Sveina z biskupem Helmgarthem. Nie opuszczała go świadomość, że Vidar nie przestaje na niego patrzeć, i nie wiedział, jak nazwać kłębiące się w nim uczucia. Oprzytomniał dopiero, słysząc alarmujący okrzyk starego Hrafna.

- Patrzcie! Patrzcie tam! To on!

Viglund otworzył oczy i poczuł, jak po jego plecach spelza lodowaty dreszcz. Zakrwawiony palec starego *Náttfarinn* wskazywał szczyt wzgórza, opromieniony blaskiem księżycowym, na którym stała pojedyncza postać. Był za daleko, by mogli rozpoznać rysy jego twarzy, lecz nikt nie wątpił, kim jest nieznamy. Wśród wojów utrudzonego, ale zwycięskiego hufca milkły powoli odgłosy radości i uniesienia - i zapadła głucha cisza. Wszyscy patrzyli na szczupłą, wysoką sylwetkę, na porywane wiatrem poły płaszcza i uniesione ramiona, na których siadały olbrzymie kruki. W zimnym, nocnym powietrzu zastygła obietnica rychłej zemsty.

Nie dbam o ciebie, Thorkil, pomyślał ze znużeniem Viglund. Nie boję się ciebie. Nie po to od ciebie odchodziłem, nie po to przelewałem krew twych ludzi, bym ninie skulił głowę w strachu. Jeśli czeka mnie śmierć z twoich rąk, przyjmę ją, bo tak zapisane stoi, ale nie będę się lękał. Umrę szczęśliwy, żem ci krwi napsuł, żmijo.

- Skąd on wie, gdzie jesteśmy? - szepnął zatrwożony biskup, wykonując znak krzyża na piersi. - A skoro wie, dlaczego nie ciśnie na nas swych hord? Dlaczego pozwala nam ujsć z życiem?

I Viglund nagle zrozumiał.

- On wcale nie pozwala nam ujsć - powiedział. - Chce jeno, byśmy połączyli się z resztą waszych wojsk, Sveinie. Chce nas zmiażdżyć za jednym zamachem.

- Kim jest ten człowiek? - odezwał się po raz pierwszy Vidar.

- To nie człowiek, ojcie - szepnął Viglund. - Jomsborski jarl Thorkil jest synem smoka Nidhogga, bestii, która w dawnych czasach ogryzała pędy Yggdrasillu. Urodził się jako człowiek, lecz w jego żyłach zawsze płynęła smocza krew, a w głowie układały się smocze intrygi. Wezwany przez swego ojca, stawił się na polu walki w dniu Ragnarokku, lecz nie wziął udziału w bitwie. Patrzył obojętny na śmierć bogów i olbrzymów, a potem powrócił do Midgardu i zamyślił wyrąbać tu królestwo dla siebie. Nietrudne to zadanie w świecie, gdzie starzy bogowie oddali ducha, a nowi wciąż są słabi, nieprawdaż?

- Bzdura! - prychnął poruszony biskup. - Wybaczcie, Viglundzie, cenię wasze męstwo...

- Gdyby nie to, co zwiecie męstwem, dawno byście ziemię gryźli, świątku - warknął młodzieniec. - Wpada więc, byście więcej szacunku mi okazali. Jeśli zaś nie wierzycie mym słowom, jeśli dawni bogowie to dla was gusła, tedy przypomnijcie sobie, co się wydarzyło pod Eikby. Nie na darmo zwą go Smoczym Nasieniem. Thorkil to smoczy syn, który postanowił wciągnąć cały Midgard do swej gry.

- Poprzysiągłem już jednego smoka usiec - oznajmił Svein, krzywiąc się. - Z ochotą usiekę więc drugiego, a was, ojcie, poproszę o skropienie obu trucheł święconą wodą. Wtedy obaj pewni będziemy, że smoki to zaiste gusła. Droga do Hladir stoi otworem. *Fylgið mér!*

## ROZDZIAŁ 21

Świt w dniu ostatecznej bitwy nastął szybko, niemalże za szybko. Spomiędzy gęstych chmur, które nad ranem napłynęły z nad morza, wypełzła oślizgła szarość, ukazując sylwetki wojów, skupionych wokół niewielkich ognisk bądź włóczących się wśród chat opustoszałego podgrodzia. Mało kto spał, pomimo zmęczenia. Wielu wciąż rozprawiało przyciszonymi głosami o wydarzeniach nocy, o szczęśliwym powrocie syna konungowego i przybyciu hufca biskupa Helmgartha, jednakowoż na próżno byłoby szukać wśród nich wesołości bądź wiary w zwycięstwo. Znużone, przepelnione strachem spojrzenia co rusz unosiły się ku skrytym we mgle polom i nieodległej ścianie lasu, skąd jeszcze niedawno dobiegała chrapliwa pieśń wielu rogów, a potem kierowały się ku halli, gdzie radził Svein i kilku co znaczących wojów. Odbite grodziszczce spowijała martwa, lękliwa cisza, nawet kołujące nad miastem mewy zamilkły. Wiele z nich zasiadło na dachach długich chat i śledziło czarnymi oczkami przygnębionych ludzi, jakby już wybierały dla siebie co smaczniejsze kąski do odnalezienia po nadchodzącej bitwie.

Jedynie w halli jarłów Hladir nie wahano się rzucać ostrych słów, a zarumienione twarze ludzi zasiadających wokół paleniska wykrzywiały gniew i pogarda.

- Raz jeszcze powiadam wam, że uciekać nam lza, nie ostawać! - ciągnął Grim, wygrażając mięsistą pięścią. - Cóż nam przyjdzie z tego, że gardła wszyscy damy? Mam ci jeden okręt ukryty w Austfjordzie, drugi...

- Gdzie chcecie uchodzić? - zapytał gorzko Svein i potarł zmęczone oczy. - Na północy się skryć, wśród Samów? Do świętobliwego Anglii? Do króla duńskiego?

- A choćby i do niego! - obruszył się Grim. - Chrobry z niego woj, pomocy łąco udzieli. Z jego hufcami bez trudu Norveghr odbijemy i...

- Król Danów to przechera i szczwany lis! - Svein zaśmiał się. - Myślicie, że z dobrego serca wsparłby nieszczęsnego konunga Norveghru? Jeszcze moi wnukowie spłacaliby moje długi, pod warunkiem, że ostaliby u władzy. Coś mi się zda, że i on chętnie ujrzałby swą córkę u mego boku. Jeśli wam nie zależy, jarlu, tedy zaiste, trza nam się do Danów udać.

Svein nie zadał sobie trudu, by ukryć szyderstwo w głosie i pan na Austfjordzie zagryzł mocno wargi, wpatrzony w płomienie.

- Szeźniem tu - wyszeptał, nie patrząc na syna konunga. - Oblęd jakiś was ogarnął wszystkich. Oślepliście? Rozum wam wichry wywiały? Jak chcecie się takiej ćmie sprzeciwić? Przecie garstka nas ledwo, znużonych, źle uzbrojonych i bez serca...

- Jeśli bez serca, to jeno przez takie gadanie, jarlu! - huknął Svein. - Po łupach, cośmy je na Thorkilowych wojach wzięli, wcale też nie tak źle uzbrojonych. I na pewno nie nazwałbym ich garstką.

- Setka moich wojów, niecała setka biskupowych i paru twoich rębajłów z Islandii - prychnął Grim. - Jużci, wielki to hufiec.

- I dwustu waszych, co w górach siedzą.

- Jeno ci o dzień drogi odlegli.

- Jeśli wszystko dobrze poszło, od kilku godzin ku nam bieżą - rzekł chłodnym głosem Svein.

- Jakże to? - Opaśły jarl uniósł głowę i zmierzył Trygvesona wściekłym wzrokiem.

- Jeszcze w nocy pchnąłem gońca.

- Wždy to moi ludzie! - zachłysnął się jarl. - Moi! Jak śmiałeś, ty...

- Bacz na słowa - warknął głucho Svein, po czym nachylił się i wrzucił kilka szczap do ognia. Płomienie skoczyły żywiej, na moment przesłaniając spotniałą, czerwoną twarz Grima. - Uczyniłem to, bo działać szybko trza było. Bo rychło walczyć nam przyjdzie i każda para rąk się przyda.

- Moimi rękami tedy chcecie walczyć?
- Nie to jest ważne, jarlu - powiedział niespodziewanie biskup. - Pomnijcie, o co bój się toczy.

Sędziwy starzec towarzyszył wojom od początku narady, lecz nie odezwał się dotąd ani słowem. Siedział z zamkniętymi oczyma, obracając srebrny krzyżyk w wychudłych, drżących dłoniach. Od czasu do czasu jego ciałem wstrząsał dreszcz, a wtedy nieodstępujący jego boku Hrafn troskliwie okrywał go pledem. Klóćący się wojowie zdążyli już o jego obecności zapomnieć, tak więc szorstki, oschły głos duchownego zupełnie ich zaskoczył. Wystraszeni, spojrzeli na jego oblicze, pokryte niezdrowym rumieńcem.

- Pomnijcie, o co bój się toczy - powtórzył. W jego otwartych szeroko oczach odbijał się blask ognia, przyćmiony starczą mgłą. - Nie walczymy o łupy czy sławę. O Norveghr walczymy. Domu naszego bronimy przed rabusiami i złodziejami. Czy to ważne, kto jaką ofiarę poniesie, skoro dom jest nasz wspólny?

Jarl zacisnął usta. Zawsze starał się zaskarbić sobie przychylność Kościoła, ale darzył nieustępliwego biskupa tą samą obawą, jaką jego przodkowie darzyli pierwszych misjonarzy, obawą przed czymś nowym, złowieszczym i niosącym zagładę temu, co odwieczne. Nawet teraz, gdy miał wyniosłego kapłana miał przed sobą ledwie wyczerpanego starca, nie umiał się zdobyć na hardą odpowiedź.

- Juźci, że bój nasz wspólny - burknął w końcu. - Jeno wam łącno tak gadać. Wy przecie niczego nie tracicie.

- Mylicie się, jarlu. - Przyćmione oczy biskupa błysnęły stałą. - Straciłem więcej, niż wam się w głowie mieści, więcej niż majątek rodowy, ziemie czy drużynników, a mimo to ani myślę odstąpić. Nie, jak mi Bóg miły. Jednakowoż rozumiem ci ja wasze wahania. Wiem, że Bóg Wszechmogący dał nam, małuczkim, możliwość wyboru, a szatan nie przestaje podsuwać pokusy i mącić w głowach. Wiem, że mnodzy padli ofiarami jego knowań i zapomnieli, czym jest honor i męstwo, a pomną jeno o swej chudobie. Wiem to i rozumiem. Przeto idźcie.

- *Hvað?!* - wykrzyknął oszołomiony Grim.

Svein zacisnął usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się i zamiast tego obrzucił biskupa badawczym, nieprzychylnym spojrzeniem.

- Idźcie - westchnął Helmgarth i zakaszłał. - Weźcie tyłu, ilu zgodzi się za wami pójść, odnajdźcie ów okręt ukryty i płyńcie, by u Danów pomocy zebrać. I śpieszyć wam się lza, bo nie wiada, czy Jomsborczyk już grodu nie otoczył.

Zapadła cisza, ciężka, przytłaczająca, przerywana jedynie trzaskiem płomieni szalejących w palenisku. Svein przygryzł wargę i znać było, że z wielkim trudem powstrzymuje się od wybuchu, Hastein i Hrafn zaś nie spuszczała wzroku z poczerwieniałego Grima, który nerwowo rozglądał się na boki, jakby szukał sojusznika, zdolnego pomóc mu w podjęciu decyzji.

- A nim odejdziecie, wygłoszę kazanie, w którym was pożegnam - ciągnął cicho biskup, nadal zapatrzony w płomienie. - Opowiem w nim o słabości ludzkiego serca, o zapomnianym honorze, o zdradzonej władcy. Pomodłę się też za każdego, kto wytrwa u twego boku, bo tacy potrzebują modlitwy. Tak, jarlu, będę mówił, a Bóg Wszechmogący natchnie me słowa mocą. A jeśli wątpicie w potęgę kazań, jeśli zapomnieliście, jak wielką siłę kryje krzyż, przypomnijcie sobie pole bitwy pod Tröllaskógurinn. Bo walczyliście onegdaj w orszaku Białego Jastrzębia, nieprawdaż?

Płomienie znów strzeliły wyżej, jakby podsycone mocą słów starego kapłana. Twarz siedzącego naprzeciwko jarla na moment znikła.

- Wały grodu mocne - mruknął po chwili, od niechcienia. - Wytrzymają...

W tym samym momencie rozległy się przytłumione głosy rogów, które natychmiast obudziły wrzawę rozmów i pokrzykiwań na zewnątrz halli. Jarl Grim zamrugał z niedowierzaniem.

- Słyszycie? Przecie to mój sygnał! - zawołał. - Zaliby już dotrzeć zdołali?
- Idźcie i powitajcie swój hufiec, jarlu - oznajmił uroczyście Svein i wstał.

Pan Austfjordu podniósł się ciężko i wyszedł wolnym krokiem na zewnątrz, a za nim podążył zaciekawiony Hastein. Przez uchylone wrota wpadł do halli strumień bladego, szarego światła świtu. Svein już chciał ruszyć w ślad za nimi, lecz powstrzymał go wzrok biskupa.

- Rozumnieście omotali uparciucha - rzekł Trygveson, uśmiechając się krzywo. - Dobrze was mieć po swej stronie.

- Nie jestem po twojej stronie, synu konunga - powiedział znużonym głosem biskup. - Ja walczę jedynie po stronie Boga, synu. Na razie jednakże obu nam przyświeca ten sam cel. Obaj chcemy pokonać te pogańskie hordy i na powrót przywrócić rządy Pana nad tą nieszczęsną krainą.

- Najpierw muszę utrzymać Hladir - syknął złowrogo Svein. - Potem odbiję Nidaros i Björgvin, a następnie dopadnę i ubiję każdego, kto ośmielił się podnieść rękę na mego ojca. Dopiero potem, po tym wszystkim zacząć może myśleć o tych waszych świątynkach. Nie miejcie złudzeń, *faðir*.

- Nie mam. Wy również ich nie miejcie. Zanim wy zaczniecie myśleć o świątynkach, ja już dawno będę działał. Mój Pan - nasz Pan - nie zwykł długo czekać. A to tutaj - drżący palec biskupa wskazał miejsce, zajmowane chwilę temu przez jarla Grima - to nie był czyn bezinteresowny. W swoim czasie zażądam zapłaty, synu Trygvego.

\* \* \*

Świt nadchodził szybko, jakby się śpieszył. Vidar oblizwał spierzchnięte nagle wargi i zerknął na płynące nisko chmury.

Płyńcie wolniej, poprosił w myślach. Płyńcie wolniej, nie śpieszcie się. Dajcie nam jeszcze trochę czasu...

I spojrzął znów na Viglunda, który odpowiedział mu tym samym. I niemalże się przy tym uśmiechnął.

Siedzieli przy gasnącym ognisku na wilgotnych od rosy pledach i od czasu do czasu maczali kawałki placków w stygnącej zupie. Nie zwracali uwagi na zamieszanie towarzyszące przybyciu reszty hufca Grima, nie dbali o nadciągające hordy Jomsborczyka Thorkila, nie myśleli o czekającej ich bitwie. Nie odzywali się, bo obaj podświadomie czuli, że słowa mogą zepsuć tę niezwykłą, pierwszą w ich życiu wspólną chwilę. Po prostu siedzieli, wdychali chłodne, rześkie powietrze, nasycone tchnieniem morza, i co rusz spoglądali na siebie.

Pierwszy odezwał się Vidar.

- Tyś ciął owego woja, co cisnął we mnie oszczepem? - spytał cicho.

- Jam ci. - Viglund kiwnął głową. - Jeno nie szukajcie w tym jakiejś przytomności, ojciec. Chlasnąłem kurwiego syna, bo od początku, ledwie do Jomsborga przybył, złośliwymi słowami mnie kąsał i w końcu się rozsierdził.

- A czy uderzyłyś go, gdyby na twoich oczach ugodził kogoś innego?

- *Ég veit ekki*. - Viglund wzruszył ramionami. - Pomnijcie jednakowoż, ojciec, że ja w tej wojnie nie walczę wraz z kimś, jenó zawdy przeciwko komuś. Sprzysięgłem się z Jomsborczykami, bom nienawidził wszystkiego, co pochodzi z Norveghru. Gunnara ciąłem nie dlatego, że was dziabnął, jedno dlatego, że mnie rozeźlił. Ze świątkiem onym tak samo było. Myślicie, ojciec, że z miłości do wiary z odsieczą mu przybyłem? Z umiłowania do Norveghru podrzuciłem nóż Sveinowi? Psi szczali na Norveghr lubo stolec królewski, ja jenó...

- Svein cię złotem za ten czyn obsypie, a cały kraj...

- Psi szczali na złoto - mruknął uparcie Viglund. - Nie dbam o złoto czy sławę. Już nie. Wiem ci, ojciec, czemuście na Islandię wyjechali. Wiem, czegoście tam szukali. Bo i ja tego samego ninie szukać będę. Norveghr za życia konunga Trygvego pluł mi w gębę, a w drużynie jomsborskiej za ciasno mi było. Nie chcę, by ktokolwiek za kark mnie chwycił i do ziemi przyginał, jak jarl Thorkil. O Norveghr za konunga Sveina nie dbam zasię nic. Ja jenó pomsty swej chcę dokonać, a potem zniknę, ojciec.

- Jakże to? - zaoponował gwałtownie Vidar. - Przecie wreszcie się spotkaliśmy! Przecie wreszcie gadamy kiej

zwykli ludzie, bez złości i niechęci! W takiej chwili odchodzić chcesz?

- A czegoście się ojciec spodziewali? - prychnął Viglund i spojrzał na swego rodzica niechętnie, lecz bez wrogości. - Że odtąd co noc będziemy przy ogniu siadywać, bajania snuć i o miłowaniu się prawić?

- Nie - rzekł Vidar i zamrugał nagle, po czym odwrócił wzrok ku nieodległemu wałom Hladir, obsiadłym przez morskie ptactwo. - Chciałem ino wynagrodzić ci jakoś te wszystkie lata, któreś w niechęci wobec mnie przeżył. Bo wina musi leżeć po mojej stronie. Musi.

- Może tak - odparł Viglund i uśmiechnął się lekko. - Może nie. Nie wiem. Wiem tylko tyle, że utraconych lat nie nadrobicie, ojciec. *Aldrei*. Sądzę wszakże, że łącniej wam o nich zapomnieć przyjdzie, gdy powiem, że nie żywię już do was urazy. Gdzieś ją zgubiłem, gdzieś zaprzepaściłem. Nie pomnę już jej wcale.

Vidar przygryzł wargi i spojrzał w dogasający żar, zmuszany przez lekki poranny wiatr do cierpliwego migotania. Niespodziewanie żar jął się rozmazywać, a szerniałe szczapy straciły swą ostrość. Stary, znużony skald potarł załzawione oczy i otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz ściśnięte gardło nie przepuściło ani jednego słowa.

- I jeszcze jedno wam rzeknę - ciągnął cicho Viglund. - Wielce ciekawym, ile z tych waszych srebrnych włosów to zasię moja zasługa. Niełatwe to zadanie, borykać się z tak dzikim warchlakiem jak ja.

Dopiero po chwili Vidar zrozumiał, że pozornie niefrasobliwe słowa syna są w rzeczy samej prośbą o wybaczenie.

- Synu - zaczął i odkasznął. - Przeżyłbym to wszystko jeszcze raz, by tylko móc choć raz zobaczyć twój uśmiech.

Spojrzał w zamazaną wśród łez, rozedrganą twarz Viglunda i dostrzegł, jak jego niewyraźne, oszpecone oblicze rozciąga się w nieśmiałym uśmiechu. Wyciągnął dłoń, by pogłodzić jego policzek, lecz w tej samej chwili ziemia zadudniła pod końskimi kopytami.

- Jomsborg! - rozległy się krzyki galopujących jeźdźców. - Jomsborg nadchodzi!

- Czas na nas - powiedział Viglund.

- Prawda - rzekł Vidar. - Mam ci ja coś dla ciebie. Weź, niech ci dobrze służy.

Z tymi słowami podał synowi ostatni z mieczy, które wraz z Arnulem wykuli na zboczach plującej ogniem Hekli, a potem rozdali wśród Islandczyków, którzy zgodzili się walczyć u boku Sveina. Viglund ujął oręż z wahaniem i obrócił klingę w palcach. Złociste runy połyskiwały tajemniczo i obrzucały świetlistymi refleksami zarośniętą, nieurodziwą twarz młodzieńca.

- *Takk* - wyjąkał w końcu. - *Takk fyrir*. Zaczna to broń... Skąd ją macie?

- Później ci opowiem. - Vidar uśmiechnął się. - Najpierw okryjmy się chwałą bohaterów, synu, a potem znów spróbujemy pogadać.

Viglund zacisnął mocno usta i pokręcił lekko głową, jakby zaprzeczając jego słowom, ale Vidar, którego oczy znów zwilgotniały, już tego nie ujrzał. Ojciec i syn ruszyli ku bramie Hladir, gdzie wojowie stłoczyli się wokół zdyszanych zwiadowców.

\* \* \*

Oblepiony skromnym podgrodzem gród leżał na otwartej przestrzeni, pośród nadmorskich łąk i pól uprawnych. Na wschodzie czerniały szopy na łodzie, skryte do połowy wśród nadmorskich skał, na zachodzie i północy, za nielicznymi chatami miejscowych gospodarzy, wyrastała ściana boru, a na południe wybiegał ciągnący się wzdłuż wybrzeża trakt do nieodległego Nidaros. To właśnie tam zwiadowcy dostrzegli proporce nadszczających jomsborskich wojsk.

- Bzdura - stwierdził Svein, nakładając pośpiesznie hełm. - Wierutna bzdura. Przez całą noc słyszeliśmy odgłosy maszerowania przez las. Jomsborczycy są tu od dawna, jeno niewidoczni, w borach zaszyści. Puścili kilka

swych hufców traktem, coby odwrócić naszą uwagę.

Na twarzach otaczających go wojów było widać powagę i skupienie.

- Skąd tedy spodziewać się mamy ataku? - zapytał pozornie obojętnym tonem Grim.

Jego oblicze nikło za okularem hełmu, ale oczy błyszczały dziko, jak gdyby doznane upokorzenie próbował zamaskować ochotą do walki.

- Jeszcze tego nie wiem! - Svein się zaśmiał. - Na razie wiem tylko tyle, że suczy syn próbuje nas zaszczyć. Niedoczekanie jego, ot co!

Kilku wojów uśmiechnęło się szerzej, jeden, chyba Hastein, wznosił tryumfalny okrzyk. Vidar pokiwał lekko głową. Svein od dwóch dni nie zaznał ani godziny snu, lecz nie było znać po nim znużenia. Poruszał się gibko i sprężysto, a na jego zaciętej twarzy jaśniała wiara w zwycięstwo.

Ten człowiek żywi się zapalem bitewnym, pomyślał skald, a jego dłoń bezwiednie dotknęła rękojeści miecza.

- Podzielę nasze siły na pięć hufców - mówił dalej Svein, przytroczywszy już tarczę do ramienia. - Grimie, was czynię dowódcą świeżo przybyłych zastępów. Ja wezmę ową setkę, z którą odbiliśmy Hladir. Viglund będzie przewodził drużynie biskupiej, a Vidar tym, którzy przypłynęli z nami z Islandii. Ile jest koni w grodzie, Hasteinie?

- Będzie koło trzydziestu, *herra min*.

- *Mjög vel*. Wybierzcie tedy najlepszych jeźdźców ze wszystkich drużyn i obejmiecie nad nimi dowództwo. To będzie piąty oddział. Wy zaś, Vidarze, dobierzcie sobie co tęższych rębajłów.

- A jaki plan wasz? - spytał Grim, w którego głosie zabrzmiała wątpliwość. - Po co wam konni podczas oblężenia?

- Bo ani myślę skryć się za wałami i czekać beczynnie - rzucił Svein i splunął z pogardą. - Zrobimy tak...

\* \* \*

Poszarzałe, przyczajone nad oceanem chmury wypuściły wreszcie bladą kulę słońca i prawie nieruchoma tafla nieodległego fiordu zajaśniała niczym wypolerowany hełm. Morskie ptaki poderwały się z krzykiem do lotu, spłoszone przez zbrojnych mężów wbiegających na wały. Nad grodem poniósł się szczeł oręża i gwar rozkazów, na głównej ulicy rżały konie. Kilku wojów zaczęło nucić jakąś wojenną pieśń, natychmiast podjętą przez inne głosy. Tu i ówdzie wybijano rytm uderzeniami w tarcze.

Stojący na strażnicy Viglund przymknął oczy i na nowo ujrzał Jomsborg przed atakiem na Jumme.

Śpiewano wtedy tę samą pieśń, przypomniał sobie, a na jego nieurodzone oblicze wypłynął krzywy uśmiech.

- Widać co?! - wykrzyknął zdyszany Svein, który wbiegł na górę i potknął się na drewnianym progu.

Jego nagłe pojawienie się wystraszyło zebranych na strażnicy, zbrojnych w łuki wojów. Wszyscy się odwrócili, a najbliższy podał dłoń tracącemu równowagę Trygvesonowi, ale ten nawet nie zauważył gestu i natychmiast ruszył ku bystrookiemu młodzieńcowi.

Viglund otworzył oczy i znów ujrzał ciemną ścianę lasu, wynurzającą się zza ustępujących mgieł. Kilkakrotnie wydawało mu się, że dostrzega jakieś poruszenie na północy, lecz za każdym razem okazywało się to jedynie złudzeniem. Odwrócił się ku nitce traktu prowadzącego do stolicy, niknącej wśród nadmorskich klifów, i ujrzał drgającą, ciemną masę ludzkich szeregów, nad którymi wznosiły się porywane wiatrem sztandary.

- Nie - odpowiedział po chwili. - Ani widu, ani słyhu. Widać jeno tych, co od Nidaros ciągną. Zda się, że siła ich.

- Może być. - Svein ściągnął hełm i przetarł przekrwione oczy, po czym wbił wzrok w dal. Nagle pokręcił głową i z niecierpliwością szarpnął za krótką brodę. - Nic nie widzę, lecz mniejsza o to, tamci na razie niegroźni. Tych się lękać trza.

Dłoń konungowego syna, skryta w skórzanej rękawicy, wskazała ścianę nieodległego boru. Na dole wybuchło



jakieś zamieszanie, któremu zawtórowało rżenie koni i pokrzykiwanie krążącego nad grodem ptactwa, lecz Svein nawet nie drgnął. Wciąż wodził wzrokiem wzdłuż ciemnej linii drzew, a skryte wśród poszarpanej brody usta co rusz ciskały cichymi przekleństwami.

- Trza podjazd wysłać pod las - szepnął w końcu. - Krzyż dać Hasteinowi, niech wysoko trzyma. Przecie to tłuszcza bezrozumna, może nie zdzierzy który, spomiędzy drzew wybieży... Będziem wiedzieć, gdzie...

- Dajcie pokój Hasteinowi - odezwał się nagle Viglund, ożywiony. - Jego czas jeszcze nadejdzie. Tam patrzajcie!

I wyciągnął ramię ku czarnemu punktowi, wznoszącemu się tuż nad koronami drzew.

- Wždy to kruk jeno - zdumiał się Svein. - Przerośnięty, aleć zawdy tylko kruk.

- Widziałem takie w Jomsborgu i na Islandii - szepnął Viglund, a jego nieprzyjemną, wilczą twarz wykrzywił grymas niechęci. - Widywałem i tutaj. Jarłowi Thorkilowi służą, wieści dla niego noszą. Patrzcie, dokąd leci.

- Musi, że ku Rdzawym Wzgórzom! - wykrzyknął któryś z łuczników. - Miejsca tam wiele, i strumieni kilka, wody dostatek.

- A zatem z północy nadejdą - westchnął Svein i ponownie nałożył hełm. - Z dwóch stron nas będą chcieli wziąć, kiej w szczypce. Ech, połamię sobie suczy syn zębiska, połamię. Viglund, skrzyknij swój hufiec. Wychodzimy w pole.

\* \* \*

Viglund czuł spokój.

Uśmiechał się na widok zaniepokojonego Grima, który raz jeszcze próbował wyperswadować synowi konunga opuszczenie bezpiecznych wałów grodu, uśmiechał się, gdy wojowie najpierw drżącymi, a potem coraz mocniejszymi głosami wzniesli pradawną pieśń bitewną jarłów z Hladir. Nie przestawał się uśmiechać, gdy Svein nakazał im zewrzeć szyki, a sam pogalopował ku ciemnej linii lasu.

Obrazy nawiedziły go ponownie zaraz po zejściu ze strażnicy, gdy okrzyknął już swych ludzi i zaczął wkładać ciężką kolczugę. Zamarł wtedy, delektując się ich niemalże namacalnym pięknem. Były wyraźniejsze, dokładniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, a widział w nich znów chatę wśród leśnych ostępów, słyszał ciche kwilenie niemowlęcia, czuł smakowity zapach strawy. I gdy wstał, by ująć tarczę i chwycić za miecz, na jego twarzy malowała się taka pogoda, że zbierający się wojowie marszczyli brwi i szeptali między sobą ze zdziwieniem.

Czuł spokój, bo wiedział, skądś wiedział, że od owych wysnionych chwil dzieli go tylko parę machnięć mieczem. To, że owo „parę” mogło zamienić się w „wiele”, nie martwiło go zupełnie.

- Wojowie jomsborscy! - usłyszał nagle.

Otrząsnął się z myśli i uniósł głowę. Svein zatrzymał się w odległości celnego strzału z łuku od ściany lasu i wyprostował się w strzemionach, dumnie unosząc głowę. Trzymany w prawej dłoni sztandar Norveghru łopotał niczym ptak zrywający się do lotu.

- Wojowie jomsborscy! - krzyczał syn konunga, a jego głos, potężny niczym trąby bogów, przetaczał się po równinie. - Jam Svein syn Trygvego, dziedzic tronu Norveghru, wasz pan i høvding, któregoście w swej durnocie za martwego uznali. Ja jednakowoż żyję, wy marne psy, żyję! I przysięgam wam na cześć mego ojca, przez zdrajcę usieczonego, oraz na cześć wszystkich przodków moich, że zemszczę się na każdym, kto się ninie w borze chowa. Choćbym miał po kres swych dni z siodła nie zsiadać, będę was ścigał, aż wygubię co do jednego! Nie będę miał litości dla nikogo, kto pozwolił się obalamucić słowami jarla Thorkila. Nie dam ujść żadnemu, który wsie moje palił i poddanych rabował! Będę ścigał i zabijał, gonił i siekł, przysięgam na sławę moją i imię Boga Wszechmogącego!

Trygveson zamilkł, a echo poniosło jego groźne, złowieszcze słowa dalej, ku otulonym rzędziejącą mgłą drzewom. Wzdłuż szeregu rozległy się tryumfalne, chrapliwe krzyki, kilku wojów wzniosło topory i jęło skandować

imię swego høvdinga. Skupiony Viglund wyteżył słuch - pomimo hałasu czynionego przez własnych ludzi miał wrażenie, że słyszy obelgi i śmiechy dobiegające od strony lasu.

- A tym z was, którzyście ongiś ojcu memu służyli, lecz ninie przeciw niemu stajecie, przysięgam więcej niżli śmierć! - zakrzyknął ponownie Svein. - Każdemu, kogo żywcem ujmę, kulasy odrąbać każę i psom cisnę na pożarcie! Świniom go cisnę, by mu wątpia wyżarły! Ślepią mu wylupię i do jarzma go zaprzęgnę! Wiele czasu będziecie mieć, by swą głupotę przemyśleć, wiele! Tymczasem ja wasze rody będę gubił! Wasze dziewczki będę wylapywał i jako niewolne sprzedawał, a synom waszym łby będę urzynał i do morza ciskał! Usłyszycie ich płacz mimo swych cierpień, wy padalce! Świniopasy parchate! Ścierwojady bez krzty honoru!

Wśród wojów znów podniósł się wielki krzyk, lecz zaraz się urwał, gdy w półmroku skraju lasu zamajaczyły ludzkie sylwetki, a nad korony drzew wystrzeliły drobne punkciki, które z przerażającą szybkością jęły opadać ku samotnemu jeźdźcowi. Svein raz jeszcze machnął sztandarem i błyskawicznie zawrócił konia. Wojowie jak jeden zamarli i wstrzymali oddech.

- Ustrzelą - jęknął któryś.

Syn konunga pędził ku nim, pochylony nad karkiem wierzchowca, a trawy za nim znaczyły coraz to kolejne drzewca strzał. Spomiędzy drzew wylewał się tłum wrzeszczących, wymachujących orężem wojów. Kraczące złowieszczo kruki zataczały kręgi nad polem bitwy.

- Poderwał ich, szelma. - Viglund uśmiechnął się. Znów był spokojny.

Svein był coraz bliżej i już usłyszeli, że śmieje się do rozpuku.

- Gotuj się! - krzyczał. - Gotuj się!

Nad jego głową śmignęła strzała.

- Gotuj się! - wrzasnął raz jeszcze, zatrzymując spienionego konia i wyszarpując strzałę z płótna sztandaru. - Mamy gości, bracia, trza więc godnie kurwich synów powitać!

\* \* \*

- Nie wydolę - szepnęła Thyra i osunęła się na miękki mech.

Czujna Unna przypadła do jej boku i objęła ją silnymi ramionami. Ogromne, przybrudzone palce piastunki z zaskakującą czułością starły pot z bladego czoła dziewczęcia.

- Leż tedy, odpoczywaj - szepnęła i sięgnęła do sakwy, którą dźwigała na ramieniu.

Wydobyła z niej ciepły pled, rozłożyła na ziemi i wsunęła obie ręce pod wiotkie ciało dziewczyny, chcąc ją przenieść, lecz półprzytomna Thyra pokręciła naraz głową i otwarła oczy.

- Nie czas to na odpoczynek, bieżyć nam trza! - szepnęła. - Pomóż mi jeno wstać, a...

- Odpocząć musisz krzynkę - upierała się trollica i mimo protestów Thyry, ułożyła ją na pledzie. - Nie lza ci na mokrym mchu zlec, na dziecię baczyć musisz!

- Dziecię... Lecz mnie do niego mus, on mnie...

- *Begiðu!* - rzuciła ostrym tonem Unna i odwróciła głowę ku północy.

Delikatnymi gałązkami brzozowego gaju wstrząsnął nagły podmuch wiatru. Jego cichy oddech, wzbogacony szelestem roztańczonych listków, niósł zapowiedź nowych, dramatycznych wydarzeń. Thyra podparła się na łokciach i obie z Unną nasłuchiwały z napięciem, nieruchome niczym pokryte kwieciami skały u brzegów potoku. W szepcie wiatru odkryły bowiem odległe echo dzikich wrzasków wielu mężów, szczękę oręża, krzyków pierwszych rannych, ochryplej pieśni rogów...

- Bitwa! - odezwała się Thyra z lękiem. - Na bogów, Unno, trza nam się śpieszyć!

Chciała wstać, lecz powstrzymały ją silne dłonie piastunki, zaciśnięte na jej ramionach.

- Po co? - spytała cierpliwie trollica. - Czegóż chcesz szukać na polu bitwy, malutka? Czegóż chcesz szukać

wśród zbrojnych mężów, szalona dziewczyno? Połóż się lepiej i poczywaj, bo...

- Ja chcę być blisko... Ja się martwię, Unno...

- Chcesz być blisko niego? - Piastunka uśmiechnęła się. - Ależ kto ci broni, malutka? Ja jeno mówię, że trza ci krzynę poleżeć.

Thyra dopiero po chwili zrozumiała słowa trollicy i odpowiedziała ciepłym uśmiechem. Posłusznie, niczym dziecko nakłaniane przez matkę, opadła na pled i zamknęła oczy, pozwalając Unnie przykryć się wełnianym płaszczem. Jej dłonie bezwiednie otoczyły zaokrąglone łono.

Wiatr ponownie odwiedził brzozowy gaj, budząc deszcz wirujących, złotych listków. Przyniósł też kolejne odgłosy bitwy, lecz Thyra leżała spokojnie, tkając następne, piękne sny. Unna zaś trwała u jej boku, troskliwie zdejmując każdy listek, który ośmielił się wylądować na ślicznej, uśpionej twarzą.

\* \* \*

Viglund zaś walczył jak natchniony, wciąż z uśmiechem na ustach.

Sny nadeszły zniemacka i otoczyły go szczelnym kokonem. Nie pamiętał już o Sveinie i swoim oddziale, a wrogów widział niewyraźnie, jak przez mgłę. Zapomniał o tym, że znajduje się na polu bitwy, otoczony mrowiem nieprzyjaciół, a władanie nad jego ciałem przejął instynkt wojownika. To on pchał jego ramię do ciosu, nakazywał unieść tarczę czy schylić się przed wrażym toporem. Viglund zaś zasiadał na wygodnej ławie przed chatą i to wystawiał twarz na ciepłe promienie zachodzącego słońca, to zerkał ku dziecku, które cierpliwie układało niewielki stos szyszek.

Nie zauważył, że wrogowie oszczep rozorał mu ramię, nie zauważył nawet, gdy strzaskano mu tarczę i musiał wyrwać następną trupowi, o którego właśnie się potknął. Wtedy to cios maczugą stracił mu hełm, czego również nie zauważył. Bezwiednie przeszył swego przeciwnika i przeskoczył nad jego ciałem, by ciąć kolejnego. Parł przed siebie, rąbał, niszczył i obalał, lecz przez cały ten czas z jego twarzy nie znikał rozmarzony, nieobecny uśmiech.

Konik wyrzeźbiony z drewna. Gryzący, ciepły dym jałowcowy. Ciężka niedźwiedzia skóra. Kubek cierpkiego piwa. Miska z żurem i tłustą kielbasą. Kupiona na targu brosza. Wełniane...

- *Hægri vængar! Hægri vængar! Þið óþokkar!*

Głos, który rozbił jego sen na jawie, był zgrzytliwy i nieprzyjemny do bólu. Skądś go znał.

Snorri-Björgun?

Viglund nagle zatrzymał się, opuściwszy skrwawioną, wyszczerbioną od wielu ciosów klingę. Odurzony zgiełkiem bitwy, rozejrzał się półprzytomnie wzdłuż mocno uszczuplonego szeregu wojów Sveina, którzy bronili się zaciekle, z coraz większą rozpaczą. Nikt już nie wznosił tryumfalnych okrzyków, nikt nie śpiewał. Z milczącą wściekłością unosili porąbane, naszpikowane strzałami tarcze i cięli napastników z zjadłością skazanych na śmierć. Gdzieś mignął mu sam Svein, zakrwawiony, straszliwy, lecz nie jego szukał. Spojrzał ku nacierającym, pijanym żądzą mordy, i naraz go dostrzegł. Wysoki, wręcz patykowaty Snorri zatrzymywał biegnących wojów i kopniakami posyłał ich na prawe skrzydło, nie przestając krzyżeć swym zgrzytliwym, budzącym dreszcze głosem. Chwilę po tym, jak Viglund utkwiał w nim swój wzrok, Jomsborczyk gwałtownie odwrócił głowę, aż kosmyki włosów przykleiły mu się do spotniałego czoła.

Ich spojrzenia się spotkały. Czas zwolnił bieg.

To on, pomyślał Viglund. To przez niego trafiłem w szpony jarla Thorkila. To on...

I nagle, niczym oszalały buhaj spuszczonej z postronka, młodzieniec wyrwał się z szeregu walczących i ścigany okrzykami zaskoczenia rzucił się ku Jomsborczykowi z wzniesionym wysoko mieczem.

- Helsingir! - wył, wyrąbując sobie drogę w tłumie przeciwników. Ciął bez opamiętania, na prawo i lewo, a każdy jego cios gasił kolejne istnienie. - Helsingir!

- Jomsborg! - ryknął Snorri i skoczył ku nadbiegającemu.

I znów, tak jak podczas ich pierwszego spotkania, po spaleniu sadyby zdrajcy Sigvalda, w umyśle młodzieńca zabrzmiały wyraźne słowa: „Dumasz pewnie, żeś się jarłowi sprzeciwił, a ninie przeciw niemu z zemsty stajesz? Mylisz się, Wilczy Pyszczyku! Nadal nam służysz! Nadal jesteś częścią planu! Nadal...”.

Viglund targnął wściekle głową, jakby gwałtowny ruch mógł wyrzucić obce myśli, po czym zakręcił mieczem, aż zajęczało przecinane powietrze, i natarł z niepohamowaną wprost furią, mierząc w hełm przeciwnika. Ten uniósł broń, chcąc zablokować cios, a następnie pchnął Viglunda tarczą, lecz nie przewidział straszliwej siły, którą młody Vidarson włożył w uderzenie. Klingi starły się, krzesząc snop iskier, a Jomsborczyk zatoczył się z bezwładnym nagle, zdrętwiałym ramieniem. Wrogie myśli odplynęły od Viglunda.

- Bierzcie sukinsyna! - wychrypiał pobladły Snorri.

Lecz Viglund nie odstępował, podniecony niczym wilk, który widzi, że ścigany przezeń jeleni traci siły. Jego ciosy spadały teraz prosto na tarczę przeciwnika, wyrabując z niej potężne drzazgi i miażdżąc umbo. Jomsborczyk zataczał się z każdym uderzeniem coraz bardziej. Próbował kontratakować, lecz jego ciosy były powolne i ospałe, nacierający bezlitośnie Viglund unikał ich bez wysiłku. Nie przestawał przy tym tłuc w jego tarczę, aż Jomsborczyk stracił w końcu równowagę i padł na plecy. Młodzieniec natychmiast znalazł się przy nim.

- Zabij mnie, jeśli chcesz - syknął leżący. Oddychał ciężko, ze świstem, z kącika jego ust płynęła strużka krwi, lecz patrzył na Viglunda bez lęku, z nienawiścią. - Zemsta jarła Thorkila cię nie minie, Wilczy Pyszczyku.

- Odebrałeś mi moje sny... - wycharczał młodzieniec i opuścił ostrze, mierząc w wydatną grdykę.

- Snorri nie żyje! - rozległy się wokół przerażone głosy. - Snorri usieczon!

- Hladir! - ryczał Svein. - Norvegahr!

- Norvegahr!

- Helsingvir! - wrzasnął Viglund i rzucił się w tłum wrogów, poszukując swych nagle utraconych snów.

Nad zgielkiem bitwy poniosła się dźwięczna pieśń rogu, a potem ziemia zadrzała pod kopytami koni.

\* \* \*

- Boże miłosierny w niebiesiech, racz obdarzyć nas grzeszników swą łaską, racz poprowadzić nas ku bezpiecznej przystani - szeptał biskup Helmgarth, zaciskając kurczowo palce na srebrnym krzyżyku. - Wesprzyj nas swą mocą, pozwól odepchnąć hordy zła i na powrót rozpocząć wielkie dzieło szerzenia imienia Twego...

Nie widział bitwy. Odwrócił swe spojrzenie, jeszcze nim pierwsi poganie wynurzyli się z lasu i pogrążył się w modlitwie na długo przedtem, nim ich nieprzeliczone hordy zalały niewielki hufiec Sveina. Nie śledził zacieklej obrony z zapartym tchem jak Grim i jego przybocznicy, stłoczeni obok niego na strażnicy, ponurzy, przeklinający z cicha. Ocknął się dopiero, gdy wśród otaczających go ludzi wybuchła radosna wrzawa, a stojący za nim Hrafn sapnął z niedowierzaniem.

- Co się dzieje? - Zamrugął.

- Spójrzcie jeno, *faðir* - wyszeptał oszołomiony *Náttfarinn*, pomagając wstać sędziwemu duchownemu.

Nad polem bitwy niosły się wrzaski przerażenia, przemieszane z rykami tryumfu. Dziesiątki, setki wojów jomsborskich umykały bezładnie ku zbawczej linii drzew, ścigane przez tnących bez litości jeźdźców Hasteina. Niektórzy uciekający wyrzucali oręż, inni odwracali się i okazywali puste dłonie na znak poddania, lecz konni nie szczydzili nikogo. Bitwa trwała jedynie na prawym skrzydle, ale jej losy się odwróciły. Sztandar Sveina łopotał wysoko na wietrze, a jego wojowie nacierali z zapalem, rozrywając wrogi mur tarcz.

Naraz uwagę biskupa przyciągnął niewielki, zwarty oddziałek, prowadzony przez samotnego męża z ciemnymi rozwianymi włosami, który z szaleńczym wprost zapalem uderzył w bok wrogiego szyku. Helmgarth aż westchnął z przejęcia - wyczerzył wzrok, pragnąc śledzić walkę garstki śmiałków, lecz starcza mgła przesłoniła mu widok. Przetarł

niecierpliwie oczy, nadal jednak widział tylko rozedrgany tłum ciemnych, zamazanych sylwetek, który co rusz przeszywał osobiwy złocisty blask.

- Któż to? - Biskup wypuścił krzyżyk z dłoni i pochwycił Hrafna za ramię. - Któż to powiódł swych ludzi na zatracenie w imię konunga i Kościoła?

- To skald Vidar, ze swym hufcem islandzkim! - Hrafn śmiał się gromko. Wokół niego wojowie wiwatowali i wygrażali bronią umykającym wrogom. - On li to losy bitwy przeważył! On natarł w ostatniej chwili i wraży szyk rozbił!

- Jakże to? - zdumiał się biskup. - Przecie garstka jeno przy nim, a tamtych ciżba... Musi, że łaska boska nań spłynęła...

*Náttfarinn* nie odpowiedział i odwrócił wzrok.

- Skald Vidar miecze czarodziejskie przywiózł! - zawołał któryś z przybocznych Grima. - Mówią, że karły je wykuły! Zwykła stal pęka kiej kruche patyki, taki to...

Szturchnięty kilkakrotnie woj zorientował się, że wykrzykuje te słowa w przytomności słynącego z surowości duchownego. Pobladł, odwrócił się i chyłkiem zszedł ze strażnicy, gdzie zapadła głęboka cisza. Srodzy, zarumienieni wojowie, którzy jeszcze przed momentem śmiali się tryumfalnie i lżyli swoich wrogów, spoglądali teraz z obawą na sędziwego kapłana. Niepewność na ich obliczach wnet zamieniła się w zdumienie, gdy ten, miast wybuchnąć świętym gniewem, oparł drżące dłonie o drewniany parapet i opuścił głowę.

- Pogańska broń w świętym celu użyta - wyszeptał, wstrząśnięty. - Boże Przenajświętszy, w Trójcy Jedyny prawdziwy, oszczędź nam kary, zlituj się nad nami, błędzającymi...

Zatopiony w błagalnej modlitwie, nie pamiętał już o dramatycznym starciu na polach pod Hladir, nie widział nawet panicznej ucieczki resztek wojsk jomsborskich i ostatniego pościgu Hasteina. Modlił się żarliwie, lecz mroczne przeczucie w głębi duszy mówiło mu, że kara ich nie minie. I że nastąpi szybko.

Gdy w końcu otworzył oczy i uniósł głowę, jego wzrok padł na chmary rozwrzeszczanego, morskiego ptactwa, krążącego nad grodem. Wtedy zrozumiał, na czym kara będzie polegać.

- Morskie ptaki - wyszeptał głucho. - Jak onegdaj... Grim! Jarlu Grimie! Dawajcie no jarla, synkowie... *Flyttu þér...*

- Jestem, jakeście prosili, *faðir!* - Tubalny głos otyłego jarla rozległ się tuż za jego plecami, ale biskup nawet się nie odwrócił.

- Wyprowadźcie waszych ludzi z grodu - rzekł cicho, nadal wpatrując się w krzyczące mewy.

- Ale konung Svein kazali...

- Zróbcie, co mówię. Chyba że pragniecie naszej śmierci.

\* \* \*

Wielki, czarny kruk zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w powietrze, głośnym krakaniem oznajmiając całemu światu, że jest głodny. Jarl Thorkil skrzywił się z bólu i pomasaował przedramię, w które jeszcze przed chwilą ptaszysko wbijało pazury, lecz gdy odwrócił się ku oczekującym go przybocznym, jego twarz na powrót była spokojna i nieprzenikniona.

- Snorri ubit - rzekł krótko. - Padł z ręki szczeniaka Vidarowego.

- Tedy sam sobie przeznaczenie napisał, jak na skalda przystało. - Ragnar Niszczyciel Drakkarów zaśmiał się ponuro. - I cóż mu przyszło z tego, że go do Jomsborga zawlókł?

- Jemu niewiele - oznajmił Thorkil. - Jeno mnie dużo. Spodziewałem się, że mnie zdradzi, ale nigdy bym nie pomyślał, że ściągnie wszystkich mych wrogów w jedno miejsce.

Jomsborski jarl na powrót odwrócił się ku wciąż odległemu grodziszczy. Słony wiatr od morza natychmiast

pochwycił długie kosmyki jego włosów i jął wciskać je do oczu, lecz Thorkil nawet tego nie zauważył. Na jego bladej, nieporuszonej twarzy pojawił się złowieszczy uśmiech.

- Naciesz się swym zwycięstwem, Sveinie synu Trygvego - syknął niczym żmija. - Raduj się nim, póki możesz. Niebawem bowiem dowiesz się, żeś rozbił jeno hordę renegatów z Norvegghru. Wkrótce przyjdzie ci pojąć, że walka z prawdziwym wrogiem dopiero cię czeka, a nie będziesz wówczas miał wałów, za którymi bezpiecznie się skryjesz.

Zerknął przez ramię na wyprostowanego dumnie Ragnara Niszczyciela Drakkarów, którego oczy skrzyły się niczym okruchy lodu, oraz na szczerzącego dziko zęby Einara Odmieńca, jak zwykle pogrążonego w szalonych marzeniach. Spojrzał też dalej, na długi mur tarcz wojów ze Swionii i Islandii, a jego uśmiech się pogłębił.

Ukontentowany, zwrócił teraz wzrok ku morzu.

- Kiedy ruszamy? - spytał Ragnar.

- Niebawem.

Jomsborski sztandar z długim węzem pośród korzeni drzewa łopotał głośno, z szyderstwem na wietrze.

\* \* \*

- Ruszcie się! - wrzeszczał czerwony na gębie Grim. - Żywiej, żywiej, psiekrwie!

Zbrojni zbijali się z wolna w gromadę, podczas gdy przez bramę grodu wciąż wychodzili kolejni. Mało który pamiętał o pośpiechu - jedni rozmawiali głośno o przyczynach tak raptownej decyzji, inni klócili się, a kilku łuczników na oczach jarła nawet zawróciło do grodu. Grim stłumił szpetne przekleństwo i uderzył piętami w koński bok.

- Pogłuchliście, świniopasy?! - ryknął, zajechawszy im drogę. - W kupę, ochlapusy, bo jak płazem smagnę!

Wystraszeni łucznicy zamarli z otwartymi szeroko ustami, dopiero gdy Grim natarł na nich koniem, rzucili się do biegu ku gęstniejącej gromadzie zbrojnych.

- W grodzie nikogo! - wrzasnął rudowłosy Orolf, przywódca jego huskarłów, który wybiegł z rozwartej bramy Hladir.

- *Mjög vel!* - mruknął Grim i spojrzał ku rozpierzchającej się grupce wojów.

Wyglądają kiej stado baranów, pomyślał, a jego twarz znów ściągnął grymas nienawiści. I kiej barany będą uciekać, gdy tamci wreszcie nadejdą. Niech wilcy pożrą tego przeklętego świątka, niech upiory porwą jego duszę na wieczne zatracenie!

Pchnięty gniewem, znów uderzył piętami w koński bok i podjechał do biskupa, który w towarzystwie nieodłącznego Hrafna stał i patrzył na wschód, ku nieodległym szopom na łodzie i strzelającym wysoko spienionym bryzgom.

- Źle patrzycie! - syknął ze wzdargą. - Źle patrzycie, *fadir!* Przecie wróg stamtąd lezie, nie od morza!

Jego drżący palec mierzył nad głowami zdezorientowanych wojów ku traktowi od Nidaros, na którym czerniały długie szeregi wojsk jomsborskich. Nie miał pewności, lecz wydawało mu się, że wreszcie drgnęły i ruszyły ku Hladir.

- Rozniesie nas ta ćma! - wrzasnął rozpaczliwie. - Na co kazaliście nam wyjść z grodu? Przecie za wałami mielibyśmy jakąś szansę, strzymalibyśmy...

- Nie strzymalibyście - rzekł cicho biskup. - Patrzcie, Grimie. Oto nadchodzi kara boska.

Naraz nad bryzgami fal wyrósł ciemny kształt, rozkołysany, złowieszczy. Po chwili znikł, po czym znów się pojawił, bliższy, wyraźniejszy. Nim przerażony Grim zdołał powiedzieć choćby słowo, przybysz z głębin rozwarł paszczę i wydał straszliwy, tchnący chłodem ryk.

- Módl się, jarlu - szepnął biskup, osuwając się na kolana. - Módl się, a potem zbierz swych ludzi i idź na Jomsborczyków z imieniem Boga na ustach.

Jak zahipnotyzowani patrzyli, jak potwór miazdzy szopy na łodzie, po czym zwraca łeb ku grodowi i przechyla go, jakby zaciekawiony. Stali jak skamienieli, obojętni na nadciągające hufce Thorkila, które zbliżały się, waląc toporami o tarcze, niepomiernie dzikich wrzasków przerażenia, które się poniosły wśród rozpierzchających się wojów. Nie usłyszeli nawet coraz bliższego, szaleńczego tętentu kopyt i ochrypłych pokrzykiwań Sveina, usiłującego zagnać z powrotem uciekających ludzi.

- Grim, do kurwy nędzy! - wrzeszczał syn konunga, osadzając spienionego rumaka w miejscu. - Co ty wyczyniasz, przeklęty suczy synu! Dlaczego wyprowadziłeś swych ludzi z grodu, głupcze?

Zbryzgany krwią Svein wyglądał straszliwie - jego świetna ongiś kolczuga była w wielu miejscach pocięta, stracił też hełm, a spotniałe włosy kleiły się do jego brudnych policzków, lecz oczy lśniły gniewem i furią bitewną. Obnażony runiczny miecz, którym przed chwilą płazował uciekających wojów, ciskał lodowatymi refleksami. Trygveson wyglądał niczym bóg wojny z dawnych, zakazanych już opowieści i oszołomiony jego widokiem Grim milczał przez chwilę, nim wreszcie uniósł rękę i wskazał smoka, pełznącego w stronę grodu.

Wściekły blask w oczach Sveina przyszał na moment, po czym rozjarzył się na nowo.

- Słusznieś uczynił - szepnął ochryple. - Gadzina rozbiłaby wały i wygubiła was jednego po drugim... Zaprawdę, słusznieś uczynił... Grim, słyszysz mnie?

- Słyszę, *herra min...*

- Słuchaj tedy uważnie. Zbierz swych ludzi i strzymaj Thorkilowych. Niebawem dotrą tu Vidar i Viglund ze swoimi, Hastein już jedzie. Musicie ich strzymać do mego powrotu, słyszysz?

- Jakże to? - pytał wstrząśnięty Grim.

- Ja mam z ową bestią starą wrózdę...

- Zakazuję wam! - zawołał naraz biskup Helmarth mocnym głosem. - Zakazuję wam, Sveinie synu Trygvego! Moim zadaniem jest walka ze stworami ciemności, synu konungowy! Mnie Bóg dał siłę, by mierzyć się z pomiotem szatana!

- Nie zmożecie bydlaka waszym krzyżykiem - stwierdził ponuro Svein. - Gdyby tak było, *faðir*, wasza katedra nigdy nie ległaby w gruzach. Lepiej więc wymódlcie nam łaskę u Boga na Krzyżu. Nikt inny bowiem już o nas nie pamięta.

I spał konia.

\* \* \*

Słońce skryło się za mętym całunem zimnych chmur, jakby się wstydziło oprzemienić swym blaskiem świat skąpany we krwi. Ziemia drżała pod krokami setek nadciągających wojów, powietrze zaś drżało od pieśni rogów i chrapliwych rozkazów. Poblady Grim galopował wśród nierównego szeregu swych ludzi, pokrzykiwał, namawiał do zaciętej walki, lecz na próżno. Nikt przecież nie wierzy wodzowi, któremu łamie się głos. Nikt nie uwierzył jarłowi, który z rozpaczą spoglądał za oddalającym się Sveinem. Wojowie unosili tarcze, dzierżyli miecze i topory, posłusznie równali Szyk, lecz przecież nie byli ślepi, potrafili oszacować nieprzeliczone, karne zastępy swińskich toporników. Nie byli też głusi, słyszeli ryki zbliżającego się smoka.

Żaden też nie był głupi. Nie słuchali daremnych słów Grima, wiedzieli, że przyszedł ich kres.

Wódz pogański - ów napawający przerażeniem, ciemnowłosy woj w czarnym płaszczu, który pieszo wiódł swe hufce do boju - uniósł wreszcie miecz i wykrzyknął. Jego głos, czysty i zimny niczym dotyk lodowca, przetoczył się po błoniach pod Hladir, krusząc resztki odwagi w sercach obrońców:

- Śmierć sługom Boga na Krzyżu!

- Śmierć! - ryknęło tysiąc gardeł.

Z oddali odpowiedział im głuchy pomruk smoka.

Rzeńskie, chłodne powietrze przeszły setki strzał, które były opadać ku mizernemu szeregowi obrońców Norveghru. Wojowie jak jeden podnieśli tarcze, lecz marna to była ochrona przeciwko rojowi kąśliwych, śmiercionośnych os. Do świstu strzał dołączyły wrzaski rannych i umierających.

- Zwólcie, *faðir* - szepnął głuchym głosem Hrafn. - Zwólcie mi stanąć...

Biskup uczynił znak krzyża, i odwrócił się, chcąc ukryć łzę spływającą po pomarszczonym policzku.

Deszcz strzał urwał się tak nagle, jak się rozpoczął, i powietrzem wstrząsnął ryk rogów. Zamigotały wznoszone toporzyska, błysnęły miecze. Ciemne hordy swiońskich wojów rzuciły się ku wątlemu murowi tarcz, gotowe rwać, niszczyć, deptać i szarpać.

- Śmierć i chwała! - wrzasnął Grim.

Tym razem mu uwierzono.

Pierwsze szeregi nadbiegających zostały przywitane z męstwem godnym opowieści o dawnych bohaterach. Obrońcy twardo bronili swej pozycji - rąbali bez litości, celnie a mocno, i niesieni furią bitewną brodaci Swioni padali jeden po drugim, a zdumienie łagodziło grymas bólu na ich twarzach. Tu i ówdzie odbili się od muru tarcz, w kilku miejscach cofnęli się, przeredzeni rozpaczliwymi uderzeniami obrońców, a wokół rozszalałego, wymachującego rodowym toporem Grima wnet urósł wał trupów. Miecze, włócznie i toporzyska, a nawet maczugi i skramasaksy zbierały swe krwawe żniwo.

Napastników było jednak wielu, zbyt wielu.

Ich napór był tak silny, że wiotki mur tarcz zaczynał się chwiać. W ostatniej chwili w sukurs rozpaczliwie broniącym się wojom Grimowym przyszedł Viglund, wiodąc orszak biskupi wraz z drużyną Sveina. Okrwawiony, zdyszany młodzieniec szybko uformował swych ludzi w *svínfylkja* - miażdżącą formację klinową, której pochodzenie wywodzono od samego Odyna - i z okrzykiem: „Helsvinir!” wbił się w bok nacierających Swionów. Wraz z nim dziką szarżę przypuścił Hastein na czele garstki ocalałych jeźdźców i szeregi atakujących na chwilę zachwiały się, lecz to nie mogło zmienić losów bitwy. Kruki kołowały tuż nad głowami walczących i chrapliwymi głosami zwoływały swych co bardziej odległych braci na rychłą ucztę.

\* \* \*

Stary Steinni potknął się jako pierwszy.

- Nie dobiegniem - zachrypiął i nabięglymi krwią oczyma powiódł za zdyszany Vidarem. - Sił braknie...

Vidar otarł okrwawioną dłońią pot z czoła i zatrzymał się przy klęczącym, ciężko rżącym Islandczyku.

- Dobry Boże - szepnął.

Hufce Thorkilowe rozsypały się po równinie w natarciu na szczupły orszak broniący Hladir. Obrońcy nadal utrzymywali szyk i nie pozwalali się okrążyć, lecz opór ich słabł, a nacisk wroga narastał. Dzicy wojowie spod Lundu i Uppsali, topornicy z zachodnich fiordów Islandii i milczący, straszliwi siepacze z jomsborskiej drużyny atakowali z bezlitosną furią, to szarpiąc samotny mur tarcz, to próbując zgnieść go samym ciężarem. Wydawało się, że bliska już jest chwila, gdy determinacja obrońców pryśnie i rozpaczliwy opór zamieni się w bezwładną ucieczkę.

A Viglund...

Tak, skald widział go wyraźnie. Z bijącym mocno sercem patrzył, jak jego syn, wciąż dumnie wyprostowany, wciąż z twarzą ściągniętą wściekłością, przebija się przez tłum Swionów, każdym ciosem powalając kolejnego przeciwnika. Jego miecz przerąbał wrogie tarcze i kruszył wrogi oręż, a pracy za nim wojowie, choć pozbawieni magicznej karlej broni, choć znużeni i ranni, nadal zdobywali się na nadludzki wysiłek. Wtem drogę Viglundowi zastąpił szaleniec, którego ruchy szybsze były od ataków żmii, i Vidar poczuł zaciskające się mu na gardle lodowate palce strachu.

Wtedy rozległ się ryk stokroć potężniejszy od wrzasku zastępu zbrojnych mężów.



Oszołomiony Vidar spojrział na wschód, ku morzu, i dostrzegł połyskliwą, wijącą się łukowato smoczą szyję i łeb z rozwartą, zębatą paszczą. Dostrzegł też samotnego jeźdźca z wzniesionym wysoko mieczem, rozpaczliwie próbującego opanować oszalałego ze strachu rumaka.

- Toż to konung Svein! - wykrzyknął ktoś, chyba Irlandczyk Kormak. - Na smoczysko samojeden ci poszedł.
- Oszalał czy co? - jęknął klęczący wciąż Steinni. - Bez niego przecie nigdy nie wygramy...

Vidar przygryzł wargę, aż poczuł słony smak krwi, i spojrział na pole bitwy. Bez trudu wyłuskał wzrokiem Viglunda, który stał się w strasliwym boju z szalonym berserkiem. Jego ciosy były szybsze od uderzeń błyskawicy, jednakże młodzieniec wytrzymywał to tempo i miejscami sam próbował kontratakować. Tymczasem smok zaryczał po raz drugi, a zawtórowało mu przeraźliwe rzenie konia.

- Spadł! - zawołali wojowie. - Spadł z siodła!

„A gdy przyjdzie ci oszukać własne serce, uczyni to bez wahania”, Vidar usłyszał w myślach poważny głos Arnula.

- *Árás! Idźcie w bój* - szepnął.
  - *Hvað?*
  - Idźcie w bój! - powtórzył głośniejszym, z większym zdecydowaniem. - Usieccie tylu pogańskich synów, ilu zdołacie, wždy nie masz ci tarcz, co by przed naszymi mieczami broniły. A ja po konunga pojadę.
  - Nie dobiegniecie...
  - Dobiegnę. - Skald uśmiechnął się ponuro. Bardzo ponuro.
- Chwilę później nad zgłębkiem pola bitwy poniosło się dzikie wycie wilka.

\* \* \*

Wiedział, że zdąży.

Pędził jak rozszałały górski wicher, niesiony obudzonym przekleństwem Odyna. Z każdym uderzeniem serca szal berserkiński rodził się w nim na nowo, niczym kręgi rozchodzące się po wodzie, niszczące jednolite lustro powierzchni. Świat jakby cofnął się przed furią wilkołaczą, a onieśmielony czas zwolnił tempo. Vidar wyraźnie widział smoczy łeb, strzelający ku zasnutemu czerwonymi obłokami niebu i opadający ku znieruchomiałemu Sveinowi, lecz mimo to wiedział, że zdąży.

Musiał.

Skoczył w momencie, gdy smocza paszcza rozwarła się, ukazując ostre, pozlepiane śliną kły. Przez chwilę krótką jak myśl poczuł zapach morskiej wody i smród wodorostów, po czym uderzył barkiem w smoczy łeb, mocno, bez litości, zuchwale. Tępy ból, który skrzeszło potężne zderzenie, tylko rozniecił jego furię. Vidar przetoczył się po kamieniach i zerwał na równe nogi z przeciągłym, na poły ludzkim, na poły wilczym wyciem.

Smok targnął łbem raz i drugi, a w jego żółtych, niewielkich ślepiach odbiło się niedowierzanie. Svein coś krzyczał, ale Vidar nie rozpoznawał słów. Już nie.

Smoczy łeb wystrzelił, mierząc prosto w barczystą, nader rozrośniętą postać Vidara, lecz skald zakręcił się jak fryga i zanurkował pod potężną szyją bestii. Jakaś część jego świadomości, która nadal należała do człowieka, przypomniała mu, że wciąż ściska w ręku swój miecz - chciał ciąć wilgotną od szlamu łuskę, lecz kątem oka zauważył zbliżającą się pazurzystą łapę. Znów rzucił się na ziemię, aż zachrząściły kamienie, przetoczył się i poderwał już bezpieczny, z dobywającym się z gardła szaleńczym chichotem. Runiczny miecz zatańczył w dłoni, nakreślił siną smugę w powietrzu i wbił się aż pod jelec w bark potwora.

Świat zadygotał od strasliwego ryku bestii, czas jakby jeszcze bardziej zwolnił tempo. Smok targnął się nękany bólem, żółte ślepia zaalała czern bezkresnej nienawiści, lecz Vidar raz jeszcze bez trudu uniknął jego ciosów. Płasał do rytmu wybijanego przez bersekerską furię, wił się wśród plam purpury, ciął, rąbał i wył z uniesieniem.

Kilkakrotnie już raniony potwór cofnął się, poderwał łeb, wydał kolejny wstrząsający ryk i znów rzucił się do desperackiego ataku. Ruchy jego szyi i pazurzastych łap zwały się w ciemnoczerwone smugi, świat zawirował, a Vidar wciąż tańczył, wpatrzony w dwoje straszliwych ślepi. Ciął, unikał, skakał, lecz to, co było w nim z człowieka, szeptało mu uparcie, że zaczyna przegrywać, zaczyna z wolna ustępować, słabnąć, kulić się.

A wtedy łeb poderwał się gwałtownie, zupełnie jakby jakaś straszliwa siła uderzyła w jego rozciągniętą szyję. Pożółkłe kły niespodziewanie spłynęły czarną krwią, w przepastnej krtani coś zachrząściło, łeb odwrócił się do tyłu, wciąż płynnie i szybko, lecz z pewnym wahaniem. Śmignął długi miecz, błysnęło złociste ostrze, smocza paszcza ugięła się po raz drugi, tym razem mocniej.

- *Deyðu!* - wrzeszczał ktoś chrapliwym głosem. - Giń, jakem ci poprzysiągł, gadzie!

To, co było w nim ludzkie, utonęło wśród purpurowego szaleństwa i Vidar skoczył naprzód, na zatracenie, jak ongiś, jak za młodu. I naraz dwa runiczne miecze rąbały smoczą łuskę i chciwie spięły czarną krew, naraz dwaj wojownicy płąsali wzdłuż ciskającego się smoczego cielska, dwaj szaleńcy rzucali wyzwanie śmierci.

A smok słabł, marniał, kurczył się.

I wtedy zalał ich złocisty blask.



Runiczny miecz wykuty na stokach Hekli nagle stał się bezużyteczny.

Podczas krótkiego pobytu w Jomsborgu Viglund zauważył co prawda, że Einar Odmieniec porusza się z gracją dzikiego kota, i wyczuł, że drzemie w nim wielki wojownik, ale nigdy dotąd nie przypuszczał, iż jest tak niewiarygodnie szybki. Żarząca się czerwonymi runami klinga, która jeszcze przed chwilą kruszyła tarcze i miecze wszystkich, którzy ośmielili się stanąć na drodze høvdinga Helsvinir, teraz przecinała z wyciem powietrze, a jomsborski woj jakby drwił sobie z jego wysiłków. Niczym król tancerzy płąsał ze śmiercionośnym ostrzem Viglunda, co rusz tnąc błyskawicznie, zdradliwie, a młodzieniec z najwyższym trudem unikał jego ciosów.

Niespodziewanie wyparowało uniesienie bojem, a jego miejsce wypełniła pustka. Zdyszany, miotał się jak szalony, lecz roztańczony Einar sprawiał wrażenie, jak gdyby się stał niematerialną zjawą, odporną na wszelką broń. Jedynie jego uśmiech, nieobecny, lecz wciąż szydzący, i powiewy zimnego powietrza, rozciętego ostrzem jego miecza, przypominały zrozpaczonemu Viglundowi, że Odmieniec jest przeciwnikiem z krwi i kości. I że z wolna zdobywa przewagę.

W końcu chłopak uczynił pierwszy krok w tył, a potem następny. Krew huczała mu w skroniach, ruchy stawały się coraz wolniejsze, otoczenie się rozmazało. Nic go już nie broniło - cudowne sny zabrał Snorri, wiarę w zwycięstwo skradł mu Einar. Viglund walczył sam, samotny, z każdą chwilą coraz bardziej bezbronny. Gdzieś, z wielkiej oddali, docierały doń złośliwe chichoty karłów, które bez litości dziesiątkowały jego nieliczny już hufiec.

- Za mordę ułap naszego syna! - krzyczał rozjuszony Ragnar Niszczyciel Drakkarów. - Za mordę ułap i na postronku uchwyc!

Nagle Viglund się potknął i upadł na kolano. Poderwał strzaskaną tarczę, lecz zbyt wolno; miecz Einara już wyszarpnął z jego ciała strugę krwi. Chłopak krzyknął, sięgnął w głąb własnego serca, by odnaleźć siłę, by zbudzić furie, lecz zastał jedynie pustkę. Skulił głowę, oczekując na kolejny, ostatni cios.

I wtedy pole bitwy stanęło w złocistych płomieniach.

Walczący zamarli i opuścili broń, co niektórzy przestonili oczy, inni padli z krzykiem na kolana. Tylko nieliczni przemogli lęk i popatrzyli ku północy, skąd płynęła niezwykła, oślepiająca emanacja. Tylko nieliczni ujrzeli dumnego męża o pięknych oczach i białych włosach, kroczącego z wzniesionym złocistym mieczem, tylko oni dostrzegli ciągnący za nim pyszny zastęp.

Wśród nich był Einar.

W oczach Odmieńca, jeszcze przed momentem zasnutych mgłą, naraz pojawił się ostry, przenikliwy blask, a z jego ust wyrwał się okrzyk dzikiej, przenikliwej radości. Wojownik nie pamiętał już o Viglundzie, patrzył teraz ku północy, a na jego obliczu rozplynęły się błogość i uwielbienie.

I nagle Odmieniec znów poderwał miecz, zakręcił się jak fryga, świsnęło przecinane powietrze. Ragnar Niszczyciel Drakkarów, zapatrzony jak pozostali, zwałił się bez słowa z rozłupaną czaszką. Einar zawył tryumfalnie i ruszył ku nadciągającej emanacji, bez pardonu wyrabując sobie drogę wśród swych dotychczasowych sojuszników. Karły zakrzyknęły złowrogo i ruszyły w ślad za nim.

A Viglund nadal klęczał ze smutnym uśmiechem na twarzy.

\* \* \*

Jarl Thorkil również dostrzegł złocistą emanację. I zrozumiał jej znaczenie.

- Nadszedł czas rozstrzygnięć - powiedział cicho, tak cicho, że nie usłyszeli go nawet przybocznicy z jomsborskiej drużyny, klęczący teraz wokół niego i zasłaniający oczy przed oślepiającym blaskiem.

- Mówiłem, byś oddał Norveghr tym, którym się on należy - rozległ się nagle potężny głos, stokroć potężniejszy od wrzasków nielicznych walczących, jęku rannych i ponurego krakania padlinożerców. - Ostrzegłem cię, Thorkilu synu Nidhogga!

- Plwam na twe słowa, zabawko przeznaczenia - szepnął Thorkil. Jego oczy zaszyły mrokiem, a głos, choć cichy, drżał niczym straszliwa lawina, nabierająca prędkości na zboczu.

- Twa pieśń dobiegła końca, Thorkilu synu Nidhogga. Przeznaczenie zepchnęło mnie do Midgardu, bym cię unicestwił, bym zaśpiewał ostatnią część pieśni o naszych losach. Dość krwi rozlałeś, powiadam ci...

- Kim ty jesteś, by mnie pouczać?! - ryknął nagle Jomsborczyk. - Za nic mam twą mądrość! Łajno mi twe osady! Jestem wojownikiem, Baldrze, synem swego rodziciela i sam układam swe przeznaczenie! Sam!

Furia eksplodowała z siłą ognia, który kotłuje się we wnętrzościach wulkanu, by w końcu rozsadzić jego ściany. Thorkil zawył i skoczył ku świetlistemu mężowi, a z każdym krokiem jego postać rosła, potężniała, mroczniała. I już nie człowiek, lecz gad przeogromny, z olbrzymim łbem krytym strzechą czarnych włosów i cielskiem krytym łuską, nachylał się nad Baldrem. Z paszczy smoka wydobył się ryk, straszliwy i niszczący, ale Baldr patrzył na gadziego syna ze spokojem, bez strachu. Nad polem bitwy poniosła się srebrna pieśń jego rogu.

\* \* \*

I tak oto rozpoczął się końcowy rozdział bitwy o Norveghr, pierwszej i ostatniej, w której zwykli śmiertelnicy walczyli ramię w ramię z tymi, których krew zmieszała się z krwią bohaterów z dawnych legend. Synowie olbrzymów, trolli i niksów, berserkowie i ulvhednarzy, kapłani dawnych bogów i uczniowie karłów, czarodzieje z północy oraz władcy burz, zakłęci przez elfy i natchnieni przez bogów, wszyscy oni stanęli w hufcu ostatniego z bogów, jedyne, który powrócił po Ragnarokku. Żaden nie potrzebował zachęty, by ruszyć do bitwy, mającej raz na zawsze zakończyć opowieść o mijającym świecie. Melodii rogu odpowiedział straszliwy okrzyk z setek piersi, po czym Baldrowi woje śmiało natarli na wielokrotnie liczniejsze od siebie hufce Swionów. Ci, wstrząśnięci transformacją swego wodza oraz pojawieniem się nieznanej im siły, nie potrafili już stawić zaciętego oporu. Wnet zaatakowali ich drużynnicy Sveina, zakrwawieni i śmiertelnie znużeni, a wraz z nimi zdziesiątkowani woje Grima, niedobitki z oddziału biskupiego, ostatni ocaleli towarzysze Vidara, kilkakrotnie ranny Hastein na czele reszty jeźdźców... Omdlewające ze zmęczenia ręce uniosły miecze z nową siłą i szala zwycięstwa zaczęła się z wolna przechylać na stronę obrońców.

Wielu Swionów rychło rzuciło się do ucieczki, lecz inni zbijali się w gromady i bronili z ponurą zaciętością w

obliczu śmierci, nie lękając się ani runicznych mieczy, ani mocy niespodziewanych sojuszników drużyny Sveina. Choć bitwa była już wygrana, wielu, nazbyt wielu obrońców Norveghru osunęło się z rozdzierającym jękiem na zakrwawioną, zdeptaną ziemię, by już nigdy nie otworzyć oczu. Nie doczekał końca mężny Hastein, który spadł wreszcie z konia i zginął, zasieczony swiońskimi toporami. Nie przeżył również stary Hrafn, który skonał ze strzałą w piersi, otoczony trupami zabitych wrogów. Zginął irlandzki wiking Kormak, poległ siwowłosy Islandczyk Steinni, Grimowy przyboczny Orolf i wielu, wielu innych.

Był to długi, krwawy dzień i mało którego z walczących było stać, by unieść głowę i spojrzeć tam, gdzie złocisty Baldr toczył swój pojedynek z czarnym smokiem. Niewielu widziało, jak świetlisty miecz zapomnianego boga wbił się w końcu w podbrzusze potwora i je rozorał, mało kto też usłyszał cichy, charkotliwy ryk, z którym syn Nidhogga zwalił się wreszcie na ziemię. Wszyscy jednakowoż dostrzegli mrok, który buchnął z rozszarpanego podbrzusza smoczyska i rozlał się po niebie. I znów ustały walki - zarówno uciekający wojowie Thorkila, jak i ścigający ich Sveinowi przystanęli i oniemiała patrzyli, jak ciemności, pochłaniając białą kulę jesiennego słońca, przesłaniają wały Hladir, ścianę lasu, trakt do Nidaros.

- Zwyciężyliście - powiedział świetlisty mąż i oparł się na mieczu.

Słowo to rozbrzmiało w sercu każdego, który przelewał krew tego dnia w słusznej sprawie. Usłyszał je Svein Trygveson, pędzący konno z rozpostartym proporcem, usłyszał je również skald Vidar Gustavson, jadący tuż za nim ze smoczym łbem na włóczni, a nawet biskup Helmgarth, klęczący na nierównej, wilgotnej ziemi. Usłyszeli je wszyscy wojownicy, którym dane było dotrzeć do tej chwili. Niosło ze sobą ulgę, ciszę i zapowiedź rychłego spokoju.

I tylko Viglund miał czelność spytać:

- A cóż mi po zwycięstwie, skoro to nie moja bitwa? Kiedy odnajdę na tym świecie owo miejsce, które mi obiecałeś?

- Wkrótce - padła odpowiedź.

I wtedy świsnął wrogi miecz. Nastąpiła ciemność.

## EPILOG

Svein Trygveson, nowy konung Norveghru, wiercił się niecierpliwie.

Msze w wielkiej katedrze pod Nidaros zawsze były dla niego uciążliwym przeżyciem. Nie przepadał za echem, które zamieniało śpiewy młodych świątków w przytłaczającą lawinę dźwięków, nie lubił zaciekawionych spojrzeń tłumów ludzi i karcącego tonu biskupa, dlatego nie potrafił zdobyć się na szczerzy żal na widok ruin katedry w świetle dziennym. Siłą rzeczy nabożeństwa przeniosły się więc do niewielkiej, ciemnej kapliczki zamkowej, gdzie, jak się okazało, znosił je o wiele łatwiej. Zapatrzone w płomień świecy bądź światło, próbujące przebić barwne witraże z Anglii, wsłuchiwał się w słowa kapłana, a choć jego uwaga najczęściej umykała ku innym tematom, zawsze wychodził na dziedziniec osobiście pokrzepiony na duchu.

Dziś jednak za nic nie mógł się skupić.

Zaczerpnął głęboko tchu. Krzyż, świeżo zbity z dwóch sosnowych bali, wciąż pachniał żywicą, a jego zapach mieszał się z wonią kadzideł i woskowych świec, płonących wokół ołtarzyka, i Svein poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie. Na jego wąskie usta, skryte wśród wąsów, wypłynął delikatny uśmiech.

Dobre i to, pomyślał z rozbawieniem. Na wieczornej uczcie nie lza mi będzie pić jak drzewiej. Zbyt wiele ważkich spraw trza obgadać, lepiej nie mącić sobie miodem we łbie.

Zerknął za siebie. W półmroku kapliczki twarze zebranych w niej mężów, wszystkich znaczniejszych jarłów i

godich kraju, wyglądały na poważne i pełne skupienia. Żaden nawet nie drgnął, klęczeli nieruchomo niczym ogromne głązy nakryte niedźwiedzimi skórami. Ogniki świec odbijały się w ich złotych pierścieniach oraz oczach, zimnych i niebieskich jak zimowe niebo. Svein poczuł dreszcz.

Ciekawym, o czym dumają, pomyślał. Słuchają słów biskupich czy może już się zastanawiają, jak rozmawiać ze mną będą?

Myśl ta niespodziewanie wywołała w nim wielkie znużenie. Nie dla niego już ławy zastawione smakołykami, dzbany miodu czy dzikie pieśni, nie dla niego zapasy czy krotochwile. Odtąd każdy toast będzie oznaczał próbę przypochlebiania się, każda rozmowa stanie się próbą charakterów, każdy przyjaciel zacznie być jedynie partnerem.

Przyjaciel? - Svein wykrzywił usta. Czy konungowi wolno mieć przyjaciela? Czy wolno mu ponosić ryzyko zawierania przyjaźni? Mój ojciec nie miał przyjaciół. Dobrze rozumiał, że dolą króla jest samotność, całkowita zimna samotność. Zresztą, jedyny człowiek, którego przyjacielem nazwać mogłem, wyjechał z Norweghru, a ja nie potrafiłem go zatrzymać.

Zerknął na pustą dziś ławę, którą ongiś zajmował Vidar, i uśmiechnął się ze smutkiem. Spędził kilka wieczorów, starając się nakłonić go do pozostania, ale skald okazał się całkowicie nieczuły, zarówno na gorące prośby, jak i obietnice wielkich zaszczytów. Nie chciał zaczekać nawet na wielki ting we Frosta, na którym Svein miał zostać ogłoszony konungiem. Ostatniego dnia, gdy Vidar i kilku wracających do ojczyzny Islandczyków zeszli do przystani Nidaros, by zepchnąć łódź na wodę, podjął ostateczną próbę.

- Mógłbyś próbować odszukać syna - powiedział, nie patrząc mu w oczy.
- Odszukać? - zdziwił się Vidar.
- Jużci. Ludzie mówią, że widzieli, jak padał, ale przecie jego ciała nikt nie odnalazł. Dobrze wiesz, jak mu się cknęło między ludźmi. Ja wierzę, że on żyje. Niewątpliwie zbiegł gdzieś w ostępy i żyje tam niczym zwierzę.
- *Ég trúi því ekki*, Svein - odpowiedział ze smutnym uśmiechem Vidar. - Ja jestem tego pewien. Ale nie będę go szukał. Skoro zbiegł do lasu, niech tam żyje. Niech to będzie jego decyzja.

Wstrząsnęły nim te słowa, nie przypuszczał dotąd, by Vidar tak mocno wierzył w ocalenie syna. Nie potrafił znaleźć kolejnych argumentów i zamilkł. Pożegnali się krótko, potem żagiel wypełnił się wiatrem i Svein został sam.

Sam na czele wielkiego, wciąż dzikiego kraju, który z niechęcią traktował obcą wiarę i z oporami korzył się przed władzą, kraju niepokornych ludzi i dziewiczych kniei.

Svein westchnął głośno, tak głośno, że klęczący obok niego Grim, wciąż z obandażowaną czaszką i ręką na drewnianym temblaku, spojrział nań ze zdziwieniem. Konung zacisnął mocno usta i pokręcił głową, jakby dawał jarlowi do zrozumienia, że nie ma powodu, by przejmować się jego osobą. Pan na Austfjord skinął z powagą i powrócił do słuchania płomiennego kazania biskupa Helmgartha.

Pan na Austfjord, a od wczoraj także na Vestlund i Svinvatn, pomyślał z ironią Svein. Niby dumny jarl, a targował się wściekle, kiej lapoński wydrwigrosz. Ech, niech ma. Dzielnie stawał pod Hladir, mnogo Swionów usiekl, w oku nigdy mu pewnikiem wzrok nie wróci... A w końcu córka niezgorsza...

Czuł wzrok Ingibjorgi na swoich plecach od samego początku mszy, lecz gdy tylko odwrócił głowę, natychmiast spuszczała spojrzenie i oblewała się rumieńcem. Była niewysoka, szeroka w biodrach, podobnie jak ojciec raczej pulchna, lecz zdążył zauważyć, iż miała niezwykle urodziwe oblicze, z wielkimi niebieskimi oczyma i wąziutkimi usteczkami. Długa, czarna grzywka opadała aż na brwi, a okrągła spinka na jej ramieniu lśniła szczerem złotem niczym skrawek Draupnira. Svein lubił takie kobiety.

Może więc dobrze uczyniłem, zawierając drużbę z Grimem? - pomyślał. Udana młódka, na mą cześć, udana. Muszę z nim pomówić o weselisku, na pewno pamięta...

- Przeto nie wolno nam tych chwil zapomnieć! - krzyknął nagle biskup Helmgarth, wznosząc dłonie ku niknącemu w mroku sklepieniu kapliczki, a wystraszony Svein, który natychmiast stracił wątek przemyśleń, wlepił

weń spojrzenie. Oczy sędziwego duchownego lśniły, a głos drżał, jak zawsze, gdy ogarniało go wielkie uniesienie. - Nie lza nam zapomnieć straszliwej bitwy pod Hladir i ogromnej łaski, którą w chwili największego zwątpienia okazał nam Pan. Niech pochyłą z pokorą głowy wszyscy ci, którzy zwątpili w Jego dobroć! Niech ukorzą się ci, którzy ze wzgardą głosili, że zapomniał On o dzikiej krainie na Północy, że za nic ma zamieszkujących ją ludzi! Niech wszyscy oni pomną wielką bitwę pod Hladir, niech pomną świetlistość, którą nam zesłał, gdy otoczył nas mrok.

Svein opuścił głowę i zacisnął zęby. Znow pędził na spienionym rumaku, słysząc łopot sztandaru nad sobą i coraz bliższe krzyki rannych, znow zasłaniał oczy przed złocistą emanacją i gnał na odsiecz swym wojom. Niespodziewanie obudziła się w nim złość.

- Bóg o nas nie zapomniał. - Biskup mówił coraz ciszej. - Wsparł nas swą mocą w decydującym momencie i poprowadził ku zwycięstwu. Tak, okazał nam łaskę i nie lza nam jej zmarnować. Wiele lat minie, nim w tym nieszczęsnym kraju wreszcie zapanuje pokój, tedy niejeden raz przyjdzie nam prosić Boga o błogosławieństwo. Módlmy się więc, bracia, módlmy się żarliwie, otwórzmy serca...

Konung zamknął oczy, nie chciał, by ktoś wyczytał z nich wrogość bądź sprzeciw. Klęczący obok niego Grim mruknął coś niezrozumiale.

On też wie, pomyślał Svein. Wszyscy wiedzą. Wszyscy, co pod Hladir stawali, wiedzą, że to nie Bóg na Krzyżu przyszedł nam w sukurs, nawet sam Vidar, choć nie masz ci bardziej gorliwego chrześcijanina od niego na całej Północy. Opowieści o niespodziewanej odsieczy Baldra i jego tajemnej świty snuły się już po całym kraju, a na wsiach śpiewano pieśni o złocistym bogu. Oczywiście wtedy, gdy w pobliżu nie było żadnego świątka.

Szkoda, że świta Baldra znikła równie szybko jak się pojawiła, zadumał się Svein. Walni to woje byli, na mą sławę... Odeszli jednak wszyscy, co do jednego. Kiej kamień w wodę. Ech, masz ci los. Czasy wciąż niespokojne, przydałaby się taka drużyna...

- Otwórzcie serca, lecz zaciśnijcie pięści, bo czeka nas jeszcze długa walka - ciągnął biskup. - Dzikie ostępy Norveghru zaludniają ci, którzy wolą trwać przy zabobonie, którzy odmawiają Bogu należnego Mu miejsca na Północy, którzy obmyślają kłamliwe historie i sięją niepewność w sercach ludzi wiernych i uczciwych. Nie lękajcie się jednakowoż - raz już z Bożą pomocą pokonaliśmy szatana na błoniach pod Hladir, pokonamy go i po raz wtóry.

Biskup prawił, zwrócony przodem do krzyża, a tyłem do klęczących w kapliczce mężów, ale Svein czuł podświadomie, że ostatnie słowa Helmgartha były skierowane wprost do niego. Zwiesił głowę jeszcze niżej i westchnął ponownie. Tak, oto była cena, której biskup Helmgarth zażądał przed rozpoczęciem bitwy. Chytry duchowny wymógł na nim prawo do opowiedzenia wydarzeń na swój własny sposób.

Zdradziłem Baldra, pomyślał niewesoło. Rzuciłem go w ofierze świątkom Boga na Krzyżu i tak oto przypieczętowałem jego los. Czy opowieść o najpiękniejszym z bogów jest dobrą ceną za poparcie Kościoła? Nie wiem.

Nabożeństwo dobiegło wreszcie końca i Svein wyszedł na dziedziniec zamkowy, by odetchnąć zimnym powietrzem. Wokół trwały przygotowania do uczty, czeladź rozładowywała ze śmiechem wóz z beczkami miodu, a z kuchni niosły się soczyste zapachy pieczystego. Ingibjorga obrzuciła go jeszcze jednym ukradkowym spojrzeniem i znow się spłoniła, a Sigthor, jeden z pomniejszych jarłów z zachodnich fiordów szedł ku niemu szybkim krokiem, siłąc się na przymilny uśmiech. Svein przypomniał sobie, że kilku jego zbuntowanych poddanych zbudowało w lasach niewielki chram, a potem pobiło jednego z mnichów.

Wybacz, Baldrze, pomyślał znużony konung. Wybacz mi.

Świat najwyraźniej odzyskiwał swe proporcje.

\* \* \*

Zimne morskie wiatry już dawno oczyściły islandzkie powietrze zarówno z trujących gazów Hekli, jak i dymów palonych gospodarstw, i Vidar delektował się nim z lubością. Jego umysł nareszcie był czysty, a dusza lekka niczym dym niesiony wiatrem. Strzępy dawnej rozpaczki pozostawił daleko za morzem, w Norvegrze. W końcu stał się wolnym człowiekiem.

Sigurd, Vale oraz reszta chcieli opłynąć wyspę od północy i wylądować na południowym brzegu półwyspu Snæfellsness, skąd zamierzali pieszo dotrzeć do Reykholt, lecz Vidar zdołał ich namówić, by go wysadzili na końcu Eyjafjordu. Pomysł ten nie spodobał się jego towarzyszom - usiłowali mu wytłumaczyć, że sytuacja na wyspie najprawdopodobniej nadal jest napięta i każdy, nie tylko chrześcijanin, wiele ryzykuje, podejmując samotną wędrowkę - ale Vidar nie dał się przekonać. Marzył o chwili samotności już wtedy, gdy wrócił do Nidaros spod Hladir i nic nie skłoniłoby go do zrezygnowania z powziętego zamiaru, ani wiatry i deszcze islandzkie, ani głód i pragnienie, ani nawet wizja wpadnięcia w ręce pogan.

W pierwszej osadzie, gdzie kupił konia oraz płaszcz z mocnej wełny, dowiedział się jednakże, że niepokoje na wyspie ucichły z chwilą zniknięcia Jomsborczyków. Zarówno pozbawieni przywódcy pogan, jak i mniej liczni, lecz lepiej zorganizowani chrześcijanie powrócili do połowów, wypasu owiec i uprawy lichych poletek, a choć nadal nie darzyli się ciepłymi uczuciami, od paru tygodni nie doszło do żadnej większej rozprawy zbrojnej. Co więcej, Reykholt nie zostało zniszczone, a sędziwy Ingolf miał się dobrze i dalej sprawował funkcję głównego nauczyciela.

Wieści te oczyściły serce skalda z resztek niepokoju i z wysoko uniesioną głową oraz ciepłym uśmiechem na twarzy wybrał się w daleką drogę na południe. Sypiał na derce w rozpadlinach skalnych lub na krawędzi kraterów, rzadko w domostwach ludzkich, tych bowiem unikał. Popijał wodę z lodowato zimnych strumieni, zjadał suszone mięso i owczy ser, mókł i marzył, smagany potokami deszczów, lecz jego oczy nadal błyszczały radością. Wreszcie był wolny od wszelakich wyborów. Wreszcie czuł ulgę.

Podczas długich, niekończących się dni wędrowki miał mnóstwo czasu na przemyślenia.

Wkrótce też doszedł do wniosku, że owe chwile, które spędził ze swoim synem przed bitwą, były na pewno najszcześniejszym momentem jego życia. Często też do nich wracał, próbując sobie przypomnieć spojrzenie Viglunda, ruchy jego rąk, wyraz twarzy. Odtwarzał w pamięci jego słowa i bez końca upajał się ich brzmieniem. Nie dbał o to, że syn wypowiedział zaledwie parę zdań. Najważniejsze było to, że mówił je szczerze, bez wrogości, patrząc mu w oczy.

Te parę zdań wystarczyło, by zaleczyć wyrwę w jego sercu. Tak, owe chwile uczyniły go człowiekiem szczęśliwym.

Bywało, że targało nim straszliwe podejrzenie: a co, jeśli Viglund naprawdę poległ, jak wierzyło wielu ludzi? Samo to, że nie odnaleziono jego ciała, nie dawało przecież żadnej pewności. Bywało więc, że oblicze Vidara pochmurniało, a blask oczu gasł na moment, lecz wtedy odzywał się w nim instynkt ojca, rozbudzony po wielu latach tłamszenia.

- Viglund przeżył - szeptał wtedy do siebie. - Ocalał, a ninie szuka dla siebie nowego miejsca w Midgardzie. Chroni się przed ludźmi, przed konungiem i nową wiarą, chroni się przed obowiązkami, którymi gardzi. Szuka szczęścia.

Niczego więcej w końcu dla niego nie pragnął.

Ba, zdołał nawet odnaleźć miejsce, które najprawdopodobniej stało się nową ojczyzną jego syna. Drugiego dnia po zakończeniu bitwy, gdy Svein zbierał swe zdziśiatkowane hufce do marszu na Nidaros, Vidar zaczął rozpytywać wśród rannych i niedobitków, czy ktoś widział, którędy uchodzili wojowie z Baldrowej drużyny.

Kilku wojów wskazało ten sam kierunek i skald, nie tracąc czasu, spakował nieco prowiantu i zagłębił się w puszczy. Szedł przez dwa długie dni, sycąc głód suchymi plackami i kawałkami suszonego mięsa, aż dotarł do posępnego matecznika, którego centralną część stanowiła ogromna polana. Na jej środku rósł wielki, rozłożysty

jesion.

Vidar usiadł na zwałonym pniu i zapatrzył się na gigantyczne, prastare drzewo. Powietrze jakby wibrowało od nagromadzonej mocy, a ciężka, odwieczna cisza tłumiała nawet szczebiot ptaków. Przeczucie, wyraźne jak nigdy dotąd, mówiło mu, że dotarł w miejsce, w którym dawne opowieści przeplatają się z rzeczywistością jak nigdzie indziej. Uklęknął, rozpoznał bowiem majestat sędziwego jesionu i uznał wielkość tego, który odnalazł w nim swój dom. Po dłuższej chwili uśmiechnął się, uklonił drzewu i ruszył w drogę powrotną do Nidaros. W myślach układał już zdania, którymi chciał nakłonić nowego konunga, by ten użył mu któregoś z okrętów.

Svein się zgodził, choć nie bez trudu, i tak oto Vidar wraz z garścią towarzyszy przebył morze, a teraz wędrował przez pustkowia, po raz pierwszy w życiu w pełni ciesząc się samotnością. Powrót do Norwegii okazał się słuszną decyzją, a choć się wzbraniał przed kolejnym zaangażowaniem się w sprawy kraju, nie żałował, że znowu stanął po stronie konunga. Miał przynajmniej czyste sumienie i jeszcze jeden powód, by się cieszyć z życia.

Zbliżał się już wieczór. Szare cienie na zaskakująco bezchmurnym niebie nabierały głębi, a otaczające go skały traciły swój materialny kształt, z wolna przeistaczając się w postaci zgarbionych potworów. Koń nagle parsknął.

- Spokojnie - szepnął skald, przykrywając dłonią chrapy zwierzęcia.

Wtedy uświadomił sobie, że wierzchowiec drży, a jego kopyto raz za razem uderza w skaliste podłoże. Zaniepokojony, uniósł wzrok i zauważył odległy poblask ognia na bazaltowym głazie.

Banici? - pomyślał. Dałby Bóg, by banici...

Koń zarżał raz jeszcze i znów się targnął, tym razem gwałtowniej. Vidar zsunął się cicho z siodła, sprawnie przywiązał uzdę do pnia karłowatej brzoźki, wyrastającej ze szczeliny skalnej, po czym ujął łuk, nałożył strzałę na cięciwę i jął skradać się w stronę źródła światła. Ukojone błogimi rozmyślaniami serce znowu biło mu jak szalone, a otoczki pod stopami zgrzytały zdradliwie.

Blask ognia stawał się coraz wyraźniejszy i po chwili skald wyczuł również zapach pieczeni. Jednym susem przypadł do bazaltowej skały - tej samej, która odbiła promienie ogniska - i wyjrzał ostrożnie. Kilkadziesiąt kroków dalej przy ogniu zasiadał olbrzymi człowiek o szerokich barach krytych kozią skórą i powoli, ostrożnie obracał pieczeń nad płomieniem.

Człowiek?

- Wyłażże zza tego głazu, wędrowcze - powiedział niespodziewanie olbrzym, nie odwracając się, a jego tubalny głos poniósł się głośnie echem. - A te patyki zostaw, szkody se jeno nimi narobisz.

Wystraszony, ale i skonsternowany Vidar spojrzał na ściskany w rękę łuk i z wahaniem położył go na kamieniu.

- Podejźże do ognia, posilim się. Obaśmy strudzeni - dorzucił nieznajomy i odwrócił głowę.

Na szerokiej gębie malował się szkaradny uśmiech, lecz w wielkich czarnych oczach nie znać było gniewu czy agresji. Olbrzym nawet nie sięgnął po ogromną, nabijaną ćwiekami maczugę, leżącą tuż obok niego.

- Nie lękaj się, przecież cię nie zeżrę. Mam już ciut mięska, starczy dla dwóch. To owoczy - dodał zachęcającym tonem.

- Nieczęsto się zdarza, by trolle zapraszały ludzi do wspólnej wieczerzy - oznajmił skald, wychodząc z ukrycia. Jego dłoń błędziła wokół rękojeści miecza, a druga muskała srebrny krzyżyk zawieszony na piersi.

- Nieczęsto się zdarza, by sługa Boga na Krzyżu jechał tędy samojeden - burknął troll i ugryzł trzymany w potężnej łapie udziec.

Skald przez moment widział jego zęby, ogromne i szerniałe.

- Czasy się zmieniają.

- Wiem ci to dobrze. Podle mojej jamy kościół juchy postawili. Wałą w te ichnie dzwony, aż mnie krew zalała. Przylazłem tedy tutaj, co będę się po próżnicy złościł.

- Inny podszedłby i rozwalił. - Skald uśmiechnął się, siadając przy ogniu.



Troll cuchnął przeokropnie, ale Vidar postanowił to zignorować. Miał wrażenie, że czeka go ciekawa przygoda.

- Tedy nowy postawia, juchy. Wy, ludzie, to iście nieużyte bydlaki, nic w was miłości do bliźnich - narzekał troll, odrywając kawał pachnącego przyjemnie mięsa dla nowego towarzysza.

Vidar uśmiechnął się półgębkiem, ale nie powiedział ani słowa. Zdawało mu się, że w głosie olbrzyma słyszy kpiarską nutę. Z nieufnością wgrzył się w mięsiwo, lecz jego wątpliwości się rozwiały, gdy wyczuł dobrze sobie znany smak. Tak, z całą pewnością jadł mięso owcy, a nie ludzkie.

- *Hvaðan kemur Þú?* - spytał po chwili troll, przeżuwając kawał mięsa.

- Z Norveghru - odpowiedział Vidar.

- Norveghr. - Potwór się zadumał. - Zaiste, czuć was morzem. Walczyliście w onej wielkiej bitwie?

- Wiecie o bitwie? - zdumiał się skald.

- Jużci, a czemu nie? - obruszył się troll. - Kruki już wypaplały, a one wszystko wiedzą, ptaszyska zatracone. Gadają, że konung Svein wespół ze świętkami jomsborskie hordy rozbił.

- Pewnikiem gadają tedy, że Baldr ze swą swiątą przybył Sveinowi z odsieczą? - Vidar uśmiechnął się ponuro.

- Nie kruki, ale świętki. - Troll uniósł wysoko brwi. - Przybyło tu kilku ostatnimi czasy i nuże na wiernych starym bogom nastawać, nuże ludzi judzić... Zupełnie jakby nie pamiętali, że jeszcze parę miesięcy temu ziemia spłynęła krwią ich braci. Jeden zaś - ten co ów przeklęty dzwon w moim sąsiedztwie wywiesił - jął przekonywać ludzi, że Bóg na Krzyżu się pod Hladir objawił.

- Uwierzyli?

- A ja wiem? Mało z ludźmi gadam. Niezbyt są skorzy do pogawędki, gdy ich do kotła ciskam. Ale uwierzą.

- Tak twierdzicie?

- Uwierzą - powtórzył z naciskiem troll i szturchnął kijem płonące szczapy, aż ku niebu strzelił snop iskier. -

Ludzie są głupi, skaldzie. Skalle Płaski Nos judził wiernych starej wierze ledwie pół roku, a pod Tingvellir setki popleczników przywiódł przeciwko wyznawcom twego boga. A przecie był jeden, i to przygłupawy ponoć. Co będzie, jak w ślad za tymi świętkami przybędą kolejni? Ile czasu musi minąć, by Odyn stał się jednym z tym ichnim szatanem?

- Nie mam pojęcia - westchnął skald. - Nie wiedziałem też o tym, że księża przeinaczyli pojawienie się Baldra. Wiele mówiło się o tym, że podobny on do naszego Jezusa Chrystusa, lecz przecie to nie Jezus przywiódł hufiec zacnych wojów pod Hladir.

Nagle soczysty, ociekający tłuszczem kawałek mięsa wydał mu się gorzki, jakby troll posypał go popiołem.

- Ósme przykazanie brzmi: nie mów fałszywego świadectwa... - szepnął, zapatrzony w płomienie. - Dobrze, zem zostawił tamten świat za sobą.

- Dziwnie gadacie jak na sługę Boga na Krzyżu - stwierdził z paskudnym uśmiechem troll. - Zalibyście i wy uciekali?

- Nie. Chyba nie - odparł niepewnie Vidar. - Postanowiłem opuścić Norveghr, bo zrobiłem tam wszystko, co do mnie należało. A nawet więcej.

- Tedy szczęśliwi jesteście, bo ja po prostu uciekłem. Ze strachu. Zaszję się tu na pustkowiu i będę czekać, aż muzyka dzwonów przyjdzie tu za mną.

- Wiele lat jeszcze upłynie, trollu - rzekł skald, rozglądając się po otaczających ich skałach. - Ale...

Przerwał, gdyż nagle zaświtał mu nowy, osobliwy pomysł.

- Nie wszystko - szepnął, a na jego twarzy pojawił się delikatny, rozmarzony uśmiech. - Nie wszystko jeszcze zrobiłem. Trollu, dziękuję wam za poczęstunek, lecz mus mi ruszać w dalszą drogę. Naraz pojąłem, że czeka mnie jeszcze wiele pracy.

- Jakiej to pracy? - Troll skrzywił się. - Pomóc chcecie przy budowaniu następnych chramów Boga na Krzyżu?

- Wprost przeciwnie. *Bless!*

Spróbuję ocalić choć cząstkę twego świata, pomyślał Vidar z ożywieniem, wskakując na grzbiet drżącego z lęku wierchowca. A także mego i Viglunda, bo czy berserkowie i wilkołaki nie należą do tej samej opowieści co trolle? Nikt nie zaprzeczy, że nadchodzi nowa era, czas umiłowanego przeze mnie Boga, lecz z jakiej racji lata przed Ragnarokkiem miałyby zostać zapomniane bądź wypaczone? Dotrę do Reykholt i napiszę o tym wszystkim. Napiszę o Baldrze, o Arnulu i innych karłach, o berserkach, trollach, krakenach, runach i świętym drzewie najpiękniejszego z bogów. Niech to będzie ostatnie dzieło mego życia.

W cichym wietrze, świszczącym wśród załomów skał, poniósł się przeciągły chichot, niemalże zbyt ludzki, by mógł być dziełem natury.

\* \* \*

Viglund spodziewał się usłyszeć wielką mowę, lecz Baldr nie odezwał się ani słowem. Podeszedł do ogromnego, starożytnego jesionu rosnącego na środku polany i oparł dłoń na korze. Odwrócił się wtedy ku zebranim wojom i uśmiechnął ciepło raz jeszcze, a potem polaną zalał potok złocistego światła. Gdy chłopak otworzył oczy, Baldr już nie było, ale rozłożyste gałęzie drzewa emanowały gasnącym blaskiem.

Wśród zgromadzonych wojów poniosły się jęki rozpaczy, a sam Viglund z trudem powstrzymał nabrzmiałe żalem westchnienie. Obejmująca jego ramię Thyra zaszlochała cicho i otarła rękawem zwilgotniałe oczy.

Zerknął w bok i po raz kolejny dostrzegł drobne, lecz silne dłonie, wpijające się w jego łokieć, pasma jasnych włosów, opadające poniżej łopatek, a nade wszystko zaokrąglony brzuch, skryty pośród lnianych szat. Z zaskoczeniem odkrył, że w jego sercu znów budzi się tkliwość, zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy odzyskał przytomność i usłyszał jej rwany szlochem głos, wymawiający jego imię, a potem poczuł dłoń, zmywającą krew z czoła. Uśmiechnął się i przygarnął ją mocniej, nieco niezgrabnie, lecz Thyra z ufnością oparła głowę na jego ramieniu.

- Nasz konung wypełnił swą misję i odszedł na spoczynek - odezwał się Einar Odmieniec, nowy høvding Baldrowego hufca. Stał otoczony karłami, a w jego oczach, miast mgły i szaleństwa, odbijał się dumny blask. - Nasza wojna nie dobiegła jednakże końca. Bądźcie zawsze gotowi, by stanąć w jego obronie. Nigdy nie zapominajcie, że jesteście Ukrytym Ludem. Nigdy nie zapominajcie, kto jest waszym konungiem! Nie zapominajcie, że przeznaczeniem waszym i waszych synów będzie obrona ostatniego z bogów Midgardu!

Po polanie stukrotnym echem poniósł się wojenny okrzyk Baldrowych wojów, a potem zapadła cisza. Każdy z wojowników w milczeniu skłonił się jesionowi, po czym odwrócił się i zniknął wśród okalających polaną drzew, strojnych już w jesienne szaty.

Viglund uczynił to samo, a potem objął Thyrę w talii i szybkim krokiem ruszył w stronę domostwa.

Śpieszył się, gdyż jesienne noce zapadały szybko, a jemu wciąż pozostało wiele rzeczy do zrobienia. Musiał wreszcie pozatykać mchem dziury w ścianach dopiero co wybudowanej chaty, musiał wystrugać bieguny do kołyski i przede wszystkim zbić ławkę, którą zamierzał ustawić na zewnątrz. Tak, czekało go jeszcze mnóstwo pracy.

Po raz pierwszy w życiu Viglund czuł spokój.

W historii świata zaczął się kolejny rozdział.

# Słowniczek zwrotów islandzkich, wykorzystanych w powieści

„Eld Dreki” - „Ognisty smok”  
„Fljótur Dreki” - „Chyży Smok”  
„Hvita Sky” - „Biała Chmura”  
„Silfur Mávurinn” - „Srebrna Mewa”  
„Spjót” - „Włócznia”  
„Svarti Refur” - „Czarny Lis”  
Dvergurfjall - Karle Wzgórza  
Hviti fálkinn - Biały Jastrząb  
Lundaflói - Zatoka Maskonurów  
Náttfarinn - Nocny Krzyżowiec  
Svartvindaskarð - Przełęcz Czarnego Wichru  
Pögluhæðir - Ciche Wzgórza  
Tröllaskógurinn - Las Trolli  
Helsvinir - Druhowie Hel

Zwroty wtrącone w rozmowy:

*Að sjálfsögðu* - oczywiście  
*Aldrei* - nigdy  
*Andskotinn* - Niech to szlag trafi  
*Árás* - naprzód; do ataku  
*Biddu* - poczekaj  
*Bi'ðið* - stać  
*Bless* - żegnaj  
*Bless allir* - żegnajcie wszyscy  
*Bogamenn* - łucznicy  
*Deyðu* - giń  
*Dvergarnir* - karły  
*Ég er frá...* - jestem z...  
*Ég er kalt* - zimno mi  
*Ég hef fengið nóg* - dość tego; mam dosyć  
*Ég heilsa yður* - pozdrawiam cię  
*Ég heiti...* - nazywam się...  
*Ég sé land* - widzę ląd  
*Ég skil* - rozumiem  
*Ég skil yður ekki; Ég skil ekki* - nie rozumiem  
*Ég trúi* - wierzę w to  
*Ég trúi því ekki* - nie wierzę w to

Ég veit - wiem  
Ég veit ekki - nie wiem  
Éttu skit - odpieprz się  
Faðir - ojciec, ojciec  
Farðu - zjeżdżaj; odwal się  
Fiflið þitt - głupcze  
Fjandinn - cholera  
Flýttu þér - szybko  
Frábært - doskonałe  
Fylgið mér - za mną  
Fyrir Þór! - na Thora!  
Hægri vængar - z prawej ich  
Heill sé yður - sława z tobą; bądź pozdrowiony  
Helvítis fiflið þitt - przeklęty głupcze  
Herra minn - mój panie  
Hlaubið - biegnijcie  
Holmgang - pojedynek na wyspie  
Hörfið - odwrót; odstępujcie  
Hrafn - kruk  
Hvað er þetta? - co to jest?  
Hvað heldur þú? - co o tym sądzisz?; co sądzisz?  
Hvað? - Co?  
Hvaðan kemur þú? - skąd przybywasz?  
Hver era ð koma? - kto zacz?  
Já - tak  
Komdu hingað - bywaj tu; do mnie  
Komdu, láttu það eiga sig - dajcie pokój  
Leidangr - wici  
Lygarinn þinn - ty kłamco  
Mér líkar þetta ekki - nie podoba mi się to  
Mjög vel - bardzo dobrze  
Nei - nie  
Og ég...-a ja...  
Og þú? - a ty?  
Sé þig i haust - do zobaczenia na jesieni  
Setjið seglin - żagle staw  
Skál - na zdrowie  
Skal gert - robi się  
Skilur þú þetta? - rozumiesz?  
Skjoldborg - mur tarcz  
Sofðu vel - śpij dobrze  
Svikarinn þinn - ty zdrajco  
Takk fyrir - wielkie dzięki

*Það er lygi* - to łgarstwo

*Það litur illa út* - źle to wygląda

*Þegiðu* - zamknij się; milcz

*Þetta líkar mér* - podoba mi się to

*Þið klaufalegu óþokkar* - wy cholerne psubraty

*Þið óþokkar* - wy psubraty

*Þú skilur ekki* - nie rozumiesz

*Tíkarsonurinn þinn* - sukinsynu

*Varaðu Þig* - uważaj